

ROBERTSON DAVIES



pięta
osoba
dramatu



ROBERTSON DAVIES

piąta osoba dramatu

Przełożyła Maria Skibniewska

INSTYTUT WYDAWNICZY • PAX • 1973

Definicja

Te role, które nie będąc rolami bohatera czy bohaterki, powiernicy czy też czarnego charakteru, są jednak istotne dla rozpoznania ich lub w ogóle rozwiązania intrygi, w zespołach dramatycznych i operowych, zorganizowanych na starą modłę, nazywano „piątą rolą”, aktora zaś grającego tę rolę często nazywano „piątym”...

Tho. Overskou, *Den Danske Skueplads*

Pani Dempster

1

Dożywotnia więź łącząca mnie z panią Dempster zadziergnęła się o godzinie piątej minut pięćdziesiąt osiem po południu dnia 27 grudnia 1908 roku, gdy miałem dziesięć lat i siedem miesięcy.

Mogę oznaczyć dokładnie i z całą pewnością datę tego wydarzenia, ponieważ w tym dniu po południu jeździłem na saneczkach z Percy'm Boydem Stauntonem, który był przez całe życie moim przyjacielem i zarazem wrogiem, i pokłóciliśmy się, bo jego nowe gwiazdkowe sanki okazały się mniej szybkie niż moje stare. W naszych stronach nigdy nie ma wiele śniegu, ale owego roku w okresie Bożego Narodzenia spadło go sporo, tak że prawie pokrył najwyższe nawet kępy suchej trawy na polu; na takim śniegu jego sanki z wysokimi płozami i głupio pomyślanym urządzeniem sterowniczym posuwały się ciężko i często zatrzymywały się, podczas gdy moje, niskie stare saneczki mogły ślizgać się nawet po samej trawie.

Popołudnie przyniosło więc Percy'emu upokorzenie, a mój przyjaciel zawsze, gdy czuł się upokorzony, bronił się mściwością. Miał bogatych rodziców, był porządnie ubrany, jego skórzane rękawice kupiono w wielkomiejskim sklepie; ja nosiłem włóczkowe rękawice zrobione na drutach przez matkę, wydawało się więc jawnym skandalem, że jego wspaniałe sanki dały się prześcignąć; taka niesprawiedliwość rozwścieczyła Percy'ego. Sklął moje sanki, wyszydził włóczkowe rękawice, a wreszcie oznajmił, że jego ojciec jest o wiele lepszy od mojego. Zamiast rzucić się na niego z pięściami i rozpocząć bójkę, która mogłaby skończyć się nierozegraną albo wręcz porażką dla mnie, powiedziałem, że w takim razie idę do domu i niech sobie

sam jeździ po całej górce. Postąpiłem chytrze, bo wiedziałem, że już zbliża się pora kolacji, a w naszym domu nie wolno było w żadnych okolicznościach spóźnić się na posiłki. Za jednym zamachem nagiąłem się do obowiązującej w rodzinie reguły i psułem zabawę Percy'emu.

Kiedy wracałem do miasteczka, Percy siedł za mną wykrzykując nowe obelgi. Drwił z mojego chodu wrzeszcząc, że kiwam się jak stara krowa, że moja ciepła czapka jest okropnie śmieszna, że zad mam za wielki i podryguję nim, te i tym podobne szyderstwa, bo nie był zbyt pomysłowy. Nic mu nie odpowiadałem, wiedząc, że milczenie bardziej go złości niż najostrzejsza replika i że Percy z każdym nowym okrzykiem traci twarz.

Nasze miasteczko było maleńkie, człowiek od razu znajdował się w jego środku, brakowało tu peryferii, które innym miastom dodają godności. Biegłem ulicą, spojrzawszy ostentacyjnie na nowy gwiazdkowy zegarek za dolara (Percy miał też zegarek, ale tak cenny, że nie pozwolono mu go nosić na co dzień) i stwierdziłem, że jest już za trzy minuty szósta: w sam raz dosyć, żeby wpaść do domu, umyć ręce z głośnym pluskaniem, co zwykle podobało się rodzicom, i punktualnie o szóstej siedzieć przy stole z głową schyloną, jak należy, do modlitwy przed jedzeniem. Percy po prostu kipiał z wściekłości i myślałem z satysfakcją, że zatrąłem mu kolację, a może i cały wieczór. I wtedy nagle Percy zdobył przewagę.

Przedemną, w tym samym kierunku co ja, siedł pastor Amasa Dempster z żoną; trzymali się pod rękę i mąż nachylał się ku żonie charakterystycznym opiekuńczym gestem. Nie dziwił mnie ten widok, bo zawsze spacerowali o tej porze, po zmroku, gdy większość mieszkańców miasteczka siedziała przy kolacji. Pani Dempster spodziewała się dziecka, a w naszym miasteczku kobiety w tym stanie nie zwykły pokazywać się zuchwale na ulicach, w każdym razie nie robiły tego panie mające jakąś pozycję społeczną, a małżonka pastora baptystów oczywiście taką pozycję miała. Percy od czasu do czasu ciskał kule ze śniegu, ale za każdym razem przysiadałem w porę i unikałem pocisku, jak wszyscy chłopcy znałem się na takim bombardowaniu, no i znałem dobrze Percy'ego. Byłem pewny, że ostatnią kulą ciśnie mi wzdłownie w plecy, zanim wskoczę do sieni. Maszerowałem żwawo, nie biegłem, ale też nie

marudziłem, i właśnie wyprzedziłem Dempsterów, gdy Percy strzelił. Kula śnieżna uderzyła panią Dempster w tył głowy. Kobieta krzyknęła i uczepiona mężowskiego ramienia osunęła się na ziemię, pastor mógłby ją podtrzymać, gdyby nie to, że w tym momencie odwrócił się błyskawicznie, żeby zobaczyć, kto rzucił kulę.

Już miałem dać susa do wnętrza domu, gdy głos pani Dempster przykuł mnie do miejsca, nigdy przedtem nie słyszałem dorosłej osoby krzyczącej z bólu i wydało mi się to okropne. Padając wybuchnęła płaczem i nagle zobaczyłem ją leżącą na ulicy, mąż ukląkł przy niej, objął ją ramionami i przemawiał z czułością, która mnie zadziwiła i wprawiała w zakłopotanie. Nigdy też nie słyszałem, żeby małżonkowie — czy niemałżonkowie — używali bez wstydu słów miłości. Rozumiałem, że jestem świadkiem „sceny”, a rodzice zawsze pouczali mnie, że wszelkie sceny są poważnym naruszeniem przepisów przyzwoitości. Stałem gapiąc się na nich, aż wreszcie Dempster zauważył moją obecność.

— Dunny — powiedział. Nie przypuszczałem, że zna moje imię. — Pożycz mi saneczek, muszę odwieźć żonę do domu.

Czułem się winny i pełny skruchy, bo przecież kula była przeznaczona dla mnie, ale Dempsterom jakby to wcale nie przyszło do głowy. Pastor usadowił żonę na moich sankach bez trudu, tak była drobna i dziewczęca, a gdy ja ciągnąłem je, on szedł obok schylony niezgrabnie, podtrzymując biedaczkę, pocieszając łagodnie i tkliwie, bo wciąż płakała jak dziecko.

Dom ich stał niedaleko, tuż za najbliższym rogiem ulicy, ale gdy się tam dowlekliśmy, gdy pastor wniósł żonę do wnętrza, a ja, już niepotrzebny, znalazłem się sam pod ich drzwiami, było już kilka minut po szóstej. Spóźniłem się na kolację. Pędem zawróciłem do domu (zatrzymując się tylko sekundę na miejscu wypadku), umyłem ręce, wśliznąłem się na moje krzesło przy stole i patrząc prosto w surowe pytające oczy matki zacząłem się usprawiedliwiać. Z lekka ubarwiając tę historię podkreśliłem wyraźnie, choć nieprzesadnie, własną rolę dobrego Samarytanina. Pomiąłem wszelkie informacje, a nawet domysły, o pochodzeniu śnieżnej kuli i odetchnąłem z ulgą, gdy matka nie próbowała tego dociekać. Znacznie bardziej interesowała

się losem pani Dempster i natychmiast po kolacji i umyciu naczyń oznajmiła ojcu, że pójdzie do Dempsterów dowiedzieć się, czy nie jest im potrzebna jakaś pomoc.

Decyzja matki mogłaby się komuś wydać dziwna, bo oczywiście byliśmy presbiterianami, a Dempster był pastorem baptystów. Co prawda w naszym miasteczku żadne wrogie uczucia nie dzieliły ludzi różnych wyznań, ale na ogół przyjął się zwyczaj, że każdy troszczył się o swoich, a o innych jedynie w wyjątkowych okolicznościach, wymagających pomocy z zewnątrz. Moja matka wszakże cieszyła się skromną sławą jako specjalistka w sprawach ciąży i macierzyństwa. Doktor McCausland kiedyś chwając ją powiedział: „Pani Ramsay ma głowę na karku”. Zawsze była gotowa służyć tą głową każdej sąsiadce w potrzebie, a dla biednej głupiutkiej Mary Dempster żywiła szczególną choć nigdy nie manifestowaną tkliwość; ta dwudziestoletnia kobietka zupełnie się nie nadawała do roli małżonki duszpasterza.

Matka wyszła, ja zabrałem się do czytania gwiazdkowego rocznika gazetki dla chłopców, ojciec czytał jakąś książkę, która wydawała się trudna i miała stronice gęsto zadrukowane małą czcionką, a mój starszy brat Willie zatopił się w *Rejsie Kaszalota*; wszyscy trzej siedzieliśmy przy kominku opierając stopy o nikłową barierkę, aż do wpół do dziewiątej, kiedy to nas, chłopców, ojciec wyprawił do łóżek. Nigdy nie zasypiałem zbyt łatwo, więc leżałem jeszcze z otwartymi oczyma, gdy na dole zegar wybił wpół do dziesiątej i wkrótce potem usłyszałem, że wróciła matka.

W naszym domu rura od pieca biegnąca ze wspólnej bawialni, znajdującej się na parterze, do górnego hallu na piętrze, stanowiła doskonały przewodnik dźwięku, Willie spał jak suseł; wymknąłem się do hallu i przytknąłem ucho do rury — na tyle, na ile pozwalała mocno rozgrzana blacha — i usłyszałem, jak matka mówiła:

— Wróciłam tylko po parę potrzebnych rzeczy. Zostanę tam zapewne na całą noc. Daj mi wszystkie dziecięce kocyki, jakie znajdziesz w kufrze, a potem skocz do Ruckle'a i poproś, żeby wyszukał w składzie duży rulon waty, jak największy, i przynieś go do Dempsterów. Doktor powiedział, żeby wziąć dwa rulony, jeśli nie dostaniemy bardzo dużego.

— Czyż możliwe, żeby dziecko już dzisiaj się urodziło?

— Tak. O wiele za wcześniej. Idź spać, nie czekaj na mnie.

Ale oczywiście ojciec czekał; wróciła dopiero o czwartej nad ranem, opanowana i surowa, jak poznałem z brzmienia jej głosu, gdy rodzice rozmawiali, nim matka znów poszła do Dempsterów — dlaczego, nie wiedziałem. Ja także czuwałem tej nocy, czułem się winny i było mi dziwnie nieswojo.

Tak oto nad ranem dnia 28 grudnia 1908 roku przyszedł na świat Paul Dempster, którego sława zapewne doszła do Pańskich uszu, chociaż zdobył ją pod innym nazwiskiem.

2

Pisząc ten raport dla Pana, drogi Dyrektorze, umyślnie zacząłem od narodzin Paula Dempstera, ponieważ one stały się przyczyną wielu późniejszych zdarzeń, o których chcę opowiedzieć. Spyta Pan, dlaczego w ogóle piszę do Pana. Dlaczego po wielu latach zawodowej współpracy, w ciągu których niechętnie mówiłem o swoich osobistych sprawach, wydało mi się niezbędne spisanie dla Pana tej całej historii.

Otóż dlatego, że poczułem się do głębi obrażony idiotycznym artykułem, zamieszczonym w czerwcowym numerze „Kroniki Szkolnej” w roku 1969. Mniejsza już o prostacki ton (choć myślę, że kwartalnik słynnej kanadyjskiej uczelni mogłoby zdobyć się na wyższy poziom), ale obrzydzenie wzbudził we mnie portret mojej osoby przedstawiony publiczności, jakbym był typowym starym belfrem, człapiącym na chwiejnych nogach w zacisze emerytury z łezką w oku i kapką u nosa. Ale niech ten artykuł sam mówi za siebie, przytaczam go w całej jego głupocie.

POŻEGNANIE STAREGO NAUCZYCIELA

Ważnym wydarzeniem kończącym rok szkolny był w czerwcu bankiet wydany na cześć Dunstana Ramsaya („Raptusa”), odchodzącego na emeryturę po czterdziestu pięciu latach pracy w naszej szkole i po dwudziestu dwóch latach piastowania godności wicedyrektora i kierownika katedry historii. Na uroczystość stawilo się stu sześćdziesięciu ośmiu byłych wychowanków uczelni, wśród nich kilku członków parlamentu i dwóch ministrów, a nasza nieoceniona dietetyczka, pani Pierce, prze-

ścignęła samą siebie dostarczając na stół najwykwintniejsze przysmaki. Jubilat był w świetnej formie pomimo wieku i choroby serca, której uległ po stracie przyjaciela z lat dziecińczych, śp. Boya Stauntona, kawalera Krzyża Wojskowego za Wzorową Służbę i Orderu Imperium Brytyjskiego, znanego nam wszystkim absolwenta naszej szkoły i przewodniczącego jej rady zarządzającej. W pożegnalnym przemówieniu wspominał długie lata nauczycielskiej służby i przyjaźni z niezliczoną rzeszą uczniów, z których wielu zajmuje dziś wpływowe i zaszczytne stanowiska, a wygłosił swoją orację z energią, jakiej niejeden młodzieniec mógłby mu pozazdrościć.

Kariera Dunstana Ramsaya powinna być stać się wzorem i zarazem przestrożą dla młodych nauczycieli, ponieważ — jak wyznał — przybył do naszej szkoły w roku 1924, zamierzając pozostać tylko parę lat, lecz opuścił ją dopiero teraz, po czterdziestu pięciu latach. Przez cały ten czas nauczał historii, tak, jak sam ją rozumie, rzesze młodych chłopców, z których niejeden rozpoczął następnie głębsze naukowe studia w tej dziedzinie na uniwersytetach Kanady, Stanów Zjednoczonych i Zjednoczonego Królestwa. Na honorowych miejscach zasiedli czterej dziekani wydziałów historii uniwersytetów kanadyjskich, byli uczniowie jubilata, a jeden z nich, dr E. S. Warren z uniwersytetu w Toronto złożył piękny hołd staremu nauczycielowi, chwalać jego niewyczerpany entuzjazm i dowcipnie napomykając o jego „wycieczkach” na pograniczne tereny pomiędzy historią a mitologią.

Dyskretną aluzją do tych zamiłowań Dunstana Ramsaya był też prezent ofiarowany mu pod koniec zebrania, a mianowicie piękny magnetofon. Wyrażono przy tym nadzieję, że Jubilat zechce dzięki niemu utrwalić i przekazać garść wspomnień z wcześniejszej i na pewno mniej skomplikowanej epoki w dziejach naszej uczelni. Dołączono do tego podarku taśmę z nagraniem przemówieniem pożegnalnym Dyrektora i drugą z pieśnią, odśpiewaną podczas uroczystości przez chór szkolny, niewątpliwie miłą sercu Jubilata i niezwykle w tym przypadku stosowną: „Dla wszystkich świętych, co spoczywają po trudach żywota”. Tak więc nasza uczelnia żegna odchodzącego nauczyciela: Bywaj zdrow, niech Ci szczęście sprzyja! Służyłeś szkole dobrze, na miarę swojej wiedzy i wiedzy Twojej doby, Twojego pokolenia. Sługo dobry i wierny, zasłużyłeś na pochwałę.

Oto pełny tekst artykułu, który wyszedł spod pióra wyjątkowego osła Lorne'a Packera, magistra filozofii i doktoranta. Czy trzeba tłumaczyć szczegółowo powód mojego oburzenia? Czy nie zostałem odmalowany tak, jak Packer mnie sobie wyobraża, jako zgrzybiały poczciwy staruszek, który przez czterdzieści pięć lat dukał lekcje uzbrojony jedynie w naiwny podręcznik *Księga bitew dla młodzieży* i w dodatku lekko zbzikowany na punkcie mitów... Ale co ten dureń Packer wie o mitach?

Nie skarżę się, że nie wspomniano ani słowem o moim Krzyżu Wiktorii, bo dość o tym mówiło się w szkole przed laty, gdyż takie odznaczenie dodawało nauczycielowi aury. Myślę jednak, że należało powiedzieć coś o dziesięciu moich książkach, z których co najmniej jedna została przetłumaczona na sześć języków i rozeszła się w nakładzie siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy, a druga zyskuje coraz większe znaczenie w dziedzinie mitycznej historii — celu niewczesnych dowcipów pana Packera. Pominięto milczeniem, że jestem jedynym protestantem, którego prace od trzydziestu sześciu lat zamieszczają *Analecta Bollandiana*; bądź co bądź sam Hippolyte Delahaye wysoko ocenił moje eseje i dał temu wyraz czarno na białym. Ale najbardziej zirytował mnie protekcyjny ton tej pożegnalnej laurki, jak gdybym nigdy nie żył poza klasą szkolną, jak gdybym nigdy nie stał się prawdziwym mężczyzną, jak gdybym nigdy nie zaznał uciech i smutków, miłości i nienawiści, słowem, jak gdybym zawsze był tylko tym, co we mnie zdolny jest dostrzec ten osioł Packer, który znał mnie bardzo zdawkowo przez cztery lata. Packer popycha mnie w otchłań zapomnienia i obrzuca strzępkami biblijnych cytatów, których grubiańskiej impertynencji w takim zastosowaniu oczywiście nie pojmuje ten nieuk nic nie rozumiejący ze spraw religijnych. Packer i jego naukowa koncepcja historii! Wielki Boże! Taki Packer nie wie, nie jest zdolny wyobrazić sobie, że los i mój charakter wyznaczyły mi doniosłą, chociaż niechlubną rolę „piątej osoby”. Nie zrozumiałby, czym jest ta piąta osoba, nawet gdyby spotkał wykonawcę tej roli w płaskim dramacie własnego życia.

Odzyskując siły w tym domu wśród gór — w domu, który sam zawiera wiele prawd ukrytych za zasłoną złudzeń — zapragnąłem opowiedzieć swoją historię Panu, Dyrektorze, ponieważ Pan przewodzi temu dziwnemu światu szkolnemu, w którym, jak się okazuje, byłem tak nic nie znaczącą figurą. Ale jest to niełatwe zadanie.

Zastanówmy się nad tym, co dotychczas napisałem. Czy udało mi się choćby częściowo odmalować niezwykłość owej nocy, gdy urodził się Paul Dempster? Sądzę, że sylwetkę Percy'ego Boyda Stauntona naszkicowałem wiernie, ale jak w tym epizodzie ja sam wyglądam? Nieraz drwiłem z autobiografii i wspomnień, w których narrator występuje na

pierwszych kartkach jako uroczy, nad wiek mądry malec, wiedzący i rozumiejący mnóstwo rzeczy, i opowiada o tym wszystkim czytelnikowi z fałszywą naiwnością, jak gdyby mówił: „Byłem cudownym dzieckiem, ale przy tym jakże typowym chłopakiem!” Czyżby pisarze nie mieli pojęcia ani wspomnień o tym, jaki naprawdę jest mały chłopiec?

Co do mnie, pamiętam, a moje wspomnienia potwierdziła czterdziestopięcioletnia praca nauczycielska wśród chłopców. Chłopiec to mężczyzna w miniaturze, a chociaż czasem może przejawiać wybitne zalety i pewne cechy czarujące dlatego, że dziecinne, jest jednocześnie chytrym, samolubnym, zdradzieckim Judaszem, oszustem i łotrzykiem, słowem — człowiekiem. Och, te autobiografie, w których pisarz pozuje na Dawida Copperfielda czy też na Hucka Finna i mizdrzy się do czytelników! Fałszywe, fałszywe jak przysięgi ladacznicy.

Czy będę umiał napisać prawdę o swoich latach chłopięcych? A może obrzydliwa miłość własna, która tak chętnie lgnie do obrazu naszej młodości, wkradnie się do moich wspomnień i zabarwi je fałszem? Mimo wszystko spróbuję. Na początek chcę odmalować miasteczko, w którym Percy Boyd Staunton, Paul Dempster i ja przyszliśmy na świat.

3

Film i telewizja w ostatnich latach tak eksploatują tematykę małych miasteczek, że zapewne wzdrygnie się Pan, Dyrektorze, na myśl, że znów będzie o tym mowa. Postaram się zrobić to jak najwięcej, bo nie przez gromadzenie szczegółów spodziewam się stworzyć obraz mojego rodzinnego miasta, lecz przez podkreślenie tego, co wydaje mi się istotne dla tej historii.

Niegdyś była moda na przedstawianie małych miast jako siedliska śmiesznych, sympatycznych prostaczków, nieskażonych wielkomięjskim blichтром, lecz niekiedy na chłopski sposób przebiegłych. Później rozpowszechnił się zwyczaj ukazywania małych miasteczek jako gniazda wszelkiej moralnej zgnilizny, a zwłaszcza zbroczeń seksualnych, jakich chyba sam Krafft-Ebing nie mógłby bez zdumienia

odkryć w Wiedniu; kazirodztwo, sodomia, zezwierzęcenie, sadyzm i masochizm plenią się rzekomo za koronkowymi firankami i na stryszkach z sianem, podczas gdy na ulicach paraduje najsurowsza bogobojuść. Nasze miasteczko nigdy takie w moich oczach nie było. Obserwator mógł tam znaleźć o wiele więcej różnorodności, niż się wydaje mieszkańcom większych i bardziej wyrafinowanych skupisk ludzkich, a jeśli były grzechy, głupota i brutalność, to nie brakowało również cnót, godności, nawet wielko-duszności.

Miasteczko nazywało się Deptford, leżało nad kanadyjską Tamizą, w odległości piętnastu mil od Pittstown, które było stolicą naszego okręgu i najbliższym większym miastem. Według urzędowego spisu liczyło około pięciuset mieszkańców, a razem z okolicznymi farmami pewnie dociągało do ośmiuset dusz. Mieliśmy pięć kościołów: anglikański — ubogi, lecz cieszący się z dość zagadkowych powodów prestiżem społecznym; prezbiteriański — wypłacalny i uważany, głównie przez własnych wyznawców, za wysoce intelektualny; kościół metodystów — niewypłacalny i żarliwy; baptystów — niewypłacalny i zbawiony; rzymskokatolicki — dla większości miejscowych obywateli tajemniczy, ale niewątpliwie wypłacalny, ponieważ bardzo często, i naszym zdaniem bez potrzeby, odnawiano budynek. W miasteczku praktykował jeden adwokat, który był równocześnie sędzią, i jeden bankier; bank był prywatny, bo w tamtych czasach istniały jeszcze takie instytucje. Lekarzy mieliśmy dwóch. Doktor McCausland uchodził za mądrego lekarza, a doktor Staunton, ojciec Percy'ego, odznaczał się nie mniejszą mądrością, lecz głównie w dziedzinie skupywania nieruchomości; udzielał kredytów pod zastaw hipoteczny i był właścicielem kilku farm. Mieliśmy także dentystę, nieszczęśnika wyzutego z zawodowej zręczności, głodzonego przez żonę; nigdy w życiu nie widziałem tak brudnego gabinetu dentystycznego jak w naszym mieście. Co do weterynarza, to wprawdzie pił, ale w potrzebie stawał na wysokości zadania. Mieliśmy też fabrykę konserw, pracującą hałaśliwie i gorączkowo, chociaż nie było wiele do konserwowania; poza tym w Deptford był tartak i parę sklepów.

Najznakomitsza w naszym miasteczku rodzina, Athelstanowie, którzy dorobili się na handlu drzewem budulco-

wym w początkach XIX wieku, posiadała jedyny w Deptford dwupiętrowy dom, stojący samotnie przy drodze do cementarza. Domy nasze były przeważnie drewniane, ale niektóre stały na palach, bo Tamiza czasem podstępnie wylewała. Jedyna spadkobierczyni rodu Athelstanów mieszkała naprzeciwko nas, biedna obłąkana starucha, która od czasu do czasu uciekała swojej pielęgniarce i zarazem gospodyni, wybiegała na środek drogi, padała na ziemię, wzbijając chmurę kurzu niby kwoka tarzająca się w piasku, i krzyczała wniebogłoso: „Ratujcie mnie, chrześcijanie!” Gospodyni musiała zwykle wołać chociaż jedną osobę do pomocy, żeby ujarzmić buntownicę. Często pomagała w tym moja matka, ale ja nie mogłem w niczym usłużyć, bo staruszka nie lubiła mnie; jak się zdaje, przypominałem jej jakiegoś zdradzieckiego przyjaciela z lat młodości. Mnie jednak interesował jej obłąd, bardzo chętnie porozmawiałbym z nią, zawsze więc spieszyłem z odsieczą, gdy biedaczka wyrывała się na wolność.

Nasza rodzina zajmowała pozycję na skromną miarę uprzywilejowaną, bo ojciec był właścicielem i redaktorem tygodniowej miejscowej gazety „Sztandaru Deptfordu”. To niezbyt dochodowe przedsięwzięcie, połączone z drukarnią, która przyjmowała zlecone roboty, dostarczało środków na utrzymanie, tak że nigdy nie cierpieliśmy niedostatku. Ojciec, jak się później dowiedziałem, nie dociągał do pięciu tysięcy dolarów rocznie w okresie, gdy prowadził swoje przedsiębiorstwo. Pełnił funkcje nie tylko kierownika i redaktora, lecz także głównego mechanika i drukarza, z dwójgiem pomocników: melancholijnym młodym Saulem, którego przezywano „Skoczkiem”, oraz dziewczyną, Nell Bullock. Była to uczciwa gazeta, szanowana i nienawidzona, jak powinna być miejscowa prasa; wszyscy uważnie czytali redakcyjny artykuł, który ojciec co tydzień składał wprost na linotypie. Był więc w pewnym sensie literackim przewodnikiem małej gminy i wraz z sędzią zasiadał w zarządzie miejscowej biblioteki.

Można zatem uznać nasz dom za typowy dla wyższej sfery miasteczka i mieliśmy o sobie jak najlepsze mniemanie. Źródłem tej dobrej opinii było częściowo nasze szkockie pochodzenie. Ojciec przybył do Ameryki z Dumfries jako młody chłopak, ale rodzina matki, osiadła już od trzech pokoleń w Kanadzie, pozostała na wskroś szkocka, tak samo

jak Szkotami byli ich przodkowie żyjący w Inverness. Przez dwadzieścia pięć pierwszych lat mojego życia wierzyłem niezachwianie, że Szkoci to sól ziemi, bo chociaż nikt w naszym domu nigdy tego nie powiedział, była to jedna z powszechnie uznanych prawd nie wymagających udowodnienia. Znaczna większość mieszkańców Deptford przybyła do zachodniego Ontario z południowej części Anglii, toteż wcale nas nie dziwiło, że właśnie do nas, Ramsayów, zwracali się w poszukiwaniu zdrowego rozsądku, przeczności, słusznych poglądów i w ogóle wszelkich zalet.

Na przykład czystości. Matka była czysta, ach, jakże pedantycznie! Nasza ubikacja mogła być wzorem dla wszystkich urządzeń sanitarnych w mieście. W Deptford wodę czerpało się ze studni i ogrzewało następnie w zbiorniku nazywanym „cysterną” obok pieca kuchennego. Każdy dom miał swój wychodek, a były to niekiedy prymitywne budki, a niekiedy dość ozdobne budyneczki, wśród których nasz zaliczał się do najporządniejszych. Później, gdy wychodki stały się rzadkością, wiele na ich temat krążyło żartów, ale wtedy nie dawały powodów do śmiechu i wymagały wielkich starań, by nie zmienić się w ohydne miejsca.

Prócz tego przybytku higieny mieliśmy w domu „chemiczny klozet” na użytek chorych, tak jednak zawodny i cuchnący, że mógł tylko pogorszyć cierpienia pacjenta, toteż korzystaliśmy z niego tylko w wyjątkowych okolicznościach.

Oto wszystkie informacje o naszym miasteczku, jakie wydają mi się niezbędne. W miarę, jak moja opowieść będzie się rozwijała, dorzucę szczegóły, które okażą się potrzebne. Byliśmy ludźmi poważnymi, nie odczuwaliśmy żadnych braków w naszym środowisku i nie wydawało nam się ono pod żadnym względem gorsze od wielkich miast. Spoglądaliśmy jednak z uśmiechem politowania na Bowles Corners, osadę oddaloną od Deptford o cztery mile i liczącą zaledwie stu pięćdziesięciu mieszkańców. Sądziliśmy, że człowiek żyjący w Bowles Corners skazany jest bez ratunku na wieczne prostactwo.

Pierwsze pół roku życia Paula Dempstera było chyba dla mojej matki okresem bardzo interesującym i przyjemnym, a dla mnie bez wątpienia najnieszczęśliwszym. Niemowlęta przedwcześnie urodzone miały w 1908 roku znacznie mniejszą szansę utrzymania się przy życiu niż dzisiaj, ale moja matka, mimo dużego doświadczenia w pielęgnacji noworodków, po raz pierwszy trafiła na tak trudny okaz jak Paul i ratowała go nie tylko z uporem, lecz także bardzo pomysłowo. Żeby uniknąć nieporozumień, muszę podkreślić, że nie była położną, nie miała żadnego w tym zakresie przeszkolenia; po prostu jako osoba rozsądna i dobrego serca lubiła tę szczególną władzę, jaką daje rola pielęgniarki, i pociągała ją tajemnica otaczająca jeszcze podówczas te tak wyłącznie kobiece funkcje. Spędzała większą część dnia, a często i noce, u Dempsterów w ciągu tych sześciu miesięcy; inne sąsiadki pomagały w miarę możliwości, ale moją matkę opinia miasteczka uznała za najwyższą kapłankę, a zacny doktor McCausland mówił, że bez niej nigdy by nie zdołał wyciągnąć małego Paula na bezpieczny brzeg tego świata.

Ze składanych ojcu wieczornych raportów dowiedziałem się wszystkich ginekologicznych i położniczych szczegółów równie dokładnie jak on, z tą tylko różnicą, że ojciec słuchał ich siedząc wygodnie przy piecu w bawialni naprzeciw matki, a ja stałem boso, w nocnej koszuli obok rury na podeście pierwszego piętra, walcząc z wyrzutami sumienia, często także z obrzydzeniem, jaki we mnie wzbudzały te informacje, nowe i straszne dla moich uszu.

Paul urodził się mniej więcej o osiemdziesiąt dni za wcześnie, jak obliczał doktor McCausland. Pani Dempster, zniecka uderzona z tyłu w głowę, doznała szoku, a potem nastąpiło kilka ataków histerycznego płaczu, który mąż niezgrabnie próbował uspokoić, gdy nadeszła moja matka. Wkrótce wystąpiły zupełnie jednoznaczne objawy zbliżającego się porodu; posłano po doktora McCauslanda, ale był właśnie na wizycie u innego pacjenta i do domu pastora przyjechał zaledwie na kwadrans przed przyjściem na świat Paula. Chociaż pani Dempster rodziła po raz pierwszy, wszystko poszło łatwo, ponieważ dziecko było małeńkie, ale wyglądało tak okropnie, że matka i lekarz oboje

przerazili się na jego widok; oboje jednak nie zdradzili strachu i przyznali się do tego dopiero w kilka tygodni później. Jest znamienne dla tamtych lat i dla tego środowiska, że nikt nie pomyślał o zważeniu noworodka, za to pastor niezwłocznie ochrzcił go po krótkiej utarczce z doktorem McCauslandem. Amasa Dempster dokonał tego aktu, niezgodnego z przepisami wyznania baptystów, pół-przytomny i posłuszny zapewne bodźcom silniejszym od wszystkiego, czego nauczyli go w seminarium. Matka opowiedziała, że pastor chciał zanurzyć dziecko w wodzie, ale doktor sprzeciwił się temu stanowczo, więc zrozpaczony ojciec musiał poprzestać na pokropieniu. W czasie tego obrzędu moja matka trzymała noworodka — któremu dano na imię Paul, ponieważ żadne inne na razie nie przyszło pastorowi do głowy — jak najbliżej pieca i owiniętego w ręczniki, które ogrzała, jak mogła najlepiej. Paul prawdopodobnie ważył około trzech funtów, bo tyle właśnie wskazała waga w dziesięć tygodni później, a sądząc na oko prawie nic mu przez ten okres nie przybyło.

Matka nie należała do osób lubujących się w obrzydliwościach i makabrach, ale gdy opisywała ojcu brzydotę Paula, zdawała się wręcz zafascynowana. Paul był oczywiście czerwony, jak wszystkie noworodki, ale w dodatku cały w zmarszczkach, jak maleńki starzec, a głowę, plecy i znaczną część twarzy miał zarośnięte długimi, cienkimi czarnymi włosami. Najbardziej rażące były dla matki proporcje jego ciała, bo kończyny miał bardzo małe w stosunku do głowy i brzucha. Na palcach u rąk i nóg brakowało paznokci. Płacz brzmiał jak miauczenie chorego kociaka. Ale był żywy i należało zająć się nim jak najprędzej.

Doktor McCausland nigdy jeszcze nie miał do czynienia z tak beznadziejnym wcześniakiem, czytał jednak o podobnych przypadkach; kazał mojej matce trzymać niemowlę tak blisko ognia, jak się dało bez narażenia go na oparzenie, a nieszczęsnego ojca zapędził do budowy gniazda, możliwie najpodobniejszego do miejsca, w którym dziecko dotychczas przebywało. Urządzenie to ulegało różnym poprawkom i zmianom, w końcu wszakże było kombinacją najdelikatniejszej waty i butelek z gorącą wodą — początkowo wspartych jeszcze kilku rozgrzanyymi cegłami; nakryto gniazdo namiotem, w którego otwór skie-

rowano parę bijącą z kipiącego kotła. Trzeba było nieustannie czuwać, aby woda w kotle nie wygotowała się do dna i aby noworodek się nie ugotował. Lekarz nie wiedział, jak zorganizować żywienie dziecka; wreszcie wspólnie z moją matką zmajstrował coś w rodzaju smoczka ze szklanej pompki do napełniania wiecznych piór i strzępka miękkiej waty; za pomocą tego instrumentu pompowano rozrzedzone i osłodzone mleko w usta Paula, który natychmiast bezsilnie wszystko zwracał. Dopiero po dwóch dniach zatrzymał jakąś część podawanego mu mleka, ale resztę zwymiotował nieco już energiczniej, toteż moja matka na tym etapie orzekła, że chłopczyk ma w sobie bojowego ducha, i postanowiła wspierać go w tej walce.

Gdy dziecko przyszło na świat, lekarz i moja matka natychmiast nim się zajęli, zostawiając panią Dempster na opiece męża, który służył biedaczce tym, co wydawało mu się najlepsze, a mianowicie ukląkł u jej wezgiłowia i modlił się głośno. Nieszczęsny Amasa Dempster wszystko w życiu traktował z wielką powagą, a środowisko, z którego pochodził, oraz wykształcenie, jakie otrzymał, nie nauczyły go taktu; błagał tedy Boga — skoro już musi powołać duszę Mary Dempster przed swoje oblicze — aby dał jej śmierć łagodną i miłosierną. Przypominał Bogu, że mały Paul został ochrzczony, a więc niewinna i zbawiona jego dusza może bezpiecznie towarzyszyć matce w drodze do nieba. Rozwijał te tematy z całym krasomówstwem, na jakie mógł się zdobyć, aż w końcu doktor McCausland uznał za stosowne przywołać go do porządku w najsurowszych słowach, jakich może użyć powściągliwy prezbiterianin, strofujący wylewnego w swych uczuciach baptystę. Moja matka gorąco pochwaliła wystąpienie lekarza, z istic szkocką satysfakcją słuchała bowiem, gdy karcono i oblewano zimną wodą człowieka, który na to zasługiwał.

— Nie rozumiem, jak można zachowywać się w ten sposób przy łóżku młodej kobiety walczącej ze śmiercią! — powiedziała do ojca, a ja oczyma wyobraźni widziałem gest oburzenia towarzyszący tym słowom.

Dziś wcale nie jestem pewny, czy Mary Dempster rzeczywiście walczyła wówczas ze śmiercią; dalszy bieg wydarzeń dowiódł, że była odporniejsza, niż nam się z pozorów wydawało. Ale w tamtych latach powszechnie wierzone, że kobieta rodząc dziecko zawsze ociera się z bliska o śmierć,

a chociaż wiadomo dzisiaj, że tak nie jest, mogło to być niegdyś prawdą, zważywszy ówczesny stan wiedzy lekarskiej. Nieborak Dempster z pewnością był szczerze przekonany, że jego żona umiera. Przez cały czas porodu stał przy jej łóżku, widział odrażające niedonoszone dziecko, a lekarz i dobra sąsiadka poganiali go i fukali na niego. Wprawdzie dochrapał się godności pastora, lecz w głębi duszy pozostał wystraszonego wiejskim chłopakiem, i trudno mieć mu za złe, że w tych okolicznościach stracił głowę. Należał do kategorii ludzi, którzy zdają się stworzeni po to, aby znosić ustawiczne ciosy i być przez całe życie odtrącani w cień, ale gdy klęczał przy łóżku żony, czuł się niewątpliwie aktorem dramatu równie ważnym jak inni. Na tym polega najgorsze okrucieństwo teatru życia, że każdy z nas uważa się za gwiazdę, i mało kto rozumie, że jest w rzeczywistości tylko postacią epizodyczną, a może nawet zwykłym statystą.

Można sobie wyobrazić, jaki zamęt panował w naszym domowym życiu w ciągu kilku następnych miesięcy. Ojciec nigdy się na to nie uskarżał, bo był bardzo do mojej matki przywiązany, uważał ją za niezwykłą kobietę i nie próbował nawet przeszkadzać jej w przejawianiu tej niezwykłości. Nieraz jedliśmy byle jaki naprędce upichcony obiad, byle tylko mały Paul mógł w porę dostać swoją porcję mleka, wstrzykiwanego pompką od wiecznego pióra, a w dniu, gdy nareszcie połknął kilka kropel, ojciec cieszył się chyba nie mniej niż matka.

Płynęły tygodnie, pomarszczona skóra Paula stała się mniej przezroczysta i zaczerwieniona, szeroko rozstawione oczy otworzyły się i poruszały, a chociaż nic jeszcze nie widziały, nie były ślepe. Paul zaczął też z lekka wierzcąc nóżkami jak normalne niemowlę. Czy będzie kiedykolwiek silny? Doktor McCausland nie umiał na to pytanie odpowiedzieć: był uosobieniem szkockiej ostrożności. Ale moja matka, która miała duszę lwicy, postanowiła, że temu dziecku należy się szansa życia.

Ja w ciągu tych kilku tygodni cierpiałem torturę moralną i nawet dziś po przeszło sześćdziesięciu latach pamiętam, że męczyłem się okrutnie. Przeżyłem potem немало ciężkich chwil, znosząc je z pełną wrażliwością, jaką jest obdarzony dojrzały człowiek, więc nie zamierzam rozczulać się sentymentalnie i głupio nad cierpieniem dziecka.

Ale po dziś dzień wzdragam się wspominać niektóre wieczory, gdy bałem się zasnąć i do siódmych potów modliłem się, aby Bóg wybaczył mi moją niesłychaną zbrodnię.

Byłem niezachwianie pewny, że Paul Dempster z mojej winy urodził się taki maleńki i słaby, sprawiając tyle kłopotów całemu otoczeniu. Gdybym nie postąpił tak chytrze, tak podstępnie, tak przebiegle, wyskakując przed Dempsterów w momencie, gdy Percy Boyd Staunton rzucił śnieżną kulę, nie uderzyłaby ona w głowę żony pastora. Czy nie przychodziło mi na myśl, że zawinił Percy? Owszem. Ale tu zaczyna się psychologiczny szkopuł. Kiedy pierwszy raz po tamtym fatalnym popołudniu spotkałem Percy'ego, przyglądaliśmy się sobie spode łba, jak zwykle chłopcy po kłótni, ale Percy wyraźnie zdradzał chęć nawiązania rozmowy. Nie od razu wspomniałem o urodzeniu się Paula, ale z wolna przeszedłem na ten temat. Ku mojemu zdumieniu Percy powiedział:

— A tak, ojciec mówi, że McCausland ma pełne ręce roboty koło tego dzieciaka.

— Urodził się przedwcześnie — odparłem poddając Percy'ego próbie.

— Czyżby? — zapytał patrząc mi prosto w oczy.

— Dobrze wiesz, dlaczego.

— Nie, nie wiem.

— Wiesz. To ty strzeliłeś tą kulą.

— Strzeliłem do ciebie — odparł. — I z pewnością nabiliśmy ci porządne guza.

Po bezczelności tonu poznałem nieomylnie, że łże.

— Naprawdę tak myślisz? — spytałem.

— Rozumie się, że tak myślę. I tobie radzę myśleć to samo, jeśli nie chcesz mieć nieprzyjemności.

Spojrzeliliśmy sobie w oczy i zobaczyłem, że Percy jest w strachu; wiedziałem też, że postanowił bronić się, kłamać, że jest gotów na wszystko, byle nie przyznać się, chociaż obaj znamy prawdę. Ale nie miałem pojęcia, jak się w tej sytuacji zachować.

Zostałem więc sam na sam z moją winą i dręczyła mnie okrutnie. Jako dziecko prezbiteriańskiej rodziny dużo się nasłuchiwałem o wiecznym potępieniu. Ojciec wśród swoich książek miał *Pieśń* Dantego z ilustracjami Gustawa Doré; takie dzieła można było wówczas często spotkać w mało-

miasteczkowych księgozbiorach i zapewne nikt z nas nie zdawał sobie sprawy z tego, że Dante był katolikiem. Dawniej oglądałem te obrazki z rozkosznym dreszczykiem. Teraz myślałem, że przedstawiają one realistycznie moje położenie i przyszłość, która czeka po śmierci takich chłopaków jak ja. Dzisiejszym ludziom nic to nie mówi, ale dla mnie zawierała się w tym jak najbardziej prawdziwa rzeczywistość. Gryzłem się i zmizerniałem tak, że matka, chociaż zaprzątnięta kłopotami Dempsterów, nie omieszkła spostrzec mojej bladoci i karmiła mnie regularnie tranem. Właściwie nic mi fizycznie nie dolegało, cierpiałem jednak udrękę psychiczną w związku z moim ówczesnym wiekiem. Zacząłem rok jedenasty i wcześniej się rozwinąłem, tak że już wtedy zachodziły w moim organizmie zmiany charakterystyczne dla okresu dojrzewania.

Jakże zdrowe psychicznie wydają mi się dzisiejsze dzieci! A może hipokryzja naszej doby każe nam tak sądzić? Nie wiem. Z pewnością jednak w latach mojego dzieciństwa powszechny stosunek do spraw płci wystarczał, żeby zmienić okres dojrzewania w piekło dla chłopca, który tak jak ja z głęboką powagą i nieufnością odnosił się do wszystkiego, co uprzyjemnia życie. Musiałem znosić nie tylko plugawe szeptane domysły rówieśników i mękę podejrzeń, że moi rodzice mają coś wspólnego z tym zwierzęcym kłębowskiem seksu, którego wyolbrzymiona wizja zaprzętała moją wyobraźnię, ale na dobitkę czułem się bezpośrednim sprawcą faktu tak brutalnie seksualnego jak narodziny dziecka. I to jakiego dziecka! Ohydnej upośledzonej istoty, karykatury człowieka! W gorączce i zamięcie umysłu wierzyłem, że jestem w większym stopniu odpowiedzialny za przyjście na świat Paula Dempstera niż jego rodzice i że spotka mnie jakiś okropny los, jeśli ta prawda wyjdzie na jaw. Częścią kary będzie niewątpliwie odrzucenie przez matkę. Nie mogłem znieść tej myśli, ale wracałem do niej ustawicznie.

Nie zagnałem ulgi, gdy w cztery miesiące po narodzinach Paula rura od pieca — teraz chłodniejsza, bo zaczynała się już wiosna — przyniosła mi takie oto nowiny:

— Myślę, że mały Paul przeżyje. Doktor mówi, że będzie się rozwijał powoli, ale normalnie.

— Cieszysz się z tego, prawda? To głównie twoja zasługa.

— Och, nie! Robiłam po prostu, co mogłam. Ale doktor

mówi, że ktoś powinien czuwać nad tym dzieckiem. Jego matka oczywiście nie jest do tego zdolna.

— Nie wraca do zdrowia?

— Nie widać poprawy. Biedactwo, to był dla niej okropny szok. A ten Amasa Dempster nie chce zrozumieć, że jest czas odpowiedni, aby rozprawić o Bogu, ale są też chwile, kiedy trzeba Panu Bogu zaufać i trzymać język za zębami. Na szczęście co najmniej połowa jego gadaniny nie dociera, jak się zdaje, do Mary.

— Straciła rozum?

— Jest spokojna, życzliwa i słodka jak zawsze, nieboraczka, ale jak gdyby nieobecna, półprzytomna. Ta śnieżna kula wyrządziła jej straszną krzywdę. Jak myślisz, kto ją rzucił?

— Dempster nikogo nie zobaczył. Pewno nigdy się nie dowiemy.

— Nieraz przychodziło mi na myśl, że Dunstable wie o tym więcej, niż chce się przyznać.

— Och nie, on przecież dobrze rozumie, jaka to poważna sprawa. Gdyby coś wiedział, już by do tej pory na pewno powiedział.

— Ktokolwiek to zrobił, diabeł kierował jego ręką.

Tak. I diabeł odcisnął swoje piętno. Odebrał rozum pani Dempster. Wpełznąłem z powrotem do łóżka, zastanawiając się, czy dożyję do rana, i jednocześnie rozpaczliwie bojąc się śmierci.

5

Gdybyż groziła mi tylko śmierć! Piekło i męka, ale przynajmniej jasna sytuacja. Prawdziwą pokutą było życie z tajonym w sercu poczuciem winy. W miarę jak płynął czas, coraz mniej byłem zdolny oskarżać Percy'ego Boyda Stauntona, że rzucił tę śnieżną kulę, która z pani Dempster zrobiła kretynkę. Percy tak bezczelnie odrzucał wszelką odpowiedzialność, że swoją postawą jak gdyby pogłębiał jeszcze moją winę; miałem teraz na sumieniu nie tylko własny uczynek, lecz także zatajenie cudzego. Z czasem wszakże ogłupienie pani Dempster okazało się mniej okropne, niż się początkowo lękałem.

Moja matka ze swoim niezawodnym zdrowym rozsąd-

kiem utrafiła w sedno, gdy powiedziała, że Mary Dempster właściwie wcale się nie zmieniła, lecz cechy, którymi przedtem już się odznaczała, po kataklizmie jeszcze bardziej się w niej spotęgowały. Gdy wiosną tego roku, w którym po świętach Bożego Narodzenia Paul przedwcześnie zjawił się na świecie, Amasa Dempster przywiózł do naszego miasteczka swoją młodziutką żonę, miejscowe kobiety od razu orzekły, że tej istoty w żaden sposób nie da się przerobić na małżonkę duszpasterza.

Jak już wspomniałem, w naszym miasteczku można było spotkać wiele z tego, co się w ogóle na świecie widuje, ale nie wszystko: między innymi rzucał się w oczy brak zmysłu estetycznego; zbyt silne było w nas wszystkich dziedzictwo twardych pionierów, abyśmy mogli pragnąć takich rzeczy albo też pochwalać je, toteż mieliśmy zelżywe nazwy dla wartości, cenionych zapewne wysoko przez bardziej wyrafinowane społeczeństwa. Pani Dempster nie była ładna — bo urodę umieliśmy odróżnić i z pewnymi zastrzeżeniami przyznawaliśmy, że jest w kobiecie cechą miłą, chociaż bezużyteczną — ale twarz jej odznaczała się słodkim wyrazem i niezwykłą delikatnością kolorytu. Moja matka, która miała ostre rysy i nie pozwalała swoim włosom na żadne głupie fanaberie, mawiała, że twarz pani Dempster wygląda jak miseczka z mlekiem. Mary Dempster była drobna i szczupła, nawet suknie stosowne dla żony pastora nie mogły zamaskować jej dziewczęcej figury i lekkości ruchów. W okresie ciąży po prostu rozkwitła, a to wcale nie licowało z powagą jej stanu; ciężarnej kobiecie nie wypada tak się wciąż uśmiechać, no i mogłaby przynajmniej postarać się, żeby kędzierzawe kosmyki włosów nie wymykały się tak często z przywoicie upiętego ciasnego koka. Miła mała kobietka, ale czy jej miękki głos zabrzmi kiedykolwiek autorytatywnie na burzliwym zebraniu Dobroczynnego Koła Pań? I dlaczego śmieje się tak serdecznie, gdy nikt poza nią nie widzi powodu do śmiechu?

Amasa Dempster, który zawsze uchodził za człowieka zrównoważonego, w stosunku do żony okazywał słabość niegodną duszpasterza. Wodził za nią oczyma i widywano go, jak ciągnął wiadrami potrzebną jej do prania wodę ze studni przed domem, a to przecież uważano zgodnie za obowiązek kobiety aż do ostatnich miesięcy ciąży. Pat-

rzał na nią takim wzrokiem, że budziło to podejrzenie, czy nie cierpi na rozmięczenie mózgu. Można by myśleć, że są parą narzeczonych, a nie pracownikami winnicy Pańskiej, którzy powinni zasłużyć na tych pięćset pięćdziesiąt dolarów rocznie, wyznaczonych przez gminę baptystów na pensję dla pastora; poza tym, że dano mu do użytku dom i bardzo skąpy przydział opału, korzystał z dziesięcioprocentowego rabatu na wszystkim, co kupował w sklepach należących do baptystów i w paru innych, których właściciele, jak się to mówi, „szanowali stan duchowny”. (Oczywiście wymagano, aby dokładnie obliczoną dziesięćcinę ze swoich dochodów oddawał na potrzeby kościoła, świecąc pod tym względem przykładem wszystkim wiernym.) Wyrażano powszechnie nadzieję, że pastor Dempster nie pozwoli żonie wodzić się za nos.

W naszym miasteczku szorstkie słowa nie zawsze chodziły w parze z szorstkim postępowaniem. Mojej matce z pewnością nikt nie mógłby zarzucić zbyt wielkiej pobłażliwości dla własnej rodziny i dla świata w ogóle, a jednak nie szczędziła trudu, żeby pomóc pani Dempster; nie znały to, by próbowała z nią się zaprzyjaźnić, bo przyjaźń między osobami o tak bardzo różnych charakterach nie byłaby możliwa, lecz starała się młodą inężatkę wtajemniczyć w różne gospodarskie sekrety; nie wiem, na czym te wszystkie kobiece sekrety polegają, ale należały do nich smakołyki, które matka przyrządzała i odwiedzając panią Dempster zostawiała niby przypadkiem w jej domu, a także rozmaite użyteczne przybory, jak ramy do rozciągania dywanów czy napinania koronkowych firanek; nie tylko pożyczowała sąsiadce tych rzeczy, ale udzielała jej lekcji poglądowych, jak się nimi posługiwać i jak, na przykład, czyścić szyby do połysku za pomocą gazety.

Dlaczego matka pani Dempster nie przygotowała córki do tych obowiązków stanu małżeńskiego? Okazało się, że panią Dempster wychowywała ciotka, osoba zamożna, trzymająca służącą. Jakże teraz z tak miękkiego metalu ukształtować wzorową małżonkę pastora? Kiedy ojciec gderał, że matka takie góry jedzenia nosi do Dempsterów, zirytowała się i spytała, czy ma obojętnie patrzeć, jak sąsiedzi przymierają głodem, ponieważ to młode stworzenie jeszcze nie nauczyło się gospodarować. Młode stworzenie było do tej nauki bardzo niepojętne, ale i ten zarzut matka

odpierała argumentem, że nie można żądać wielkiej bystrości od kobiety w poważnym stanie.

Teraz stało się jasne, że Mary Dempster nigdy nie będzie dobrą gospodynią. Po urodzeniu Paula bardzo powoli wracała do zdrowia. Czekając, aż żona odzyska siły, mąż zajmował się domem, wspomagany przez sąsiadki oraz pewną wdowę-baptystkę, której za dorywcze usługi płacił grosze, z niemałym trudem wyciskając z budżetu nawet te drobne sumy. Nadeszła wiosna i pani Dempster była już właściwie zupełnie zdrowa, lecz nie zdradzała ochoty do pracy.

Trochę sprzątała, coś niecoś gotowała bardzo nieudolnie i śmiała się jak pensjonarka z własnych błędów. Krzątała się koło dziecka, a gdy niedonoszony potworek zmienił się w malutkie, ale już niewątpliwie do człowieka podobne niemowlę, cieszyła się nim jak dziewczynka lalką. Karmiła teraz synka piersią; matka i wszystkie sąsiadki musiały przyznać, że robi to dobrze, ale brakowało jej godności, jaka przystoi karmiącej matce; ta funkcja sprawiała jej przyjemność i nieraz sąsiadki odwiedzające dom Dempsterów zastawały ją z odkrytymi piersiami, nawet gdy w pokoju był jej mąż, jak gdyby nie przychodziło jej w ogóle na myśl, żeby zapiąć bluzkę. Ja też raz i drugi zaskoczyłem ją w takiej sytuacji i wytrzeszczyłem oczy z pożądliwością dojrzewającego chłopca, ale ona, jak się zdawało, wcale tego nie spostrzegła. Toteż miasteczko utwierdzało się w przekonaniu, że Mary Dempster jest niepełna rozumu.

Cóż robić? Mogliśmy jedynie pomagać Dempsterom w miarę naszych sił, nie aprobując ani nie popierając żadnych skłonności sprzecznych z przyjętymi regułami postępowania. Matka posyłała mnie do nich, abym rąbał i piłował drwa, zamiatał śnieg, strzygł trawnik, pełł grządki warzyw i w ogóle posługiwał; chodziłem tam dwa, trzy razy tygodniowo w dni powszednie, w razie potrzeby także w sobotę. Miałem też czuwać nad dzieckiem, bo moja matka nie mogła wyzbyć się obaw, że pani Dempster pozwoli mu się udławić, wypaść z koszyczka czy w jakikolwiek inny sposób wyrządzić sobie krzywdę. Wkrótce przekonałem się, że nic podobnego nie grozi, lecz stosowałem się do poleceń matki i dzięki temu wiele czasu spędzałem w towarzystwie pani Dempster, która śmiała się z mojego

niepokoju o los małego Paula. Nie sądziła, aby mogło mu się przydarzyć coś złego pod jej opieką, a dziś ja też wiem, że nie myliła się i że moja troskliwość musiała być naretna i niezgrabna.

Inna sprawa pielęgnować niemowlę, a inna wypełniać rozliczne obowiązki małżonki pastora; w tej dziedzinie pani Dempster okazywała całkowity brak zdolności. Nim upłynął rok od urodzenia się małego Paula, nikt o jej mężu nie mówił inaczej niż: „Ten biedny pastor Dempster!”; litowano się nad człowiekiem, którego los obarczył przygłupią żoną i wątłym dzieckiem, i zdumiewano się, jak w tych warunkach zdoła związać koniec z końcem. Ojcu rodziny zarabiającemu pięćset pięćdziesiąt dolarów rocznie potrzebna jest oczywiście żona bardzo oszczędna, a tymczasem pani Dempster wszystko rozdawała. Do prawdziwego skandalu doszło kiedyś, gdy podarowała ozdobny wazon kobiecie, która jej przyniosła parę bochenków chleba; wazon należał do umeblowania domu pastora i nie był prywatną własnością Dempsterów, toteż panie z kółka parafialnego, oburzone tym aktem nieodpowiedzialnej szczodrości, zażądały, aby Amasa Dempster wyprawił swoją żonę do domu sąsiadki i nakazał odebrać bezprawnie ofiarowany dar; pani Dempster naje się wstydu, trudno, zasłużyła sobie na to. Pastor jednak nie chciał upokorzyć w ten sposób żony i wyręczył ją w niezmiernie przykrych misji; opinia miasteczka zgodnie uznała to za dowód słabości grożącej najgorszymi konsekwencjami. Do zadań zleconych mi przez matkę należało między innymi pilne oglądanie słupów werandy pastora i ścieranie dostrzeżonych na nich znaków robionych białą kredą. Rysowali je włóczędzy sygnalizując tym sposobem swoim kumplom, że w tym domu można liczyć na suty poczęstunek, a może nawet na datki pieniężne.

Tak minął mniej więcej rok, po czym kobiety z naszego miasteczka, mając już dość litowania się nad Dempsterami, doszły do wniosku, że pastorowi tak samo jak jego żonie brakuje piątej klepki. Dempsterowie, jak zwykle bywa z ludźmi dotkniętymi ostracyzmem, zdziwaczeli jeszcze gorzej. Ale moja matka nie zachwiała się w raz obranej postawie, jej współczucie nie było słomianym ogniem. Dempsterowie stali się jak gdyby podopiecznymi naszej rodziny, a mnie przybywały coraz to cięższe obowiązki.

Mój brat Willie niewiele miał z nimi do czynienia. Był o dwa lata starszy ode mnie i musiał więcej czasu poświęcać na odrabianie lekcji. W dodatku w godzinach wolnych od szkolnej nauki chodził do ojcowskiej drukarni, żeby pomagać w pracy i uczyć się zawodu. Matka jednak dbała o sprawy Dempsterów z nie słabnącą gorliwością, a ojciec, w którego oczach wszystko, co matka robiła, było słuszne, pochwalał to bez zastrzeżeń.

6

Funkcje nieoficjalnego psa łańcuchowego rodziny Dempsterów często mnie nudziły i nie przysparzały mi sympatii rówieśników. Ale w tym okresie rosłem szybko, byłem jak na swój wiek bardzo silny, toteż wielu moich szkolnych kolegów nie ośmielało się mówić mi w oczy, co o mnie sądzą; wiedziałem wszakże, co gadają za moimi plecami. Jednym z nich był Percy Boyd Staunton.

Zajmował w naszym szkolnym światku szczególną pozycję. Są ludzie, którzy już w latach chłopięcych przybierają ton wyższości i umieją narzucić otoczeniu swój autoritet. Percy dorównywał mi wzrostem i chociaż nie można by go nazwać grubasem, był dość tęgi. Miał ubrania bardziej eleganckie niż my wszyscy, imponował nam wspinałymi szczyrykiem, przymocowanym na łańcuszku do paska pumpów, oraz kałamarzem, który można było przewrócić na bok, nie rozlewając ani kropli atramentu. W niedzielę nosił palto z modną patką na plecach. Był w Toronto na wystawie i w ogóle znał szerszy świat niż reszta chłopców z naszej klasy.

Współzawodniczyłem z nim, bo chociaż nie rozporządzałem takimi jak on atutami osobistymi i majątkowymi, miałem ostry język. Można mi było policzyć wszystkie żebra, donaszałem ubrania po starszym bracie, ale miałem dar sarkazmu i znany byłem w swoim kółku z „byczych powiedzonek”. Jeśli ktoś zanadto mnie rozsierdził, obrywał takie „bycze powiedzonko”, a ponieważ nasze środowisko miało dobrą pamięć, wspomniano i powtarzano moje jawdowite dowcipy przez lata całe.

Dla Percy'ego trzymałem w zanadrzu gotowe „bycze powiedzonko” na wypadek, gdyby mi próbował dokuczać.

Podśluchałem kiedyś, jak jego matka opowiadała mojej, że kiedy jej synek był słodkim małym dzidziusiem, nie umiał wymawiać własnych imion i sam o sobie zamiast Percy Boyd mówił Picus Bobo, i dotychczas ona tak go nazywa w chwilach wielkiego rozczulenia. Wiedziałem, że jeśli chociaż raz na szkolnym podwórku zawołam na niego: „Picus Bobo!” — Percy będzie raz na zawsze zgubiony i nic prócz samobójstwa nie uratuje go przed śmiesznością i drwinami. Ta świadomość dodawała mi poczucia władzy, którą każdej chwili mogłem się posłużyć.

Było mi to potrzebne. Jakiś cień dziwactw i osamotnienia Dempsterów padał już i na mnie. Dźwigając brzemię podwójnych obowiązków nie mogłem brać udziału w różnych grach i zabawach rówieśników, które mnie nęciły. Kursując ustawicznie między dwoma domami — naszym i pastora, to z taką, to z inną posyłką — musiałem często spotykać na swojej drodze kolegów. Pani Dempster zazwyczaj stała w progu, gdy biegłem do domu, i machając na pożegnanie ręką dziękowała mi za pomoc, a jej donośny głos przejmował mnie grozą, bo łatwo mógł ściągnąć szyderstwa, nie na jej głowę, lecz na moją, gdyby ktoś ją usłyszał, co oczywiście nieraz się zdarzyło. Szczególnie wrażliwy byłem na kpiny dziewcząt, a wiedziałem, że niektóre z nich już mnie przezywały „nianią”. Jednakże żadna nie ośmieliła się rzucić mi w twarz tego przezwiska.

Pod tym względem moja sytuacja była najgorsza. Zależało mi na znajomych dziewczynach; zapewne pragnąłem być przez nie podziwiany, uchodzić za wspaniałego chłopca, chociaż nie umiałbym określić, na czym miały polegać te moje niezwykle zalety. Sporo dziewcząt durzyło się w Percy'm i zasypywało go 14 lutego, w dzień św. Walentyna, miłosnymi liścikami, anonimowo wprawdzie, lecz adresat bez trudu rozpoznawał autorki po charakterze pisma. Mnie żadna dziewczyna nigdy nie przysłała „Walentynki” z wyjątkiem Elsie Webb, którą nazywaliśmy „Pajęczycą”, bo chodziła niezdarnie ną szeroko rozkraczonych nogach. Nie pragnąłem sympatii Pajęczycy, marzyłem o Leoli Cruikshank, która miała loki jak korkociągi i z wdziękiem spuszczała oczy, żeby nie spotkać się z moim spojrzeniem. Ale moje uczucia dla Leoli krzyżowały się z sentymentem dla pani Dempster. Pragnąłem Leoli jak zdobyczy, widomego znaku mojego zwycięstwa, ale pani Dempster zaczęła

wypełniać całe moje życie, a im dziwaczniej się zachowywała, im więcej budziła w miasteczku politowania, im bardziej ludzie od niej się odwracali, tym natrętniejsza stawała się moja obsesja.

Myślałem, że kocham się w Leoli, to znaczy, wyobrażałem sobie, że gdybym ją spotkał w jakimś odludnym zakątku i gdybym miał pewność, że nikt nigdy mojego sekretu nie odkryje, i gdybym w odpowiednim momencie zdobył się na odwagę, pocałowałbym ją. Z dzisiejszej perspektywy jednak wiem, że byłem zakochany w pani Dempster. Nie tak, jak czasem chłopcy kochają się w dorosłych kobietach uwielbiając je z daleka, przeżywając w wyobraźni romans, w którym ta wybranka występuje w wyidealizowanej postaci, ale w sposób bolesny i bezpośredni; widywałem ją codziennie, spełniałem w jej domu funkcje służącego, miałem się nią opiekować i czuwać, żeby nie zrobiła jakiegoś głupstwa. W dodatku czułem się z nią związany przeświadczeniem, że to z mojej winy straciła rozum, rozdzwięk wkradł się w jej pożycie małżeńskie, a dziecko, którym tak się cieszyła, przyszło na świat wątłe i słabe. To ja zrobiłem z niej taką kobietę, jaką się teraz stała, a więc musiałem ją albo znienawidzić, albo pokochać. I kochałem ją miłością o wiele za trudną dla chłopca w moim wieku i tak niedoświadczonego jak ja.

Musiałem więc bronić jej, a gdy moi koledzy mówili, że jest wariatką, musiałem odpowiadać, że to oni zwariowali i że wybije zęby każdemu, kto ośmieli się gadać takie rzeczy o pani Dempster. Na szczęście jednym z pierwszych przeciwników, z którymi stoczyłem podobną utarczkę, był Milo Papple, a z nim poradziłem sobie łatwo.

Milo, syn fryzjera z naszego miasteczka, Myrona Papple, grał w szkole rolę błazna. W bardziej wytwornych środowiskach fryzjerzy często odznaczają się bujną czupryną lub też umieją ze specjalnym szykiem obnosić łysinę, ale nasz Myron Papple nie błyszczał urodą ani elegancją. Był przysadzisty, gruby, z figury przypominał gruszkę, a z cery i włosów wieprza białej rasy Chester. Mógł zaimponować tym tylko, że co rano pakował w usta pięć kawałków gumy, a potem je przeżuwał i ugniatał językiem aż do zamknięcia wieczorem zakładu, chuchając miętą na wszystkich klientach, których w ciągu dnia strzygł, golił i bawił rozmową.

Milo wyglądał jak miniaturowa kopia swojego ojca i wszyscy uważaliśmy, że jest pierwszorzędnym komikiem. Repertuar żartów miał mały, ale nigdy nie tracący nic ze swej atrakcyjności. Potrafił na zawołanie czkać i często się tą sztuką popisowywał. Umiał — także na zawołanie — puszczać wiatry wydając przeciągły, płaczkliwy i żalony odgłos, a ilekroć pozwalał sobie na to w klasie i potem rozglądał się wokół z oburzoną miną szepcząc: „Kto to zrobił?” — wybuchaliśmy wesołością godną bohaterów Chaucera, nauczycielka zaś sznurowała usta i krzywiła się tylko, jak wypadało osobie wyższej ponad świat, w którym mogą się zdarzyć takie rzeczy. Nawet dziewczyny — nie wyłączając Leoli Cruikshank — przyznawały, że Milo jest szalenie zabawny.

Pewnego dnia, gdy koledzy spytali mnie, czy zagram z nimi po lekcjach w piłkę, odpowiedziałem, że niestety mam robotę na to popołudnie.

— Wiadomo — odezwał się Milo — Dunny musi iść prosto ze szkoły do domu wariatów, żeby im strzyc trawnik.

— Do jakiego domu wariatów? — dziwili się najmniej domyślni.

— Do Dempsterów. Tam jest teraz dom wariatów.

Musiałem z nim się rozprawić natychmiast, inaczej przepadłbym raz na zawsze.

— Milo — powiedziałem — jeżeli powtórzysz to świństwo, wepchnę ci je z powrotem do gardła i zacopuję cię takim korkiem, że nikt już nigdy nie będzie się śmiał z twoich dowcipów.

Mówiąc to zbliżyłem się do niego z groźną miną i gdy zobaczyłem, jak przerażony cofa się przede mną, zrozumiałem, że — na razie przynajmniej — wygrałem. Nasi kolekcjonerzy byczych powiedzonek skrzętnie włączyli do swego skarbcza żarcik o korku i zacopowanym Milo i nie pozwolili mu o tej pogroźce zapomnieć. „Trzeba go zacopować takim korkiem, żeby nikt już nigdy nie śmiał się z jego dowcipów!” — wykrzykiwali bezwstydni zbieracze cudzych pomysłów i pękali ze śmiechu. Nikt już przy mnie nie mówił o domu wariatów, ale wiedziałem, że ich języki świerzbią i że za moimi plecami gadają, co chcą. Tym bardziej czułem się osamotniony, przemocą wypchnięty ze

świata, do którego należałem, w dziwny i nieszczęśliwy świat Dempsterów.

7

Czas przyniósł mi inne jeszcze powody osamotnienia. W czternastym roku życia powinienem był rozpocząć naukę zawodu drukarza; ojciec miał zręczne ręce, w których robota paliła się, a Willie, mój starszy brat, wdał się pod tym względem w ojca. Za to ja byłem do ręcznej pracy niezgrabny, nie mogłem zapamiętać układu kaszt, w których leżały poszczególne czcionki, wiersze rozsypywały się w moich palcach, rozmazywałem farbę, psułem mnóstwo papieru; właściwie nadawałem się tylko od biedy do wstawiania między wiersze interlinii albo do czytania korekt, ale tej ostatniej czynności ojciec nikomu innemu nie powierzyłby, ufając jedynie sobie. Nigdy nie opanowałem drukarskiej umiejętności odczytywania tekstu odwróconego górną do dołu od prawej strony w lewą i nigdy nie nauczyłem się składać porządnie arkuszy. Byłem w drukarni zawalidrogą i czułem się tym upokorzony; ojciec, z natury dobrotliwy, poszukał więc dla mnie innego zajęcia, abym nie plątał mu się pod nogami. Właśnie wtedy postanowiono otwierać miejscową bibliotekę w godzinach popołudniowych kilka razy tygodniowo, aby co pilniejsze dzieci szkolne mogły z niej korzystać; wobec tego bibliotekarka szukała kogoś do pomocy, bo przedpołudnia spędzała w szkole jako nauczycielka i nie miała ochoty wszystkich wolnych od tej pracy godzin przesiadywać w bibliotece. Zaproponowano mi pełnienie tych funkcji, za które nie dostawałem ani centa; uważano, że sam zaszczyt wystarczy za zapłatę.

Zgodziłem się z entuzjazmem. Trzy razy w tygodniu otwierałem po południu naszą bibliotekę, mieszczącą się w jednym pokoju na pierwszym piętrze ratusza, i z wyżyn mojej władzy traktowałem łaskawie zgłaszających się uczniów. Kiedyś nawet zdarzyło mi się upajające szczęście, bo mogłem wyszukać w encyklopedii jakieś informacje dla Leoli Cruikshank, która pisała wypracowanie o równiku, ale nie była pewna, czy równik przebiega przez oba bieguny, czy też opasuje kulę ziemską pośrodku. Naj-

częściej jednak nikt przez całe popołudnie się nie zgłaszał albo też interesanci wpadali tylko na krótko i znalazłszy to, czego szukali, wynosili się natychmiast, miałem więc całą bibliotekę dla siebie.

Księgozbiór był skromny, wszystkiego razem z tysiąc pięćset tomów, w tym mniej więcej dziesiąta część książek dla dzieci. Roczny budżet wynosił dwadzieścia pięć dolarów, a z tej sumy opłacało się prenumeratę czasopism, które pan sędzia, przewodniczący zarządu biblioteki, lubił czytywać. Na zakupy brakowało pieniędzy, więc księgozbiór powiększał się najczęściej dzięki zapisom testamentowym lub darom miejscowego licytatora, który przekazywał bibliotece książki, jeśli nie znajdował na nie nabywców. Zatrzymywaliśmy to, co wydawało się pożądane, a resztę odsyłaliśmy do Misji Grenfella w przekonaniu, że dla dzikusów każda lektura jest dobra.

W rezultacie mieliśmy sporo dziwnych książek, a najdziwniejsze trzymaliśmy zamknięte w małym schowku za główną salą. Tam znalazłem na przykład podręcznik medyczny z przerażającymi rysunkami opadniętej macicy i żyłaków podwiązka nasiennego oraz fotografię bujnie owłosionego wąsatego mężczyzny bez nosa; od tego dnia na zawsze już stałem się wrogiem kiły. Najcenniejszymi dla mnie skarbami były *Sekrety magii estradowej* Robert-Houdina i *Nowoczesna magia* oraz *Najnowsza magia* profesora Hoffmanna — książki uznane za mało interesujące — mało interesujące! — i wygnane z półek; od pierwszego rzutu oka zrozumiałem, że los mi je zesłał w darze. Przestudiuję te księgi, zostanę magikiem. Wszystkim za imponuję i zdobędę bezgraniczny podziw Leoli Cruikshank, i zyskam potężną władzę. Ukryłem swoje znaleziska tak, aby nie mogły wpaść w ręce osób niepowołanych, do których zaliczałem też bibliotekarkę, i pogrążyłem się w nauce magii. Te godziny, gdy odkrywałem, jakimi sposobami francuski prestidigitator zdumiewał poddanych Ludwika Napoleona, po dziś dzień wspominam jak arkadyjskie rozkosze. Nie zrażała mnie beznadziejna staroświecczyzna tej książki; mimo dzielącej nas przepaści czasu, świat Robert-Houdina wydawał mi się rzeczywisty we wszystkim, co dotyczyło cudownej sztuki iluzji. Gdy autor wycieczając niezbędne rekwizyty mówił o rzeczach w Deptford nieznanymi, sądziłem, iż nie ma ich u nas po prostu dlatego,

że nasze miasteczko jest małe, za to w Paryżu, wielkiej i światłej stolicy, każdy wybitniejszy człowiek jest gorącym miłośnikiem magii i nad wszelkie inne przyjemności przedkłada złudzenia, jakich mu dostarcza wytworny, trochę złowieszczy, ale nieodparcie urzekający mistrz czarno-księskiej sztuki. Wcale nie dziwiło mnie, że cesarz wysłał Robert-Houdina ze specjalną misją dyplomatyczną do Algieru, aby obalił autorytet marabutów, okazując się lepszym od nich czarodziejem. Gdy przeczytałem o jego występie na jachcie tureckiego baszy, kiedy to utłukł w drobny mak w mózdzierzu drogocenny zegarek, cisnął szczątki do morza, zarzucił wędkę, złowił rybę, polecił kucharzowi baszy, by tę rybę wypatroszył, i odsunął się czekając, aż kucharz we wnętrzościach ryby znajdzie nie-
tknięty, cały zegarek, schowany w jedwabnej sakiewce — doszedłem do wniosku, że tylko życie prestidigitatora godne jest człowieka. Niewątpliwie magicy są ważnymi osobistościami i obracają się wśród najwyższych dostojników. Po-
stanowiłem zostać magikiem.

Szkocki zmysł praktyczny, który wpoili mi swoim przykładem rodzice, nie był moją wrodzoną cechą. Nie przejmowałem się zbytnio trudnościami. Zdawałem sobie sprawę, że w Deptford nie zdobędę stoliczka prestidigitatora — złoconego gerydonika z ukrytym pod spodem sprytnie schowkiem na rzeczy, których wolimy nie pokazywać publiczności, i woreczkiem, do którego można bezszelestnie zsuwać monety lub zegarki; nie miałem fraka, a gdybym nawet posiadał taki strój, matka nie zechciałaby wszyć w jego poły „profundy” — tajnej kieszeni, w której prestidigitator może ukryć, co zechce. Kiedy profesor Hoffmann pouczał mnie, jak podwijać mankiety, wiedziałem, że ich nie mam, ale nie martwiłem się ich brakiem. Zamierzałem poświęcić się sztukom, które nie wymagają takich rzeczy. Dowiedziałem się, że do tych trików, polegających na złudzeniu, potrzebne są specjalne przyrządy, które profesor Hoffmann niezmiennie nazywał „bardzo prostymi” i które radził magikowi zrobić własnoręcznie. Dla mnie, chłopca, który zawsze zrywał sznurowadła, a niedzielny krawat wiązał tak, że wyglądał jak katowska pętla, zmajstrowanie takich przyrządów nastęrczało trudnościami, których, jak się przekonałem po kilku próbach, nigdy nie zdołałbym pokonać. Nie mogłem też myśleć o sztuczkach wymagających

pewnych substancji, które łatwo dostać w każdym składzie aptecznym, ponieważ właściciel naszego drugstore'u nigdy o nich nawet nie słyszał. Ale nie skapitulowałem. Postanowiłem wydoskonalić się w dziedzinie, którą Robert-Houdin uważał za najczystsza klasyczną formę magii: będę mistrzem sztuczek polegających na nadzwyczajnej zręczności rąk.

Oczywiście zacząłem od zonglowania jajkami, a raczej mówiąc ściśle jednym jajkiem. Nie przyszło mi do głowy, że mógłbym równie dobrze posługiwać się gipsową imitacją, jakiej używa się do oszukiwania kur. Zwędziłem matce z kuchni jajko i w bibliotece, gdy było tam pusto, ćwiczyłem się w sztuczkach, wyciągałem jajko ze swoich ust, z łokcia, spod kolana albo wkładałem je sobie do prawego ucha, przez chwilę gdałem jak kura, po czym wyjmowałem je z lewego ucha. Szło mi świetnie i gdy nagle zjawił się pan sędzia po najnowszy numer „Scribner's Magazine”, ogarnęła mnie szalona pokusa, żeby wyciągnąć jajko z jego brody. W końcu nie ośmieliłem się posunąć tak daleko, ale sama myśl, że mógłbym to zrobić, gdybym zechciał, wywołała taki atak śmiechu, że pan sędzia przyglądał mi się z niepokojem. Po jego wyjściu zonglowałem jajkiem z większą jeszcze niż przedtem pewnością siebie, ale wreszcie, chowając je do kieszeni w spodniach, wielkim palcem przebiłem skorupkę.

Ha, ha! każdy chłopiec miewa podobne przygody i zazwyczaj uważa się je za bardzo zabawne i typowo dziecięce. Ale to jajko stało się powodem straszliwej awantury z matką. Spostrzegła brak jajka — nie przyszło mi do głowy, że ktoś może je liczyć — i oskarżyła mnie o kradzież. Wyparłem się winy, skłamałem. Potem jednak przyłapała mnie na próbie prania kieszeni, bo w domu, gdzie nie ma bieżącej wody, trudno coś przeprać ukradkiem. Matka zdemaskowała moje kłamstwo i spytała, na co mi było potrzebne to jajko. Czy trzynastoletni chłopiec może powiedzieć Szkotce, powszechnie chwalonej za wyjątkowo silny zmysł praktyczny, że postanowił zostać najświetniejszym w świecie prestidigitatorem? Poszukałem ratunku w zuchwalstwie. Matka zakipiała gniewem. Cóż ja sobie wyobrażam? — spytała. — Że ona znosi jajka? Na moje nieszczęście znalazłem błyskawicznie „bycze powiedzonko” i odparłem, że o tym ona sama tylko może wiedzieć. Matka

nie miała poczucia humoru. Jeśli ja wyobrażam sobie, że już jestem za duży na to, aby brać lanie — oznajmiła — to zaraz się przekonam, jak grubo się mylę. I wyciągnęła z kuchennej szuflady małą szpicrutę.

To nie był bat na kuca. Za moich lat chłopięcych takie ładne małe szpicruty sprzedawano na wiejskich jarmarkach, a dzieci kupowały je, żeby nimi wymachiwać i czasem chłostać pnie drzew. Kilka lat przedtem matka skonfiskowała taką szpicrutę przyniesioną przez mojego brata i od-tąd używano jej do wymierzania nam kary. Co najmniej od dwóch lat nie podlegałem już chłoscie, ale teraz matka groźnie wywijala szpicrutą, a gdy zaśmiałem się arogancko, chlasnęła mnie w lewe ramię.

— Nie waż się mnie dotykać! — wrzasnąłem i to doprowadziło matkę do furii; nigdy przedtem nie widziałem jej w takim stanie. Dziwna to musiała być scena, gdy uganiając się za mną po całej kuchni smagała mnie szpicrutą, dopóki nie załamałem się i nie wybuchnąłem płaczem. Ona także szlochała histerycznie i biła mnie jeszcze okrutniej, wyrzucając mi moją bezczelność, brak szacunku dla niej, potęgujące się dziwactwa i arogancję intelektualną — oczywiście nie używała takich wyrażań, ale nie usiłuję powtarzać dosłownie jej okrzyków — aż wreszcie wyczerpała całą furie i zalewając się łzami pobiegła na górę do swojej sypialni. Ja powlokłem się do szopy, gdzie składało się drwa, czując się zbrodniarzem rozmyślałem gorączkowo, co począć. Może zostać włóczęgą jak ci obdarci posepni mężczyźni, którzy często kołatali do naszych drzwi kuchennych prosząc o jedzenie. A może się powiesić? Nieraz później bywałem nieszczęśliwy i to nie przez jedną godzinę, lecz przez długie miesiące — ale po dziś dzień czuję ciężar rozpacz, który mnie wtedy przytłoczył, jeśli pozwalam sobie na szaleństwo wskrzeszania tych wspomnień.

Ojciec i Willie wrócili do domu, ale kolacji nie było. Ojciec oczywiście wziął stronę matki, a Willie bardzo skwapliwie i przemądrzale zaczął perorować, że ostatnio stałem się nieznośny i że porządne lanie od dawna mi się należało. W końcu matka zgodziła się zejść na dół pod warunkiem, że ją przeproszę. Musiałem to zrobić na klęczkach recytując formułkę ułożoną na poczekaniu przez ojca; zawierała ona przyrzeczenie, że zawsze będę kochał matkę,

której zawdzięczam wielki dar życia. Musiałem też prosić ją — a dopiero na drugim miejscu Boga — o przebaczenie, wyznając jednocześnie, że nie jestem godny takiej pobłażliwości.

Wstałem z klęczek rozgrzeszony i oczyszczony, przy kolacji prawie nic nie jadłem, jak przystoi zbrodniarzowi. Gdy wieczorem o zwykłej godzinie miałem iść spać, matka przywołała mnie, ucałowała i szepnęła:

— Wiem, że już nigdy więcej nie będę przeżywała ciężkich chwil z winy mojego ukochanego synka.

Rozpamiętywałem te jej słowa przed zaśnięciem. Jakże pogodzić tę macierzyńską czułość ze wspomnieniem furii; która wrzeszcząc ścigała mnie po kuchni ze szpicrutą w ręku i chłostała mnie, dopóki nie nasyciła... czego? Żądzy zemsty? Co to było? Później, gdy miałem trzydzieści kilka lat i czytałem Freuda po raz pierwszy, zdawało mi się, że znalazłem odpowiedź. Teraz nie jestem już tego pewny. Ale wówczas myślałem, że nikomu, nawet rodzonej matce nie wolno ufać w tym dziwnym świecie, którego dziwów tak mało dostrzec można na powierzchni.

8

Epizod ten zamiast mnie zrazić do magii, spotęgował jeszcze mój zapał. Musiałem zdobyć władzę w jakiejś dziedzinie, w której rodzice — a przede wszystkim matka — nie będą mogli nigdy mnie dosięgnąć. Oczywiście nie rozumowałem wtedy tak logicznie na ten temat; czasami tęskniłem do matczynej miłości i nienawidziłem siebie za to, że zmartwiłem matkę, ale równie często myślałem, że matka za swoją miłość żąda zbyt wysokiej ceny i że jej wyobrażenie o tym, jaki powinien być dobry syn, nie ma wiele sensu. W dalszym ciągu borykałem się więc potajemnie z arkanami sztuk magicznych.

Teraz ćwiczyłem się głównie w sztukach z kartami. Karty zdobyłem łatwo, bo rodzice namiętnie grywali w belotkę, więc z kilku talii znajdujących się w domu mogłem co dzień po południu pożyczać sobie jedną, najstarszą, na kilka godzin, bylebym ją z powrotem oddłożył na to samo miejsce, w głębi szuflady, gdzie ją trzymano, ponieważ była za dobra jeszcze, żeby ją wyrzucić, ale zanadto wyslizgana

i rozmiękła, żeby jej używać. Rozporządzając tylko jedną talią nie mogłem próbować sztuczek, do których były potrzebne dwie karty w tym samym kolorze i tej samej wartości, ale opanowałem kilka sztuczek, które polegają na tym, że daje się komuś wybrać kartę, a magik odnajduje ją po kilkukrotnym przetasowaniu całej talii. Miałem nawet w repertuarze nadzwyczaj efektowny trick z jedwabną nitką, na której wybrana karta wyskakiwała z talii, chociaż magik stał z dala w niedbalej pozie.

Potrzebowałem publiczności, która by oceniła moją zręczność, i znalazłem chętnego widza w osobie Paula Dempstera.

Miał cztery lata, a ja czternaście, więc pod pretekstem, że zajmę się nim przez godzinę lub dwie, zabierałem go ze sobą do biblioteki i tam zabawiałem swoimi kuglarskimi sztuczkami. Stanowił wcale niezłą publiczność, bo siedział skupiony i milczący, gdy tego od niego żądałem, wybierał kartę na moje polecenie, a gdy podawałem mu talię, mocno ściśniętą w rękę, z jedną kartą nieznacznie wystającą spomiędzy innych, wybór Paula padał niezawodnie właśnie na tę jedną. Miał pewne wady, bo nie umiał czytać ani liczyć; nie mógł w pełni docenić mojej niezwyklej zręczności, gdy po dłuższym i pilnym przeglądaniu całej talii wskazywałem mu z tryumfem właściwą kartę, ale wiedziałem, że nabieram go i tłumaczyłem mu, w jaki sposób to zrobiłem. Tkwiące we mnie zdolności nauczycielskie wtedy właśnie, w małej bibliotece, objawiły się po raz pierwszy, a ponieważ lubiłem wykładać, nauczyłem małego Paula więcej, niż przypuszczałem.

Oczywiście Paul chciał także bawić się kartami i niełatwo było wytłumaczyć mu, że ja się nie bawię, lecz pokazuję fascynujące sztuki, owoc skomplikowanej wiedzy tajemnej. Musiałem wprowadzić system nagród i czytałem mu bajki, które bardzo lubił, za to, że przez czas jakiś cierpliwie śledził moje popisy prestidigitatorskie.

Na szczęście obu nam podobały się te same książki. W schowku między wygnanymi tam tomami znalazłem *Opowiadania o świętych* przeznaczone dla dzieci. Autorem ich był niejaki William Canton, a rozpoczynały się od rozmowy małej dziewczynki z ojcem, co wydawało mi się wzorem eleganckiej prozy. Czytałem te opowiadania Paulowi tyle razy i tyle razy słyszałem, jak on, mając plastyczną

pamięć analfabety, powtarzał je potem, że dziś jeszcze mogą cytować długie fragmenty, a chociaż od pięćdziesięciu lat nie miałem tej książki w ręku, jestem pewny, że przytaczam je wiernie.

Niekiedy legendy te doprowadzały nas nad groźną krawędz religijnych sprzeczności, ale jak dobry dzikus, który czci ducha wody rozwieszając nad rzeką girlandy kwiatów, przymocowane do drzew na obu brzegach, tak W.V. (tak nazywała się mała dziewczynka) zawsze umiała przerzucić kwietny most ponad przepaścią. „Nasz rozum — mówiła — jest niczym wobec mądrości Boga; a chociaż dorosli są mądrzejsi niż dzieci, rozumy wszystkich ludzi na świecie zebrane razem nic nie znaczą wobec Niego. Przed Jego obliczem wszyscy jesteśmy jak maleńkie dzieci, nie możemy Go pojąć.” W.V. nie żywiła ani cienia wątpliwości, że rozumna jest legenda pouczająca, iż Pan Bóg zawsze wysłuchuje naszych prośb, chociaż spełnia je często nie tak, jak byśmy chcieli, lecz w jakiś inny sposób, lepszy niż wszystkie znane nam sposoby.

„Tak — powiedziała W.V. — jest On po prostu naszym dobrym starym Ojcem.” Wszystko, co dotyczyło Pana Jezusa, rozpłomieniało jej wyobraźnię i często marzyła o Jego ponownym przyjściu na ziemię. „Wówczas — mówiła biedna, mała, oszołomiona śmiertelniczka, której rozterek nikt nawet nie mógł odgadnąć — będziemy już wszystko wiedzieli na pewno. Panna Catherine uczy nas z książki, ale On będzie mówił do nas z pamięci. Teraz już ludzie nie postąpią z nim tak okrutnie. Królowa Wiktorja nikomu nie pozwoli ukrzyżować Go.”

Portret królowej Wiktorji wisiał w bibliotece i wystarczyło na nią spojrzeć, aby się upewnić, że każdy, kto żyje pod jej opieką, jest wyjątkowym szczęściarzem.

Tak więc przez kilka miesięcy Paul stanowił dla mnie wzorową publiczność, a ja w zamian za to czytałem mu opowieści o świętej Dorocie i o świętym Franciszku i pozwalałem mu oglądać ładne obrazki, które były dziełem Heatha Robinsona.

Stopniowo od sztuk z kartami przeszedłem do sztuk z monetami, o wiele trudniejszych. Po pierwsze miałem bardzo mało monet, a gdy podręcznik zalecał: „Połóż na dłoni sześć półkoronówek”, nie czytałem już dalej, bo nie miałem takiej monety ani też niczego do niej podobnego.

Posiadałem jednak piękną rzecz: mosiężny medal, który pewna fabryka linotypów wybiła jako reklamę swoich maszyn, wzgardzonych przez ojca; medal miał kształt i wymiary srebrnego dolara i nadawał się do moich ćwiczeń. Ale jakże niezdarne były moje ręce!

Nie umiem już dziś powiedzieć, ile tygodni uprawiałem się w sztuce zręcznościowej nazwanej „Pajakiem”. Aby wykonać to bardzo pożyteczne ćwiczenie, trzeba wetknąć monetę pomiędzy palce wskazujący i mały, a potem obracać ją poruszając dwoma środkowymi palcami tak, że będzie znajdowała się to przed nimi, to za nimi, tym sposobem można pokazać grzbiet i wnętrze ręki nie odsłaniając monety. Ale spróbujcie to zrobić! Zwłaszcza czerwonymi kościstymi rękami Szkota, zgrubiałymi od strzyżenia trawy i zamiatania śniegu. Przekonacie się, jakiej to wymaga zręczności. Paul oczywiście był ciekawy, jak ja to robię, a ponieważ miałem duszę nauczyciela, wyjaśniłem sekret.

— Czy tak? — spytał biorąc z mojej ręki medal i wykonując od razu doskonale tę sztuczkę.

Zbaraniałem i poczułem się upokorzony, ale wspominając dziś ten incydent muszę przyznać, że zachowałem się dość dobrze.

— Tak, w ten sposób — powiedziałem i od tej chwili stałem się trenerem Paula, chociaż uświadomiłem to sobie dopiero w kilka dni później. Paul umiał rękami zrobić wszystko. Tasował talię nie upuszczając nigdy żadnej karty, co mnie zdarzało się bardzo często, i dokonywał istnych cudów z moim mosiężnym medalem. Dłonie miał za małe, na ogół więc medal był widoczny, ale widziało się go wyczyniającego niezwykle rzeczy; Paul umiał zmusić medal do spacerowania po grzbiecie ręki i chwycił go między palce ze zręcznością zapierającą świadkowi dech w piersi.

Zazdrość wydawała się niedorzeczna, po prostu Paul miał ręce prestidigitatora, a ja nie, i chociaż czasem miałem ochotę zabić go, żeby uwolnić świat od nieznośnego wcześniaka, musiałem uznać niezbity fakt jego talentu.

Co najdziwniejsze, Paul uważał mnie za swojego nauczyciela, ponieważ umiałem czytać i mogłem mu dyktować, co ma robić; to, że on potrafił każdą moją instrukcję sprawnie wykonać, nie budziło w nim dumy. Był mi wdzięczny, a ja w tym okresie mojego życia bardzo ła-

knąłem wdzięczności i uznania choćby takiej marnej istoty jak Paul.

Może wyda się okrucieństwem, że go nazywam „marną istotą”, toteż chciałbym się usprawiedliwić. Paul wyglądał niesamowicie z głową za wielką w proporcji do wątlej reszty ciała. Ubrania zawsze leżały na nim źle, bo przeważnie donaszał rzeczy, z których wyrosły inne dzieci z rodzin baptystów, wszystko na nim było podarte i wystrzępione, a guziki krzywo pozapinane. Włosy miał długie, gęste i kędzierzawe, bo pani Dempster ubłagała męża, aby odroczyć straszliwy dzień, w którym Paul, jak wszyscy inni chłopcy w pewnym wieku, powinien by zostać oskalpowany w zakładzie fryzjerskim Myrona Papple. W drobnej twarzy oczy zdawały się ogromne, a w dodatku były niezwykle szeroko rozstawione i bardzo ciemne przez kontrast z błądząścią cery. Ta błądź niepokoiła moją matkę, toteż od czasu do czasu poddawała go zabiegom skutecznym rzekomo przeciw robakom; była to upokarzająca kuracja, bez której dzisiejsze dzieci, o ile wiem, doskonale się obywają. Paul nie cieszył się w miasteczku sympatią, ludzie przeważnie bardzo nie lubili jego matki — jak wszystkich istot dziwacznych i chronicznie nieszczęśliwych — i przenosili tę niechęć na Bogu ducha winnego syna.

9

Co do mnie, to całą antypatię rezerwowałem dla Amasy Dempstera. Wśród jego parafian kilka osób twierdziło, że pastor z bliska obcuje z Panem Bogiem, i dlatego wydaje się niesamowity. W naszej rodzinie odmawiało się wspólne modlitwy, przed rannym śniadaniem składaliśmy należny hołd Opatrzności i to powinno by każdemu wystarczyć. Ale Amasa Dempster o różnych porach dnia padał nagle na kolana i modlił się z żarliwością wręcz nieprzyzwoitą. Ponieważ kręciłem się często po jego domu, nieraz trafiałem na taki moment i pastor wówczas nakazywał mi klęczeć obok siebie i swojej żony, dopóki nie skończył modłów, a trwały zwykle dziesięć czy nawet piętnaście minut. Czasem wymieniał w nich mnie, byłem przechodniem w domu jego i Amasa Dempster opowiadał Bogu,

jak porządnie przyszyłem trawę i narąbałem drew; potem jednak nie szczędził mi przytyków prosząc, aby Wszchemocny oczyścił mój język, to znaczy, żebym przestał dowcipkować, wywołując śmiech lub uśmiechy pani Dempster. Nigdy też nie omieszkał na zakończenie błagać Boga o siłę do dźwigania swojego ciężkiego krzyża; rozumiało się, że ma na myśli własną żonę, i ona także to wiedziała.

Była to jedyna niepoczciwość, na jaką sobie w stosunku do niej pozwalał. Poza tym okazywał jej wiele cierpliwości, a nawet, o tyle, o ile było to dla tak uduchowionego człowieka możliwe — miłości. Ale przed urodzeniem się Paula kochał ją z porywu gorącego serca, teraz jak gdyby tylko dla zasady. Prawdopodobnie wcale nie zdawał sobie sprawy, że próbuje zwrócić uwagę Pana Boga na uległość, z jaką jego sługa przyjmuje swoje nieszczęście, ale takie wrażenie pozostawiły mi te głośne modły. Nie był wytrawnym teoretykiem i nie grzeszył inteligencją, więc często zdradzał w słowach więcej swoich prawdziwych uczuć, niż zamierzał.

Był niezmiernie uczuciowy. Myślę, że właśnie dlatego wydawał się odpowiednim duszpasterzem baptystom, którzy wysoko cenią uczuciowość, znacznie bardziej niż my, presbiterianie, lękający się wylewnego serca i próbujący je zastąpić wartościami intelektualnymi. Doznałem na własnej skórze siły uczuć pastora Dempstera, gdy pewnego fatalnego dnia powiedział do mnie:

— Chodź, Dunny, ze mną do mojej kancelarii przy kościele. Muszę się z tobą rozmówić.

Zastanawiając się, co może znaczyć ten uroczysty ton, powlokłem się za nim do kościoła baptystów i weszliśmy do małego pokoiku za chrzcielnicą. Tu pastor natychmiast padł na kolana i prosił Boga, żeby dopomógł mu postąpić wobec mnie sprawiedliwie, lecz zarazem miłosiernie, i dopiero po tym wstępie zaczął mnie gromić.

Skalałem niewinny świat dzieciństwa. Zgrzeszyłem przeciw jednemu z maluczkich, którzy są mili Bogu. Stałem się — nieświadomie, jak ufał — narzędziem złego ducha, który za moim pośrednictwem smugą czarnego błota zbrukał czyste życie.

Oczywiście struchlałem z przerażenia. Znałem dziewczyny i chłopców, którzy niekiedy o zmroku zapuszczali się

między zarośla starej kopalni żwiru, znajdującej się na zachodnich peryferiach miasteczka, aby próbować zakazanych igraszek. O jednej z dziewcząt, Mabel Heighington, mówiono, że z kilku chłopakami przekroczyła ostateczną granicę w tej zabawie. Ale ja nie należałem do tej paczki. Zanadto bałem się, że przestępstwo mogłoby wyjść na jaw, a poza tym — muszę oddać sprawiedliwość swojej młodocianej osobowości — byłem zbyt wybredny, aby skusić się na wdzięki pryszczatej Mabel. Wolałem w samotności, gorąco wielbić Leolę Cruikshank, niż wdawać się w takie zbiorowe plugawe praktyki. Ale każdego chłopca w tym wieku łatwo oskarżyć o wykroczenie w dziedzinie płci; pewne zaprzatające go myśli, nie mówiąc już o na pół dobrowolnie, na pół z odrazą spełnianych uczynkach, wystarczają, by w nim wzbudzić poczucie winy. Pomyślałem, że ktoś musiał Amasie Dempsterowi podszeptać moje nazwisko, aby odwrócić uwagę od innych.

Myliliem się jednak. Po zagadkowych wstępnych zarzutach pastor wyraźnie już oskarżył mnie o to, że dałem jego synowi do ręki karty, które nazwał szatańskimi obrazkami. Co gorsze, o wiele gorsze, nauczyłem malca karcianych oszustw, manipulacji godnych szulera, grasującego w pociągach. Nauczyłem Paula także szalbierczych sztuczek z pieniędzmi. Właśnie tego ranka piekarz dostarczywszy pieczywo wydał resztę, trzy centy, które Paul wziął ze stołu i błyskawicznie ukrył. Oczywiście oddał je potem, zgnilizna nie przeżarła jeszcze na wskroś jego sumienia, a kiedy ojciec dał mu porządnie w skórę i odmówił dłuższą modlitwę, chłopczyk wyznał wszystko, opowiedział o sztuczkach i o moich naukach.

To były ciężkie zarzuty, ale na najcięższe dopiero teraz przyszła kolej. Błędy papistów! Opowiadałem Paulowi o świętych. Jeśli nie wiem, że kult świętych należy do najprzewrotniejszych zabobonów szerzonych przez „rzymską wszetecznicę”, to Amasa Dempster gotów jest porozmawiać z prezbiteriańskim pastorem, Andrew Bowyerem, a on już na pewno postara się oświecić mnie należycie. Paul, gdy mu ojciec tłumaczył, jak wielkie są jego przewinienia, zaczął rozpowiadać bluźniercze historie o człowieku, który całe życie spędził zatopiony w modlitwie na szczycie słupa wysokości czterdziestu stóp, o świętym Franciszku, który widział żywego Chrystusa na krzyżu, o Matce Boskiej

Anielskiej i wiele innych podobnych rzeczy, mrozących krew w żyłach Amasy Dempstera. Cóż więc ma zrobić? Czy poniosę zasłużoną karę z jego ręki, czy też ma powiedzieć moim rodzicom, jak się ich syn prowadzi, aby oni spełnili święty swój obowiązek. Miałem już wówczas piętnaście lat i nie pozwoliłbym się tknąć Amasie Dempsterowi, gdyby zaś rodzice mnie zbili, uciekłbym z domu i został włóczęgą. Odpowiedziałem więc, że proszę, aby wydał mnie w ręce moich rodziców.

To go speszyło, bo nie od wczoraj był pastorem i z doświadczenia wiedział, że rodzice najczęściej wcale nie są wdzięczni za wytykanie wad ich dzieci. Rozzuchwalony, dodałem, że chyba powinien by także spełnić swoją pogroźkę i porozmawiać z pastorem Bowyerem. Udał mi się ten wybieg. Po naszym prezbiteriańskim pastarze nie można było spodziewać się, że chętnie posłucha rad Amasy Dempstera, wprowadzie mnie natarłby dobrze uszu, ale przedtem zjadłby żywcem i bez soli tego baptystę. Biedny Dempster! Przegrał pojedynek ze mną, więc ratując honor skazał mnie na banicję. Niech noga moja nigdy więcej nie postanie w jego domu! Nie wolno mi też odzywać się do nikogo z jego rodziny ani zbliżać się do jego syna. Na zakończenie oświadczył, że będzie się za mnie modlił.

Wyszedłem z kościoła w stanie ducha niezwykłym dla chłopaka z Deptford, chociaż, jak miałem się później w życiu przekonać, dość często nawiedzającym ludzi.

Nie czułem skruchy, wyrzucałem sobie tylko, że mogłem pałać takie głupstwo zapominając o nienawiści baptystów do gry w karty. Co do żywotów świętych, uważałem je za takie same cudowne historie jak *Baśnie z tysiąca i jednej nocy*, a kiedy pastor Andrew Bowyer wzywał nas wszystkich, abysmy przygotowali się na Gody Baranka, wydawało mi się, że te arabskie bajki są bardzo blisko spokrewnione z Biblią, i myślałem tak bez cienia szyderstwa. Dempster głęboko mnie uraził ściągając moje żonglerskie sztuczki do poziomu oszustwa i szulerki. W moim przekonaniu wzbogacały one wspaniałe życie, stwarzały świat dziwów, nie przynoszących nikomu szkody. Cała mglista lecz zarazem błyskotliwa wizja Paryża, gdzie Robert-Houdin zachwycał magicznymi sztukami najznakomitsze osoby, została poniżona przez tego pastorka, który nie miał pojęcia o tych olśniewających rzeczach i po prostu ział nie-

nawiścią do wszystkiego, co przewyższało poziom bytowania za pięćset pięćdziesiąt dolarów rocznie. Ja pragnąłem czegoś więcej. Ale przytłaczała mnie moralna tyrania, pewność Dempstera, że on ma rację, a ja błędę i że to daje mu nade mną władzę, opartą raczej na uczuciu niż na rozumie; pierwszy raz starłem się z emocjonalną potęgą przyjętej przez ogół moralności.

Rozgoryczony, życzyłem Amasie Dempsterowi wszystkiego najgorszego. Wiedziałem, że to są złe, niebezpieczne myśli. Rodzice uważali, że wszelkie przesady są bzdurą niegodną oświeconego człowieka, lecz nawet oni dopuszczali kilka wyjątków od tej zasady, między innymi wierzyli, że źle życząc innym ludziom zwykle sami na siebie ściągamy nieszczęścia. Ale ja życzyłem źle Dempsterowi, prosiłem kogoś — jakiegoś boga, który mnie rozumiał — żeby Amasa Dempster ciężko odpokutował za to, jak ze mną postąpił.

Nic nie powiedział moim rodzicom ani też pastorowi Bowyerowi. Tłumaczyłem to sobie jako dowód słabości i pewnie w dużym stopniu słabość była rzeczywiście powodem jego milczenia. Widywałem go kilka razy tygodniowo, zawsze tylko z daleka, i miałem wrażenie, że Dempster ugina się pod ciężarem swojego losu. Nie garbił się, lecz wydawał się jeszcze bardziej chudy i dziwaczny. Paula spotkałem tylko raz: na mój widok zawrócił i z płaczem pobiegł do domu, okropnie mi go było żal. Panią Dempster za to widywałem często, bo wałęsała się teraz więcej jeszcze niż dotychczas i całe ranki spędzała na wędrówkach od sąsiadki do sąsiadki — „rozwłóczyła się”, jak mówiło wiele kobiet — ofiarowując wiązki przywędłego rabarbaru lub nadgniłą sałatę czy inne podobne plony ze swojego ogródka, tak zaniedbanego od czasu, gdy przestałem nim się zajmować, że nic lepszego tam nie rosło. Ale pani Dempster lubiła rozdawać prezenty i cierpiała, gdy sąsiadki odrzucały te dary. Jej twarz miała zawsze słodki, lecz zarazem żaloszny, niezwykły w naszym miasteczku wyraz; było jasne, że niezupełnie wie, co robi, i zdarzało się, że trzykrotnie w ciągu jednego przedpołudnia odwiedzała ten sam dom, irytując zapracowaną gospodynię, która właśnie prała albo przygotowywała obiad dla męża i dzieci.

Gdy teraz myślę o mojej matce, staram się przypomnieć sobie, jak traktowała panią Dempster. Nie była dobrą aktorką, udawała jednak zawsze, że cieszy się z podarunku,

i z reguły nalegała, aby pani Dempster przyjęła w zamian od niej jakiś prezent, zwykle coś wartościowego i trwałego: Nigdy nie zapominała, co poprzednim razem przyniosła jej pani Dempster, i opowiadała, jak wszystkim nam to smakowało, chociaż te rzeczy zazwyczaj nadawały się jedynie na śmietnik.

— Biedaczka tak lubi obdarzać — mówiła do ojca — że byłoby niepoczciwie odmawiać jej tej przyjemności. Szkoda, że wiele innych ludzi, którzy mają więcej do rozdania, nie okazuje podobnych skłonności.

Unikałem bezpośrednich spotkań z panią Dempster, bo mogłaby powiedzieć: „Dunstable'u Ramsay! Wyrosłeś, jesteś prawie mężczyzną! Dlaczego już do nas nie zaglądasz? Paul tęskni do ciebie, często o tobie mówi!”

Zapomniała, a może nigdy nie wiedziała, że jej mąż zabronił mi przychodzić do ich domu. Przy każdym spotkaniu z nią serce mi się ścisnęło z poczucia winy i niepokoju. Jednakże dla Amasy Dempstera nie miałem litości.

10

Wędrówki pani Dempster skończyły się w piątek 24 października 1913 roku. Zbliżała się godzina dziesiąta wieczór; siedzieliśmy przy piecu, ojciec i ja z książkami, matka szła coś na kiermasz Kółka Misyjnego, a Willie był na próbie młodzieżowej orkiestry, zorganizowanej przez miejscowego entuzjastę. Willy grał na kornecie i zerkał w stronę pierwszego fletu, czyli Ady Blake. Ktoś zapukał do drzwi, ojciec wyszedł do hallu, skąd po krótkiej cichej rozmowie wprowadził gości prosząc, aby poczekali chwilę, aż zmieni obuwie. Byli to Jim Warren, który obok innych zajęć pełnił funkcje policjanta w naszym miasteczku, oraz George i Garnet Harperowie, para znanych kawalarzy, którzy w tym przypadku mieli miny nieoczekiwanie uroczyście.

— Mary Dempster zaginęła — wyjaśnił ojciec. — Jim organizuje poszukiwania.

— Tak, zniknęła zaraz po kolacji — potwierdził Jim. — Pastor wrócił o dziewiątej do domu i nie zastał żony. Na próżno obszedł całe miasto, teraz więc musimy przeszukać parów kopalni żwiru. Jeżeli i tam jej nie ma, trzeba będzie szukać w rzece.

— Idź razem z ojcem — zwróciła się do mnie matka. — Ja tymczasem pójdę do Dempsterów, zajmę się Paulem i będę na miejscu, gdy sprowadzicie ją do domu.

W tych paru zdaniach zawierało się bardzo wiele treści. Matka w tym momencie uznała mnie za mężczyznę, który może uczestniczyć w poważnej akcji. Jednocześnie okazała zrozumienie, że sprawy Dempsterów obchodzą mnie tak samo jak ją; nikt nigdy nie zapytał mnie, dlaczego w ostatnich miesiącach przestałem bywać i pomagać w ich domu. Rodzice z pewnością wiedzieli, że Amasa Dempster zabronił mi tam wstępu, ale złożyli to na karb bezrozumnej dumy i zarozumiałstwa dziwaczejącego coraz bardziej pastora. Gdy jednak pani Dempster zaginęła wśród nocy, wszelkie ważne za białego dnia względy straciły moc obowiązującą. W ludziach z tamtych lat żył jeszcze duch pionierów, toteż umieli przystosowywać się do powagi sytuacji.

Skoczyłem po latarkę elektryczną, ojciec właśnie niedawno kupił samochód — krok dość śmiały w ówczesnym Deptford — i w umieszczonej na jego stopniu skrzynce z narzędziami trzymaliśmy dużą latarkę, na wypadek, gdyby nam po ciemku w drodze nawaliła kicha.

Ruszyliśmy w kierunku kopalni, gdzie na krawędzi jaru zebrała się już gromadka mężczyzn; ze zdumieniem zobaczyłem między nimi pana sędziego Mahaffeya. Wraz z policjantem sędzia reprezentował w naszym miasteczku prawo i dlatego obecność jego nadawała całemu wydarzeniu rangę sprawy o znaczeniu publicznym.

Żwirownia stanowiła trudny problem dla naszego miasteczka, ponieważ uniemożliwiała normalne przedłużenie ulic i zabudowy w stronę zachodu, była więc przedmiotem troski i oburzenia rady miejskiej. Należała do spółki kolejowej, która czerpała z niej materiał niezbędny do utrzymania w należytych stanie torów; wydobywany stąd żwir transportowano wzdłuż linii na dość znaczne odległości w obu kierunkach. Nie umiem dokładnie oznaczyć wymiarów kopalni, lecz wykop był wielki, a powszechna niechęć jeszcze go wyolbrzymiała w naszej wyobraźni. Nie eksploatowano żwirowni stale i w przerwach rocznych lub nawet dłuższych panował tu spokój; na dnie utworzyły się kałuże, bo woda przeciekała z pobliskiej rzeki, i rozkrzewił się gąszcz sumaków, łożyny, karłowatych klonów i różne inne bezużyteczne zielska, jak złote różgi i wszelakie chwasty.

Matki nienawidziły żwirowni, bo nieraz zdarzało się, że małe dzieci zabłąkane kaleczyły się na tych wertepach, a podrastający synowie chadzali tam ukradkiem na schadzki z dziewczynami tego pokroju, co Mabel Heighington. Przede wszystkim jednak nie cierpiano żwirowni dlatego, że stanowiła schronienie dla trampów podróżujących na buforach pociągów. Były wśród nich młode, krzepkie chłopaki, byli starzy mężczyźni albo tacy, którzy wyglądali na starców w swoich grubych płaszczach przepasanych postronkiem czy też rzemieniem, w sponiewieranym okropnie kapeluszach, cuchnący brudnymi nogami, potem, kałem i uryną tak, że nawet cap mógłby od tego smrodu zemdleć. Zapijali się aromatycznymi przyprawami i aptecznymi miksturkami, przeznaczonymi do nacierania i zawierającymi sporą dawkę spirytusu. Wszystkie te obieżyświaty kołatały często do drzwi kuchennych prosząc o jedzenie. Ich oczy miały tępy wyraz oszołomienia, charakterystyczny dla ludzi żyjących pod gołym niebem i źle odżywionych. Prawie wszyscy dawali im jedzenie i prawie wszyscy bali się ich jako ludzi żyjących poza prawem.

W późniejszych latach często chwalono mnie albo wyśmiewano za to, że zwykłem dopatrywać się elementów mitycznych na dnie naszych pozornie banalnych przeżyć. Ta moja skłonność niewątpliwie rozwinęła się w znacznej mierze dzięki ponuremu wykopowi naszej żwirowni, która miała pewne charakterystyczne cechy protestanckiego piekła. Byłem najbardziej chyba zachwyconym ze wszystkich słuchaczy kazania, w którym pastor Bowyer opowiedział nam o Gehennie, złowieszczej dolinie za murami Jerozolimy, gdzie osiedlili się wyrzutkowie społeczeństwa i gdzie migoczące ogniska, widoczne z murów miejskich, mogły nasunąć wyobrażenie piekła jako kary wiecznych płomieni. Pastor Bowyer lubił od czasu do czasu szokować parafian i tym razem też ich zaskoczył mówiąc, że nasza żwirownia jest miejscem bardzo podobnym do Gehenny. Starsi uważali, że jest to porównanie zbyt naciągnięte, ale mnie wydawało się zupełnie prawdopodobne, że piekło ma niejako widome filie rozsiane po całej ziemi; kilka takich ziemskich piekieł poznałem rzeczywiście w ciągu mojego życia.

Pod przewodnictwem Jima Warrena i sędziego Mahaffeya uradzono, że piętnastu ludzi zlezie do wykopu, utworzy tyralierę, w której zaledwie dwadzieścia do trzy-

dziestu stóp dzielić będzie poszczególnych członków wyprawy, i w takim szyku ma się posuwać z jednego krańca żwirowni do drugiego. Każdy, kto by natrafił na jakikolwiek ślad zaginionej, zaalarmuje okrzykiem towarzyszy. Maszerowaliśmy dość hałaśliwie, jak sądzę dlatego, że większość z nas wolała uprzedzić o naszym zbliżaniu się przebywających w żwirowni trampów, aby usunęli się z drogi; nikt nie miał ochoty natknąć się zniecacka na ich biwaki, nazywane w miasteczku „dżunglami”, co potęgowało lęk przed nimi. Widzieliśmy tylko dwa ogniska w odległym końcu wądołu, ale mogło być więcej grup trampów, biwakujących bez rozpalania ognia.

Idąc w tyralierze miałem o parę kroków od siebie z prawej strony ojca, a z lewej Eda Haineya, chłopca na schwał. Mimo bliskiej obecności towarzyszy wyprawy, każdy czuł się samotny, a księżyc wprawdzie wzeszedł, lecz był w ostatniej kwadrze i świecił bardzo blado. Bałem się nie wiedząc, czego się właściwie boję, a to jest najgorsza odmiana strachu. Uszliśmy tak ze ćwierć mili, gdy natknąłem się na dużą kępę łożyny; już chciałem ją obejść wokół, gdy spostrzegłem, że w gąszczu coś się porusza. Z gardła wydobył mi się głos — ale jestem pewny, że nie krzyknąłem — i natychmiast ojciec znalazł się przy mnie. Skierował latarkę w środek zarośli i snop światła padł prosto na spółkującą parę ludzką. Mężczyzna przewalił się na wznak i wytrzeszczył na nas przerażone oczy, w kobiecie poznaliśmy panią Dempster.

Teraz Hainey krzyknął i w jednej chwili otoczyła nas gromada ludzi. Jim Warren mierząc z pistoletu w pierś trampa kazał mu podnieść ręce do góry. Powtórzył rozkaz dwa czy może trzy razy, gdy niespodziewanie odezwała się pani Dempster:

— Panie Warren, musi pan do niego mówić bardzo głośno on trochę nie dosłyszy — powiedziała.

Myślę, że wszyscy tak samo jak ja nie wiedzieli, gdzie oczy podziać, gdy tak do nas przemówiła, obciągając na sobie spódnice, ale w dalszym ciągu leżąc na ziemi. W tym właśnie momencie nadszedł pastor Amasa Dempster; nie zauważyłem go dotychczas w naszej grupie, ale musiał niewątpliwie od początku brać udział w wyprawie. Zachował się z wielką godnością, schyliwszy się pomógł żonie wstać gestem równie czułym i opiekuńczym jak wtedy, gdy ich

widziałem na naszej ulicy w noc narodzin Paula. Nie zdołał jednak powstrzymać się od zapytania:

— Mary, dlaczego to zrobiłaś?

Spojrzała mu uczciwie prosto w twarz i powiedziała te dwa zdania, które miały stać się sławne w naszym miasteczku:

— Prosił bardzo uprzejmie. I tak bardzo tego chciał.

Pastor wsunął rękę żony pod swoje ramię i ruszyli w kierunku domu tak, jakby szli na zwykły spacer. Na polecenie sędziego Jim Warren zabrał trampa do aresztu. Pozostali uczestnicy akcji rozpierchli się bez słowa.

11

Wczesnym rankiem w sobotę pastor Dempster odwiedził sędziego Mahaffeya i oświadczył, że nie zamierza składać skargi ani wnosić sprawy do sądu. Wobec tego sędzia po naradzie z moim ojcem i kilku najświetlejszymi obywatelami kazał Jimowi Warrenowi wyprowadzić trampa poza granice miasta i ostrzec go, aby nigdy więcej nie śmiał pokazywać się w naszych stronach.

Wszyscy wiedzieli, że prawdziwa rozprawa odbędzie się w niedzielę. Przez całą sobotę miasteczko wrzało od podniecenia i plotek, a ludzie innych wyznań umierali z ciekawości, co się stanie w niedzielę na nabożeństwie w kościele baptystów. Nasz presbiteriański pastor, Andrew Bowyer, modlił się „za wszystkich strapionych, a w szczególności za znaną nam rodzinę, na którą spadł bolesny cios”. Coś w tym samym duchu mówili pastory w kościołach anglikańskim i metodystów. Tylko katolicki proboszcz, ksiądz Regan, rąbnął z ambony bez ogródek, że żwirownia jest hańbą i niebezpieczeństwem dla miasta i że spółka kolejowa da dowód bezczelności, jeśli jej nie uprzątnie i nie zamknie wreszcie. Ale gdy te słowa doszły do naszych uszu, wiedzieliśmy, że już nie o to chodzi. Pani Dempster dobrowolnie uległa trampowi. W tym było sedno sprawy. Nawet zakładając, że Mary Dempster brakowało piątej klepki, pytano, jak okropnie obłąkana musi być kobieta, żeby posunąć się aż do takiego bezwstydu. Doktor McCausland, do którego na stopniach naszego kościoła zwróciła się

o wyjaśnienia garstka poszukiwaczy prawdy, odpowiedział, że postępek ten świadczy o degeneracji mózgu i że stan chorej będzie zapewne pogarszać się stopniowo w miarę upływu czasu.

Wkrótce dowiedzieliśmy się też, co tej niedzieli powiedział pastor baptystów: wszedłszy na kazalnicę modlił się przez chwilę po cichu, a w końcu oznajmił wiernym, że wybiła godzina, gdy musi zrezygnować z godności ich duszpasterza, ponieważ spadły na niego inne obowiązki, których nie sposób pogodzić ze stanowiskiem pastora. Poprosił parafian, aby modlili się za niego, i odszedł do swojej kancelarii. Wtedy wybitny członek kongregacji, piekarz, zabrał głos i nabożeństwo przeobraziło się w wiec; piekarz wraz z garstką swoich popleczników proponował, aby poprosić Amasę Dempstera o odroczenie decyzji na czas jakiś, ale większość zebranych sprzeciwiła się temu, zwłaszcza kobiety oponowały stanowczo. Co prawda żadna z nich nie przemawiała, lecz wszystko, co miały do powiedzenia, wygarnęły przed nabożeństwem, a ich mężowie znali cenę spokoju w rodzinie. W końcu więc piekarz w asyście dwóch czy trzech innych baptystów musiał iść do kancelarii i zawiadomić Amasę Dempstera, że jego rezygnacja została przyjęta. Opuścił kościół bez żadnych widoków na przyszłość, mając obłąkaną żonę, wątłego syna i sześć dolarów całego majątku. Kilku obywateli miasteczka chciało zorganizować jakąś pomoc dla niego, ale opinia żon do tego nie dopuściła.

W naszym domu wybuchła straszliwa kłótnia, tym bardziej przerażająca, że nigdy przedtem rodzice nie spierali się ze sobą, jeśli wiedzieli, że synowie mogą ich usłyszeć. Wprawdzie za pośrednictwem rury od pieca zdarzyło mi się czasem przyłapać ich na różnicy zdań, nigdy jednak nie prowadziła ona do ostrej sprzeczki. Teraz ojciec zarzucił matce brak miłości bliźniego; na co ona odparła, że jako matka dwóch dorastających chłopców musi bronić zasad przyzwoitości. Taki był sens sporu, ale nim rozpętał się na dobre, na jakimś jego etapie matka powiedziała, że jeśli ojciec staje po stronie rozwiązłości i wiarołomstwa, to widać nie jest człowiekiem, za jakiego miała go wybierając sobie na męża, ojciec zaś odparł, że nie spodziewał się nigdy odkryć w swojej żonie cechy okrucieństwa.

(Ja mógłbym mu coś niecoś na ten temat powiedzieć.) Ta bitwa toczyła się podczas niedzielnego obiadu, a Willie, chociaż z natury bardzo powściągliwy, cisnął wreszcie serwetę na stół i krzyknął: „Och, do stu piorunów!” — po czym wybiegł z pokoju. Nie odważyłem się pójść za jego przykładem i byłem do końca niemym, zrozpaczonym świadkiem rozpalającego się coraz gwałtowniej gniewu obojga rodziców.

Oczywiście matka zwyciężyła. Gdyby ojciec nie ustąpił, musiałby współżyć z wcieleniem obrażonej kobiecej cnoty bardzo długo, kto wie, czy nie przez resztę swoich dni. Jednakże, jak mi się zdaje, matka nigdy odtąd nie wyzbyła się podejrzania, że jego moralna nieskazitelność nie jest tak doskonała, jak sądziła w młodości. Pani Dempster przekroczyła granice strefy, w której można by rozróżnić odcienie złego i dobrego. Na dobitkę znalazła zupełnie niemożliwe do przyjęcia usprawiedliwienie swojego postępuku!

To właśnie stało ością w gardle wszystkich szanujących się pań z Deptford.

Pani Dempster nie została zgwałcona, co mogłoby się przytrafić cnotliwej kobiecie, lecz uległa dobrowolnie żądzy mężczyzny. Sprawa była zbyt drastyczna, aby o niej dyskutować nawet z najbliższymi przyjaciółmi, ale bez słów rozumiało się, że gdyby kobiety oddawały się każdemu, kto ma na to ochotę, instytucja małżeństwa i porządek społeczny musiałyby się wkrótce zawalić. Mężczyzna, który by stanął w obronie pani Dempster, byłby poczytany za zwolennika wolnej miłości. W każdym razie za człowieka, dla którego sprawy płci kojarzą się z przyjemnością, a to wystarczało, aby go zaliczyć do kategorii takich plugawych rozpustników, jak Cece Athelstan.

Cecil Athelstan — popularnie zwany Cece — był czarną owcą rodziny panującej nad naszym miasteczkiem. Ten grubas z obwisłym brzuchem i pijak siadywał w dni pogodne na krześle przed barem Tecumseh House, a jeśli pogoda nie sprzyjała, na tym samym krześle w barze. Co miesiąc po otrzymaniu pensji jeździł na noc lub dwie do Detroit, za granicę Kanady, gdzie, wedle własnych przechwałek, był duszą i ulubieńcem tamtejszych burdeli. Darmozjad z niewyparzoną gębą imponował jednak doświadczeniem i wrodzonym dowcipem garstce łazików, którzy garnęli się do niego, a zabawne niekiedy powiedzonka Cece

powtarzali i cytowali nawet ludzie nie pochwalający jego trybu życia.

Odpowiedź pani Dempster była istną gratką dla takiego dowcipnisia jak Cece.

— Hej! — wykrzykiwał do przechodzącego po drugiej stronie ulicy kumpla. — Czy dzisiaj czujesz się uprzejmy? Bo ja tak cholernie jestem uprzejmy, że muszę nie czekając ani chwili jechać do Detroit... albo pójść po prostu do wiadomej osoby...

Czasem też do wychodzącej z hotelu naprzeciw baru szanownej kobiety wołał melodyjnie i tak głośno, aby musiała dosłyszeć:

— Bardzo chcę tego! Oj, Cora, okropnie mi się zachciało!

Co najdziwniejsze, wybryki tego notorycznego błazna wyjaskrawiały jeszcze bardziej nieprzyzwoitość postępku pani Dempster, lecz nie szkodziły w opinii miasta Cece Athelstanowi, może dlatego, że nic już nie miał do stracenia.

W szkole kilku chłopaków zanudzało mnie, abym opowiedział im ze wszelkimi szczegółami, co widziałem w żwirowni. Kolegom umiałem zamykać usta, ale Cece i jego banda znajdowali się oczywiście poza zasięgiem mojej władzy. To właśnie Cece z gromadką durniów i braćmi Harperami (którzy powinni by okazać więcej rozsądku) zorganizował kocią muzykę, gdy Dempsterowie przeprowadzili się. Amasa Dempster opuścił probostwo baptystów we wtorek, w dwa dni po złożonej rezygnacji, zabierając żonę i syna do małego domku, który stał przy drodze do szkoły. Meble na probostwie należały do kongregacji, więc Dempsterowie nie mieli wiele rzeczy do przewiezienia, ale grupa ludzi, którzy nie mogli ścierpieć widoku ich niedostatku, dostarczyła trochę najpotrzebniejszych sprzętów do nowego mieszkania, działając jednak dyskretnie, aby nazwiska ofiarodawców pozostały nieznane. (Wiem, że ojciec dał na ten cel pewną sumę pieniędzy, ale zrobił to w ścisłym sekrecie.)

O północy banda łobuzów z umazanymi sadzą twarzami przez pół godziny waliła w patelnie i dęła w trąby pod ich oknami; ktoś nawet rzucił zapaloną miotłę na dach, ale noc była dżdżysta i nie doszło do pożaru. Na pół miasta rozlegał się głos Cece wrzeszczący: „Wyjdz no, Mary! My tu bardzo tego chcemy!” Cieszyłbym się, gdybym mógł

napisać, że Amasa Dempster pokazał się na ganku i stawił czoło napastnikom, ale nic podobnego nie zrobił.

Nigdy nie widziałem drugiego człowieka, który by tak bardzo się zmienił w tak krótkim czasie. Dempster już przedtem był chudy i osamotniony, ale jego oczy zdawały się płomienne. Po dwóch tygodniach wyglądał teraz jak strach na wróble. George Alcott, właściciel tartaku, dał mu posadę księgowego i nadzorcy, zapisującego przepracowane godziny, z płacą dwunastu dolarów tygodniowo, dość dobrą za tego rodzaju czynności; dochody Dempsterów właściwie poprawiły się trochę w stosunku do poprzednich, bo nikt już od nich nie żądał dziesięciny na kościół; ale Dempstera złamała utrata pozycji społecznej i pohańbienie. Przedtem był pastorem, spełniał najmiłsze swojemu sercu zadania, teraz stał się we własnych oczach niczym, a w dodatku bał się z pewnością najgorszego losu dla żony.

Nikt nie wiedział, co między nimi zaszło, ale nie widywało się pani Dempster na mieście, i tylko bardzo rzadko pokazywała się w ogródku przed domem. Krążyły pogłoski, że mąż uwiązuje ją na długim powrozie tak, że może się swobodnie poruszać po mieszkaniu, lecz nie może wyjść za próg. W niedzielne ranki Amasa prowadził ją pod rękę do kościoła baptystów, gdzie siadali w ostatnim rzędzie ławek, ani przed nabożeństwem, ani po nim nie rozmawiali z nikim. Mary Dempster wyglądała naprawdę dziwnie i ludzie mówili, że nie wiadomo, czy przedtem była wariatką, lecz teraz na pewno nią się stała.

Przekonałem się, że to nieprawda. Po kilku tygodniach przygnębienia z powodu małomiasteczkowych plotek, zakradłem się pewnego dnia do ogrodu Dempsterów i zajrzałem przez okno. Siedziała na krześle przy stole patrząc przed siebie bezmyślnie, ale gdy zapukałem w szybę, odwróciła głowę i uśmiechnęła się poznając mnie od razu. Błyskawicznie znalazłem się w pokoju i po krótkiej chwili pierwszego zakłopotania nawiązaliśmy ożywioną rozmowę. Trochę zdziwaczała pod wpływem samotności, odpowiadała jednak zupełnie rozsądnie, a ja miałem dość oleju w głowie, żeby trzymać się neutralnych tematów. Okazało się, że pani Dempster nic nie wie o tym, co dzieje się na świecie, bo nie prenumerowali żadnej gazety.

Odtąd bywałem znów u niej parę razy na tydzień przynosząc gazetę codzienną lub numer naszego „Sztandaru

Deptford” i czytałem pani Dempster wiadomości, które mogły ją zainteresować, a poza tym opowiadałem o miejscowych wydarzeniach. Paul często siedział razem z nami, bo z reguły nie bawił się z innymi dziećmi; dla niego też robiłem, co mogłem. Zapadła między nami milcząca umowa, że Amasa Dempster nie może dowiedzieć się o moich wizytach; w dalszym ciągu obawiał się mojego zgubnego wpływu.

Decydując się na te tajne odwiedziny — bo matka wpadłaby pewnie w furję, gdyby rzecz się wydała, a nikt z sąsiadów, gdyby mnie spostrzegł skradającego się do domku byłego pastora nie utrzymałby z pewnością języka za zębami — miałem nadzieję, że uda mi się w jakiś sposób pomóc pani Dempster, ale prędko musiałem przyznać, że to ona mnie pomaga. Nie wiem, jak to wyrazić, ale była doprawdy mądrą kobietą i chociaż miała wtedy ledwie dwadzieścia sześć lat — o dziesięć więcej niż ja — wielkoduszność jej poglądów i jasność wizji wydawały mi się niepospolite i wspaniałe. Nie mogę przypomnieć sobie konkretnych przykładów, które by dobrze ilustrowały, co mam na myśli, i nie rozumiałem wówczas, na czym polega wyróżniająca ją od innych ludzi cecha, lecz dzisiaj wiem, że zdumiewała mnie i podnosiła na duchu jej całkowita wolność od strachu, od niepokojącego przekonania, że to wszystko, co się zdarzyło, musi nieuchronnie pociągnąć za sobą jeszcze gorszą sytuację. Nie była taka na początku naszej znajomości, po urodzeniu Paula, ale teraz widzę, że już wtedy przejawiała skłonności do takiej postawy. Kiedy śmiała się z rzeczy, które mąż jej traktował nadzwyczaj serio, rozśmieszała ją dysproporcja jego poglądów, ale w Deptford łatwo było ten jej śmiech uznać za bezrozumny chichot wariatki.

Fałszowałbym prawdę dopatrując się w tej postawie jakiejś filozofii, jej źródłem była raczej religia. Pani Dempster była na wskroś religijna. Nie nazywam jej „głęboko” religijną, bo tak określano jej męża, co miało znaczyć, jak się zdaje, że wszystko, co myślał lub z czym się stykał, przesiąknięte było religią, a właściwie jego własnym o niej wyobrażeniem. Ale Mary Dempster, uwiązana na powrozie w małym domku, bez przyjacół — jeśli nie liczyć mnie — zdawała się żyć w świecie ufnosci nie mającej nic wspólnego z religijnością udręczoną, skostniałą i nieistotną. Mary

Dempster wiedziała, że w oczach świata okryła się hańbą, ale nie czuła się zhańbiona; wiedziała, że ludzie z niej drwią, ale nie czuła się upokorzona. Żyła światłem płynącym z wewnętrznego źródła. Nie mogłem jego natury pojąć, zdawało mi się jednak pokrewne cudownościom, o których czytałem w książkach, chociaż wcale nieksiążkowe. Jak gdyby pani Dempster była wygnanką z krainy, gdzie pojmo-owano wszelkie życiowe sprawy na jej sposób, a chociaż martwiła się, że ludzie z Deptford nie mogą jej zrozumieć, nie miała do nich urazy. Gdy przełamało się mur jej nieśmiałości, można było przekonać się, że ma własne i zdecydowane zdanie o różnych rzeczach, ale najbardziej zadziwia-ł w niej brak strachu.

Tyle dobrego da się powiedzieć o pani Dempster. Wolę nie wspominać o nieporządku i niewygodach panujących w jej domu; mały Paul, chociaż kochany i pieszczony przez matkę, wyglądał żałośnie i robił wrażenie dziecka zaniedbanego. Może jednak był to częściowy obłęd, ale tylko częściowy, bo dzięki tamtym innym, lepszym cechom charakteru pani Dempster wносиła pociechę i poczucie bezpieczeństwa w moje życie, któremu dotkliwie tego brakowało. W końcu nie widziałem już sznura przykuwającego ją do domu (wyglądało to jak uprząż opasująca talię i barki konopnym powrozem, który cuchnął stajnią i przymocowany był supłem do pierścienia po jednej stronie tak, że mogła położyć się, jeśli miała ochotę); nie widziałem już także łachmanów, w których chodziła, i nie zwracałem uwagi na zdarzające się niekiedy momenty zaćmienia umysłu. Uważałem ją za swoją najserdeczniejszą przyjaciółkę, a łączący nas sojusz za główny korzeń dostarczający mi życiodajnych soków.

Mimo tak wielkiej przyjaźni nigdy nie mogłem zagadnąć ją o epizod z trampem. Staralem się wymazać z pamięci widok, tak koszmary w moich wizjach, który ukazał mi się w owej chwili, gdy odnalazłem ją w żwirowni: obnażone pośladki i cztery nogi dziwacznie ze sobą splątane — ale nie mogłem tego zapomnieć. Po raz pierwszy wówczas zetknąłem się z tą szczególną rzeczywistością, którą moja religia, wychowanie i prymitywny romantyzm usposobienia kazały mi brzydzić się jako czymś nieprzyzwoitym. A więc Mary Dempster przedstawiała też zagadkę niedostępną mojemu umysłowi, a ponieważ byłem młody i nie chciałem

przyznać, że mogą być rzeczy, których nie pojmuję, czy też nie jestem zdolny pojąć, doszedłem do wniosku, że ten zagadkowy element w jej psychice należy ochrzcić mianem obłądu.

12

Następny rok przeżyłem pracowicie i z wyjątkiem wizyt u pani Dempster bardzo samotnie. Koledzy szkolni przezywali mnie drwiąco „wszechwiedzącym”, a ja z charakterystyczną przewrotnością cieszyłem się z tego przezwiska. Wertując słowniki odkryłem, że wśród ludów, ceniących wiedzę i kulturę, wszechwiedzących nazywano „polymathami”, i aby stać się naprawdę polymathą, zabrałem się do nauki z nie mniejszym entuzjazmem niż kiedyś do mozolnych ćwiczeń w magii. Teraz miałem o wiele łatwiejsze zadanie: po prostu w naszej bibliotece miejskiej czytałem encyklopedię. Była to encyklopedia Chambersa z roku 1888. Oczywiście nie łudziłem się, że zdołam przeczytać ją od deski do deski, wybierałem jedynie artykuły, które mnie interesowały, a gdy trafiłem na coś szczególnie pociągającego, wyszukiwałem wszystkie inne, które w jakiś sposób dotyczyły danego zagadnienia. Ślezczałem nad tą księgą z wytrwałością, na jaką dziś już niestety nie potrafiłbym się zdobyć, i chociaż nie stałem się w pełni polymathą, wbiłem sobie do głowy dostateczną ilość informacji, aby nudzić i drażnić otoczenie.

W tym okresie poznałem też lepiej mojego ojca, bo od czasu wyprawy po zaginioną panią Dempster do żwirowni on sam dokładał starań, żeby się ze mną zaprzyjaźnić. Był człowiekiem inteligentnym i na sposób tradycyjny dobrze wykształconym; uczył się za lat chłopięcych w Dumfries Academy, opanował nabyty zasób wiedzy z dokładnością, której mu nieraz zazdrościłem; jemu i tylko jemu zawdzięczam, że studiowanie łaciny przestało być dla mnie pokutą, bo ojciec stanowczo twierdził, że bez znajomości łaciny nie można pisać klarownie po angielsku.

Czasem, gdy w niedzielę spacerowaliśmy wzdłuż torów kolejowych, przyłączał się do nas Sam West, elektrotechnik, ale umyślowo znacznie przekraczający wąskie granice swojego zawodu. W latach chłopięcych zmuszono go

do studiowania Biblii; w rezultacie nie tylko cytował swobodnie jej teksty z pamięci, ale znał i z satysfakcją wytykał wszystkie sprzeczności i nonsensy, jakie można w nich znaleźć. Był bezwzględny wrogiem religii i Kościołów, a pomstując na nie zapożyczał gromów z języka Starego Testamentu. Przestrzegał w całym postępowaniu nieskazitelnej uczciwości, żeby udowodnić niewolnikom kleru i zabobonów, iż moralność jest niezależna od religii; od czasu do czasu chodził na nabożeństwa do różnych kościołów w naszym mieście, aby zmierzyć się intelektualnie z kaznodzieją i unicestwić jego argumenty. Bystro obserwował, każdego z nich umiał naśladować, a najlepiej naszego presbiteriańskiego pastora, Andrew Bowyera. „Weź, o Panie, rozżarzony węgiel z ołtarza Twego i dotknij nim warg moich!” — wykrzykiwał imitując dystyngowany akcent wielebnego Bowyera, a potem rycząc ze śmiechu dodawał: „Ciekawe, jaką miałyby minę, gdyby jego modlitwa została wysłuchana!”

Jeśli miał nadzieję zrobić ze mnie ateistę, to grubo się mylił. Znałem się na metaforach i wolałem je od logicznych dowodów. Od czasów Sama spotkałem wielu ateistów w życiu i wszyscy oni potykali się na metaforach.

W szkole zachowywałem się niezdolnie, bo ojciec należał teraz do zarządu szkoły doksztalającej, zadzierałem więc nosa i czułem się niemal równie ważny jak nasza nauczycielka, co ją musiało mocno irytować. Chciałem o wszystkim dyskutować, każdy temat rozszerzać i w ogóle zamieniać lekcje w sokratesowe dialogi, zamiast przerabiać stopniowo materiał przewidziany w programie. Prawdopodobnie wytrącałem nauczycielkę z równowagi, jak to potrafi uczeń nadziany mnóstwem świeżych, fermentujących w jego mózgu wiadomości. W późniejszych latach miałem do czynienia z niezliczonymi odmianami własnego młodzieńczego zarozumiałstwa i nieraz w duchu przepraszałem dawnych nauczycieli za swoją ówczesną dokuczliwość.

Wraz ze mną dorastali moi rówieśnicy. Leola Cruikshank rozkwitła na miejscową królową piękności i uchodziła za dziewczynę Percy'ego Boyda Stauntona. Pajęczycza w dalszym ciągu podziwiała mnie, a ja pozwalałem jej łaskawie uwielbiać się z należytej odległości. Milo Papple odkrył, że samo puszczanie bąków nie wystarcza do zdobycia sukcesów towarzyskich, więc nauczył się kilku

innych dowcipów od przejezdnych komiwojażerów, goliących się w razurze jego ojca, dzięki czemu zyskał nową pozycję w naszym świecie. W owych latach uważano, że nie ma nic zabawniejszego niż parodie popularnych piosenek, ilekroć też rozmowa zaczynała kuleć, Milo wyspie-
wywał:

Ja miałem dwa podbródki,
Obwisłe i duże,
A ty miałaś nosek
Czerwony jak różę.

Albo też:

Śni mi się jasnowłosa,
Prześliczna dziewczyna,
Jak pijana w wygódce
Majtki rozpina.

Były to z reguły krótkie fragmenty i Milo liczył, że zanim dokończy zwrotki, publiczność wybuchnie niepohamowanym śmiechem. Ja jednak, dokuczliwy po swojemu, nalegałem zazwyczaj, aby zaśpiewał ciąg dalszy; Milo mnie za to oczywiście znienawidził. Miał poza tym w repertuarze fraszki o cuchnących nogach, przyjmowane wdzięcznie na zabawach towarzyskich. Ale ja nie śmiałem się, ponieważ byłem zazdrosny o każdego, kto zaćmiewał mnie dowcipem. Niestety moje żarty były tak skomplikowane, że nie bawiły nikogo prócz Pajęczycy, która naturalnie nic z nich nie rozumiała.

Wielką sensacją tamtej wiosny stało się przyłapanie Percy'ego Boyda Stauntona na gorącym uczynku z Mabel Heighington; matka dziewczyny wytropiła ich w niedwuznacznej sytuacji w stodole Stauntonów. Była to drobna, niechlujna, rozhisteryzowana kobieta, mocno podejrzanej konduity, słomiana wdowa od kilku lat. Zmusiła doktora Stauntona, żeby ją przyjął niezwłocznie, chociaż właśnie układał się do małej poobiedniej drzemki, a to, co mu wtedy wygarnęła, powtarzała tak często na ulicach naszego miasta, że słyszałem jej replikę wiele razy. Jeżeli doktor myśli, że syn bogatego lekarza może bezkarnie sponiewierać i potem rzucić na śmietnik jedyną córkę biednej wdowy, to Bóg świadkiem, ona mu pokaże, jak grubo się myli. Każdy ma swój honor, ona także. Czy ma natych-

miast iść do pana Mahaffeya i wnieść skargę do sądu, czy też doktor Staunton woli ją poprosić, żeby usiadła, i dogadają się po ludzku?

Co znaczyło dogadanie się po ludzku, pozostało tajemnicą. Niektórzy twierdzili, że pięćdziesiąt dolarów, inni, że sto. Pani Heighington nie ujawniła dokładnej sumy. Znaleźli się co prawda, ludzie, którzy mówili, że dwadzieścia pięć centów byłoby wygórowaną zapłatą za cnotę Mabel; podobno spotykała się regularnie na pół godzinki z hamulcowym pociągu towarowego, przystającego w pobliżu zwierowni co piątek, i obdarzała kolejarza swoimi łaskami na stosie worków w jednym z wagonów; zadawała się też z paru robotnikami rolnymi pracującymi w okolicy, niedaleko Rezerwatu Indian. Ale doktor Staunton miał pieniądze — podobno całe góry — bo z biegiem lat zgromadził w swoim ręku duże posiadłości ziemskie i robił dobre interesy na plantacjach tytoniu oraz buraków cukrowych, których uprawa właśnie w tym czasie zaczęła się bardzo opłacać. Praktyka lekarska grała w jego działalności podrzędną rolę i nie porzucił jej tylko ze względu na związany z tym zawodem prestiż. Bądź co bądź był lekarzem i gdy pani Heighington oznajmiła mu, że w razie, gdyby Mabel urodziła dziecko, spodziewa się stosownego zadośćuczynienia, doktor Staunton musiał boleśnie odczuć tę pogroźkę.

W naszym miasteczku ta historia miała posmak skandalu w najwyższych sferach. Jedne kobiety manifestacyjnie litowały się nad panią Staunton, inne obwinały ją, że rozpuściła synalka. Wielu mężczyzn uznało Percy'ego Boyda za młodocianego bezwstydnika, lecz banda Cece Athelstana oklaskiwała go jako „równego chłopaka”. Ben Cruikshank, krzepki stolarz, zatrzymał Percy'ego na ulicy i zapowiedział, że porachuje mu wszystkie kości, jeśli ośmieli się kiedykolwiek zbliżyć do Leoli. Leola przez kilka dni chodziła zapłakana i ludzie w mieście wiedzieli, że dziewczyna nie może pocieszyć się po stracie Percy'ego i gotowa mu jest wszystko przebaczyć, co mnie pobudzało do cynicznych refleksji na temat kobiet. Najgorliwsi moralizatorzy przypominali incydent z panią Dempster i mówili, że wobec takiego prowadzenia się małżonki pastora nie należy dziwić się młodzieży, którą zły przykład sprowadził na manowce. Doktor Staunton nie wyjawiał własnej opinii, ale wkrótce rozeszła się wieść, że postanowił wyprawić sy-

na do szkoły odległej od naszego miasteczka, aby matka nie mogła w dalszym ciągu psuć go swoją pobłażliwością. W takich więc okolicznościach, Panie Dyrektorze, Percy Boyd Staunton stał się uczniem Colborne College, a z czasem wybitnym byłym wychowankiem tej uczelni oraz prezesem jej rady zarządzającej.

13

Jesień roku 1914 zapisała się w pamięci większości ludzi na świecie jako data wybuchu pierwszej wojny światowej, lecz w Deptford niemal równie ważnym wydarzeniem była choroba mojego brata, Willie'ego.

Willie już od czterech lat często niedomagał. Zaczęło się to od wypadku w drukarni, gdy pewnego razu spróbował bez niczyjej pomocy dźwignąć wałki dużej prasy, tej, na której drukowało się nasz tygodnik. Sam Skoczek nie przyszedł wtedy, bo miał trening miejscowej drużyny baseballowej. Wałki były niezbyt ciężkie, ale bardzo nieporęczne; jeden z nich spadł na Willie'ego i przewrócił go. W pierwszej chwili zdawało się, że Willie wyszedł z tego bez szwanku, oprócz dużego sińca na plecach, ale po jakimś czasie zaczął chorować i cierpiał na ataki ostrych bólów w krzyżach. Doktor McCausland niewiele mógł poradzić. O rentgenie jeszcze wtedy nikt nie słyszał w naszych stronach i nie znano tak powszechnie dzisiaj stosowanych metod badań diagnostycznych. Rodzice kilkakrotnie wozili mego brata do Pittstown, gdzie praktykował pewien kręgarz, ale on sam wkrótce odmówił prowadzenia w dalszym ciągu kuracji, ponieważ zabiegi okazały się zanadto dla pacjenta bolesne. Jednakże aż do jesieni 1914 roku napady choroby ustępowały zawsze po kilku dniach leżenia w łóżku, lekkiej diety i lektury przygód detektywa Sextona Blake'a na pociechę.

Tym razem Willie rozchorował się do tego stopnia ciężko, że niekiedy tracił przytomność i majaczył. Najbardziej dramatycznym objawem — o którym w miasteczku mówiło się tylko szeptem — było uporczywe zatrzymanie moczu, pogarszające cierpienia chorego. Doktor McCausland wezwał z Toronto specjalistę — co wzbudziło żywe zaniepokojenie wśród sąsiadów — lecz specjalista także niewiele

miał do powiedzenia, zalecił tylko zanurzenie pacjenta co cztery godziny w gorącej kąpeli i wyraził nadzieję, że to może przynieść choremu pewną ulgę. Nie proponował jeszcze operacji, bo w tamtych latach usunięcie nerkki było ostatecznością niezmiernie groźną.

Gdy wiadomość o zaleceniu specjalisty obiegła miasteczko, natychmiast zaczęli zgłaszać się do nas ochotnicy, gotowi pomagać w kąpaniu chorego. Kąpiele oczywiście były zabiegiem bardzo kłopotliwym, nie mieliśmy bowiem łaźienki, lecz tylko przenośną wannę, którą stawiało się przy łóżku i napełniało gorącą wodą dzwiganą wiadrami z kuchni. Już wspominałem, że mieszkańcy Deptford mieli dobre serca, a najlepiej rozumieli praktyczne formy sąsiedzkiej pomocy. Myśl o sześciokrotnej w ciągu każdej doby fizycznej facytynie nie mogła ostudzić ich dobrych chęci. Należał do tej grupy także nowy pastor presbiteriański Donald Phelps (następca starego Bowyera, który w 1914 roku wycofał się na emeryturę), choć jeszcze mało żyty z otoczeniem, a co jeszcze bardziej zdumiewające — Cece Athelstan, zawsze najzupełniej trzeźwy w porach swoich dyżurów. Wyciągnięcie Willie'ego z ciężkiej opresji stało się zadaniem społecznym.

Kąpiele rzeczywiście przynosiły, jak się zdawało, pewną ulgę biedakowi, ale puchlina, spowodowana zatrzymaniem moczu w organizmie, potęgowała się coraz bardziej. Leżał już od dwóch tygodni, gdy nadszedł dzień Jesiennego Kiermaszu przynosząc nowe szczególne kłopoty. Ojciec musiał uczestniczyć w tej imprezie, nie tylko dlatego, że trzeba było napisać reportaż z niej dla naszego tygodnika, ale także jako członek zarządu szkoły dokształcającej i z tego tytułu sędzie dwóch czy trzech konkursów. Udział mojej matki także był przewidziany, a przez nią samą bardzo upragniony, ponieważ panie z parafialnego Kółka Dobroczyńności urządzały bufet potraw z drobiu, a matka słynęła jako dobra organizatorka i mistrzyni sztuki kulinarnej. Mężczyźni, którzy mieli wykopać Willie'ego o szóstej, zdążą przyjść punktualnie, ale kto posiedzi przy chorym przez całe popołudnie? Podjąłem się chętnie tego obowiązku. Wolałem nawet pójść na kiermasz dopiero po kolacji, gdy zabawa bywała najweselsza wśród romantycznych ciemności.

Od drugiej do trzeciej siedziałem w pokoju chorego

czytając; przez następne pół godziny starałem się ratować go, jak umiałem, kiedy umierał. Niewiele mogłem dla niego zrobić. Gdy zaczął się rzucać w gorączce, położyłem mu zimny kompres na czole. Wił się w pościeli i jęczał, więc trzymałem go za ręce i mówiłem wszystko, co, jak mi się zdawało, mogło go uspokoić. Ale już mnie nie słyszał, rzucał się coraz gwałtowniej w ataku konwulsji. Kilka razy krzyknął — nie gniewnie, lecz spazmatycznie — i w ciągu paru minut ostygł, stał się okropnie zimny. Chciałem biec po lekarza, ale nie śmiałem zostawić brata samego. Przytknąłem ucho do jego serca: cisza. Próbowałem wymacać tętno. Daremnie. Wiem na pewno, że Willie nie oddychał, bo pobiegłem po lusterko matki i trzymałem je przez długą chwilę na jego wargach, ale najłżejsza nawet mgiełka nie pokazała się na szkłe. Podniosłem jedną powiekę: zobaczyłem gałkę oczną nieruchomą, odwróconą białkiem do góry. Wtedy zrozumiałem, że Willie umarł.

Łatwo dzisiaj mówić, co powinienem był wtedy zrobić. Ja mogę tylko opowiedzieć, co zrobiłem. Od katastrofalnego wstrząsu, jakim było uświadomienie sobie śmierci brata — psychologicznie równoznaczne z nagłym zawaleniem się domu nad moją głową — prędko przeszedłem do gwałtownego buntu. Willie nie mógł umrzeć. Niemożliwe. Nie zgadzam się na to. Ani przez chwilę nie myślałem o sprowadzeniu doktora McCauslanda (nigdy go nie lubiłem, chociaż w rodzinie traktowano go ze zwyczajowym szacunkiem), lecz puściłem się pędem po panią Dempster.

Dlaczego? Nie wiem. Nie był to wynik rozumowania ani świadomej decyzji. To pamiętam, że biegłem w upale jesiennego popołudnia i że biegnąc słyszałem dolatującą nikłą muzykę karuzeli. W naszym mieście nie ma wielkich odległości, toteż droga do domu Dempsterów nie zajęła mi więcej niż trzy minuty. Drzwi były zaryglowane. Oczywiście Amasa zabrał małego Paula na kiermasz. Wlazłem przez okno, przeciąłem powróż, wyjaśniłem pani Dempster, czego od niej chcę, wyciągnąłem ją przez to samo okno, ale wszystko to działo się w tak gorączkowym podnieceniu, że szczegóły zatarły się w mojej pamięci. Jeśli nas ktoś widział, musieliśmy wyglądać bardzo dziwnie, gdy tak pędziliśmy przez ulice trzymając się za ręce. Pani Dempster zakasała suknię gestem małej dziewczynki; dorosła

kobieta na pewno by tego nie zrobiła, gdyby jej się nie udzieliło moje wzburzenie.

Bardzo dokładnie natomiast zapamiętałem dalszy ciąg wydarzeń, od chwili gdy weszliśmy do pokoju, w którym leżał Willie, to znaczy w sypialni rodziców, bo tam umieszczono chorego, aby mu zapewnić możliwie najlepsze warunki. Zastaliśmy go w takim samym stanie, w jakim go pozostawiłem, leżał zimny, blady i sztywny. Pani Dempster przyjrzała mu się w poważnym skupieniu, ale bez smutku, uklękła przy łóżku, wzięła go za rękę i zaczęła się modlić. Nie wiem dokładnie, ile czasu to trwało, z pewnością jednak nie dłużej niż dziesięć minut. Co do mnie, nie byłem zdolny do modlitwy i nie ukląknęłam. Patrzyłem tylko i miałem nadzieję.

Po jakimś czasie podniosła głowę i wymówiła jego imię: „Willie!” — cichym, niezmiernie łagodnym tonem, prawie wesoło. Nadzieja niemal rozsadzała mi serce. Potrząsnęła lekko rękę, jakby budziła śpiącego, i powtórzyła: „Willie!”

Willie westchnął i poruszył nogami. Zemdlałem.

Kiedy odzyskałem przytomność, pani Dempster siedziała na brzegu łóżka i spokojnie, pogodnie mówiła do mojego brata, a on jej odpowiadał słabym, lecz żywym głosem. Zakrzętałem się prędko, przyniosłem ręcznik, żeby obmyć mu twarz, podałem napój z pomarańczy i białka, który pozwalano mu pić w małych ilościach, wachlarzem poruszałem powietrze, żeby ułatwić mu oddech — słowem, na wszelkie możliwe sposoby starałem się pomóc choremu i dać ujście własnej szalonej radości. Wkrótce potem Willie usnął, a my z panią Dempster rozmawialiśmy szeptem. Pamiętam, że była głęboko zadowolona, ale wcale, jak się zdawało, nie zaskoczona tym, co się stało. Ja za to paplałem jak wariat.

Rachunek czasu tego popołudnia dziwnie mi się płące, bo miałem wrażenie, że zaraz potem przyszli sąsiedzi, żeby przygotować wannę dla Willie'ego na godzinę szóstą, więc musiało to być w pół do szóstej. Zdziwiła ich obecność pani Dempster, ale niezwykle sytuację narzucają często szczególny taktowny sposób bycia, i gdy minęło pierwsze zdumienie, nikt już nic więcej na ten temat nie powiedział. Willie domagał się, żeby stała przy nim, gdy go zanurzono w kąpeli, a potem pomagała go wycierać, co trzeba było robić bardzo delikatnie, bo całe ciało miał obolałe. Toteż przypuszczam,

że było już około wpół do siódmej, gdy rodzice wrócili do domu, a z nimi razem zjawił się Amasa Dempster. Nie wiem, jakiej sceny spodziewałem się wówczas; chyba tylko coś w stylu biblijnym wydawałoby mi się stosowne w tych okolicznościach. Nic podobnego jednak nie zdarzyło się, Amasa Dempster po prostu wsunął rękę żony pod swoje ramię ruchem, który tylekroć już przedtem widziałem, i wyprowadził ją z naszego domu. W progu pani Dempster przystanęła, odwróciła się i przesłała Willie'emu dłonią od ust pocałunek. Ten gest zobaczyłem wtedy po raz pierwszy w życiu i wydał mi się bardzo piękny; nigdy nie widziałem twarzy matki równie zaszępionej jak w owym momencie.

Kiedy Dempsterowie odeszli, podobnie jak i dwaj pomocnicy, którzy nie przyjęli proponowanego poczęstunku, zadowolając się podziękowaniem (tylko mężczyźni z nocnej zmiany, o drugiej i szóstej rano, uważali, że wypada im napić się kawy i zjeść sandwicza), w pokoju na dole rozegrała się scena równie dla mnie okropna, chociaż nie tak długotrwała, jak moje późniejsze wojenne przeżycia.

Jak mogłem nie wezwać natychmiast doktora McCauslanda i rodziców, gdy dostrzegłem pierwsze sygnały niebezpieczeństwa? Co, na Boga, strzeliło mi do głowy, żeby sprowadzać tę kobietę, zwyrodniałą wariatkę, nie tylko do rodzinnego domu, ale wręcz do wezłowania brata, tak ciężko chorego? Cyniczne brednie, które wygaduję, i zarozumiałe pozy, które przybieram, są chyba dowodem, że ja także jestem upośledzony na umyśle. Skąd się wzięła ta poufna zażyłość z Mary Dempster, o której smutnym stanie wszystkim wiadomo? Jeśli ślęczenie nad książkami prowadzi do takich skutków, najwyższy czas zaprząć mnie do jakiegóż uczciwej pracy, żeby mi się odechciało głupstw.

Głos należał głównie do matki, która w rozmaitych odmianach powtarzała te i podobne zarzuty, aż w końcu głowa pękała mi od słuchania ich. Teraz wiem, że jej gniew w dużym stopniu wypływał z poczucia własnej winy, bo nie mogła sobie darować, że jej wtedy nie było w domu, że popisywała się swoimi talentami w Kółku Dobroczynności zamiast czuwać przy łóżku chorego syna, jak nakazywał obowiązek. To pewne, że całą winę zwała na mnie, a ojciec jeszcze coś niecoś dołożył od siebie, chociaż z mniejszą zawziętością; poparł matkę, bo czuł się do tego zobowiązany, ale bez głębszego przekonania.

Awantura trwałaby zapewne długo, dopóki wszyscy troje nie wyczerpalibyśmy resztek sił, gdyby nie przerwało jej zjawienie się doktora McCauslanda: był u chorego gdzieś na wsi i dopiero teraz wrócił do miasta. Wniósł swoją własną specyficzną atmosferę, chłodną i przejmującą mrozem, nasyconą zapachem środków dezynfekcyjnych. Lekarz przyjrzał się uważnie Willie'emu. Potem wziął mnie na spytki. Egzaminował mnie szczegółowo z objawów, jakie zaobserwowałem u Willie'ego; pytał, jak zachowywał się przed śmiercią. Bo ja obstawałem przy twierdzeniu, że Willie umarł naprawdę. Nie miał tętna i nie oddychał.

— Ale ręce trzymał zaciśnięte w pięści? — spytał doktor McCausland. Przytaknąłem i nawzajem zapytałem, czy to dowodzi, że nie umarł.

— Oczywiście — odparł doktor. — Gdyby był umarł, nie mógłbym z nim przed chwilą rozmawiać. Myślę, Dunny, że możesz polegać na mojej opinii w tej kwestii — dodał z uśmiechem, który zapewne miał wyrazić dobroć, i zaczął wyjaśniać rodzicom, że był to silny atak konwulsji. Zaciśnięte pięści to jeden z symptomów takiego ataku; nic dziwnego, że osoba niedoświadczona nie mogła wykryć niezmiernie słabego oddechu i bicia serca. Mówił rozsądnie, uspokajającym tonem, a nazajutrz wczesnym rankiem przyszedł znowu i dokonał na chorym zabiegu zwanego punkcją: wbił w jego bok długą igłę i wyciągnął zadziwiająco ilość zmieszanego z krwią moczu. Po tygodniu Willie mógł wstać z łóżka, a w cztery miesiące później utworował sobie za pomocą kilku kłamstw drogę do szeregów armii kanadyjskiej. W 1916 roku wraz z wielu innymi znalazł się na liście zaginionych bez wieści w błotach pod St.Eloi.

Nieraz zadaję sobie pytanie, czy jego trup miał zaciśnięte pięści. Później byłem świadkiem śmierci niezliczonych ludzi i zdumiewająco wielu nieboszczyków, o których ciała; potykałem się lub których odsuwałem ze swojej drogi, miało zaciśnięte kurczowo dłonie. Ale nigdy nie pofatygowałem się napisać do doktora McCauslanda, żeby go o tym poinformować.

Dla mnie wskrzeszenie Willie'ego z martwych było i zawsze będzie drugim cudem pani Dempster.

Następne tygodnie przyniosły mi wiele przykrości i rozczarowań. W opinii rówieśników spadłem z wyżyny polityki na poziom łatwowiernego osła, który myśli, że niebezpieczna wariatka jest zdolna wskrzeszać umarłych. Muszę wyjaśnić, że panią Dempster uważano za istotę niebezpieczną nie dlatego, by komukolwiek z jej strony groziła jakaś brutalna napaść, lecz dlatego, że co bojaźliwsi obywatele lękali się, aby błakając się swobodnie nie wywołała nowego skandalu na tle seksualnym. Zapewne osoby te szczerze myślały, że mogłaby w swoim obłąkańczym bezwstydzie zdeprawować jakiegoś młodzika albo uwieść czyjś wiernego małżonka. Rozpowszechniło się mniemanie, że pani Dempster jest we władzy nienasyconych i bezrozumnych żądź, którym nie może się oprzeć. Oczywiście musiało wyjść na jaw, że składałem jej potajemne wizyty; i krążyło na ten temat mnóstwo sprośnych kawałów, ale żaden z nich tak nie bawił dowcipnisiów jak moja naiwność, skoro mogłem uwierzyć, że pani Dempster wskrzesiła Willie'ego.

Starsi ludzie poważniej traktowali sprawę. Niektórzy sądzili, że mój znany nałóg czytania bez umiaru zachwiał równowagą mojego umysłu i że grozi mi choroba rzekomo atakująca zbyt gorliwych studentów, którą nazywano „gorączką mózgową” i której bardzo się obawiano. Ten i ów z zaprzyjaźnionych sąsiadów namawiał ojca, żeby niezwłocznie wypisał mnie ze szkoły i umieścił u jakiegoś farmera, gdzie rok lub dwa ciężkiej harówki fizycznej zapewne mnie wyleczą. Doktor McCausland znalazł sposobność, aby „zamienić ze mną parę słów”, jak to określili; przestrzegł mnie, że łatwo mogę wykoleić się, jeżeli teoretycznych wiadomości nie uzupełnię dla równowagi zdrowym rozsądkiem, którego mogę się nauczyć od... no, choćby na przykład od niego. Dał mi do zrozumienia, że mógłbym stać się podobny do Elberta Hubbarda, jeżeli będę dalej posuwał się dotychczasową drogą. Elbert Hubbard był znanym amerykańskim ekscentrykiem, który głosił, że praca może być przyjemnością.

Nasz nowy pastor, Donald Phelps, powiedział mi w cztery oczy, że jest bluźnierstwem przypisywać moc wskrzeszenia umarłych komukolwiek, nawet osobie cieszącej się nieska-

zitelną opinią. Epoka cudów przeminęła — stwierdził, jak mi się wydało, z niekłamanyim zadowoleniem. Lubiłem go, miał naprawdę moje dobro na celu, w przeciwieństwie do doktora McCauslanda, w którego życzliwość nie mogłem uwierzyć.

Ojciec rozmawiał ze mną kilka razy i dzięki temu lepiej poznałem jego charakter, bo chociaż jako wydawca był człowiekiem niepospolitej odwagi, w domu wyznawał zasadę spokoju za wszelką cenę. Radził mi, abym swoje zdanie zachował dla siebie i nie upierał się przy poglądach, których matka nie zechce nigdy tolerować.

Może bym posłuchał ojcowskich rad, gdyby matka poprzestała na tym i nie powracała wciąż do tej sprawy. Chcąc koniecznie wykorzystać z mojego umysłu do ostatka wiarę w to, co na własne oczy widziałem, i wymusić na mnie ponowne przyrzeczenie, że nie będę utrzymywał żadnych kontaktów z panią Dempster, a na dobitkę, że przyswoję sobie taką o niej opinię, jaką żywi całe miasto, ustawicznie napomykała o tym w tajemniczych aluzjach lub zagajała otwartą dyskusję, najczęściej przy stole. Niewątpliwie uważała, że darząc choćby odrobiną uczucia panią Dempster, jestem nielojalny wobec niej, mojej rodzonej matki, a ponieważ lojalność była jedyną formą miłości, jakiej wymagała ode mnie, wpadała w najgorsze zaciętrzewienie wtedy, gdy myślała, że rozumuje najrozsądniej. Rzadko odzywałem się podczas tych scen, a matka słusznie interpretowała moje milczenie jako odmowę ustępstw i upór przy własnym zdaniu.

Nie wiedziała, jak bardzo ją kochałem, jak cierpiałem, że muszę jej się przeciwstawiać. Cóż jednak mogłem zrobić? W głębi serca czułem, że gdybym ustąpił i obiecał to, czego sobie życzyła, straciłbym coś niezmiernie cennego. Nie byłem jej mężem, który umiał zachować spokój w obliczu rozwścieczonej cnoty, byłem jej synem i odziedziczyłem po niej część tego samego szkockiego temperamentu i granitowego upor.

Pewnego dnia po szczególnie przykrej kolacji matka na zakończenie kazała mi dokonać wyboru między nią a „tą kobietą”. Znalazłem trzecią możliwość, miałem dość pieniędzy na bilet kolejowy i nazajutrz zamiast iść do szkoły pojechałem do miasta okręgowego, gdzie zgłosiłem się do wojska.

To zmieniło w dużym stopniu całą sytuację. Brakowało mi prawie dwóch lat do przepisowego wieku, ale byłem wysoki, silny i umiałem kłamać, toteż przyjęto mnie bez większych trudności. Matka chciała zwrócić się do władz wojskowych i zażądać dla mnie zwolnienia, lecz ojciec tym razem sprzeciwił się stanowczo. Oświadczył, że nie pozwoli, aby naraziła syna na takie upokorzenie. Teraz więc matka szamotała się w rozterce pomiędzy strachem, że zginę od kuli już w pierwszym dniu szkolenia, a przeświadczeniem, że łączyła mnie z panią Dempster więź bardziej złowieszcza, niż dotychczas ośmielała się podejrzewać.

Co do ojca, zraziłem go do siebie. Nie miał zbyt pochlebnej opinii o żołnierzach, a ponieważ w 1901 roku nie bez ryzyka opowiedział się po stronie Boerów, żywił poważne wątpliwości, czy jakakolwiek wojna może być sprawiedliwa. Nasze miasteczko, którego wojna bezpośrednio nie dotyczyła, widziało ją w romantycznych barwach, ale ojciec i sędzia Mahaffey, lepiej uświadomieni o prawdziwym charakterze konfliktu, nie mogli podzielać nastawienia ogółu. Ojciec nakłaniał mnie, żebym przyznał się do mojego prawdziwego wieku i wycofał się sam, ale ja byłem uparty i rozgłosiłem wiadomość o swojej decyzji, jak mogłem najprędzej.

Co myśleli starsi, nie wiedziałem i nie byłem ciekaw, ale wśród rówieśników odzyskałem część utraconego prestiżu. W szkole objąłem się, jak przystało chłopakowi czekającemu każdej chwili wezwania do ważniejszych obowiązków. Przyjaciele patrzyli na mnie tak, jakby godziny mojej obecności wśród nich były policzone, a Milo Papple, ilekroć go spotykałem, to znaczy co najmniej raz dziennie, chwycił mnie za rękę i deklamował z uniesieniem:

Powiedz urynał,
Nie mów nigdy nocnik.

Tak bowiem dowcipnisie z razury jego ojca sparafrazowali ówczesny przebój:

Powiedz au revoir
Nie mów żegnaj na zawsze.

Dziewczęta inaczej teraz na mnie spoglądały, a Leola Cruikshank sprawiła mi radosną niespodziankę dając do

rozumienia, że gotowa jest obdarzyć mnie łaskami na zasadzie, że tak powiem, krótkoterminowej pożyczki. Nie przestała kochać się w Percy'm Boydzie Stauntonie, ale Percy był daleko w college'u, pisywał nieregularnie niezbyt udolne listy, więc Leola doszła do wniosku, że mały flircik z kandydatem na bohatera nikomu nie zaszkodzi, a może nawet jest jej patriotycznym obowiązkiem.

Była uroczą dziewczyną, ładną, nie gardzącą sentymentami, doskonale wypielęgnowaną: pachniała zawsze, jakby świeżo odprasowana. Widywałem się z nią bardzo często, przekonałem ją, że kilka pocałunków nie będzie zdradą wobec Percy'ego, i spacerowałem z nią w sobotnie wieczory po głównej ulicy miasteczka, ubrany w najlepszy odświętny garnitur.

Trzymałem się z dala od pani Dempster częściowo przez posłuszeństwo rodzicom, częściowo ze strachu, a częściowo dlatego, że nie mogłem zdobyć się na spojrzenie jej w twarz, gdy tyle obelżywych o niej zdań dźwięczało wciąż jeszcze w moich uszach. Wiedziałem jednak, że nie wyruszę na wojnę bez pożegnania z panią Dempster, i pewnego wieczora, zachowując jak największą ostrożność, zakradłem się do jej domku i po raz ostatni wlałem do niego przez okno. Przywitała mnie tak, jakbym po dawnemu był jej częstym gościem, i nie okazywała wielkiego zdziwienia, kiedy jej oświadczyłem, że zgłosiłem się na ochotnika do wojska. Kiedy wojna wybuchła, dużo rozmawialiśmy o niej i pani Dempster śmiała się wówczas z dwóch deptfordzkich kumoszek, które zajmowały się spirytyzmem i chodziły kilka razy w tygodniu na cmentarz, żeby przysiadłszy na grobie w nastroju piknikowym czytać swoim zmarłym matkom najnowsze komunikaty z frontu we Francji. Kiedy odchodziłem, pocałowała mnie w oba policzki — chociaż nigdy przedtem tego nie robiła — i powiedziała: „Pamiętaj jedno: cokolwiek się zdarzy, strach ci nic nie pomoże”. Przyrzekłem więc, że nie będę się bał, i może nawet w swojej głupocie wierzyłem wtedy, że dotrzymam tej obietnicy.

We właściwym czasie dostałem wezwanie do wojska. Wsiadłem do pociągu dumny z rozkazu jazdy do obozu ćwiczebnego, machałem z okna chustką na pożegnanie, a matka prawie płacząc stała na peronie obok ojca, z którego twarzy nie umiałem zgadnąć, co naprawdę czuje. Le-

ola była w szkole, bo zgodnie uradziliśmy, że nie powinna żegnać mnie na dworcu; wyglądałoby to przecież, jakbyśmy byli oficjalnie zaręczeni. Ale wieczorem w wigilię mojego wyjazdu przyznała mi się, że chociaż bardzo starała się zachować w sercu nienaruszony obraz Percy'ego, wizja przygasła, gdyż odkryła, że naprawdę nie jego kocha, lecz mnie, że ta miłość już się nigdy nie zmieni i że będzie czekała na mój powrót z pól bitewnych w Europie.

Moje drugie narodziny

1

Nie będę wiele pisał o wojnie, bo chociaż wojowałem od początku roku 1915 do ostatnich miesięcy roku 1917, dowiedziałem się o niej właściwie czegoś więcej dopiero w następnych latach. Rozprawianie o wojnach jest rzeczą wodzów i historyków. Służyłem w piechocie i zazwyczaj nie miałem pojęcia, gdzie jestem i co robię, po prostu wykonywałem rozkazy i starałem się uniknąć wszystkich grożących mi różnorodnych rodzajów śmierci. Naczytałem się potem dość o akcjach, w których brałem udział, ale komentarze historyków niewiele rzucają światła na przeżycia utrwalone w mojej pamięci. Nie chcę w tej relacji o sobie pozować na innego człowieka niż ten, którym wówczas byłem, toteż postanowiłem opisywać wydarzenia tak, jak je widziałem w momentach, gdy się rozgrywały.

Kiedy wyjechałem z Deptford do obozu szkoleniowego, znalazłem się po raz pierwszy sam z dala od domu. Otaczali mnie ludzie bardziej ode mnie otrzaskani w świecie, toteż starałem się nie wyróżniać pod żadnym względem odmiennym sposobem bycia. Jedni rozumiejąc, jak rozpaczliwie tęsknię do swoich, odnosili się do mnie życzliwie, inni kpili ze mnie i z wszystkich takich jak ja młodziaków. Koniecznie chcieli wychować nas na prawdziwych mężczyzn, to znaczy na własny obraz i podobieństwo. Byli wśród nich rzeczywiście prawdziwi mężczyźni: poważni, flegmatyczni młodzi farmerzy i rzemieślnicy z niewyczerpanymi, jak się zdawało, zasobami sił i odwagi. Poza tym zbieranina rozmaitych typów, jak w każdej przypadkowo dobranej grupie ludzi. Żaden nie miał dużego wykształcenia i żaden nie uświadamiał sobie jasno, o co w tej wojnie chodzi, ale większość żywiła przekonanie, że Anglii grozi niebezpie-

czeństwo i że trzeba jej bronić. Co najdziwniejsze, żaden z nas nie miał pojęcia o geografii i myśląc o tym, że będziemy bili się we Francji, nie wyobrażaliśmy sobie, jaki w tym kraju jest klimat, a nasze domysły obejmowały szeroką skalę, od mrozów podbiegunowych do tropikalnych upałów. Oczywiście wielu z nas uczyło się w szkole geografii i studiowało atlasy, ale szkolne mapy bardzo mało mówią sztubakom.

Służyłem w Drugiej Dywizji Kanadyjskiej, wcielonej później do Korpusu Kanadyjskiego, ale nazwy te nic dla mnie nie znaczyły. Znałem ludzi z najbliższego otoczenia, rzadko miewałem okazję stykać się z innymi. Wolę też od razu na wstępie powiedzieć, że chociaż z wszystkimi byłem w dobrych stosunkach, nie łączyła mnie z nikim trwalsza przyjaźń. Wielu mężczyzn takie przyjaźnie nawiązywało, nieraz stawały się one bodźcem do heroiczych czynów, niejeden głośno sławił braterstwo broni, dużo się o nim mówiło i głośno śpiewało. Po dziś dzień niektórzy ludzie tę więź pielęgnują. Ale ja byłem samotnikiem, a chociaż czułbym się szczęśliwy mając przyjaciela — nie zdarzyło mi się spotkać go w życiu.

Może winę trzeba złożyć na karb dręczącej mnie nudy. Bo nudziłem się wtedy jak nigdy przedtem ani potem, ciężka nuda przenikała mnie do szpiku w kościach. Nie wynikało to z beczynności; rekrut szkolony na piechura musi uwijać się od świtu do nocy i sypia jak suseł. To była inna nuda, spowodowana odcięciem od wszystkiego, co mogłoby życie osłodzić, obudzić zainteresowanie czy wzbogacić repertuar wrażeń. Nuda rodziła się z przymusu wykonywania niezliczonych, wcale nie pociągających zadań i nabywania umiejętności, bez których mógłbym się doskonale obejść. Uczono mnie kroku marszowego, musztry, strzelania i utrzymywania osobistej schludności według wojskowych wymagań, siania łóżka, czyszczenia butów, polerowania guzików, owijania łydek w przepisowy sposób długimi taśmami sukna koloru gnoju. Nic z tego nie wydawało mi się ważne, ale wszystkie te czynności opanowałem i nawet wykonywałem je dobrze.

Kiedy więc przed podróżą do Europy przyjechałem na urlop do domu, wzbudziłem niemały podziw. Zmęźniałem fizycznie, matka prawie zaniemówiła, w każdym razie zaniechała zwykłych dawniej krytycznych uwag. Raz i drugi

spróbowała ściągnąć mnie z powrotem na pozycję jej kochanego synka, ale ja nie zgodziłem się już grać tej roli.¹ Leola Cruikshank z dumą pokazywała się na mieście w moim towarzystwie i podczas ostatniego pożegnalnego spotkania posunęliśmy się nieco dalej poza etap pocałunków. Gorąco pragnąłem odwiedzić panią Dempster, ale było to niemożliwe, bo w mundurze nie miałem szans przemknąć się gdziekolwiek niepostrzeżenie, a chociaż wolałbym umrzeć, niż przyznać się do tego, wciąż jeszcze tak bałem się matki, że nie śmiałem jawnie łamać jej zakazów. Raz zdarzyło mi się spotkać Paula, chyba jednak nie poznał mnie, bo patrzył mi przez chwilę w twarz i bez słowa poszedł dalej.

Płynąłem na pokładzie transportowca wojskowego i słuchałem wykładów prowadzonych przez oficerów, którzy gorliwie starali się nas zahartować opowieściami o niemieckich okrucieństwach. Zrozumiałem z tej nauki, że Niemcy to wcielone diabły. Toczą wojnę nie po to, by wygrywać kampanie, lecz aby kaleczyć dzieci, gwałcić kobiety (co najmniej w dziesięciu na jedną ofiarę) i znieważać religię. Do tego wszystkiego zachęcił ich kajzer, śmieszny obłąkany potwór; musimy Niemcom pokazać, że światem rządzą wciąż jeszcze zasady przyzwoitości, a my właśnie jesteśmy ich uosobieniem. Znałem już wtedy dostatecznie życie wojskowe, aby pomyśleć, że jeśli my reprezentujemy przyzwoitość, Niemcy muszą być rzeczywiście okropnymi brutalami, bo trudno wyobrazić sobie bardziej plugawy język, gorszych złodziei i obrzydliwszych dziwkarzy niż niektóre typy w naszych szeregach. Nie ze służby wojskowej byłem jednak niezadowolony, lecz z siebie, z własnej samotności i nudy.

We Francji nie opuściła mnie nuda, ale uczucie osamotnienia zastąpił strach. Następne trzy lata spędziłem w niemym, opanowanym, lecz rozpaczliwym przerażeniu. Widziałem wielu mężczyzn, w których strach zerwał hamulce: wariowali, strzelali do siebie (zabijając się lub okaleczając tak, że stawali się niezdolni do dalszej służby) lub też zadreścali otoczenie do tego stopnia, że pozbywano się ich różnymi metodami. Myślę jednak, że wielu było w takim samym jak ja położeniu: śmiertelnie bali się śmierci, ran i niewoli, bardziej jednak lękali się przyznać do strachu i stracić twarz wobec kolegów. Ten rodzaj strachu oczy-

wiecie nie jest stanem ostrym, raczej chronicznym, trawiącym siły; był jak gdyby nieodstępnym towarzyszem, którego obecność wszystko wokół zabarwia szarzystą. Chwilami zapominało się o strachu, ale nie na długo.

Uczestniczyłem w bardzo wielu akcjach, ponieważ byłem silny, nie załamywałem się i jakimś cudem długo unikałem ran. Choć korzystałem w miarę możliwości z urlopów, wiele miesięcy przesłużyłem bez przerwy na tak zwanym froncie. Nigdy dokładnie nie wiedziałem, co ten termin naprawdę oznacza, bo zawsze ktoś koło mnie umiał wyjaśnić — Bóg raczy wiedzieć, czy ściśle — jak są rozmieszczone siły zbrojne aliantów i gdzie my znajdujemy się w stosunku do brytyjskich i francuskich wojsk; słuchając wywodów tych wtajemniczonych miałem wrażenie, że front jest wszędzie. To pewne, że nieraz byliśmy o paręset zaledwie jardów od nieprzyjaciela i zupełnie wyraźnie widzieliśmy Niemców w ich podobnych do rondli hełmach. Jeśli ktoś nie miał dość rozumu i wystawiał głowę ponad okop, dostawał prawie zawsze kulę w łeb, a po naszej stronie taką samą morderczą zabawę uprawiali specjalnie do niej odkomenderowani strzelcy.

Tamta wojna wydaje się dziś bardzo dziwaczna, ponieważ później widzieliśmy drugą, która ustaliła wzory nowoczesnej walki. Na mnie, świadka owych wydarzeń, patrzą moi uczniowie jak na jednego z weteranów bitew Wellingtona czy może nawet Marlborough. Tę moją wojnę znacznie komplikował udział koni, bo pojazdy zmotoryzowane okazały się bezużyteczne w błotach Flandrii. Jeśli podczas bombardowania żołnierz znalazł się wśród koni, jak to się kiedyś mnie zdarzyło, groziło mu ze strony tych zwierząt nie mniejsze niebezpieczeństwo niż od niemieckich pocisków. Widziałem nawet kawalerię, ponieważ pewni generałowie sądzili, że szarżą kawaleryjską można łatwo unieszkodliwić nieprzyjacielskie gniazda karabinów maszynowych. Kawalerzyści wydawali mi się wspaniali jak krzyżowcy, ale za nic w świecie nie dosiadłbym żadnego z ich wierzchowców. Widziałem też oczywiście wiele trupów i oswoiłem się z ich nic nie znaczącym widokiem, bo zabity człowiek odarty z dostojeństwa śmierci wydaje się żałośnie mało ważnym przedmiotem. Co gorsza, widywałem ludzi jeszcze żywych, którzy mieli wkrótce stać się trupami i nie mogli doczekać się śmierci.

Najstraszliwszym wspomnieniem jest dla mnie poniżenie, poniewierka i nędza, na jaką skazani byli ranni. Nie wolno mijać obojętnie ludzi konających, tak okaleczonych, że nawet gdyby wyszli z życiem, byłiby tylko ludzkimi strzępami; my jednak nauczyliśmy się i tego: nieraz deptałem po tych nieszczęśnikach i właczałem ich jeszcze głębiej w błoto, jeśli znaleźli się na mojej drodze, gdy spieszyłem do oznaczonego punktu, który zgodnie z rozkazem musiałem jak najprędzej osiągnąć, choćbym miał to przypłacić życiem.

Tak bywało w momentach walk, gdy przynajmniej coś robiliśmy. Ale zdarzały się całe tygodnie i miesiące, kiedy właściwie nie biliśmy się, siedzieli tylko w okopach, w błocie koloru gnoju, zmieszanym z gnojem i wszelkim brudem, w mundurach także przypominających barwą gnój, zziębnięci, głodni i zawszeni. Niemożliwe stało się jakiegokolwiek życie osobiste i wtopieni w masę ludzką, zaczynaliśmy wątpić o swoim jednostkowym istnieniu; podoficerowie obawiali się tego i zazwyczaj skutecznie potrafili to niebezpieczeństwo zażegnawać. Niekiedy pomimo ich wysiłków traciliśmy poczucie indywidualności w sposób groźny tak, że obojętnieliśmy nawet na degradację, i wówczas odsyłano nas na tyły, na tak zwany odpoczynek; nigdy naprawdę nie odpoczywaliśmy tam, ale bądź co bądź mogliśmy odetchnąć pełną piersią, nie wciągając w płuca smrodu latryn, cuchnących odchodami i wapnem.

Chociaż jako żołnierz pędziłem życie tak odrażająco publiczne, że jadłem, spałem, myślałem, stałem, siedziałem, wypróżniałem kiszki i dygotałem ze strachu przed śmiercią zawsze w gromadzie, znalazłem trochę czasu na czytanie. Ale miałem tylko jedną książkę, Nowy Testament, którą jakaś dobroczynna organizacja rozdawała w tysiącach egzemplarzy wojsku. Gdyby pozwolono mi wybierać ograniczając wybór do Biblii, wziąłbym raczej Stary Testament, ale wolałbym od niego jakąś grubą, soczystą powieść. Gdzież jednak szeregowiec piechoty mógłby trzymać takie rzeczy? Słyszałem później o ludziach, którzy na wojnie nie rozstawali się z takimi czy innymi książkami, ale byli to oficerowie. Raz i drugi podczas urlopu wpadła mi do ręki jakaś książka w języku angielskim, cóż kiedy gubiłem ją natychmiast po powrocie na linię. Jedynie Nowy Testament

mieścił się w kieszeni nie wypychając jej zanadto, więc czytałem go od deski do deski, wciąż w kółko.

Zyskałem dzięki temu reputację religianta, dewota, a nawet kapelan nie lubił podobnych typów, bo zawsze w ten lub w inny sposób przyczyniali kłopotów. Z powodu tej lektury przyłgnęło do mnie przezwisko „Diakona”. Prózno bym próbował tłumaczyć kolegom, że czytam Nowy Testament nie przez pobożność, ale z ciekawości, znajdując w wielu fragmentach tekstu potwierdzenie opinii, jaką pozwałem w latach chłopięcych, że w religii kryją się prawdy tego samego rodzaju co w *Baśniach z tysiąca i jednej nocy*. (Później dopiero nauczyłem się formułować swoją myśl, że zarówno religia, jak arabskie baśnie są prawdziwe nie w dosłownym, lecz w psychologicznym sensie, i że prawda psychologiczna jest na swój sposób nie mniej ważna niż weryfikacja historyczna; jako młody żołnierz nie rozporządzałem odpowiednim słownikiem, aby użyć takiego argumentu, chociaż w głębi serca czułem jego słuszność.) Najbardziej chyba podobało mi się Objawienie Świętego Jana. Ewangelie wydawały mi się mniej aktualne niż wizje apokaliptycznych bestii i zwyciężającej potężnego smoka Ukoronowanej Niewiasty, opartej stopami o księżyc.

Nosiłem przezwisko Diakona aż do czasu, gdy w jednym z ostatnich obozów wypoczynkowych postanowiono zaimprovizować naprędce przedstawienie i zaapelowano do przebywających tam żołnierzy, aby każdy, kto czuje się na siłach, przyczynił się jakimś występem do zabawiania kolegów. Z bezczelnością, której dzisiaj już nie pojmuję, zdobyłem się na zaproponowanie własnej imitacji Charlie Chaplina, chociaż widziałem go zaledwie dwa razy w życiu w kinie zaimprovizowanym dla oddziałów wojskowych, odpoczywających poza frontem. Udało mi się zdobyć odpowiedni kapelusze od pewnego Francuza z sąsiedniego miasteczka. Laseczkę wyciąłem sobie z gałęzi jakiegoś krzewu i gdy nadszedł wieczór przedstawienia, za pomocą przypalonego korka namalowałem sobie pod nosem wąsiki i wylazłem na scenę; przez dwanaście minut popisywałem się najbardziej świńskimi dowcipami, jakie znałem i przypinałem łątkę wszystkim szarżom, nie wyłączając kapelana, oraz tym spośród kolegów, którzy z jakiegokolwiek powodu wyróżniali się lub cieszyli popularnością. Rumienię się teraz na wspomnienie tego, co wygadywałem; niemało za-

pożyczyłem z repertuaru Milo Papple'a i ku własnemu zdumieniu podbiłem publiczność. Nawet były aktor operetkowy (który umiał na przemian barytonem i falsetem odśpiewać sam ze sobą duet; „Gdybyś była jedyną dziewczyną na świecie, a ja jedynym w świecie chłopcem”) wzbudził mniejszy niż ja entuzjazm. Odtąd już nie nazywano mnie Diakonem, lecz „Charlie'em”.

Najbardziej zdziwiło mnie, że koledzy byli tak zaskoczeni odkrywając moje aktorskie umiejętności. „Rany, ten stary Diakon, ale przygadał majorowi... A zagadka o kucharzu, bycza, co?” Nie mieściło im się w głowach, że człowiek czytający Nowy Testament może być nie tylko świętoszkiem i że tkwią w nim jakieś inne, pozornie całkowicie sprzeczne możliwości. Co do mnie, nie pamiętam czasów, gdy nie wydawało mi się samo przez się zrozumiałe, że w każdym człowieku siedzi co najmniej dwóch, a często i dziesięciu różnych ludzi. Toteż zdumiewało mnie ich zdumienie. Rany, jak to możliwe? Czyżby ludzie wcale nie obserwowali swoich bliźnich? To ci dopiero!

Nie filozofowałem w okopach, po prostu trwałem i nawet starałem się robić dobrze to, co tu miałem do roboty. Gdyby nie młody wiek i przeszkoda w postaci braku wykształcenia — mierzonego ukończonymi w szkole klasami, bo moi wojskowi zwierzchnicy nie wiedzieli, że jestem polimathą, a gdyby się nawet o tym dowiedzieli, wątpię, czy zrobiliby to na nich wrażenie — pewnie trafiłbym do szkoły oficerskiej. W danych okolicznościach awansowałem ostatecznie na sierżanta; mieliśmy duże straty — tak w języku wojskowym mówiło się, że koledzy, których znałem i lubiłem, eksplodowali niby nabite wnętrznościami bomby niemal w moich oczach — a moja umiejętność zatajania strachu wystarczała, żebym uchodził za odważnego chłopaka; tak więc zostałem sierżantem i weteranem z Sanctuary Wood i wzgórz Valmy, zanim skończyłem lat dwadzieścia. Ale najbardziej zdumiewającym moim osiągnięciem było to, że zostałem Charlie'em.

2

Skończyło się moje wojowanie około 5 listopada 1917 roku, na tym etapie bitwy pod Ypres, kiedy ściągnięto tam Ka-

nadyjczyków, aby spróbowali zdobyć Passchendaele. Było to w czwartek, czy może w piątek, nie mogę określić dokładnie, bo wiele szczegółów z tego okresu zatarło się w mojej pamięci. W tej najstraszliwszej z wszystkich bitew, w jakich uczestniczyłem, usiłowaliśmy zająć miasteczko już obrócone w kupę gruzów, i nasze postępy mierzyliśmy na piędzie ziemi. Na froncie panował chaos, bo deszcz łał od kilku tygodni bez ustanku, teren zmienił się w grzęzawisko tak niebezpieczne, że nie śmieliśmy zrobić kroku naprzód bez układania przed sobą desek, które w miarę posuwania się podnosiliśmy, aby je przełożyć znów o parę kroków dalej; ta metoda oczywiście opóźniała marsz i narażała na wielkie niebezpieczeństwa, toteż nie mogliśmy jej nadużywać. Z późniejszych lektur dowiedziałem się, iż posunęliśmy się tam w sumie o dwie mile, ale wówczas miałem wrażenie, że było ich co najmniej dwieście. Najgorszy postrach stanowiło błoto. Zorane niemieckimi pociskami, tak straszliwie było zdradzieckie, że żołnierz, który zapadł w nie po kolana, nie miał już wielkich szans ratunku; gdy szrapnel rozrywający się w pobliżu wywoływał wstrząs, fala błota zatapiała człowieka i pozostawało bardzo nikłe prawdopodobieństwo, że kiedykolwiek odnajdziemy jego trupa. Piszę o tym jak najzwięźlej, bo za nic nie chcę wskrzeszać w pamięci grozy tamtych dni.

Między innymi poważną przeszkodą w naszych postępach były gniazda niemieckich karabinów maszynowych. Rozmieszczono je z pewnością według jakiegoś określonego planu, ale my nie mieliśmy możliwości znalezienia klucza do tego planu; wiedziałem, że na moim odcinku jest jedno takie gniazdo i że nie posuniemy się dalej naprzód, dopóki go nie unieszkodliwimy. Dwie bezskuteczne próby wykonania tego niebezpiecznego zadania przypłaciлиśmy ciężkimi stratami. Zdawałem sobie sprawę z sytuacji i z tego, że lista ludzi, na których można liczyć, iż spróbują dotrzeć do tego gniazda karabinów maszynowych, kurczy się i że teraz przyjdzie kolej na mnie. Nie pamiętam, czy apelowano do nas, żebyśmy do tej akcji zgłaszali się ochotniczo, byłaby to zresztą czcza formalność; sytuacja dojrzała do momentu, w którym nie mogliśmy już się łudzić, że mamy jakiegokolwiek prawo wyboru. Tak więc znalazłem się wśród sześciu ludzi, których odkomenderowano na nocny wypad; wykorzystując jakąś przerwę w ogniu artylerii mieliśmy

podjąć próbę dotarcia do stanowiska niemieckich karabinów maszynowych i zniszczenia ich. Wydano nam pistolety i wszelki potrzebny sprzęt i gdy ostrzał ucichł na pięć minut, wyruszyliśmy nie w zwartej grupie, oczywiście, ale rozproszeni o parę jardów jeden od drugiego.

Załoga gniazda karabinów maszynowych spodziewała się naszego wypadu, bo robiliśmy dokładnie to samo, co zrobiliby nasi przeciwnicy w analogicznym położeniu. Czołgałiśmy się w błocie z rozpostartymi ramionami, żeby ciężar ciała rozłożyć na największą możliwie powierzchnię. Zdawało mi się, że płynę w gęstej melasie, na domiar złego cuchnącej i kryjącej w głębi ludzkie trupy.

Posuwałem się jednak dość żwawo aż do momentu, gdy nastąpiła katastrofa. Ktoś — prawdopodobnie po naszej stronie na drugiej linii, a może z gniazda niemieckich karabinów — wypuścił raketę oświetlającą; trudno jest rozpoznać, skąd taka rakietą nadlatuje, bo eksplodując w powietrzu oświetla znaczny obszar. Jeśli zdarzy się to w chwili, gdy człowiek — tak jak ja wówczas — pełźnie do określonego celu, nie pozostaje mu nic innego jak przygnać całym ciałem, twarzą w dół, do ziemi i mieć nadzieję, że go nie dostrzegą. Oblepiony od stóp do głów błotem, z twarzą uczernioną jeszcze przed wyruszeniem z naszej linii, mogłem spodziewać się, że Niemcy mnie nie zauważą albo też zauważywszy wezmą za trupa. Kiedy rakietą zgasła, podczołgałem się dalej i, o ile mogłem się zorientować, zrobiłem spory kawałek drogi. Nie wiedziałem, gdzie są moi towarzysze, ale przypuszczałem, że podobnie jak ja kierują się ku stanowisku niemieckich karabinów maszynowych i czekają na sygnał od dowodzącego nami podporucznika, aby zaatakować nieprzyjaciela. Ale w pewnej chwili trzy następne rakiety eksplodowały i natychmiast potem zagrzechotała seria z karabinów maszynowych. Znowu przywarowałem w błocie, z natury rzeczy rakietą kończąc łuk swojej trajektorii spada z impetem i charakterystycznym sykiem na ziemię; trafiony nią człowiek musi odnieść poważne oparzenia, bo rakietą wciąż jeszcze jest ognistą kulą; wybór między spalaniem się żywcem a zatonięciem w błocie nie jest łatwy. Dwie dopalające się rakiety świszczały nade mną w powietrzu, musiałem co prędzej uciekać z tego miejsca. Zerwałem się na równe nogi i pobiegłem.

Liczyliśmy na półgodzinną przerwę w ostrzale artylerii, tymczasem nagle rozpętało się znowu piekło, a ku mojemu przerażeniu gdzieś z lewej strony, z dość znacznej odległości, odpowiedziały nasze działa. Gdy idzie się na wypad w małej grupie, istnieje zawsze takie ryzyko, ale w mojej dotychczasowej praktyce nigdy jeszcze z tym się nie zetknąłem. Pociski zaczęły padać w pobliżu, więc pędziłem jak szalony; nie wiem, jak długo błądziłem w ten sposób wśród ciemności, myślę, że nie mniej niż trzy minuty i nie dłużej niż dziesięć. Do mojej świadomości doszedł znienacka od prawej strony ogłuszający grzechot przypominający rytmem gniewne ujadanie. Rozejrzałem się za jakąkolwiek osłoną i w nagłym rozbłysku zobaczyłem tuż przed sobą wejście do okopu, zamaskowane, lecz łatwe do rozpoznania drzwi, zasłonięte unurzana w błocie płachtą. Runąłem przez nie i znalazłem się w niemieckim gnieździe karabinów maszynowych. Trzech Niemców z obsługi strzelało za wzięcie.

Miałem pistolet, zabiłem wszystkich trzech z odległości dwóch kroków, zanim zdążyli mnie zauważyć. Nie chcę o tym więcej mówić. Nie jestem dziś i nie byłem wtedy dumny z tego wyczynu. Wojna stawia ludzi w sytuacjach, w których takie rzeczy mogą się zdarzyć.

Nade wszystko pragnąłem zostać tam czas jakiś, złapać oddech i zebrać myśli przed wyruszeniem w powrotną drogę ku naszym liniom. Ale ostrzał wzmagał się, wiedziałem, że jeśli tu zostanę, lada chwila jeden z naszych pocisków może spaść na tę nieprzyjacielską pozycję albo też Niemcy, których telefon polowy już przesyłał tuż pod moim nosem sygnały, wyślą kilku ludzi, aby sprawdzili, dlaczego gniazdo umilkło, i będzie po mnie. Musiałem stamtąd wyjść.

Wyczołgałem się mając pod sobą błoto a nad sobą pękające pociski i starałem się zorientować w terenie. Z obu stron trwał huraganowy ogień, trudno więc było rozpoznać, ku któremu z dwóch źródeł śmierci należy pełznąć. Pech chciał, że skierowałem się ku linii nieprzyjacielskiej.

Nie wiem, jak długo pełznąłem w ten sposób, bo nigdy przedtem ani potem nie byłem w takiej panice, w takim oszołomieniu i w takiej rozpacz. Dziś mój ówczesny stan określono by modnym terminem „dezorientacja”. Wkrótce stało się ze mną coś jeszcze gorszego: zostałem raniony i to

poważnie, o ile mogłem ocenić; odłamki rozrywającego się szrapnela trafiły mnie w lewą nogę, ale nie wiedziałem dokładnie, w którą jej część. Kiedyś później przeżyłem katastrofę samochodową i wrażenie było dość podobne: najpierw szok, jakby uderzenie pałką, a dopiero po dłuższej chwili świadomość, że coś niedobrego dzieje się z moją lewą nogą; nie zdawałem sobie jednak sprawy, czy rana jest poważna.

Wspomniałem przedtem, że przez długi czas wymigiwałem się od ran; zadziwiająco liczni są ludzie, którzy wyszli z wojny nietknięci. Nie byłem też zatruty gazami, chociaż dwukrotnie znajdowałem się na odcinku frontu, gdzie w pobliżu użyto gazów. Lękałem się ran, bo widziałem ich dużo. Jak powinien zachować się raniony żołnierz? Czołgać się do jakiegoś schronu w nadziei, że może znajdą go jego rodacy. Czołgałem się więc dalej.

Niektórzy żołnierze stwierdzili, że zmysły ich działały pod wpływem rany sprawniej niż zwykle, że w napięciu spowodowanym przez niebezpieczeństwo zdobywali się na genialne pomysły. Ja nie należałem do tej kategorii. Byłem nie tyle przerażony, ile zniechęcony. Leżałem oto jak bałwan ulepiony z błota, w zamęcie huków, błyskawic, w smrodzie gelignitu. Chciałem skapitulować. Nie miałem już ochoty do dalszej gry. Pełznąłem jednak dalej, uświadamiając sobie coraz jaśniej, że moja lewa noga nie nadaje się do niczego, że muszę ją wlec, a co najgorsze, że nie mam pojęcia, gdzie jestem i dokąd zmierzam. Po chwili zobaczyłem z prawej strony jakiś nieregularny budynek i poczołgałem się do tego celu. Kiedy wreszcie dotarłem do niego, siadłem opierając plecy o kamienny mur i po-grążyłem się całkowicie w rozpamiętywaniu niebezpieczeństw i beznadziejności mojej sytuacji. Z pewnością historia świata zna momenty gorszych nieszczęść, grozy i rozpacz, ale w moim osobistym doświadczeniu było to dno, którego już nigdy potem nie osiągnąłem nawet w przybliżeniu.

Noga zaczęła o sobie przypominać w sposób, który potrafię opisać jedynie w kategoriach dźwiękowych: od milczenia przeszła do szeptu, potem do jęków i skomlenia, a w końcu do krzyku. Nie mogłem zobaczyć, co się z nią dzieje, bo spowijała ją gruba warstwa błota, ale dotykając jej ręką wyczułem obfitą lepłą ciecz i domyśliłem się, że

to krew. Widziałem też przed sobą obie swoje bezwładne nogi leżące w nienaturalnej pozycji. „Tęzec nieunikniony — powiedziałem sobie. — Umrę na ściskoszczek.” W Deptford wierzą, że człowiek dotknięty tą chorobą wygina się łukiem, aż wreszcie głową dotyka pięt i nie sposób go pogrzebać inaczej niż w trumnie kolistego kształtu. Widziałem w okopach kilka przypadków tęcza, ale w żadnym nie zachodziła konieczność sporządzania kolistej trumny; zresztą nie zawsze nawet zwykła trumna była pod ręką. Mimo to w stanie, w jakim się wtedy znajdowałem, wiara okazała się silniejsza niż świadectwo faktów.

Myślałem o rodzinnym mieście i o pani Dempster. Zwłaszcza o jej pożegnalnych słowach: „Pamiętaj jedno: cokolwiek się zdarzy, strach ci nic nie pomoże”. — Pani Dempster — powiedziałem na głos — jest głupia. Boję się i w mojej sytuacji strach nie może mi ani pomóc, ani zaszkodzić, w ogóle nie ma nic do rzeczy.

I właśnie wtedy stało się coś, co sprawiło, że moje życie było niezwykle; przeżyłem coś, czego inni ludzie nigdy nie zaznali albo też do czego nie chcą się przyznać, coś, co upoważnia mnie do oburzania się na Packera za to, że mnie potraktował jak szarego człowieka, któremu nigdy nie zdarzyło się nic osobliwego. Uprzytomniłem sobie, że kanonada ustała i słychać tylko pojedyncze strzały. Ale rakiety pojawiały się co chwila na niebie i właśnie jedna z nich opadała prosto na mnie. W jej świetle zobaczyłem, że szczątki muru, o które opieram się, to wszystko, co zostało z kościoła czy może ze szkoły, w każdym razie z dość okazałego gmachu, i że leżę u stóp zburzonej wieży. Płomień z sykiem zniżał się i o dziesięć czy dwanaście stóp nad sobą, na przeciwległej ścianie spostrzegłem w niszy statuetkę Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Wtedy nie wiedziałem tego, ale teraz wiem, że w posązku zgromadzono symbole Niepokalanego Poczęcia, bo Matka Boska miała na głowie koronę, pod stopami sierp księżyca, wsparty z kolei na globie ziemskim, a w tej ręce, którą nie podtrzymywała Dzieciątko, berło kwitnące liliami. Nie rozumiałem znaczenia tych elementów posągu i przez głowę mignęła mi błyskawicznie myśl, że przedstawia on Ukoronowaną Niewiastę z Objawienia Świętego Jana, tę, która ma stopy wsparte o księżyc i której zagraża czerwony smok. Szok od ugodzenia odłamkiem szrapnela był niczym,

wobec wstrząsu, jakiego doznałem spostrzegając, że Ukoronowana Niewiasta ma twarz pani Dempster.

Odwagę straciłem o wiele wcześniej. Teraz, gdy ostatnia z rakiet sycząc opadała na mnie, straciłem także przytomność.

3

— Czy mógłbym dostać trochę wody?

— Pan coś mówił?

— Tak. Chciałbym się napić wody, siostró.

— Powinien pan dostać szampana, jeśli mamy choćby jedną butelkę. Jak pan się nazywa?

— Ramsay D., sierżant. Druga Kanadyjska Dywizja Piechoty.

— A więc, Ramsayu D., cieszymy się szalenie, że jesteś znów wśród nas.

— To znaczy gdzie?

— Zaraz się pan dowie. Ale gdzie pan przebywał dotychczas?

Ach, gdzie przebywałem! Nie wiedziałem wtedy i nie wiem po dziś dzień, ale było to miejsce, którego nigdy przedtem nie widziałem. W wiele lat później, gdy po raz pierwszy czytałem poemat Coleridge'a *Kubla Khan* i trafiłem na wiersze

Potrójnym otoczcie go kręgiem,
Zamknijcie oczy w świętej trwodze,
Bo on żywił się miodową rosą
I pijał mleko raju...

... omal nie wyskoczyłem ze skóry, tak wspaniale te słowa opisywały mój stan przed obudzeniem się w szpitalu. Było mi niewypowiedziane błogo, nurzałem się w kojącym spokoju; od czasu do czasu jakieś głosy przemawiały do mnie, ale nie miałem obowiązku słuchać ich ani odpowiadać. Czułem, że jest dobrze, że zachowałem własnego nie-naruszonego ducha, że chociaż wszystko wydaje się bardzo dziwne, nie ma w tym nic złego. Od czasu do czasu Mała Madonna ukazywała mi się i przed odejściem zawsze spoglądała na mnie z przyjaznym zatroskaniem, parę razy nawet coś mówiła, ale nie rozumiałem słów i nie uważałem za potrzebne starać się o zrozumienie.

Teraz ocknąłem się w łóżku i bardzo ładna dziewczyna w mundurze pielęgniarki pytała mnie, gdzie dotychczas przebywałem. Niewątpliwie żartowała. Wydawało jej się, że wie, gdzie byłem. Ale w takim razie można by raczej z niej żartować, bo tego nikt nie wiedział, nawet ja sam.

— Czy to jest szpital polowy?

— Och, skądże znowu, nie! A jak się pan czuje, Ramsayu D.?

— Świetnie. Jaki mamy dzień dzisiaj?

— Dwudziesty maja. Przyniosę panu coś do picia.

Odeszła, a ja zastanawiałem się nad sytuacją. Nie było łatwo rozeznaczyć się w niej. Ostatnie wydarzenia, które przeżywałem przytomnie, rozgrywały się w listopadzie. Jeśli teraz jest maj, to spędziłem sporo czasu w cudownym, beztroskim świecie. Ten, w którym się odnalazłem, także wydawał się nie najgorszy. Nie mogłem swobodnie poruszać głową, lecz widziałem nad sobą sufit ozdobiony pięknie sztukaterią, ściana w polu mojego widzenia wyłożona była boazerią i gdzieś w pobliżu musiało być otwarte okno, bo czułem strumień świeżego powietrza, ani trochę nie skażonego wonią błota, materiałów wybuchowych, trupów czy latryn. Byłem czysty. Spróbowałem obrócić się w pościeli i natychmiast tego pożałowałem, bo różne części mojego ciała zaprotestowały gwałtownie. Ale w tej chwili dziewczyna wróciła w towarzystwie mężczyzny z czerwoną twarzą, ubranego w długi biały kitel.

Zdawał się ogromnie uradowany, zwłaszcza gdy się przekonał, że pamiętam swój numer wojskowy, a chociaż z początku nie rozumiałem przyczyny jego zadowolenia, w ciągu kilku następnych dni odkryłem, że jestem niejako pupilkiem medyków i że odzyskując przytomność dostarczyłem im jakiegoś cennego dowodu. Skromnemu pacjentowi nie uważano za stosowne udzielać szczegółowych informacji, ale, o ile mi wiadomo, mój przypadek został opisany w co najmniej dwóch czasopismach lekarskich jako psychiatryczna osobliwość. Ponieważ nazywano mnie w tych sprawozdaniach po prostu „pacjentem”, nie mogłem nigdy zidentyfikować się w nich z całą pewnością. Lekarz z czerwoną twarzą był specjalistą od przypadków szoków nerwowych, spowodowanych przez bomby, a ja reprezentowałem sukces jego metody, chociaż osobiście sędzę, że wyleczyłem się sam czy też za sprawą Małej Madonny, słowem

dzięki innym czynnikom niż staranna pielęgnacja i opieka lekarzy.

Miałem niebywałe szczęście. Okazało się, że rakietą spadła na mnie i zanim dogasała, zdążyła spalić część munduru, między innymi sznurek od znaku rozpoznawczego, który zatonął w błocie, wskutek czego sanitariusze zabrali mnie jako nieznanego żołnierza. Mieli poważne wątpliwości, czy jestem już trupem, czy tylko kandydatem do niechybnej śmierci, w końcu jednak odstawili mnie do szpitala polowego, a ponieważ wbrew spodziewaniu upierałem się przy życiu, przeniesiono mnie po jakimś czasie do szpitala we Francji, gdzie w dalszym ciągu ani nie umarłem, ani nie ożyłem, wobec czego wyekspediowano mnie z kolei do Anglii. Wtedy już byłem intrygującym przykładem trwania przy życiu wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, więc czerwonicy specjalista zażądał, aby oddano mnie w jego ręce. Zabrał mnie do swojego wyspecjalizowanego szpitala mieszczącego się w pięknym starym dworze w Buckinghamshire, gdzie w dalszym ciągu leżałem nieprzytomny; wszyscy byli przekonani, że nigdy już się nie ocknę, ale czerwonicy lekarz wierzył z uporem, że na pewno w końcu obudzę się i powiem mu coś ciekawego. I oto pewnego dnia w maju odzyskałem przytomność, co sprawiło, że uradowany personel szpitalny otaczał mnie wyjątkowymi względami.

Do wiedziałem się także innych nowin, mniej pomyślnych. Doznałem dość ciężkich oparzeń, a ponieważ ówczesna medycyna nie rozporządzała takimi środkami jak dzisiaj, duże płaty skóry na mojej piersi i lewym boku wyglądały okropnie, trochę jak zbita w grudki pieczęć czerwonego laku, a chociaż z czasem nieco zbrązowiały, nigdy nie wróciły do normalnego stanu. Na łóżku po lewej stronie zobaczyłem konstrukcję z drutu, przypominającą z kształtu słomiany ul; służyła do podtrzymywania koca tak, aby nie dotykał kikuta amputowanej lewej nogi. W okresie gdy moja świadomość bawiła na wakacjach w raj, karmiono mnie płynami, byłem więc chudy i słaby. W dodatku miałem długą brodę, którą ładna siostra zgoliła; oboje bawiliśmy się podczas tej operacji doskonale.

Czas, bym przestał nazywać ją ładną siostrą. Nazywała się Diana Marfleet i należała do tych ochotniczek, które dobrze wyszkolono w zawodzie, lecz które nigdy nie na-

brały niewzruszonego spokoju zawodowych pielęgniarek. Była pierwszą angielską dziewczyną, jaką zobaczyłem z bliska, pięknym okazem swojego typu, to znaczy ciemnowłosych kobiet z jasną cerą i piwnymi oczyma. Poza urodą miała wdzięk, swobodny sposób bycia i zabawny styl rozmowy, bo pochodziła z tej warstwy angielskiego społeczeństwa, w której rzeczowość i powagę poczytuje się za złe maniere. Mając dwadzieścia cztery lata była ode mnie o cztery lata starsza i wkrótce zwierzyła mi się, że jej narzeczony, porucznik marynarki, zginął, gdy torpeda zatopiła okręt „Aboukir”, jeszcze na początku wojny. Prędko wywiązała się między nami wielka zażyłość, bo Diana pielęgnowała mnie od dnia dostarczenia mojej osoby do tego szpitala, czyli od stycznia; ona to wlewała we mnie każdą łyżkę pożywienia, jaką przez ten czas dostałem, ona mnie myła, ona też podawała basen lub kaczkę i robiła to w dalszym ciągu, gdy byłem już przytomny. Dziewczyna która umie spełniać te czynności bez jowialnych żarcików i nie wprawiając mężczyzny w zakłopotanie, nie jest istotą pospolitą. Diana była wspaniała i z pewnością odzyskiwałem siły i fizyczną formę w niesłychanie szybkim tempie dlatego, że bardzo chciałem się jej spodobać.

Pewnego dnia stanęła przy moim łóżku z miną niezwykle poważną i zasalutowała mi z przejęciem.

— A to co nowego?

— Hołd pokornej pielęgniarki dla bohatera spod Paschendale.

— Przestań! — (Słowo często używane przez mojego ojca, które od niego przejąłem i którego po dziś dzień się nie oduczylem.)

— Ja nie żartuję. Zgadnij, co dostałeś.

— Mam nadzieję, że dostanę ciebie.

— Nie bądź bezczelny. Znamy już twoją historię, sierżancie Ramsayu. Czy wiesz, że zostałeś oficjalnie uznany za zmarłego?

— Ja?

— Ty. Dlatego odznaczono cię Krzyżem Wiktorii pośmiertnie.

— Przestań!

— Nie żartuję. Dostałeś Krzyż Wiktorii za najwyższą odwagę w obliczu nieprzyjaciela, za wykonanie z pogardą śmierci zadania i unieszkodliwienie nieprzyjacielskiego

gniazda karabinów maszynowych, dzięki czemu siły zbrojne mogły posunąć się naprzód o... Nie, nie wiem o ile, w każdym razie naprzód. Z sześciu ludzi uczestniczących w wypadzie tylko ty jeden nie wróciłeś do swojej jednostki, ale któryś z twoich kolegów widział, rozpoznał nieomylnie twoją imponującą sylwetkę, gdy biegłeś prosto na niemieckie stanowisko, więc wszystko było jasne, mimo że nie odnaleziono twojego ciała. Słowem przyznano ci krzyż, a doktor Houeen dopilnuje, żebyś go dostał osobiście i żeby go nie posyłano do twojego rodzinnego domu, zamrucając twoją matkę.

Trzej inni pacjenci z mojej sali krzyknęli na wiwat, oczywiście ironicznym tonem. Wszyscy udawaliśmy, że nie dbamy o order, ale nie spotkałem żołnierza, który by odmówił przyjęcia odznaczenia.

W kilka dni później Diana gorzko żałowała swoich słów o odsyłaniu orderu mojej matce, bo w odpowiedzi na pismo, wystosowane przez doktora Houeena do moich rodziców, nadszedł list od pastora Donalda Phelpsa z wiadomością, że Alexander Ramsay oraz jego małżonka Fiona Dunstable Ramsay zmarli oboje podczas epidemii hiszpanki w początkach roku 1918, przedtem jednak zdążyli otrzymać zawiadomienie o śmierci ich syna pod Passchendaele.

Diana wstydziła się sądząc, że może uraziła moje uczucia. Ja z kolei wstydziłem się, że tak słabo odczułem stratę rodziców.

4

Dopiero w wiele lat później zacząłem myśleć o śmierci rodziców inaczej, nie jak o własnym wyzwoleniu. Doszedłszy do trzydziestki umiałem już spojrzeć na nich jak na dwoje ludzi z krwi i kości, którzy w miarę swych sił jak najlepiej radzili sobie w życiu, jakie im los zgotował. Wtedy jednak, leżąc w szpitalu, odczuwałem tylko wielką ulgę, że nie będę musiał dłużej grać roli kochanego synka mojej matki, że nie będę musiał tłumaczyć jej, czym jest wojna, ani gwałcić własnej natury, aby nie zawieść jej zaufania i uczynić zadość jej wymaganiom. Wiedziałem, że ujarzmiła ojca, i cieszyłem się, że nie będę musiał walczyć, aby uniknąć takiego samego ujarzmienia. Och, te zacne, pewne siebie

nieświadome niczego kobiety! Jakże człowiek może je znie-
nawidzić! Doznawałem nikczemnej satysfakcji na myśl, że
matka nie doczekała wiadomości o moim Krzyżu Wiktorii.
Jakżeby się pod maską skromności pyszniła, że jest matką
bohatera, że z jej mlekiem wyssałem zadatki męstwa.
A wszystko to kosztem trzech lat mojego poniżenia w bło-
tach Flandrii.

Oczywiście nic z tego nie powiedziałem Dianie. Intereso-
wały ją żywo moje wojenne doświadczenia i mogłem o nich
rozmawiać z nią swobodnie. Darzyłem ją zaufaniem, ona
odwzajemniała się sympatią i zdawałem sobie sprawę, że
więź między nami zacieśnia się i że kiedyś będzie trzeba
wyciągnąć z tego konsekwencje. Nie przejmowałem się
tym jednak. Cieszyłem się, że w ogóle żyję, i żyłem tylko
radościami bieżącej chwili.

Diana była romantyczna, a że nigdy przedtem nie spo-
tkałem kobiety z takim usposobieniem, studiowałem jej
uczucia z największą przyjemnością. Chciała wszystko
o mnie wiedzieć, starałem się więc opowiadać swoją hi-
storję jak najprawdziwiej, ale miałem przecież dwadzieścia
lat i byłem także romantykiem, toteż dzisiaj zdaję sobie
sprawę, że okłamywałem ją w każdym słowie, jakie wy-
mawiałem; nie przeinaczałem faktów, ale zmieniałem je
przesuwając akcenty, dodając barw, zmyślając intencje.
Skoro Dianę fascynowało życie w Kanadzie, odmalowałem
je fascynująco. Opowiedziałem Dianie nawet o pani Demp-
ster (przemilczając jednak, że to ja byłem odpowiedzialny
za jej obłąd) i czułem się zawiedziony, gdy Diana dość
chłodno przyjęła tę historję. Ale gdy opowiedziałem
o Małej Madonnie z Passchendaele i o jej wizytach w okre-
sie mojego wielomiesięcznego snu, Diana była zachwycona
i natychmiast przypisała temu przeżyciu konwencjonalny
religijny sens, co mnie, przysięgam, nigdy jakoś nie przy-
szło do głowy. Wracała do tego tematu wiele razy i często
przypominał mi się wówczas wstęp do *Żywotów świętych
dla dzieci* i mała W.V., do której narrator zwracał się w tej
książce. Z czasem doszedłem wprawdzie do wniosku, że
mała W.V. jest trochę nudna, ale teraz wolałem wstrzymać
się od krytykowania jej, bo Diana wydawała się drugą
W.V., a w Dianie wszystko mi się podobało.

Stopniowo zaczynałem uświadamiać sobie, że Diana
traktuje mnie jak swoją wyłączną własność, ale to mi za

bardzo pochlebiało, abym mógł jasno rozumieć, co to naprawdę znaczy. Wśród pielęgniarek w naszym szpitalu było sporo panien z dobrych domów, a chociaż pracowały ciężko i spełniały wszystkie obowiązki tego zawodu, korzystały z pewnych przywilejów, które z pewnością nie przysługiwały wszystkim siostrom. Rodziny wielu z nich mieszkały w bliskiej okolicy i dziewczętom pozwalano w dni wolne od służby jeździć do domu.

Wracając z takiej krótkiej wizyty Diana opowiadała mi o swoim rodzinnym domu i rodzicach, którzy wydawali się zupełnie niepodobni do wszystkich rodziców, z jakimi się dotychczas zetknąłem. Ojciec Diany, kanonik Marfleet, był kapłanem domowym w Windsor i jednocześnie duszpastierzem w swojej parafii. Nie miałem pojęcia, co właściwie oznacza tytuł domowego kapelana, i wyobrażałem sobie, że kanonik Marfleet zanudza morałami rodzinę królewską, tak samo jak deptfordzcy kaznodzieje zanudzali nas. Matka Diany nosiła tytuł „czcigodna”, do którego wszakże mąż jej nie miał prawa, co mnie zadziwiło; jej panięskie nazwisko pisało się De Blaquiere, ale w wymowie Diany brzmiało D'Blackyer, i przez dłuższy czas nie wiedziałem, jak to właściwie jest, ze względu na wojnę państwo Marfleet prowadzili teraz bardzo skromny tryb życia — zatrzymali tylko dwoje służących, a ogrodnik przychodził trzy razy w tygodniu — kanonik biorąc przykład z rodziny królewskiej zabronił aż do końca wojny podawania w swoim domu napojów alkoholowych z wyjątkiem szklaneczki portwajnu, gdy czuł się osłabiony. Wanny do codziennych kąpeli napełniano jedynie na wysokość trzech cali, żeby oszczędzać opału dla „naszej sprawy”. Nigdy w moim dotychczasowym życiu nie znałem ludzi kąpiących się codziennie; codzienną kąpiel w szpitalu uważałem za jakiś zabieg leczniczy, któremu przestanę poddawać się, gdy wrócę do zdrowia.

Przyjaźń z Dianą była dla mnie niezmiernie pouczająca. Stopniowo obejmując nade mną władzę zaczęła korygować pewne moje maniery, nazywając je dziwnymi — nigdy „złymi”, po prostu dziwacznymi. Na szczęście, ponieważ mój język zachował wiele cech szkockich, uniknęliśmy sporów o prawidłową wymowę, zwykłych między dwójkiem ludzi reprezentujących stary i nowy świat; Diana śmiała się pobłaźliwie, gdy mówiłem „motek” nici na to,

co dla niej było „szpulką” nici, ale stanowczo wyjaśniała, że chleb trzeba rozrywać w palcach, a nie krajać na regularne kawałki, i smarować masłem każdy kęs z osobna, co mnie wydawało się próżną stratą czasu i pretensjonalnością; oduczyła mnie także jeść jak człowiek, który boi się, że nie dożyje do następnego kęsa; nabrałem tego przyzwyczajenia w dzieciństwie, pobyt w okopach jeszcze je spotęgował i utrwalił i po dziś dzień przyłapuję się na tym błędzie, gdy jestem zdenerwowany. Przyjmowałem uwagi Diany chętnie. Z wdzięcznością. Robiła je zresztą zawsze z humorem i wdziękiem, nie było w tym ani odrobiny dokuczliwego gderania.

Wszystko to oczywiście nie od razu się stało. Od mojego przebudzenia upłynęło sporo czasu, zanim mogłem wstać z łóżka, a później jeszcze więcej, zanim mogłem rozpocząć eksperymenty z różnymi namiastkami nogi, jakie mi dawano przed dostarczeniem trwałej protezy. Musiałem uczyć się chodzenia o kulach, a ponieważ różne mięśnie, zwłaszcza w lewym ramieniu, miałem poszarpane lub w stanie zaniku, kosztowało mnie to dużo trudu i bólu. W całym tym okresie Diana bardzo mi pomagała. Była dosłownie moją podporą, a od czasu do czasu po prostu zwałałem się na nią całym ciężarem. Trudno by znaleźć wspanialszą pielęgniarkę.

Kiedy wreszcie mój stan na to pozwalał, zawiozła mnie do swojego rodzinnego domu. Zostałem przedstawiony kanonikowi i jego utytułowanej żonie. Nie mógłbym powiedzieć o nich nic lepszego jak to, że wydali mi się godni swojej córki. Kanonik był czarującym człowiekiem, niepodobnym do przedstawicieli kleru, których znałem w moim poprzednim życiu; nawet w niedzielę w południe przy stole nie poruszał tematów religijnych. Jako dobry prezbiteryanin spróbowałem raz i drugi uraczyć go komplementem, chwalać poranne kazanie i nawiązując do jego treści, ale wyraźnie nie życzył sobie takich rozmów. Wolał mówić o wojnie, a ponieważ miał dokładne informacje i był zwolennikiem Lloyd George'a, dyskusja, do której mnie wciągał, nie przeradzała się w zwykłą licytację nienawiści; musiało być w Anglii mnóstwo ludzi takich jak on, ale trudno w to uwierzyć sądząc z warunków pokoju, jaki ostatecznie zawarliśmy. Jego małżonka nie miała nic w sobie z tego, co kojarzyłem z rolą matki. Była dowcipną,

lekkomyślną kobietą, piękną na swój wiek — myślę, że zbliżała się do pięćdziesiątki — a plotła tak, jakby nie miała ani odrobiny mózgu w głowie. Ale nie rozczarowała mnie, myślałem, że tak będzie wyglądała Diana za dwadzieścia kilka lat i podziwiałem ją bez zastrzeżeń.

Jakże te wizyty w domu Marfleetów rozszerzały moje widnokreśli! Dla chłopaka, który miał za sobą takie jak ja przeżycia, było to po prostu olśnienie. Mam nadzieję, że zachowywałem się przyzwoicie i nie gadałem głupstw, ale wspominając ten okres, pamiętam kanonika, jego żonę i Dianę, a także wszystko, co o nich myślałem, nie utkwiło mi jednak w pamięci prawie nic z tego, co sam robiłem i mówiłem.

5

Moje wspomnienia z tych miesięcy są tak fragmentaryczne zapewne dlatego, że byłem wtedy krańcowo wyczerpany po trzech latach wojny. Nareszcie znalazłem się poza jej piekłem, więc rozkoszowałem się bezpieczeństwem i czystością otoczenia, niezbyt pilnie śledząc, co się dzieje w szerszym świecie. Od czasu do czasu dochodził do nas huk dział z Francji, były kłopoty z aprowizacją, ale jadłem lepiej niż w okopach; nieraz gazety przynosiły złowieszcze komunikaty. Mimo wszystko czułem się szczęśliwy i wiedziałem, że dla mnie w każdym razie wojna skończyła się nareszcie. Plany życiowe miałem jak najprostsze: nauczyć się chodzenia o kulach, a potem na sztucznej nodze z laską. Nie byłem naprawdę zakochany w Dianie, ale olśniony jej urokiem; pochlebiało mi, że mnie wyróżnia. Spełniłem swój wojenny obowiązek i odpoczywałem.

W końcu zwyciężyliśmy i w szpitalu wszyscy szaleli z uciechy. Nazajutrz po dniu 11 listopada doktor Hounen zaprosił do samochodu oprócz mnie drugiego rekonwalescenta, Dianę wraz z jeszcze jedną siostrą i zawiózł nas do Londynu, żebyśmy zobaczyli, jak mieszkańcy stolicy święcą zawieszenie broni. Na mój gust te objawy radości zanadto przypominały natarcie piechoty. Od dnia, w którym zostałem ranny, odwykłem od przebywania w tłumie, a zgiełk i ścisk na londyńskich ulicach był rzeczywiście przerażający. Od końca roku 1917 po dziś dzień źle znoszę hałas

i łłok. Wiedziałem wówczas, do czego doprowadzić może zbiorowe podniecenie, i niektóre sceny wydały mi się wręcz gorszące. Ludzie, ocaleni od zniszczenia, sami ulegali niszczycielskim instynktom; ocaleni od rozpusty i gwałtów dopuszczali się brutalnych wybryków i wykrzykiwali publicznie najplugawsze słowa. Nie mam zresztą prawa do gorszenia się, bo tej nocy 12 listopada w domu przy Eaton Square, należącym do jednej z ciotek z rodziny De Blaquiere, przespałem się po raz pierwszy z Dianą, za milczącą zgodą jej ciotki, która ulotniła się dyskretnie. Wydawało mi się, że jest coś nieprzyzwoitego w zbliżeniu między moim naznaczonym bliznami i okaleczonym ciałem a nieskazitelną pięknnością Diany. Przyzwoite czy nie, w każdym razie było to pierwsze moje przeżycie w tej dziedzinie, bo nigdy nie mogłem przewyciężyć oporów i skorzystać z żołnierskich burdeli lub innych przypadkowych okazji, dostępnych dla mężczyzn w mundurach. Diana nie była nowicjuską — prawdopodobnie za sprawą narzeczonego, który poszedł na dno wraz z „Aboukirem” — i wtajemniczyła mnie z delikatną czułością, za co będę jej do śmierci wdzięczny. Tak zostaliśmy kochankami w pełnym znaczeniu tego słowa, a dla mnie to doświadczenie było ważnym krokiem na drodze do tej męskiej dojrzałości, którą tak jednostronnie narzuciły mi okopy.

Diana miała szczęście oraz znajomości, dostała na następny wieczór bilety do teatru i to także było dla mnie wielkim przeżyciem, bo nigdy przedtem nie oglądałem innych przedstawień niż spektakle improwizowane dla wojska. Podczas jednego z krótkich urlopów spędzonych w Paryżu odszukałem miejsce, gdzie niegdyś znajdował się teatr Robert-Houdina, lecz okazało się, że przestał istnieć od dawna. Musiałem być bardzo naiwnym młodzieńcem, jeśli spodziewałem się czegoś innego. Zmysł historyczny rozwinął się we mnie dopiero później.

Wielki zamęt panuje widać w mojej głowie, skoro wtajemniczenie w sprawę płci zestawilem bezpośrednio z pierwszą oglądaną w życiu komedią muzyczną; można by mnie podejrzewać o brak równowagi psychicznej. Ale z perspektywy mojego dzisiejszego wieku te dwa przeżycia, chociaż bardzo różne, są pod względem doniosłości psychologicznej bardziej do siebie podobne, niż można by z pozoru sądzić. Oba były dla mnie objawieniem nieznanych

cudownych krain, w które wkroczyłem w atmosferze uniesienia. Zdaje się, że byłem wtedy jeszcze dość słaby fizycznie i psychicznie.

Kolejnym wielkim wydarzeniem w moim życiu stała się uroczystość otrzymania Krzyża Wiktorii z rąk samego króla. Doktor Houneen postarał się, aby mnie oficjalnie uznano za człowieka żyjącego, więc odznaczenie, przyznane pośmiertnie, powtórzono tym razem na innej liście. W rezultacie pewnego grudniowego ranka pojechałem taksówką do pałacu Buckingham po swój order. Pozwolono mi zaprosić na tę ceremonię jedną osobę i bez wahania wybrałem oczywiście Dianę. Ludzie obecni na sali spoglądali na nas z sentymentalną życzliwością; inwalida wojenny z przesłiczną pielęgniarką u boku był chyba najpopularniejszą postacią w tamtych latach.

Mnóstwo szczegółów zatarło się w mojej pamięci, niektóre jednak zachowały się do dziś. W sąsiedniej sali orkiestra wojskowa grała wiażankę z *Dziewczyny z gór* (tak mnie objaśniła Diana). Staliśmy wokół pod ścianami czekając na króla, który nadszedł ze świtą i zajął miejsce pośrodku sali. Kiedy wywołano moje nazwisko, wystąpiłem kuśtykając na najnowszej metalowej protezie i czyniąc nią dość wiele hałasu, stanąłem na baczność tuż przed królem. Ktoś podał mu order, a król go przypiął na mojej bluzie, uściśnął mi rękę i powiedział: „Cieszę się, że mimo wszystko, mógł pan osobiście przyjść po swój krzyż”.

Mam dotychczas w uszach jego niski, trochę ochryply głos i pamiętam, jak z bliska wyglądała broda, którą nosił wzorem wielu oficerów marynarki. Był znacznie niższy ode mnie i dlatego patrzyłem z góry w niebieskie połyskliwe oczy; wypadało uśmiechnąć się z królewskiego żartu, co też zrobiłem, nim wycofałem się w należyty porządku.

Przez krótką chwilę jednak patrzyliśmy sobie nawzajem prosto w oczy i w tym momencie objawiła mi się błyskawicznie myśl, której wyrażenie zajmie więcej czasu, niż trwała cała ta scena. Oto stoję tutaj wyróżniony jako bohater i wszyscy obecni wierzą, że jestem naprawdę bohaterem, ale wiem, że mój akt heroizmu był w rzeczywistości brudną robotą, którą wykonałem nieprzytomny ze strachu; równie dobrze mogło mi się nie udać i zginąłbym niesławnie. Nie ma to wszakże znaczenia, bo ludziom potrzebni są bohaterowie; bylebym sam nie stracił z oczu prawdy,

wszystko jedno, czy ja będę dla nich bohaterem, czy ktokolwiek inny. Naprzeciw mnie stoi niewysoki, świetnie wypielegnowany mężczyzna i przypina order na mojej piersi, ponieważ może do swoich przodków zaliczyć między innymi Alfreda Wielkiego, Karola I czy nawet króla Artura, chociaż zaprzecza temu prawda historyczna. Nie zdziwiłbym się, gdyby w głębi duszy czuł się równie jak ja oszołomiony zrządzeniem losu, które go tutaj sprowadziło. Obaj jesteście publicznymi ikonami, on wyobraża majestat królewski, a ja — bohaterstwo, obaj jesteście nierealni, a zarazem bardzo potrzebni; mieliśmy do spełnienia misję wyższą niż wszelkie nasze osobiste sprawy, i gdybyśmy pozwolili, aby osobiste uczucia przyćmiły blask tej misji, uchylibyśmy naszym obowiązkom.

Stało się to jeszcze bardziej jasne później, podczas lunchu w Savoyu, gdzie kanonik i jego żona fetowali nas szampanem. Wszyscy, jak się zdawało, uważali mnie za autentycznego bohatera, więc starałem się zachowywać odpowiednio ani nie manifestując zbyt, że w to wierzę, ani nie zapewniając ich, że jestem zwykłym chłopakiem, który spełnił po prostu obowiązek, gdy okoliczności tego wymagały — bo taka poza zawsze budziła we mnie odrazę. Od tego czasu myślę z wyrozumiałością o ludziach, których los wyniósł na taki lub inny piedestał; wyznaczyliśmy im określone role i powinniśmy traktować ich jak aktorów, nie próbując podważać ich kreacji przypominaniem faktów z ich zakulisowego życia — chyba że oni sami niedyskretnie wywloką je na środek sceny.

6

Oswajanie się z rolą bohatera było tylko jednym z wielu zadań, z którymi musiałem uporać się podczas długiego pobytu w szpitalu. Gdy wróciłem na ten świat — nie chcę mówić: „do przytomności”, bo wydawało mi się, że byłem przytomny na jakiejś innej płaszczyźnie przez cały czas tego, co lekarze nazywali letargiem — musiałem przyzwyczaić się do myśli, że jestem człowiekiem z jedną tylko nogą i ze znacznie osłabioną lewą ręką. Okazałem się mniej zdolny do radzenia sobie z fizycznym upośledzeniem niż wielu moich szpitalnych kolegów, którzy stracili jedną

z kończyn. Zawsze byłem niezdarny, a chociaż Diana i lekarz zapewniali mnie, że wkrótce będę poruszał się tak sprawnie, jak gdybym miał dwie zdrowe nogi, nigdy nie przestałem kuleć i nie czuję się pewnie bez laski w rękę. Przede wszystkim byłem bardzo słaby, a poza tym chociaż całkowicie zdrowy na umyśle, miałem dziwną pustkę w głowie przez kilka pierwszych miesięcy rekonwalescencji, i właśnie dlatego wszystkie moje wspomnienia z tego okresu są tak mętne. Z rolą bohatera musiałem się jednak oswoić; nie znaczyło to, żebym sam wierzył w swoje bohaterstwo, ale postanowiłem zachowywać się tak, by nie obrażać ludzi, którzy w nie wierzyli. Musiałem też określić swoją postawę wobec Diany.

W naszych stosunkach było coś nieprawdziwego, wynikającego z przyczyn trwalszych niż chwilowa pustka w mojej głowie. Nie mogę Dianie nic zarzucić i będę jej do śmierci wdzięczny za to, że nauczyła mnie, czym może być fizyczna strona miłości. Po ohydzie okopów jej piękność i wielkoduszność stały się dla mnie najskuteczniejszym lekiem. Ale nie mogłem zamykać oczu na fakt, że Diana uważała mnie za swoje dzieło. Czyż nie miała do tego podstaw? Karmiła mnie, nęciła do powrotu na ten świat, gdy przebywałem bardzo daleko od niego. Uczyła mnie chodzić i zdobywała się na bezgraniczną cierpliwość, gdy byłem okropnie niezdarny. Nie szczędziła starań, aby skorygować moje manery przy stole i w całym sposobie bycia. Ale nawet teraz, gdy opisuję tamte dni, wiem, że jasno już wtedy widziałem, na czym polega błąd naszych stosunków: Diana była za dużo matką dla mnie, a ponieważ przez wiele lat miałem matkę i straciłem ją, nie kwapiłem się do znalezienia nowej, choćby młodej i pięknej, z którą mógłbym zabawiać się w Edypa. Nie zamierzałem też stać się znowu czyimkolwiek kochanym synkiem i wolałem tego uniknąć.

Decyzja, powzięta wówczas, ukształtowała moje dalsze życie i w pewnym sensie niewątpliwie je wypaczyła, ale do dziś myślę, że wiedziałem wtedy, co jest dla mnie najlepsze. W długich okresach odpoczynku w szpitalu przemyślałem gruntownie swoje położenie i doszedłem do następujących wniosków: sownie odpłaciłem społeczeństwu za wszystko, co od niego dostałem i co mógłbym dostać w przyszłości; noga i spora część władzy w lewym ramieniu to dość wysoka cena. Społeczeństwo postanowiło uznać

mnie za bohatera, a chociaż wiedziałem, że nie jestem większym bohaterem niż wielu moich towarzyszy broni, a na pewno mniejszym od tych, co polegli wykonując zadania, których ja nie byłbym zdolny wykonać, zdecydowałem, że pozwolę społeczeństwu traktować swoją osobę tak, jak mu się podoba. Nie będę swoim bohaterstwem handlował, ale też nie będę się go wypierał. We właściwym czasie dostanę rentę inwalidzką, a Krzyż Wiktorii przyniesie mi pięćdziesiąt dolarów rocznie w brzęczącej monecie. Przyjmę te pieniądze i będę za nie wdzięczny. Ale chcę odtąd być panem własnego życia i szukać w nim tego, co może mi dać zadowolenie.

W moich planach nie było miejsca dla Diany. Ona, jak się zdawało, przypuszczała, że ją włączam do swoich projektów na przyszłość, i może postąpiłem nielojalnie, że nie sprostowałem pomyłki natychmiast, gdy ją sobie uświadomiłem. Ale, mówiąc szczerze, podobało mi się, że Diana kocha się we mnie, dodawało mi to otuchy w okresie, gdy bardzo mi jej brakowało. Lubiłem też kłaść się z Dianą do łóżka, a ponieważ ona również to lubiła, transakcja wydawała mi się uczciwa. Ale po prostu życie z Dianą nie było dla mnie. Jak zwykle każda dziewczyna w podobnych okolicznościach, Diana wyobrażała sobie, że zmierzamy do zaręczyn a potem do małżeństwa: nigdy tego wprost nie powiedziała, ale rozumiało się bez słów, czego się spodziewa: gdy odzyskam w pełni siły, pojedziemy do Kanady; jeżeli nie mylę się co do niej całkowicie, marzyła o pięknej, dużej farmie pszenicznej na zachodzie, żywiąc typowe dla Anglików złudzenia, że nie ma wspanialszego życia niż prowadzenie gospodarstwa rolnego na wsi. Ale ja wiedziałem coś niecoś o farmerstwie i byłem pewny, że to nie jest praca ani dla amatora, ani dla inwalidy.

Co dwa tygodnie Diana zjawiała się, wyniosła i piękna, by wręczyć mi list od Leoli Cruikshank. Były to zawsze trudne momenty, bo listy te zbijały mnie z tropu; jałowe w treści, niezręczne w formie, jakby nie pochodziły od tej dziewczyny, którą zapamiętałem, która miała głowę całą w lokach, a usta miękkie i szepczące słodko. Zastanawiałem się, jak mogłem być tak głupi, żeby uwikłać się we flirt z tą istotą o ptasim mózdzku. Diana wiedziała, że to są listy od dziewczyny, bo naiwny charakter pisma jednoznacznie wskazywał na przedstawicielkę tego odłamu rodzaju ludz-

kiego, a ponieważ nie otrzymywałem prawie żadnej innej korespondencji, intuicja mówiła jej, że w grę wchodzi jakaś szczególnie bliska mi dziewczyna. Nie umiałbym Dianie wyjaśnić, do jakiego stopnia tamta jest mi bliska, bo już nie pamiętałem dokładnie, jakie zobowiązania wziąłem na siebie w stosunku do Leoli. Czy byłem z nią zaręczony, czy nie? W listach, którymi jej odpowiadałem i które z trudem przemyślałem do skrzynki pocztowej w sekrecie przed Dianą, wystrzegałem się wszelkich wyraźnych deklaracji; starałem się pisać tak, żeby wywołać jakąś reakcję, która by wyjaśniła, jak Leola wyobraża sobie dalszy ciąg naszych stosunków. Jednakże chytryść tego rodzaju przekraczała jej możliwości, przy tym słabo władała piórem i w swoich banalnych liścikach poprzestawała na przekazywaniu mi plotek z naszego miasta (wyjaławiając je zresztą z wszelkiej pikanterii), a kończyła zwykle nieodmienną formułą: „Wszyscy z niecierpliwością wyczekują Twego powrotu, strasznie miło będzie zobaczyć Cię znowu u nas. Załączam najserdeczniejsze pozdrowienia, Leola”.

Czy była to obojętność, czy też panińska wstydlivość? Pociłem się chwilami rozmyślając o tym.

Jeden z listów Leoli nadszedł tuż przed świętami Bożego Narodzenia, na które dostałem ze szpitala urlop, abym mógł je spędzić w domu państwa Marfleet. Kanonik uczcił zawieszenie broni odwołaniem ślubów abstynencji od alkoholu, co zapowiadało wesołe święta. W wojsku nauczyłem się pić nierozcieńczony rum i byłem gotów na wszystko. Ale w wigilię Diana wyciągnęła mnie na rozmowę w cztery oczy i spytała bez ogródek, kim jest dziewczyna pisująca do mnie z Kanady i czy jestem z nią związany. Użyła tego wyrażenia „związany”. Od dawna bałem się tego pytania, lecz nie miałem przygotowanej odpowiedzi, toteż kręciłem i kluczyłem, spostrzegając nagle, że imię Leoli brzmi wulgarnie, gdy je wymawiam w tej sytuacji, i sam siebie nienawidziłem za te myśli. Byłem oczywiście głupcem, lecz najgorsza trudność wynikała stąd, że próbowałem dochować lojalności Leoli, nie urażając jednocześnie Diany; im więcej gadałem, tym gorzej całą sprawę plątałem. Wkrótce Diana rozplakała się, więc robiłem, co mogłem, żeby ją pocieszyć. Mimo to nie zapominałem ani na chwilę o powziętym stanowczym postanowieniu, żeby nie zobowiązywać się wobec Diany do niczego, a to wymagało trudnej

akrobacji werbalnej i doprowadziło w rezultacie do gwałtownej kłótni.

Żołnierze kanadyjscy mieli w Anglii dwuznaczną reputację w tych czasach; uchodzili za wiernych, wściekłych kosmatych wojowników, plujących ogniem na nieprzyjaciela, lecz kobiety pożerali rzekomo żywcem. Diana oskarżyła mnie, że należę do takich właśnie smoków i że wymusiłem na niej dowody uczucia, którego nie odwzajemniałem. Odpowiedziałem najgłupiej w świecie, że uważałem ją za osobę dorosłą, która powinna sama wiedzieć, czego chce. Ach, więc to tak? — odparła. Ponieważ jest o cztery lata ode mnie starsza, ja ją traktuję jak starą gruboskórną wygę, która sama umie się obronić i nie zaśluguje na względy.

Szczerze i z bezceremonialnością, za którą dzisiaj się rumienię, odpowiedziałem, że nie zauważyłem na niej ani kawałeczka grubej skóry, ale przecież miała już przedtem narzeczonego, prawda? Znowu ją obrażam — odparła. Uznałem ją za towar ze skazą. Wymawiam jej, że oddała się człowiekowi, który poległ śmiercią bohatera już w pierwszych tygodniach wojny. Potraktowałem ją jak zabawkę, dobrą rozrywkę dla zabicia czasu. Pokochała mnie, gdy byłem chory i słaby, nie domyślając się, jak jestem z natury bezwzględny. I tak dalej w tym samym duchu.

Oczywiście rozmowa wkrótce przeszła na ton łagodniejszy i po kłótni tym słodsza wydawała się zgoda, ale w chwilę później Diana znów wróciła do punktu wyjścia, po prostu jako osoba dla mnie bardzo życzliwa, nalegając, żebym jej wyznał, w jakim stopniu jestem zobowiązany wobec Leoli. Nie śmiałem odpowiedzieć, że sam sobie na próżno stawiam identyczne pytanie.

Byłem za młody, by zdobyć się na prawdomówność w tych sprawach. Diana tymczasem dalej nalegała pytając, czy jestem w tej Leoli zakochany. Na to mogłem z czystym sumieniem odpowiedzieć przecząco. W takim razie jesteś zakochany we mnie — wywnioskowała Diana z kobiecą logiką, której niespodzianki wprawiają mężczyzn w osłupienie. W dłuższym przemówieniu tłumaczyłem, że nigdy nie wiedziałem, co właściwie mają na myśli ludzie twierdząc, że są w kimś zakochani. Dianę po prostu kocham, naprawdę kocham. Ale co do zakochania... wszystkich bzdur,

jakie wtedy plotłem, już dziś nie pamiętam i nie powtórzyłbym tutaj nawet, gdybym je sobie przypomniał.

Diana zmieniła taktykę. Orzekła, że jako intelektualista zanadto analizuję sprawy, w których jedynie uczuciem należy się kierować. Skoro ją kocham, o nic więcej nie będzie pytała. Jaką widzę dla nas obojga przyszłość?

Nie chciałbym, żeby Diana w mojej relacji z tej rozmowy wyglądała na osobę przebiegłą, ale muszę powiedzieć, że z wielkim talentem dążyła do swoich celów. Bardzo jasno wiedziała, jaka przyszłość zarysowuje się przed nami, ja natomiast nie miałem o tym pojęcia i z pewnością Diana zdawała sobie sprawę z tej swojej przewagi. Toteż pytała nie po to, by usłyszeć ode mnie odpowiedź, ale żeby mi ją zakomunikować. Ja jednak także nie byłem całkowicie wyzuty z przebiegłości. Odparłem, że po straszliwym wstrząsie wojennym nie umiem jeszcze jasno wyobrazić sobie przyszłości, ale na pewno nie powstałoby mi w głowie proponować jej małżeństwa z człowiekiem tak ciężko okaleczonym jak ja.

Okazało się, że popełniłem fatalny błąd. Diana z takim uniesieniem odmalowała uczucia, jakie musi żywić przyzwyczajona kobieta dla mężczyzny zranionego i okaleczonego na wojnie, w dodatku odznaczonego najwyższym orderem za męstwo, że omal nie straciłem głowy i nie zacząłem jej błagać, by została moją żoną. Wspominając, jak moja młodzieńcza jaźń zdemaskowała się w tej sytuacji, nie mogę obronić się od dotkliwego uczucia wstydu i niesmaku. Do tego momentu potrafiłem opierać się miłości dziewczyny, ale prawie dałem się złapać na jej pochlebstwa. Nie mówiła tego zresztą nieszczerze, w Dianie nie było ani odrobiny fałszu. Wychowana na psychicznej diecie, która składała się z czci dla bohaterstwa, imperium, przyzwyczajona do uczuciowej wyższości kobiecej natury, umiała o tych rzeczach mówić bez rumieńca, jak pewni ludzie mówią o Bogu. A ja miałem zaledwie dwadzieścia lat.

Cóż to była za noc! Gadaliśmy do trzeciej nad ranem komplikując naszą sytuację tysiącem skrupułów, jak to potrafią bardzo młodzi ludzie, i staraliśmy nie ranić się nawzajem, chociaż Diana pragnęła zaręczyć się ze mną, a ja rozpaczliwie walczyłem, żeby do niczego podobnego nie dopuścić. Powtarzam jednak, co już raz powiedziałem, że Diana była naprawdę wyjątkową dziewczyną, toteż gdy prze-

konała się, że nie uda jej się postawić na swoim, skapitulowała z wdziękiem.

— No, dobrze — powiedziała podnosząc się z kanapy, siadając i przyczesując włosy (na niektórych etapach dyskusji padaliśmy sobie w objęcia i moja najnowsza proteza skrzypiała złowieszczo) — skoro nie mamy się pobrać, niech i tak będzie. Ale co ty z sobą zrobisz, Dunny? Nie zamierzasz chyba ożenić się z tą dziewczyną, której imię brzmi jak nazwa płynu na wzmocnienie włosów, ani wydawać odziedziczonej po ojcu prowincjonalnej gazetki, co? Zasługujesz na coś więcej.

Przyznałem jej słuszność, na pewno zasługiwałem na coś więcej, ale na co mianowicie, tego nie wiedziałem, i potrzebowałem czasu, żeby to odkryć. Rozumiałem też, że tymi poszukiwaniami muszę zająć się w samotności. Nie powiedziałem Dianie, że mam poza tym do rozwiązania zagadkę Małej Madonny, bo Diana, wychowana w konwencjonalnym chrystianizmie i ożywiona szlachetnymi sentymentami, zaczęłaby natychmiast tłumaczyć mi tę sprawę, a tymczasem cała intuicja, jaką rozporządzałem, mówiła mi, że jej wyjaśnienie byłoby mylne. Powiedziałem natomiast, że w pełni zdaję sobie sprawę, jak wielką przeszkodą na drodze życia jest brak formalnego wykształcenia, i że postaram się dostać jakimś sposobem na uniwersytet; jeśli wrócę do Kanady, rozejrzę się za takimi możliwościami i myślę, że uda mi się ten projekt urzeczywistnić. Niełatwo zrekapitulować wszystko, co człowiek w takich okolicznościach mówi dziewczynie, ale zdołałem jej dość wyraźnie powiedzieć, że bardziej niż czegokolwiek innego potrzeba mi czasu, abym mógł stać się naprawdę dorosłym. Wojna nie zrobiła ze mnie dojrzałego mężczyzny, wyszedłem z niej podobny do kawałka mięsa z jednej strony przypalonego, ale z drugiej surowego, i właśnie nad tą surową stroną chciałem pilnie popracować. W końcu dziękowałem Dianie najgoręcej za wszystko, co dla mnie zrobiła.

— Pozwól, że zrobię coś jeszcze — odparła. — Chciałabym dać ci nowe imię. Kto u Boga, wymyślił takie cudactwo jak Dunstable?

— To jest panięńskie nazwisko mojej matki — wyjaśniłem. — W Kanadzie roi się od mężczyzn, którym

nazwisko matki służy za chrzestne imię. Dlaczego nie podoboba ci się Dunstable?

— Po pierwsze trudno to wymówić — odparła. — Po drugie dudni jak wóz po kocich łbach. Nigdy nie zajedziesz w świecie daleko jako Dumbledum Ramsay. Czy nie lepiej zmienić imię na Dunstan? Święty Dunstan był wspaniałą indywidualnością i jesteś bardzo do niego podobny, bo on też palił się do nauki, był okropnie sztywny i surowy, straszyl ludzi groźną miną i po mistrzowsku potrafił przecięzać pokusy. Trzeba ci wiedzieć, że diabeł, aby go skusić, ukazał mu się kiedyś w postaci fascynującej kobiety, ale nasz święty chwycił ją swoimi szczypcami złotnika za nos i ścisnął go z wszystkich sił.

Chwyciłem jej nosek w dwa palce i ścisnąłem. Omal nie straciłem wskutek tego głupiego żartu wszystkiego, co przedtem uzyskałem, ale po chwili wróciliśmy do przerwanej rozmowy. Spodobała mi się myśl przybrania nowego imienia; kojarzyła się z perspektywą nowej swobody i nowej osobowości. Diana przyniosła trochę ojcowskiego portwajnu, połała nim moją głowę i ochrzciła mnie nowym imieniem.

Była oczywiście anglikanką i jej lekkomyślne żarty z najbardziej uświęconych spraw wciąż jeszcze zdumiewały moją prezbiteriańską duszę, ale za długo brodziłem w błocie i krwi pod Passchendaele, abym mógł przejmować się takim drobiazgiem; bluźnierstwo w dobrej sprawie (co zwykle znaczy: w naszym interesie) nie jest zbyt trudne do strawienia. Nim wreszcie poszliśmy spać, osiągnąłem dwie wspaniałe zdobycze: byliśmy z Dianą przyjaciółmi, zamiast być parą kochanków, i otrzymałem nowe świetne imię.

Dzień Bożego Narodzenia upłynął jeszcze przyjemniej, niż się spodziewałem... Rodzice Diany z pewnością wiedzieli, co się święci; byli zbyt lojalni, żeby przeszkadzać, gdybyśmy naprawdę pragnęli się pobrać, ale odetchnęli z ulgą, gdy powzięliśmy inną decyzję. Skąd się o niej dowiedzieli, nie mam pojęcia; rodzice często nie są tak głupi, jak się wydaje dzieciom, i podejrzewam, że matka Diany wywęszyła prawdę w atmosferze poranka. Ostatecznie nie miałoby powodu do radości, gdyby ich córka zaślubiła człowieka tak fizycznie okaleczonego jak ja, pochodzącego z zupełnie innego środowiska, o cztery lata młodszego od

niej i gdyby z nim wyjechała szukać szczęścia w obcym dla nich kraju. Toteż byli teraz zadowoleni, ja też byłem uradowany, a co do Diany, to przypuszczałem, że była bardziej zadowolona, niż chciała się przyznać.

Zakochała się we mnie, ponieważ myślała, że sama stworzyła mnie takiego, jaki teraz byłem, ze zmiażdżonego i nieprzytomnego szpitalnego pacjenta. Sądzę jednak, że wkrótce doszła do tego samego co ja przekonania, iż nasze małżeństwo nie miałoby szans powodzenia. Tak więc Gwiazdka odebrała mi kandydatkę na żonę, za to obdarzyła mnie trojgiem serdecznych przyjaciół.

7

Powrót do Kanady odwłókł się na czas jakiś z powodu zawitych formalności wojskowych oraz mojego rzekomo wątlęgo zdrowia, ale na początku maja następnego roku wysiadłem wreszcie pewnego dnia z pociągu na stacji w Deptford, gdzie na peronie przywitał mnie przewodniczący rady miejskiej Orville Cave, a potem uroczyście obwieziono mnie po mieście jako główną atrakcję tryumfalnego pochodu.

Chociaż ceremonia przyjęcia był z góry i szczegółowo zapowiedziany mi listownie, jego wspaniałość zaskoczyła mnie. Nie spodziewałem się, że cztery lata wojny mogą tak bardzo odmienić atmosferę w Deptford, bo za moich szkolnych czasów miasteczko nie zdradzało wielkiego zainteresowania dla szerszego świata i jego spraw. Teraz stawili się wszyscy: łątach obuwia Moses Lanngirand w czymś, co miało imitować francuski mundur, reprezentował marszałka Focha; uzyskał tę zaszczytną rolę z jak najbardziej słusznego tytułu, jako jedyny w promieniu kilku mil Kanadyjczyk mówiący po francusku oraz posiadacz sumiastych siwych wąsów; wysoki nieznany mi młodzieniec występował w stroju pozwalającym domyślać się, że symbolizuje Wuja Sama. Johnów Bullów było aż dwóch wskutek jakiegoś nieporozumienia, którego inaczej nie dałoby się rozwiązać bez urażenia ludzkich uczuć. Sióstr Czerwonego Krzyża naliczyłem sześć czy nawet siedem.

Dziewczyna słynna za moich sztubackich lat z bardzo dużych nóg, niejaka Katie Orchard, spowita we flagę,

z bandażem zasłaniającym jedno oko, uosobiała „małą dzielną Belgię”. Te i inne osoby w kostiumach niezbyt przekonujących, ale niewątpliwie patriotycznych, utworzyły pochód o wyraźnie alegorycznym charakterze, sunący główną ulicą miasta z orkiestrą, złożoną z siedmiu instrumentów dętych i jednego gromkiego bębna na czele. Za nimi jechałem ja w otwartym samochodzie Gray-Dort u boku przewodniczącego rady miejskiej, a za naszym samochodem ciągnęła gromadka pstro ubranych dzieciaków, która dręczyła i lżyła Myrona Papple'a, przedstawiającego cesarza niemieckiego, co można było nieomylnie poznać po przyklepionych olbrzymich, do góry podkręconych wąsiskach. Myron brykał udając szal i upośledzenie bardzo zabawnie, ale z takim nakładem energii, że nie wiem, jakim cudem grubas mógł tak długo wytrzymać ten wysiłek. Z pociągu wygramoliłem się o trzynastej trzydzieści, a ponieważ nasze miasteczko było małe, do czternastej czterdzieści pięć zdążyliśmy objechać wszystkie ulice i trzykrotnie przemierzyć tam i z powrotem główną arterię i nie pozostawało nam już nic więcej do zrobienia. W życiu nie widziałem nic bardziej dziwaczego niż ta procesja, ale urządzono ją na moją cześć, więc nie mogę z niej się wyśmiewać. Była to deptfordzka wersja rzymskiego tryumfu, a ja starałem się okazać jej godny, zachowałem uroczystą powagę i oddawałem honory każdej fladze, jeśli jej wymiary wynosiły co najmniej 12 na 8 cali, ze specjalnym szacunkiem odnosząc się do obywateli w podeszłym wieku.

Po rozwiązaniu pochodu ukryto mnie w Tecumseh House, gdzie miałem doczekać godziny siedemnastej trzydzieści, po czym udać się do domu przewodniczącego rady miejskiej na oficjalną kolację. Napisałem: że mnie „ukryto” w sensie dosłownym. Moi współobywatele uważali, że nie wypada, abym chodził po ulicach jak zwykły człowiek, dopóki nie ukażą się tego wieczora w blasku apoteozy. Umieszczono mnie więc w najlepszym pokoju naszego hotelu, nad którego wejściem powieszono czerwoną flagę Kanady, barmanowi, Joemu Gallagherowi, surowo nakazano, żeby nikogo do mnie nie dopuszczał. Siedziałem więc przy oknie patrząc ponad dziedzińcem i stajniami na prezbiteriański kościół Świętego Jakuba albo próbowałem czytać *Wojnę i pokój* (bo wreszcie mogłem pochłaniać grube soczyste powieści, o których marzyłem na froncie), ale właściwie zbyt byłem

zdumiony własną sytuacją, żeby zająć się czymkolwiek, i zastanawiałem się tylko, kiedy będzie mi wolno w końcu robić to, na co mam ochotę.

Tego dnia nie miałem zaznać wolności. O szóstej zasiadłem do uroczystej kolacji u przewodniczącego rady miejskiej. Ze względu na liczbę biesiadników rozstawiono w ogrodzie stoły na kozłach i tam raczyliśmy się zimnymi kurczętami, szynką, sałatką z ziemniaków oraz imponującą ilością rozmaitych marynat i górami lodów, słodyczy i ciasta. Po tym bankiecie przepłukaliśmy żołądki obficie mocną i gorącą kawą. Pomaszzerowaliśmy następnie w całym majestacie, na jaki zasługiwała tak wielka okazja, do Opery i znaleźliśmy się u celu na dziesięć minut przed rozpoczęciem uroczystości, wyznaczonej na wpół do ósmej wieczorem.

Może to zdziwi Pana, Panie Dyrektorze, że w tak małym miasteczku mieliśmy operę; spieszę więc wyjaśnić, że mowa o głównej naszej sali zebrań mieszczącej się na piętrze w budynku Athelstana, siedzibie najważniejszych przedsiębiorstw handlowych, wzniesionej z cegły, a nie z drewna jak większość domów w Deptford. Była to naprawdę sala teatralna ze sceną i zadziwiającą kurtyną, na której jakiś artysta wymalował syntetyczny pejzaż czy raczej wizję wszystkich najbardziej romantycznych widoków Europy; minęło wiele lat od dnia, gdy tę kurtynę oglądałem, lecz wyraźnie utkwił mi w pamięci zamek nad laguną, po której płynęły gondole, a nawet i większe statki zdążające do Neapolu lub wypływające z neapolitańskiego portu, leżącego u stóp ośnieżonego łańcucha Alp. Podłoga w Operze była płaska, aby umożliwić zabawy taneczne, za to scena nachylona ku widowni, tak że utrzymanie się na krześle wymagało niełatwej, a nawet dość niebezpiecznej gimnastyki. Nie wiem, ile osób mogło pomieścić się w sali, w każdym razie była wypełniona po brzegi, ludzie stali lub siedzieli w przejściach na dostawionych krzesłach, wypożyczonych od przedsiębiorcy pogrzebowego.

Przewodniczący, ja i kilku innych notabli weszliśmy po schodach dla artystów i między kulisami przedostaliśmy się na scenę, gdzie przygotowano dla nas krzesła. Poprzez kurtynę słyszeliśmy gwar tłumu, górujący nad muzyką orkiestry złożonej z fortepianu, skrzypiec i puzonu. W kilka minut po wyznaczonej godzinie — ze względu na spóźnio-

nych gości, jak powiedział przewodniczący, ale nikt już i tak nie wcisnąłby się teraz na zatłoczoną widownię — podniosła się kurtyna (niepokojąco wydymając się w naszym kierunku), odsłaniając nas upozowanych na tle dekoracji, która przedstawiała gęsty i jadowicie zielony las. Nasze krzesła stały rzędem za stołem, na którym przygotowano dwa dzbanki wody i kilkanaście szklanek w trosce o zasychające gardła oratorów. Stanowiliśmy grupę bardzo okazałą; trzech duchownych, sędzieja, jeden poseł do parlamentu i trzech do stanowego zgromadzenia ustawodawczego, prezes zarządu szkoły dokształcającej, przewodniczący i siedmiu członków Rady Miejskiej, no i ja. Myślę, że wyglądaliśmy trochę jak zespół minstreli. Na scenie tylko ja byłem w mundurze, ale w pierwszym rzędzie na widowni siedziało sześciu innych wojskowych, a na prawym krańcu rzędu — Percy Boyd Staunton w mundurze majora, zaś u jego boku Leola Cruikshank.

Dostrzegłem na czwartym palcu jej lewej ręki duży brylant. Diana oświeciła mnie co do wymowy takich symboli, zrozumiałem więc od razu, co to znaczy, gdy pierścionek rozblysnął przede mną niby sygnał wśród burzy powitalnych oklasków. Czy ból przeszył mi serce? Czy zbłądłem i uświadomiłem sobie nicość mojej chwały? Nie. Ucieszyłem się raczej. Odetchnąłem, że oto jeden z problemów związanych z powrotem w rodzinne strony został już rozplątany. Trochę jednak byłem zaskoczony i pomyślałem, że Leola postąpiła tchórzliwie przemilczając w swoich listach tę sprawę.

O celu tego zgromadzenia informował jednoznacznie powiewający nad trybuną dla mówców sztandar Zjednoczonego Królestwa oraz transparent rozpięty na zabójczej zieleni lasu: „Witamy naszych dzielnych chłopców powracających z frontu” — krzyczał napis czerwonymi i błękitnymi literami na białym tle. Staliśmy uroczyście, gdy fortepian, skrzypce i puzon wykonywały hymny *Boże, chroń króla* i *O, Kanado*, a potem dodały jeszcze pieśń o klonowym liściu, ale nie od razu przystąpiliśmy do najwznioślejszej części wspaniałego programu. Najpierw wysłuchaliśmy patriotycznego koncertu, który rozgrzał do czerwoności nasz entuzjizm.

Muriel Parkinson odśpiewała pieśń o „Róży, która zakwitła na ziemi niczyjej”, a gdy krzyknęła (bo głos miała

bardziej silny niż dźwięczny), że „na pola bitew krwią zbroczone posłał swe siostry Krzyż Czerwony” — wiele osób ocierało łzy z oczu. Muriel zaśpiewała także popularną wówczas pieśń o Joannie d’Arc, składając w ten sposób subtelny hołd naszej wielkiej sojuszniczce Francji. Z kolei wystąpiło nieznane mi z nazwiska dziecko płci żeńskiej w kostiumie Indianki i wyrecytowało wiersz Pauliny Johnson pod tytułem: *Urodzony w Kanadzie*. W tym momencie uprzytomniłem sobie, że na sali brakuje jednego z naszych dzielnych chłopców, a mianowicie George’a Muskrata, Indianina, wyborowego strzelca, który polował na Niemców we Francji, tak jak niegdyś w kraju na wieiórki. George nie był zbyt szanowanym obywatelem (popijał bez umiaru ekstrakt waniliowy, złożony głównie ze spirytusu, a gdy był pod gazem, awanturował się na ulicach) i nie dostał żadnego orderu.

Dziecko miało przygotowany drugi wiersz na bis i zaczęło go deklamować, nim ucichły brawa po pierwszym; z kolei, z niezupełnie jasnych powodów inna dziewczyna odegrała na fortepianie dość słabo dwa utwory: *Chanson des Fleurs* i *La Jeunesse* sądząc z tytułów był to zapewne ponowny ukłon dla sojuszniczej Francji. Potem młody Murray Tiffin, cieszący się miejscową sławą bardzo dowcipnego młodzieńca, zabawiał publiczność; często powierzano mu te funkcje na parafialnych wieczorach rozrywkowych, ale po raz pierwszy występował na tak wspaniałej uroczystości, toteż w pocie czoła starał się nas rozweselić sypiąc zagadkami, anegdotkami i odgrywając scenki mimiczne, a każdy numer z reguły zawierał jakąś aluzję do lokalnych stosunków.

— Co jest szczytem odwagi? — pytał. — Może wyprawa do Afryki i zastrzelenie lwa? Nie! To nie jest jeszcze szczyt! Może zdobycie w pojedynkę niemieckiego gniazda karabinów maszynowych? — Huczne oklaski, podczas których ja, najgorszy aktor na świecie, starałem się udawać skromność połączoną z wesołością. — Nie! Szczytem odwagi byłoby pójście w Deptford na pocztę minutę po szóstej w sobotni wieczór i poproszenie Jerry’ego Williamsa o znaczek za centa. — Huragan śmiechu, ludzie tręcali się łokciami i machali rękami do pocztmistrza, który silił się na minę wielkiego amatora żartów, na przekór swojej zrządnej naturze.

Murray zaprezentował jeszcze wiele kawałów, na przy-

kład głosząc, że taniej wypadają artykuły spożywcze kupione w Bowles Corners, niż te same rzeczy ukradzione w sklepach Deptford, oraz inne podobne dowcipy, które nie wędną z biegiem czasu ani też nie tracą smaku wskutek powtarzania. Czułem sympatię dla Murraya, bo chociaż jego kawały były przyzwoitsze, należały do tej samej kategorii co numery, którymi podbiłem publiczność w obozie wypoczynkowym jako Charlie Chaplin.

Kiedy Murray obraził połowę obecnych, każdego z osobna, a ubawił wszystkich razem, wstał przewodniczący, oznajmił, że „pora uderzyć w poważniejszy ton”, po czym uderzał w ten ton co najmniej przez dziesięć minut. „Zebrałiśmy się — powiedział — aby uczcić tych obywateli naszego miasta, którzy narazili życie w obronie wolności.” Gdy przewodniczący skończył, zabrał głos pastor metodystów i tłumaczył dość obszernie, jak chwalebna rzeczą jest narażenie własnego życia w obronie wolności. Następnie ksiądz Regan z namaszczeniem odczytał listę jedenastu poległych synów naszego miasta. Znajdowało się tam między innymi nazwisko mojego brata Willie’ego i chyba dopiero w tym momencie zrozumiałem, że nigdy w życiu już go nie zobaczę. Pastor Donald Phelps długo modlił się prosząc, aby pamięć o naszych zmarłych przetrwała na wieki; jeśli Bóg nie śledził pilnie wojny, to dowiedział się o niej niemało, oczywiście w naszym naświetleniu, z ust Phelps’a. Poseł do stanowego zgromadzenia ustawodawczego na wstępie zapowiedział, że nie zajmie nam dużo czasu, po czym mówił przez czterdzieści minut o tym, jakich dokonamy w przyszłości dzieł, możliwych teraz dzięki ofiarom minionych czterech lat, zwłaszcza w zakresie rozbudowy dróg w naszej prowincji. Wreszcie ruszył do ataku członek parlamentu i przemawiał przez godzinę i trzy minuty; łącząc patriotyzm z retoryką swojego stronnictwa politycznego, przekonywał nas, że chociaż Lloyd George, Clemenceau i Wilson niewątpliwie są porządnymi ludźmi, nie kto inny, lecz sir Robert Borden * najwალniej przyczynił się do pomyślnego zakończenia wojny.

Wybiła dziesiąta i nawet kanadyjska publiczność, nie-

* Sir Robert Borden (1854—1939) leader konserwatystów, premier Kanady (1911—1920), reprezentował Kanadę na Konferencji Pokojowej i w Lidze Narodów. (Przyp. tłum.)

zwykle łaśa na popisy krasomówcze, poczuła się nimi prawie nasycona. Podtrzymywała ją jedynie perspektywa następnej wielkiej atrakcji wieczoru. Teraz przewodniczący po raz drugi wziął nas na kiel, powiedział, że Deptford nigdy nie zapomni o swoich synach, którzy wrócili z pola walki w rodzinne strony, i pragnąc też, aby ci synowie nawzajem zachowali pamięć o Deptford, obdarza każdego z nas zegarkiem z wygrawerowanym napisem pamiątkowym. Nie dość na tym. Są to zegarki niezwykle, tak zwane kolejowe, gwarantujące niezawodną dokładność nawet w najtrudniejszych okolicznościach i niemal wieczną trwałość. Potrafiliśmy docenić zalety tych zegarków, bo wszyscy wiedzieliśmy, że syn przewodniczącego, Jack, jest kolejjarzem, hamulcowym, i słyszeliśmy, jak właśnie ten Jack przysięgał, że nie ma nigdzie w świecie lepszych zegarków niż kolejowe. Potem nastąpiło rozdanie prezentów; trzy wręczył przewodniczący, trzy członek zgromadzenia ustawodawczego.

Każdy z byłych żołnierzy siedzących w pierwszym rzędzie, wywoływany po nazwisku, wchodził po schodkach i przez małe boczne drzwiczki za scenę, a potem przeciskał się między zielonymi kulisami aż na środek estrady, a krewni i sąsiedzi wiwatowali, tupali i gwizdali z wielkiego entuzjazmu. Ostatnim z sześciu był Percy Boyd Staunton, jedyny w tym gronie oficer i jedyny, który cały manewr wykonał efektownie; przed wejściem na scenę włożył czapkę, więc mógł zasałutować zamasyście posłowi do zgromadzenia ustawodawczego, po czym wykonał w tył zwrot i zasałutował publiczności. Wypadło to wspaniale, a mnie, gdy z szerokim uśmiechem oklaskiwałem Percy'ego, zółć zalewała z zazdrości.

Powinien bym zdobyć się na wspaniałomyślność, skoro byłem numerem siódmym, jedynym kawalerem Krzyża Wiktorii i z tego tytułu wywyższonym na scenie, jedynym któremu zegarek wręczył osobiście sam poseł do parlamentu. Wygłosił przy tym krótką mowę: „Sierzancie Ramsay! — rzekł. — Witam w tobie bohatera...” Mówił dość długo, ale straciłem rachubę czasu, bo stojąc przed nim, czułem się durniem i oszustem, chociaż nie doznawałem tych przykrych uczuć, gdy stałem przed moim królem. W końcu dał mi zegarek, ale nie mogłem zasałutować, bo czapkę zostawiłem w szatni, więc tylko skłoniłem głowę

najpierw w jego stronę, potem w stronę publiczności, która wiwatowała i tupąła dłużej, jak mi się wydawało, niż na cześć Percy'ego. Byłem jednak tak speszony, że nie mogłem cieszyć się owacją. Myślałem tylko o tym, żeby jak najprędzej uciec.

Po zakończeniu odśpiewaliśmy znowu hymn *Boże, chroń króla* w wersji klasycznej; Muriel Parkinson miała śpiewać niektóre zwrotki solo, a chór miał się włączać na dany przez nią znak. Znaleźli się jednak na sali ludzie, którzy przez cały czas wtórowali solistce, wskutek czego efekt częściowo spalił na panewce. Potem byliśmy nareszcie wolni. Nikt wszakże nie kwapił się do wyjścia i gdy przedostałem się przez boczne drzwiczki i po schodkach na salę, otoczyli mnie dawni przyjaciele i znajomi, aby pogadać i uścisnąć mi rękę. Staralem się skrócić rozmowy o tyle, o ile mogłem bez niegrzeczności i bez pomijania kogokolwiek, bo miałem jeszcze pewne zadanie przed sobą! Chciałem odegrać scenkę, którą obmyśliłem podczas godzinnego przemówienia posła, i zależało mi na tym, aby mój występ zobaczyła liczna publiczność. Dobrnałem wreszcie do Percy'ego i Leoli. Chwyciłem najpierw Percy'ego za rękę i potrząsałem nią energicznie, potem objąłem Leolę niedźwiedzim uściskiem i zacząłem ją całować hałaśliwie, długo, bardzo — jak na panujące w Deptford zwyczaje — poufale.

Leola zawsze należała do typu dziewcząt, które podczas pocałunku zamykają oczy, ale ja miałem oczy szeroko otwarte i widziałem, jak gorączkowo jej gałki oczne obracały się pod powiekami. Diana wtajemniczała mnie w wiele arkanów sztuki pocałunków i miałem teraz sposobność popisać się umiejętnościami.

— Kochanie! — wrzasnąłem nie wypuszczając Leoli z objęć. — Nie masz pojęcia, co to za radość widzieć cię znowu!

Percy uśmiechnął się nerwowo. Całowanie się w miejscu publicznym nie było wówczas tak rozpowszechnione jak dzisiaj, w każdym razie nie w naszym miasteczku.

— Dunny, my z Leolą mamy pewien sekret, którym chcemy się z tobą podzielić... zresztą ten sekret i tak wkrótce się wyda... ale zależy nam na tym, żebyś ty pierwszy wiedział, oczywiście nie licząc rodziców... Otóż jesteśmy zaręczeni.

Obracał uśmiechniętą twarz na wszystkie strony, bo otaczał nas tłum i wszyscy jego słowa mogli usłyszeć. Rozległ się szmerek zadowolenia, ten i ów nawet klasnął.

Doliczyłem w duchu do trzech, żeby pauza miała na pewno właściwą długość, a potem znowu potrząsnąłem jego prawicą i ryknąłem:

— Ano słusznie, lepszy musiał wygrać! — I raz jeszcze ucałowałem Leole, już trochę krócej i mniej zachłannie; tak jednak, aby wszyscy obecni zrozumieli, że rywalizowaliśmy z Percy'm, że byłem bliski zwycięstwa i we wstępnych rozgrywkach wykazałem należyte tempo.

Była to dobra scena i znajdowałem w niej głęboką satysfakcję. Percy miał na piersi kilka odznaczeń, wspaniały Krzyż za Wzorową Służbę, ale poza tym nic ważnego, same medale za udział w określonych operacjach. Jak już wspomniałem, nie mam aktorskich zdolności, wtedy jednak udało mi się stworzyć potężną, choć prymitywną postać bohatera, groźnego na polu Marsa, lecz zlekceważonego w pałacach Afrodyty. Założyłbym się, że w Deptford żyją jeszcze ludzie, którzy tę moją kreację pamiętają.

Zachowałem się może nikczemnie, ale Percy w eleganckim oficerskim mundurze irytował mnie jak zawsze, a co do Leoli, to chociaż nie pragnąłem jej zbyt żarliwie dla siebie, gniewało mnie, że dostanie ją ktoś inny. Przyrzekłem pisać tę relację, jak umiem najszczerzej, a Bóg świadkiem, że nie zamierzam wypierać się dość sporej dozy wrodzonej mi złośliwości.

Po tym powitaniu znaleźliśmy się w jednej z tych kłopotliwych sytuacji, w jakich los czasem stawia ludzi, bo dla tłumy — a Deptford w tej chwili było całym światem — staliśmy się wielką sensacją wieczoru: dwaj mężczyźni — jeden bohater bez lewej nogi, a drugi prawie dorównujący mu bohaterstwem, przystojny i bogaty — ubiegający się obaj o rękę najpiękniejszej dziewczyny w miasteczku! Zwycięzca już zdobył poklask. Byliśmy żywą kartką wspaniałej sentymentalnej powieści i popełnilibyśmy jaskrawy nietakt, rzucilibyśmy wręcz wyzwanie Opatrzności, gdybyśmy nie trzymali się razem, aby ludzie mogli nas podziwiać i snuć na nasz temat domysły. Toteż poszliśmy na dalszy ciąg zabawy jako nierozdzielna trójca.

Zabawa połączona z całopaleniem odbywała się na placu za budynkiem mieszczącym ratusz, bibliotekę publiczną,

sąd i straż ogniową i miała być wesołym zakończeniem i zabawnym intermezzo po wzniosłych wrażeniach w Ope-rze. Tam w uroczystym nastroju oklaskiwaliśmy bohater-skich młodzieńców i słuchaliśmy mądrych starców; tutaj tłum był podniecony i niecierpliwy, dzieci uwijały się wszę-dzie, śmiech wybuchał co chwila, nawet bez specjalnej przyczyny. Oczekiwanie nie trwało jednak długo. Wkrótce dało się słyszeć z oddali rozgłośnie bicie w patelnie i dźwięk trąbek, po czym główną ulicą nadciągnął pochód oświetlony płomieniami nasiąkniętych naftą mioteł; w czerwonym, dymiącym blasku na czele kroczyli marszałek Foch, dwóch Johnów Bullów, Wuj Sam i mała dzielna Belgia, a za nimi cała banda ciągnąca na postronku deptfordzkie wyobraże-nie cesarza Niemiec; tłuścioch Myron Papple szamocząc się i brykając pobił swój własny przedpołudniowy rekord, jak tenor, który przed śmiercią w akcie trzecim zaćmiewa końcową arią swój sukces w scenie miłosnej pierwszego aktu.

— Powiesić go! — krzyczeli przedstawiciele aliantów, gdy pochód zbliżył się do nas, a wszyscy wokół podjęli hasło i całe miasto rozbrzmiewało wrzaskiem: — Powiesić go! Powiesić kajzera!

I powiesili go rzeczywiście. Ze słupa już zwisał przygo-towany sznur, a gdy banda krzątała się koło niego, bystre oko mogło zauważyć, jak Myron Papple chyłkiem umknął w ciemności, a podstawionej szybko kukle założono na szyję pętlę i pociągnięto ją z wolna do góry. Wtedy jedna z siostr Czerwonego Krzyża podbiegła z zagwią i podpaliła kukłę, która zaczęła płonąć wesoło, nim dosięgnęła szczytu słupa.

Tłum wiwatował co sił w płucach, dzieci w podskokach tańczyły u stóp szubienicy, wrzeszcząc: „Powiesić kajze-ra!” — coraz bardziej histerycznie. Byli wśród nich chłopcy za mali, żeby rozumieć, co znaczy „powiesić” i kim jest „kajzer”, ale nie mogli ich nazwać niewinnymi dziećmi, bo na miarę swojego wieku i doświadczenia wydawali się do szpiku kości zdeprawowani. Spoglądając na tłum nie mogłem poznać statecznych obywateli, którzy przed godziną tak się dawali czarować patriotycznej retoryce, tak byli przejęci pieśnią *Urodzony w Kanadzie*, tak się wzru-szali romantycznym trójkątem, złożonym z Leoli, mnie i Percy’ego. Teraz wśród mroku i płomieni skwapliwie

oklaskiwali symboliczny akt okrucieństwa i nienawiści. Prawdopodobnie ja jeden w tej gromadzie naprawdę wiedziałem, jak parzy ogień. Patrzałem na nich z lękiem, który z każdą chwilą potęgował się i zmieniał w zgrozę, bo to przecież byli moi rodacy.

Twarz Leoli podniesiona ku górze w blasku ognia wyglądała bardzo pięknie, a Percy śmiał się i rozglądał wokół, czy wszyscy podziwiają jego silny, męski głos, gdy krzyczał: „Powiesić kajzera!”

Myron Papple, urodzony komediant, wspiał się na wieżę ratusza, aby jego wrzaski i błagania dochodziły mniej więcej z wysokości płonącej kukły. Długo słyszałem jego głos, gdy już leżałem w łóżku w swoim hotelowym pokoju. Nie chciałem zostać na placu do końca.

8

Nazajutrz była sobota i miałem mnóstwo spraw do załatwienia. Chociaż pozostałem przedmiotem uwielbienia, mogłem już swobodnie poruszać się po mieście; najpierw wziąłem od sędziego klucze naszego dawnego domu i z melancholią obszedłem jego sześć pokoi. Wszystko było tu na swoim miejscu, ale sprzęty wydawały mi się mniejsze niż dawniej i zszarzałe: zegar mojej matki, biurko ojca, kamień przywieziony z Dumfries i służący za przycisk do papierów. Dom, przez nikogo teraz nie kochany, uwiądnął z braku miłości. Zabrałem kilka drobiazgów, głównie te, które długo trzymałem w ukryciu przed rodzicami — i co prędzej stamtąd wyszedłem.

Potem odwiedziłem Adę Blake, dziewczynę, w której Willie podkochiwał się, i porozmawiałem z nią. Lubiłem tę miłą dziewczynę, ale Willie z jej wspomnień nie był tym moim bratem, którego znałem. Myślę, że Willie przez krótki czas był jej kochankiem i że dla niej to właśnie miało najważniejsze znaczenie, podczas gdy dla mnie Willie był przede wszystkim człowiekiem, który umarł dwa razy i któremu za pierwszym razem pani Dempster przywróciła życie. Stanowczo nie miałem zamiaru pójść do doktora McCauslanda, aby przekonać się, czy nie zmienił zdania w tej kwestii, ale pogadałem z kilku starszymi sąsiadami, nim wróciłem na obiad do hotelu.

Zjadłszy tłustą potrawkę z mięsa i porcję szarlotki pośpieszyłem naprzeciwko do Papple'a, żeby dać sobie ostrzyć włosy. Wiedziałem już, że Milo sam urzęduje w zakładzie, bo jego ojciec odpoczywa w domu po patriotycznym wysiłku poprzedniego dnia, więc spodziewałem się nasłuchać o wszystkim, co działo się w mieście w okresie mojej nieobecności. Milo powitał mnie jak bohatera, usadowił w jednym z dwóch foteli, nakrył pasiastym prześcieradłem, które pachniało fryzjerskimi perfumami i esencją męskich woni tutejszych obywateli.

— A to ci dopiero, dzisiaj będę cię strzygł pierwszy raz, wiesz? Twojego tatusia nieraz miałem na tym fotelu po twoim wyjeździe na wojnę, ale ciebie nigdy. Jesteśmy chyba w tym samym wieku. Ja coraz częściej tu zastępuję mojego starego. Serce mu nawala, mówi, że to od wdychania przez całe życie drobinek włosów, podobno fryzjerom z czasem tworzą się z tego w piersiach małe kłębuszki i wielu na to umiera. Ja tam w to nie wierzę, to nie jest naukowe wytłumaczenie. Mój stary skończył zaledwie trzy klasy, wiesz? Ale wczoraj ubawił publikę, co? A wieczorem! Tylko że się zmęczył porządnie. Mówi, że dzisiaj czuje w sobie tę kulkę z włosów, jakby to była część jego wnętrzości.

Masz podwójną koronę na czubku głowy, wiesz? Dlatego trudno cię zgrabnie ostrzyć. Co zamierzasz zrobić ze starym domem? Chcesz tam zamieszkać? Miałbyś fajne mieszkanie, gdybyś się ożenił. Twoi rodzice zawsze pilnowali porządku. Cece Athelstan mawiał: „Ramsayowie rujnują się na farbę!” Ale chyba nie ożenisz się z Leolą, co? Ktoś ma oczy, ten nigdy ani przez chwilę nie wątpił, że to dziewczyna Percy'ego, ani przez chwilę, fakt. Wiem, wiem, przez jakiś czas, zanim wyjechałeś do Europy, chodziliście ze sobą, wszyscy o tym wiedzieli i śmiali się w kułak. Ja też się śmiałem. Bo to była tak zwana gorączka wojenna, czar munduru, mój drogi. Ale musisz przyznać, że Leola ładnie się zachowała. Aż do końca pisywała do ciebie. Jerry Williams opowiadał, że te jej listy regularnie jak w zegarku co drugi poniedziałek wyjmował ze skrzynki. Bo co drugą niedzielę pisała, rozumiesz? Ale Percy, kiedy skończył tę swoją szkołę w Toronto w siedemnastym roku, nie wahał się ani chwili, powiadam ci, ani chwili. Zaraz pojechał na szkolenie, uzyskał stopień oficerski, no i wrócił w randze majora. I dostał Krzyż za Wzorową Służbę. Ale ty masz

Krzyż Wiktorii, co? Miałeś, bracie, szczęście. Mnie nie chcieli wziąć do wojska, płaskie stopy! Percy także miał szczęście. Przyjeżdżał tu, jak mógł najczęściej, i łatwo było poznać, komu Leola oddała serce. Tak się wyrażała jej matka: „Leola oddała swoje serce”. Ben Cruikshank z początku krzywo patrzył na Percy’ego, ale żona mu to wybiła z głowy. Teraz jest oczywiście zadowolony. Spotkałeś go wczoraj wieczorem? Rozumie się, jako ojciec świata nie widzi poza swoją Leolą. Dla ojca wydanie dziewczyny za mąż musi być chyba ciężkim problemem. No, ale główną sensacją wczoraj byłeś ty. Ale nie dla Leoli. Jej serce już zajęte.

Ta wojna odbiła się nawet na takiej małej dziurze jak Deptford. Wszystko się ruszyło w posadach. Rozumiesz? Mnóstwo zmian. Mieliśmy dwa duże pożary, a Harry Henderson sprzedał swój sklep. Ale najbardziej zmienili się ludzie. Młodzi okropnie rozrabiali. A Jerry Cullen trafił do kryminału, pamiętasz go? Córka go wsypała. Powiedziała, że ojciec jej spokoju nie daje. A to było przecież jeszcze dziecko. Najlepsze w tej historii, że Jerry do końca nie rozumiał, o co mają do niego pretensje. Myślał, że wszyscy robią to samo co on. Zawsze był głupawy. Ale skoro już mowa o tych sprawach, prawdziwa heca była z Grace Izzard — nie wiem, czy ją sobie przypominasz, miała jakiś defekt w wargach i nazywaliśmy ją „Zającem”. Miała czternasty rok i już ją ciągnęło do tych rzeczy, ale kto by chciał dziewczyny z taką twarzą. Więc obiecała młodszemu bratu, który miał wtedy dwanaście lat, ćwierć dolara, żeby jej to zrobił. Bobby zgodził się, ale zażądał dziesięć centów zaliczki z góry, no i jak zrobił swoje, Grace dała mu drugą dychę, ani centa więcej, bo, jak powiedziała, ta przyjemność nawet tyle nie jest warta. Dobry numer, co? Dzisiejsze dzieciaki! A potem...

Dwa bękarty, jedno sztuczne poronienie z pikantnymi szczegółami, kilka dziewczyn zostawionych na lodzie, stara panna, która w wieku przekwitania dostała bzika, jedno wole takich rozmiarów, że wszystkie, które przedtem w miasteczku widywano, wyglądałyby przy nim jak niewinne brodawki, kurowane przez doktora McCauslanda w Bowles Corners. Sprawy zropiałe, upokarzające i makabryczne budziły najżywszy entuzjazm Mila, toteż nie oszczędził mi żadnej historii tego rodzaju.

— Wszystko to nic wobec epidemii. Nazwano tę chorobę hiszpańską grypą, ale ja zawsze podejrzewałem, że to Niemcy jakimś sposobem rozsiali u nas tę zarazę. Nasze miasteczko przez kilka tygodni wyglądało jak Dolina Śmierci. Oczywiście my tu odczuwaliśmy epidemię bardziej niż kto inny, rozumiesz, na fryzjera chucha każdy klient. Obaj z moim starym nosiliśmy na szyi woreczki z asafetydą dla obrony przed bakteriami. Ludzie marli jak muchy. Jak muchy. McCausland pracował dwadzieścia cztery godziny na dobę. Doktor Staunton przeniósł się na jedną ze swoich farm i właściwie przestał praktykować. Ale co prawda od lat już był bardziej farmerem na wielką skalę niż lekarzem. To dzisiaj bogacz. Pamiętasz anglikańskiego pastora Roya Janesa i jego żonę? Nie spoczęli ani chwili, chodzili od chorego do chorego, aż oboje umarli, jedno w dwa dni po drugim. Przewodniczący Rady Miejskiej kazał na ratuszu tego dnia spuścić flagę do pół masztu i wszyscy go za to pochwalili. A twoja matka, Dunny, cóż to była za kobieta! Niestrudzenie pielęgnowała chorych, nosiła im zupy i wszystko, czego potrzebowali, póki twój ojciec nie umarł. Czy wiesz, że nie chciał położyć się do łóżka? Już był chory, ale opierał się do ostatka. A można było poznać, że z nim jest źle. Wargi mu zsiniały, zrobiły się granatowe jak czarne jagody. To był nieomylny znak. Wtedy już wiedzieliśmy, że nie pożyje dłużej niż czterdzieści osiem godzin. Twój ojciec chodził z ustami granatowymi jak niedzielny garnitur przez cały dzień, a potem padł przy stole metrapaży w drukarni i Saul Skoczek odwiózł go wózkiem do domu. Wtedy twoja matka załamała się i nim upłynął tydzień, jej także nie było. Wspaniali ludzie. W następnym numerze Saul Skoczek i Nell zmienili układ pisma i strona tytułowa wyglądała jak jedna wielka żałobna klepsydra. Kiedy to zobaczyłem, rozbeczałem się jak małe dziecko. Nie mogłem się powstrzymać. Czy wiesz, że w naszym miasteczku liczącym pięciuset mieszkańców i w okolicznym okręgu umarło wtedy dziewięćdziesiąt osiem osób? Ale najgorszy był ten dzień, kiedy Saul Skoczek dał w „Sztandarze” nekrologi na pierwszej stronie. Wszyscy go pochwalili, że słusznie postąpił.

Słyszałeś pewnie, że Amasa Dempster także wtedy zszedł ze świata? Oczywiście już od kilku lat źle wyglądał. Od czasu tych swoich tarapatów, pamiętasz? Na pewno pamię-

tasz. Nieraz widzieliśmy, jak po lekcjach skradasz się do ich domu, włączysz przez okno, żeby odwiedzić panią Dempster i Paula. Nikt, rozumie się, nie dopatrywał się w tym niczego złego. Wiedzieliśmy, że to twoja matka posyła cię tam. Nie mogła jawnie zrobić nic dla Dempsterów, więc posyłała cię na pomoc, wszyscy ją za to tym bardziej szanowaliśmy. Pamiętasz, jak opowiadałeś, że Mary Dempster wskrzesiła Willie'ego? Był z ciebie zwariowany chłopak, Dunny, ale myślę, że wojna wybiła ci głupstwa z głowy.

Pani Dempster? Nie, ona nie zaraziła się hiszpanką. Takie jak ona los zawsze oszczędza, wybiera co lepszych. Ale po śmierci Amasy mieliśmy z nią kłopot. Nie miała ani centa. Więc przewodniczący i sędzia Mahaffey odszukali jej ciotkę, która mieszka gdzieś w pobliżu Toronto. W Weston, jeśli się nie mylę. Ciotka przyjechała i zabrała ją. Ta ciotka jest zamożna. Jej mąż podobno dorobił się na fabryce pieców.

Nie, Paul nie pojechał z nimi. Dziwna historia. Nie miał jeszcze dziesięciu lat, kiedy uciekł z domu. O ile wiem, koledzy w szkole zatruli mu życie. Nie mógł się z nimi bić, bo zawsze był mały i drobny, a chłopcy podczas pauz otaczali go w krąg i wrzeszczeli: „Ejże, Paul, czy twoja mama nosi majtki?” I tym podobne dowcipy. Jak to dzieci. Ale Paul wpadał w szał, rzucał się na nich z pięściami, no i zwykle dostawał po skórce, a koledzy tym bardziej mu potem dokuczali, bo ich bawiło, jak się tak ciskał. Krzyczeli do niego z drugiej strony ulicy: „Kur tam u was nie ma?”, ale tak bełkotali, że wychodziło, jak „kurwa twoja mama”. Taka niby gra słów, zgadywanka i pewnie dlatego, kiedy jesienią osiemnastego roku przyjechał do nas cyrk, Paul uciekł z jakimiś cyrkowcami. Mahaffey próbował zorganizować pościg, ale nie udało się chłopca odnaleźć. Cyrkowcy to chytry naród. Najdziwniejsze, że Paul nie mógł zrobić nic lepszego, bo wszyscy mali chłopcy marzą, żeby wędrować z cyrkiem po świecie, więc po swoim zniknięciu stał się w ich oczach bohaterem. Ale Mary Dempster odczuła to bardzo boleśnie i od tego czasu do reszty straciła rozum. Kiedy dzieci szły do szkoły, wołała z okna: „Czy nie widzieliście Paula, mojego syna?” Byłoby to bardzo smutne, gdyby wszyscy nie wiedzieli, że to wariatka. Zaledwie w dwa czy trzy tygodnie po zniknięciu Paula

umarł Amasa. A w tydzień później przyjechała ciotka, zabrała panią Dempster i odtąd straciliśmy ją raz na zawsze z oczu.

Tymczasem strzyżenie było skończone. Milo uraczył mnie wszystkimi perfumami i eliksirami, jakie miał na składzie, a także posypał mnie talkiem na znak osobistego hołdu dla moich wojennych zasług.

Nazajutrz, w niedzielę, stawiłem się ku ogólnej aprobacie na nabożeństwie w prezbiteriańskim kościele Świętego Jakuba. W poniedziałek po krótkiej rozmowie z dyrektorem banku i komornikiem oraz po znacznie dłuższej i przyjemniejszej pogawędce z Saulem Skoczkiem i Nell wsiadłem do pociągu. Tym razem na peronie nie było tłumu. Opuściłem Deptford cieleśnie, ale po niedługim czasie miałem przekonać się, że duchem nigdy całkowicie nie ode-rwałem się od mego rodzinnego miasteczka.

Moja obłąkana święta

1

Jesienią 1919 roku zostałem studentem wydziału historii na uniwersytecie w Toronto. Nie miałem formalnie wymaganych kwalifikacji, ale pięciu profesorów przeprowadziło ze mną godzinną rozmowę i zgodziło się mnie przyjąć na mocy specjalnych przepisów ustanowionych w interesie pewnej liczby byłych żołnierzy, którzy powrócili z wojny.

Po raz pierwszy przydały mi się moje ambicje polimathy z lat chłopięcych; szczęśliwym przypadkiem wyglądałem na większego intelektualistę, niż byłem naprawdę, dzięki bladej i chmurnej twarzy oraz pedantycznej szkockiej wymowie; z pewnością przysłużył mi się również Krzyż Wiktorii i ogólny wygląd człowieka, który przelał krew za wolność. Tak więc dostałem się na wyższe studia i byłem z tego bardzo zadowolony.

Sprzedałem dom rodzinny za 1200 dolarów, a jego umebłowanie na licytacji za nieoczekiwanie okazałą sumę 600 dolarów. Sprzedałem nawet ojcowski tygodnik pewnemu drukarzowi akcydensowemu, któremu uśmiechał się projekt wydawania pisma; dostałem od niego 750 dolarów zaliczki i weksle na 2750 dolarów płatnych ratami w ciągu czterech lat. Byłem w interesach naiwny, a miałem do czynienia z krętaczem, toteż nigdy całej tej sumy nie zobaczyłem. W każdym razie perspektywa tego dochodu krzepiła mnie na duchu. Jako inwalida otrzymałem niezłą rentę oraz obietnicę tylu sztucznych bezpłatnych nóg, ile mi będzie potrzeba, nie licząc pięćdziesięciu dolarów rocznie przysługujących kawalerowi Krzyża Wiktorii. Czułem się lordem rozporządzającym wielkimi pieniędzmi i rzeczywiście na miarę swoich potrzeb byłem bogaty, bo po uzyskaniu stopnia bakałarza mogłem pozwolić sobie na na-

stępny rok studiów, żeby zdobyć tytuł magisterski. Zamie-
rzałem nieco później zrobić z kolei doktorat, ale zaintereso-
wanie dość specjalną dziedziną wiedzy udaremniło te
plany.

W ciągu długich letnich ferii podejmowałem jakieś do-
rywczyste i niezbyt wyczerpujące prace, na przykład funkcje
nadzorca robót drogowych, dzięki czemu miałem dość czasu
na lekturę i mogłem przeżyć parę miesięcy nie naruszając
kapitału przeznaczzonego na koszty wykształcenia, bo tak
traktowałem swoje fundusze.

Bardzo polubiłem historię. Wybrałem ten kierunek, po-
nieważ na wojnie uświadomiłem sobie, że moim losem kie-
rują siły, na które nie mam najmniejszego wpływu, służące
celom dla mnie niezrozumiałym. Spodziewałem się, że
historia wytłumaczy mi bieg spraw światowych. Nadzieja
ta nigdy się nie ziściła, ale zacząłem interesować się hi-
storią dla niej samej, i w końcu znalazłem tę jej dziedzinę,
która pochłonęła wszystkie zdolności, jakimi rozporządzał
mój umysł, i nigdy już jej nie porzuciłem. Na uniwersy-
tecie zawsze klasyfikowano mnie w pierwszej piątce mojego
rocznika ze wszystkich przedmiotów, a dyplom uzyskałem
jako pierwszy. Moją pracę magisterską wyróżniono po-
chwalnie, chociaż mnie wydawała się dość nudna. Włączy-
łem do studiów wszystkie uboczne przedmioty wymagane
do „uzupełnienia” ogólnego wykształcenia, nawet zoologia
(kurs wstępny) zaciekała mnie i dość biegle opano-
wałem język francuski. Niemieckiego uczyłem się później
w pośpiechu, gdy okazał się potrzebny do pewnej okre-
ślonej pracy, u nauczyciela stosującego metodę Berlitz.
Należałem też do nielicznej garstki studentów szczerze
interesujących się kursem religioznawstwa, chociaż wykła-
dy były nie najlepsze; jak na mój gust prelegent poświęcał
za wiele uwagi podrózom świętego Pawła, a za mało
dyskusji o sprawie, której te podróże służyły. Ale przyjem-
nie było siedzieć w ciepłe nad książką, zamiast nurzać się
w błocie, i pracowałem, jak mi się zdaje, ciężko, chociaż
podówczas nie uświadamiałem sobie tego. Nie nawiązałem
z nikim bliższej przyjaźni, nie ubiegałem się o popularność
ani o funkcje w organizacjach studenckich, ze wszystkimi
jednak żyłem w zgodzie. Musiałem chyba być dość nie-
pozornym młodym człowiekiem, gdyż młodość nie była dla
mnie porą rozkwitu.

Natomiast Percy Boyd Staunton rozkwitł wspaniale. Widywaliśmy się dość często; myślę, że świetni młodzieńcy potrzebują jakiegoś niepozornego świadka, tak samo, jak ładne dziewczyny brzydkiej przyjaciółki, aby na tym tle jeszcze bardziej błyszczeć. On także zmienił imię. Ja figurowałem na liście studentów jako Dunstan Ramsay, a Percy na jakimś etapie służby wojskowej pozbył się tego swojego pierwszego imienia (które wywoływało żarty, podobnie jak Algernon) i zgubił ostatnią literę drugiego, które zatrzymał. Nazywał się teraz Boy Staunton i pasowało to do niego doskonale. Childe Rowland i Childe Harold nosili imiona podkreślające i wyrażające ich romantyczne losy oraz szlachetne urodzenie; imię Boy samym swoim brzmieniem głosiło chwałę młodości w powojennych latach. Boy Staunton cały błyszczał i promieniał, miał włosy bardziej lśniące, a zęby bielsze niż jego pospolicci rówieśnicy. Śmiał się często, głos miał bardzo melodyjny. Tańczył chętnie i efektownie, zawsze znał najmodniejsze pas, choć w tym okresie moda w tej dziedzinie zmieniała się ustawicznie. Nie mam pojęcia, skąd wziął urodę i szyk; z pewnością nie odziedziczył tego po starym i zrędnym doktorze Stauntonie, który miał wąsy jak mors i obwisły brzuch, ani też po matce, kobiecie wyzutej z wdzięku. Zdawać by się mogło, że Boy sam siebie stworzył z niczego i udało mu się stworzyć arcydzieło.

Był jednak perfekcjonistą i nic go nie zadowalało. Kiedyś, pamiętam, jako student pierwszego roku prawa, powtórzył mi, co mu powiedziała jakaś dziewczyna, że jej przypomina gwiazdora filmowego Richarda Barthelmessa, ale on był nierad z tego, bo wolałby przypominać Johna Barrymore. Chodziłem wtedy często do kina, więc niewiele myśląc odpowiedziałem Boyowi, że jest, moim zdaniem, podobny raczej do Wallace'a Reida z filmu „Tańczący szalenic”; ku mojemu zdziwieniu Boy obruszył się, chociaż Reid był bardzo przystojnym mężczyzną. Dopiero później odkryłem, że Boy starał się powierzchownością i sposobem bycia robić wrażenie arystokraty, a Reidowi brakowało tej cechy. Mój przyjaciel, który wtedy jeszcze rozglądał się w poszukiwaniu odpowiedniego wzoru do naśladowania, znalazł go dopiero podczas drugiego roku studiów.

Ideałem, wzorcem, wedle którego Boy kształtował swój wygląd i maniery, stał się ni mniej, ni więcej tylko sam

Edward Albert Christian George Anrgew Patrick David, księżę Walii. Gazety ówczesne wiele o nim pisały. Był ambasadorem Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, ale miał też coś wspólnego z plebsem; mówił akcentem, który zgorszonym starszym paniom wydawał się wulgarny, lecz mógłby zwabić nawet ptaka z gałęzi, tańczył świetnie i uchodził za pożeracza serc niewieścich; opowiadano sobie, że kłóci się z ojcem (moim królem z bródką marynarza) w kwestiach strojów; fotografowano go często ćmiącego fajkę o wyraźnym kształcie małego jabłuszka. Otaczał go nimb romantyczny i tajemniczy, bo nad jego podniesionymi brwiami widziało się cięń korony. Jak ten złoty młodzieniec nagnie się do obowiązków monarchy? Stare kobiety patrzyły na niego z ciekawością, zastanawiając się, którą z księżniczek krwi zaślubi, młode patrzyły na niego z zainteresowaniem, bo podobno wyżej cenił urodę i wdzięk niż królewską krew. Krążyły pogłoski o jego zabawach i miłosnych przygodach podczas wizyty w Kanadzie w 1919 roku. Ognisty młodzieniec a zarazem księżę, niedostępny, wybrany przez los do wielkich rzeczy, w sam raz model dla Boya Stauntona, który podobnie myślał o sobie i swoim przeznaczeniu.

W tamtych latach, przynajmniej w naszej części Kanady, nie wystarczyło ukończyć uniwersytet, aby zostać adwokatem. Trzeba było iść do Osgoode Hall i poddać się patronatowi Stowarzyszenia Prawników Kanady, które w końcu dopuszczało aplikanta do palestry. Martwiło to Boya, ale nie zanadto. Podzielił się ze mną swoim zdaniem — choć go o to nie prosiłem — że uniwersytet odciska na człowieku pieczętkę, ale gdyby kto chciał najpierw ukończyć uniwersytet, a potem jeszcze studiować prawo, postarzałyby się i wyrosłaby mu siwa broda, zanim trafi w główny nurt życia. O ile mogłem zaobserwować, główny nurt życia miał wiele wspólnego z cukrem.

Cukier był głównym przedmiotem zainteresowań doktora Stauntona. Doktor skupił w swoim ręku wielkie obszary ziemi wokół Deptford i założył na nich plantacje buraków cukrowych. Czarna gruba warstwa namułowej gleby na nadrzecznej równinie mogła rodzić rozmaite plony, ale szczególnie sprzyjała uprawie buraków cukrowych. Doktor nie był jeszcze królem buraka, lecz zbliżał się do tej pozycji, można by go nazwać cukrowym księciem. Boy, obdarzony

większą niż ojciec wyobraźnią, namówił go, żeby zainwestował trochę pieniędzy w rafinerie przerabiające buraki na cukier, i krok ten okazał się tak niesłychanie korzystny, że doktor Staunton wkrótce zdobył majątek znacznie przekraczający znaną w Deptford skalę. Wobec jego bogactwa zapomniano, że doktor Staunton opuścił miasto w okresie epidemii hiszpanki. Teraz rozumiało się, że tak majątny człowiek ma ważniejsze sprawy i nie może słuchać kaszlu starych kobiet ani zeszywać farmerów poszarpanych przez młockarnie. Doktor Staunton nigdy oficjalnie praktyki lekarskiej nie zaniechał, a uświęcenie, jakie przyniósł mu majątek, przyjął tak samo jak przedtem prestiż lekarza — z kwaśną miną, jak zawsze na swój szczególny sposób nadepty i obrażony. Nie wyprowadził się z Deptford. Może nie znał żadnego innego miejsca, gdzie mógłby osiąść, a może odpowiadała mu rola bogacza w małym miasteczku i pozycja znacznie górująca nad Athelstanami.

Athelstanom mocno się to nie podobało, a Cece puścił w obieg powiedzonko, którym miasteczko cieszyło się przez wiele lat: „Jeżeli Pan Jezus umarł, żeby zbawić doktora Stauntona, to transakcja była niezbyt opłacalna”.

Tak więc Boy Staunton wiedział, że jemu także sądzona jest korona. Ojciec wyznaczył mu pensję w swoim przekonaniu bardzo hojną, w rzeczywistości przyzwoitą, lecz niezbyt dużą; Boy miał większe potrzeby. Toteż zaczął sprytnie i na krótki termin spekulować akcjami na giełdzie i dzięki temu mógł żyć na stopie tak wysokiej, że dziwiło to i drażniło ojca, który czekał gniewnie na konsekwencje, pewny, iż syn popadnie w długi. Ale Boy nie popadł w długi. „Tylko durnie zadłużają się” — mówił prezentując starszemu panu takie zbytkowne rekwizyty, jak złota papierośnica i szyte na miarę obuwie, ale nie wyjaśniając zagadki.

Boy żył luksusowo, a ja... no, nie w biedzie, ale w sposób zgodny z moimi upodobaniami. Uważałem, że dwadzieścia cztery dolary to i tak duży wydatek na gotowe ubranie ze sklepu konfekcyjnego, a cena czterech dolarów za parę butów wydawała mi się ciężkim grzechem. Zmieniałem koszule dwa razy w tygodniu, a resztę bielizny raz na tydzień. Jeszcze nie nabrałem kosztownych przyzwyczajień i gotów byłem zadowolić się dobrym pensjonatem; dopiero w wiele lat później doszedłem do wniosku, że naprawdę

dobrych pensjonatów nie ma na świecie. Kiedyś w porywie zazdrości o Boya kupiłem jedwabną koszulę i zapłaciłem za nią dziewięć dolarów; czułem się jak Nessos, ta koszula wprost parzyła mi skórę, ale nosiłem ją, póki nie zdarła się na strzępy, żeby przynajmniej wyciągnąć największy możliwe pożytek z wydanych pieniędzy i wykorzystać luksus okupiony wyrzutami sumienia.

W tym miejscu muszę przyznać się do czegoś, co rzuci na mnie niepochlebne światło, zważywszy dalszy ciąg tej mojej relacji. Boy bardzo chętnie udzielał mi informacji i rad, jak należy inwestować pieniądze, więc od czasu do czasu ryzykowałem dwie lub trzy setki dolarów z moich skromnych zasobów, zawsze z pomyślnym wynikiem. Boy operował tysiącami, ja — setkami, ale naśladowałem go i bez jego rad byłbym bezsilny, bo spekulacje giełdowe nie wchodziły w zakres moich umiejętności. Byłem tylko zdolny stosować się do wskazówek Boya, w porę kupować, w porę sprzedawać, a zwłaszcza zatrzymywać w ręku niektóre akcje. Nie umiem wytłumaczyć, dlaczego Boy oddawał mi tę przysługę, chyba robił to po prostu z sympatii dla mnie. Lubił mnie, lecz w sposób szczególny, niekiedy trudny do zniesienia; mam nadzieję, że nim dokończę tej opowieści, stanie się zupełnie jasne, co mam tutaj na myśli.

Obaj byliśmy młodzi, żaden z nas jeszcze w pełni nie dojrzał; nie wiem, jakie uczucia Boy żywił dla mnie, ale wiem, że ja byłem o niego z kilku powodów zazdrosny. Boy miał coś do ofiarowania, mianowicie rady, jak moich kilka setek rozmnożyć w kilka tysięcy, i nie chcę usprawiedliwiać się z tego, że wykorzystywałem rady człowieka, z którego w głębi duszy drwiłem; za mocno tkwi we mnie szkockie dziedzictwo, abym pozwolił umknąć dolarowi, jeśli znajdzie się w zasięgu mojej ręki. Nie pozuję w tych wspomnieniach na bohatera. Później, gdy z kolei ja miałem coś do ofiarowania i chciałem mu pomóc, Boy nie przyjął mojej rady. Problem polegał na tym, że dla niego cała rzeczywistość życia mieściła się w zewnętrznym świecie, a dla mnie ważna była tylko rzeczywistość duchowa, chociaż wtedy mówiłem: intelektualna, nie rozumiejąc jeszcze wówczas, jak okrutne figle płała człowiekowi intelekt i jakim złym bywa nauczycielem. Jeśli więc Pan, Panie Dyrektorze, uzna mnie za fałszywego przyjaciela, wykorzy-

stującego szczerość i zdolności niepospolitego młodzieńca — trudno. Mogę jedynie zachować nadzieję, że zmieni Pan pogląd przed ukończeniem lektury tych moich wspomnień.

Spotykaliśmy się mniej więcej co dwa tygodnie, za każdym razem umawiając się specjalnie, bo na terenie towarzyskim nasze drogi nigdy się nie krzyżowały. Nie było to możliwe, zwłaszcza gdy Boy kupił samochód, bardzo szykowny wóz, polakierowany na ciepły złotobrazowy odcień. Rozbijał się tym samochodem po wszystkich dansingach wożąc ze sobą kompanów tego samego co on pokroju i zaprzyjaźnione z nimi dziewczyny; całe towarzystwo dużo piło z kieszonkowych flaszek i robiło dużo hałasu.

Pamiętam, że jesienią 1923 roku widziałem go na meczu rugby. Niespełna rok przedtem lord Carnarvon odkrył grobowiec Tutenchamona i specjaliści od mody męskiej już zdążyli wprowadzić egipskie motywy. Boy miał na sobie wspaniałą brunatnoczerwony pulower, po którym maszerowały pochody miniaturowych Egipcjan, skopiowanych z malowideł na ścianach grobowca; miał też najszersze z szerokich spodnie w oxfordzkim stylu i trzymał swobodnie w zębach fajkę z główką w kształcie jabłka, a zachowywał się jak jeden z panów świata. Asystował ładnej dziewczynie z krótko ostrzyżonymi włosami, w pończochach podwiniętych tak, że można było dostrzec śliczne białe kolana; rozmawiali i na przemian to jedno, to drugie pociągało z płaskiej flaszki, zawierającej z pewnością jakiś mocny trunek, lecz nie trujący doraźnie, dostarczony przez najlepszego w mieście bootleggera. Boy wydał mi się kwintesencją ery jazzu, postacią z powieści Scotta Fitzgeralda. Boy przez całe życie odznaczał się tym, że zawsze był kwintesencją czegoś, co ktoś inny odkrył i zdefiniował.

Na jego widok serce moje przepełniła gorzka pogarda, która, jak dziś rozumiem, była po prostu zawiścią, ale którą wtedy mylnie brałem za filozofię. Nie pragnąłem takiego ubrania, tej dziewczyny ani pijatyki, ale piekła mnie złość, że Boy tym wszystkim się cieszy, i odszedłem kulejąc, jak Diogenes mrużąc gniewnie pod nosem. Dziś przyznaję, że zawsze najgorzej kulałem wtedy, gdy zazdrościłem Boyowi. Myślę, że bezwiednie manifestowałem swoje kalectwo, żeby ludzie dokoła spostrzegli je i mówili: „To na pewno inwalida wojenny”. O, Boże, jakim okro-

pnym okresem życia jest młodość! Taka ogromna siła uczuć i tak słaba umiejętność panowania nad nimi!

Ilekoć się spotykaliśmy, rozmowa w końcu zahaczała o Leolę. Rodzice Boya i starzy Cruikshankowie zgodnie postanowili, że młoda para musi ze ślubem poczekać, póki Boy nie zdobędzie dyplomu na wydziale prawa. Leola nieśmiało proponowała, że mogłaby w tym okresie wyszkolić się na pielęgniarkę, ale nie doszło do tego, bo rodzice obawiali się, że ich pieścioszka straciłaby puszek niewinności ucząc się pielęgniarstwa — podawania basenów i kaczek, mycia nóg mężczyzn i tym podobnych usług. Snuła się więc po Deptford w aureoli świętości, jaka rzekomo otacza głowę zaręczonej dziewczyny, i czekała na Boya, wpadającego od czasu do czasu na weekend do rodzinnego miasta w swoim ciemnozłocistym wozie.

Wiem z jego zwierzeń, że pozwalali sobie na tak zwane eufemistycznie „poufałe pieścizoty”, które ściślej można by określić jako samogwałt we dwoje, ale Leola miała zasady i na nic więcej nie zgadzając się zachowała dziewictwo fizyczne — bo na pewno nie duchowe.

Boy jednak nabrał w wojsku upodobań, których nie mogły zadowolić przedłużane aż do udręki i niewynagradzane należyłą satysfakcją seanse sapania i mruczenia w zaparkowanym samochodzie; nie miał przy tym dość trzeźwości umysłu, aby nie poczuwać się do winy, gdy zdradzał Leolę z bardziej wolnomyślnymi dziewczynami w Toronto, a robił to regularnie i często zmieniając partnerki; zbudował sobie chwiejną metafizyczną teorię, która miała mu pomóc w załagodzeniu konfliktu, i zwracał się do mnie, abym ją przypieczętował uniwersytecką mądrością.

Te wesołe dziewczyny — tłumaczył — wiedzą, co robią, a więc nie poczuwa się wobec nich do odpowiedzialności moralnej. Były wśród nich wirtuozki tak zwanych francuskich lub głębokich pocałunków, które cynicy nazywają też „wymianą śliny”. Bywało, że durzył się w którejś z nich, niekiedy nawet dość gorąco, ale w żadnej nie kochał się tak jak w Leoli. Sam doszedłem do subtelnych filozoficznych rozróżnień w okresie romansu z Dianą i byłem zaskoczony słysząc coś podobnego z ust Boya. W swej głupocie myślałem, że ta sofistyka jest moim własnym patentowanym wynalazkiem. Dopóki szczerze i wytrwale kocha

Leolę, inne erotyczne przygody nie liczą się, prawda? — pytał. A może jestem innego zdania? Nade wszystko pragnął pozostać nieskazitelnie lojalny w stosunku do Leoli, tak słodkiej, że ani razu nawet go nie spytała, czy nie doznaje pokus, aby ją zdradzić, gdy tańczy w Toronto z tylu ładnymi dziewczętami.

Bardzo chciałym mieć dość siły charakteru, aby odpowiedzieć Boyowi, że nie mam wyrobionej opinii w tych sprawach, ale nie mogłem oprzeć się słodko-gorzkiej, podejrzanej przyjemności słuchania jego wywodów. Widziałem, że Boy doznaje satysfakcji, może na razie podświadomej, występując wobec mnie w roli prawowitego właściciela Leoli. Leola kiedyś, gdy nalegał, wyznała mu, że przez krótki czas poddała się złudzeniom miłości do mnie, a Boy teraz zapewniał mnie, że wszyscy troje traktujemy tamten epizod jak chwilowe zaćmienie, zwykłą gorączkę wojenną. Nie przeczyłem, ale też nie mogłem cieszyć się z takiej interpretacji.

Nie pragnąłem Leoli dla siebie, lecz drażniło mnie, że ma ją Boy. Dzięki Dianie nie tylko poznałem fizyczną miłość w najwspanialszej formie, ale także utworzyłem sobie wyobrażenie o kobiecie jako istocie, która czarująco porusza się, mówi, śmieje się, żartuje, myśli i rozumie, a temu ideałowi nie mogła nawet w przybliżeniu dorównać Leola ze swoim skromnym repertuarem wdzięków. Mimo to — jak samolubny pies ogrodnika — dotkliwie odczuwałem fakt, że porzuciła mnie dla Boya i nie miała odwagi przyznać mi się do tego w listach czy też w bezpośredniej rozmowie. Dziś już rozumiem, że Leola po prostu nie była zdolna do pisania o jakichkolwiek poważnych sprawach; nawet gdyby chciała, nie znalazłaby słów, żeby wyrazić to, co miała do powiedzenia. Wówczas, gdy rodzice trzymali ją niejako w erotycznym depozycie dla Boya, cała ta historia napełniała mnie goryczą.

Dlaczego nie znalazłem sobie jakiejś innej dziewczyny? Diana, Diana, Panie Dyrektorze! Tęskniłem do niej, ale nigdy nie dość silnie, żeby się spytać w liście, czy nie zgodziłaby się na zmianę decyzji powziętej podczas pamiętnych świąt Bożego Narodzenia. Wiedziałem, że Diana zagroziłaby mi tę drogę życia, którą pragnąłem wybrać, i że nie zadowoliliby się czymś mniejszym niż pełny udział, a może nawet rola kierownicza w życiu mężczyzny, którego

zaślubi. Nie przeszkadzało mi to tęsknić do niej często i boleśnie.

Samolubny, zazdrosny, zgorzkniały facet był ze mnie, prawda?

2

Mówię o drodze życia, którą pragnąłem wybrać, ale byłem wówczas wcale pewny, jak ma ona wyglądać. Czasem widziałem ją w przeblyskach intuicji, w chwilowych porywach, ale nigdy dość jasno. Skończyłem uniwersytet z etykietką magistra historii, jednak potrzebowałem wciąż jeszcze czasu, aby znaleźć swoją drogę, i jak wielu ludzi w podobnej sytuacji postanowiłem uczyć w szkole.

Czy był to ślepy zaułek? Czy w ten sposób włączyłem się w rzeszę obiecujących absolwentów uniwersyteckich, którzy nigdy nie dotrzymują młodzieńczych obietnic? Pan, Panie Dyrektorze, mógłby na to pytanie odpowiedzieć równie dobrze jak ja, oczywiście powinna to być odpowiedź przecząca. Poczulem się w nauczycielskiej profesji od razu jak ryba w wodzie i podobnie jak ona nie zastanawiałem się wiele nad żywiołem, w którym się poruszam. Złożyłem podanie o pracę w Colborn College głównie dlatego, że w tej prywatnej uczelni nie wymagano świadectwa z prowincjonalnego seminarium nauczycielskiego. Nie chciałem marnować roku na to dodatkowe przygotowanie do zawodu; zresztą nie myślałem, że w nim długo wytrwam. Poza tym odpowiadała mi szkoła kształcąca wyłącznie chłopców. Nie uśmiechałoby mi się nauczanie dziewcząt, w gruncie rzeczy nie sądzę, aby służył im dobrze typ wykształcenia obmyślony przez mężczyzn dla mężczyzn.

Byłem dobrym nauczycielem, bo nigdy wiele nie zajmowałem się teoriami nauczania. Po prostu gruntownie przeobrabiałem z uczniami materiał wyznaczony w programie i starałem się o wysoki poziom. Nie stałem się ulubieńcem klasy, nie zabiegałem o popularność, nie zależało mi szczególnie na sukcesach moich najzdolniejszych uczniów, dbałem o to, żeby naprawdę dobrze znać swój przedmiot. Nie byłem bardzo przystępny, ale jeśli już ktoś do mnie się zwracał, traktowałem go życzliwie i poważnie. Wielu chłopcom dawałem prywatne korepetycje, gdy przygotowy-

wali się do egzaminów konkursowych, i nie brałem od nich za to ani centa. Oczywiście lubiłem uczyć, co chłopcy czuli, i dobrze to na nich oddziaływało. Z wiekiem coraz wyraźniej przejawiało się moje upodobanie do pewnych tematów, dziwnie uparcie powtarzających się w historii — a także w mitach. Cóż w tym złego? Ale kiedy pierwszy raz w Colborn wszedłem do klasy w todze, bo taki strój był wówczas w college'u przyjęty, w głowie mi nie pozostało, że na dobre porzucę ten zawód dopiero z górą po czterdziestu latach.

Z punktu widzenia szkoły moje życie zapewne wydawało się dziwaczne i oschłe, jakkolwiek niewątpliwie pożyteczne. Z biegiem lat obudziły się nawet podejrzenia, zwykle rodzące się wokół niezonatych nauczycieli, że jestem homoseksualistą albo jawnym, albo płonąącym skrycie przewrotnymi żądzami. Otóż nigdy nie czułem pociągu do chłopców. Powiem więcej: nie bardzo ich lubiłem. Były to w moich oczach zielone jabłka, które przy mojej pomocy dojrzewając w słońcu historii staną się prawdziwymi mężczyznami. Za dużo wiem o chłopcach, abym mógł sentymentalnie rozczulać się nad nimi. Sam byłem kiedyś chłopcem, wiem, co to za stworzenie: albo głupiec, albo mężczyzna uwięziony i walczący o wyjście na wolność.

Nauczycielstwo wypełniało moje życie zawodowe, któremu poświęcałem cały należny trud. Źródła zasilające moje szersze życie były gdzie indziej i właśnie o nich pragnąłem napisać, kierując te zwierzenia do Pana, Panie Dyrektorze, ufając, że dzięki temu po mojej śmierci jeden przynajmniej człowiek będzie znał prawdę o mnie i odda mi sprawiedliwość.

Czy żyłem w czystości — ja, który tak krytykowałem rozwiązłość erotyczną Boya? Dziś żadne pamiętniki nie uchodzą za kompletne, jeśli nie zawierają jakiegoś komentarza o seksualnym życiu narratora, toteż pozwolę sobie wyznać, że w ciągu całego wczesnego okresu nauczycielstwa spotykałem kobiety godne zainteresowania i dostatecznie interesujące się moją osobą, aby stworzyć mi możliwość mniej więcej normalnego życia seksualnego. Były to kobiety szczególnego typu, które zazwyczaj nawiązują stosunki z mężczyznami nie nadającymi się do stanu małżeńskiego. Takie jak Agnes Day, która marzyła o wzięciu na siebie grzechów całego świata, o poświęceniu

własnego ciała i umysłu dla dobra zasługującego na to mężczyzny. Wkrótce jednak jej towarzystwo zaczęło być dla mnie zbyt przygnębiające. Następna, Gloria Mundy, dobry kompan do zabawy, wymagała drogich kolacji, biletów do teatru, rozmaitych wycieczek i rozrywek. Kosztowała mnie więcej, niż było warte jej niezaprzeczalnie miłe towarzystwo, i okazała wiele taktu zrywając związek ze mną z własnej inicjatywy. Była oczywiście także Libby Doe, dla której seks stanowił jedyny wspaniały, prawdziwy, apostołski klucz do wszystkich drzwi i niezawodny lek na wszelkie niedomagania, i która — w przeciwieństwie do mnie — nie znała w tych sprawach uczucia przesytu. Mam nadzieję, że wobec nich wszystkich byłem lojalny, a chociaż żadnej z nich nie kochałem, szczerze je lubiłem i nigdy w życiu nie traktowałem kobiety, jak gdyby była po prostu przedmiotem służącym moim potrzebom.

Wszystkie one wkrótce miały mnie dość, bo moje poczucie humoru, opanowywane w klasie, nie znało hamulców w sypialni. Byłem kochankiem gadatliwym, a tego większość kobiet nie znosi.

Przy tym uciążliwe były moje fizyczne upośledzenia. Kobiety zwykle bardzo skwapliwie zapewniały mnie, że to w niczym nie przeszkadza. Agnes uważała wręcz moje sponiewierane ciało za swój męczeński stos. Ale ja nie mogłem zapomnieć o brunatnoczerwonym kikucie w miejscu, gdzie powinna być lewa noga, i o lewym boku, który wyglądał jak przypieczona skórka na rostbefie. Te szczegóły raziły mój zmysł estetyczny, ale były też inne, dość śmieszne problemy. Na przykład, jaka etykieta obowiązuje jednookiego amanta? Czy powinien odpinać protezę przed zastosowaniem środków ostrożności, czy też w odwrotnym porządku. Proponowałem moim partnerkom napisanie listu do kącika porad w tygodniku kobiecym, z prośbą o rozstrzygnięcie tych wątpliwości. Moim paniom dowcip nie wydał się zabawny.

Dopiero w wiele lat później odkryłem na nowo miłość, ale nie starą słodką piosenkę miłosną, wskrzeszającą wspomnienie Diany, nie, połknąłem raczej ożywczą kroplę z kotła czarownicy. Coś, na co warto było tak długo czekać.

Mając dwadzieścia sześć lat byłem magistrem historii; pięć tysięcy dolarów, z którymi zaczynałem studia urosło, dzięki dobrym radom Boya, do okazałej sumy ośmiu tysięcy, a w okresie studiów na przyzwoite życie, zgodne z moimi wymaganiami, wystarczała mi renta. Ile uciułał w tym czasie Boy, nie wiem, bo zawsze mówił o tym zagadkowo jako o swoim „pakiecie” (wyrażenie zapewne z repertuaru księcia Walii), w każdym razie zadawał szyku i nie miał kłopotów pieniężnych. Na jego ślubie z Leolą w deptfordzkim prezbiteriańskim kościele Świętego Jakuba pełniłem funkcje drużby w wypożyczonym żakiecie i cylindrze, a wyglądałem w nim na skończonego osła. Był to najwytworniejszy ślub w historii naszego miasta; jedyną plamę na tym słońcu stanowiło zachowanie się kilku uniwersyteckich przyjaciół pana młodego, którzy poszli hulać do restauracji Tecumseh House, gdy nareszcie skończyło się bezalkoholowe przyjęcie w domu Stauntonów. Rodzice Leoli zostali na czas uroczystości weselnych usunięci w cień, bardzo słusznie według powszechnej opinii, ponieważ „nie mieli warunków, żeby urządzić przyjęcia”. Co prawda o państwie Staunton można by powiedzieć to samo, ale nie zdawali sobie z tego sprawy. Światowe maniere przyjaciół Boya oszołomiły ich, pocieszała się jedynie myślą, że całą tę paczkę złotej młodzieży wraz z jej rodzicami mogliby kupić i sprzedać bez uszczerbku dla własnego majątku. Dla mnie było wtedy jasne, że Boy znacznie przerosł swojego ojca ambicjami i rozmachem. Potrzebował już tylko paru lat, aby rozwinąć skrzydła.

Wszyscy zgodnie przyznali, że panna młoda wygląda promiennie. Cieszyła oczy nawet w okropnym ślubnym stroju według mody 1924 roku i miało się ochotę schrupać ją z kosteczkami. Jej rodzice (Ben Cruikshank nie zniżył się do wynajmowania żakietu, ale jego buty lśniły srebrzyście od grafitu, używanego pospolicie raczej do polerowania pieców niż do obuwia) płakali w kościele ze szczęścia. Stałem przed samym ołtarzem i nie mając nic lepszego do roboty, mogłem obserwować, kto płacze, a kto uśmiecha się ironicznie.

W podróż poślubną państwo młodzi wybierali się do Europy, co w owych czasach było nie tak rozpowszechnione

jak dzisiaj. Ja także zdecydowałem się popłynąć do Europy, przeznaczając na to jeden z moich ośmiu tysięcy dolarów, i fundując sobie tę nagrodę za wszystkie lata dobrego sprawowania. Kupiłem bilet drugiej klasy — której wtedy nie nazywano „turystyczną” — na statek linii kanadyjskiej „Melita” i po wejściu na pokład przeglądając listę pasażerów wcale się nie ucieszyłem znajdując wśród osób podróżujących pierwszą klasą: „Pana Boya Stauntona z małżonką”. Jak większość ludzi uważałem ślub za stację końcową i miałem nadzieję pozbyć się Boya i Leoli na czas jakiś. Tymczasem znów ich odnajdywałem, i to dosłownie górujących nade mną.

Trudno, niech mnie odszukają, jeśli zechcą. Mnie różnica klas mało obchodzi, zobaczymy — mówiłem sobie — jak Boy do niej się odniesie. I znów nie doceniłem Boya. Siadając do obiadu zobaczyłem na stole bilecik i butelkę — ściśle mówiąc pół butelki wina — potem zaś Boy trzy czy może cztery razy w ciągu rejsu złożył mi wizytę i wyjaśnił bardzo uprzejmie, że niestety przepisy nie pozwalają mu zaprosić mnie do pierwszej klasy. Leola nie przyszła, ale przesyłała mi ręką pozdrowienia na koncercie, podczas którego utalentowani pasażerowie śpiewali *Róże Pikardii*, opowiadali anegdoty i podziwiali kadeta marynarki — bo wtedy jeszcze na statkach kadeci byli zatrudniani do takich usług, jak wzywanie pasażerów sygnałem trąbki na posiłki — tańczącego bardzo zgrabnie „hornpipe”.

Boy oczywiście zaznajomił się w pierwszej klasie ze wszystkimi — także z pewnym utytułowanym pasażerem, fabrykantem obuwia z Nottingham — lecz szczególnie rozszerzył jego duchowe horyzonty pastor George Maldon Leadbeater, wielki prorok najmodniejszego nowojorskiego kościoła; święty ten mąż wybrał statek odpływający z Montrealu, żeby przedłużyć sobie podróż przez północny Atlantyk.

— Nie jest podobny do żadnego z pastorów, jakich w życiu spotkałem — powiedział Boy. — Słowo ci daję, trudno pojąć, że takie mamuty jak Andy Bowyer albo Phelps mają czelność wchodzić na kazalnicę, skoro działają już na tym polu ludzie tej miary, co Leadbeater. Jeśli o mnie chodzi, po raz pierwszy dzięki niemu dostrzegłem jakiś sens w chrystianizmie. Okazuje się, że Chrystus był bardzo dostojną osobistością, księciem z rodu Dawida, poetą i inte-

lektualistą. Oczywiście był także cieślą, wszyscy Żydzi w biblijnych czasach znali jakieś rzemiosło. Ale jakim cieślą? Jestem pewny, że nie budował obór. Musiał być niewątpliwie architektem i przedsiębiorcą budowlanym na ówczesną skalę. Inaczej jakżeby mógł mieć tak rozległe stosunki? Wiesz, kiedy wędrował po całym kraju, zatrzymywał się w domach różnych bogatych i wpływowych ludzi i uważano go tam za honorowego gościa; jasne, że nie był w Palestynie zwykłym włóczęgą. Gościli Go ludzie, którzy znali Go jako człowieka zamożnego i jednocześnie wielkiego filozofa. No, wiadomo, na Wschodzie często ludzie najpierw dorabiają się majątku, a potem dopiero oddają się filozoficznym rozważaniom. A jak wysoko cenił piękno! Kiedy ta kobieta wylała wonne olejki na Jego stopy, od razu poznał się na kosztownym gatunku pachnideli i założył się, że umiał odróżnić dobry towar od tandety. A gody w Kanie? Na przyjęciu wybawił z kłopotu gospodarza, gdy wyczerpały się zapasy wina, bo pewnie Jemu samemu zdarzały się podobne przykre sytuacje, gdy jeszcze prowadził przedsiębiorstwo, i rozumiał, jakie to żenujące. Rozumiał też problemy ekonomiczne. Dlaczego wypędzał ze świątyni przekupniów, wymieniających pieniądze? Jasne! Ponieważ łupili pielgrzymów, pobierając od nich za wysokie procenty i w dodatku tym sposobem mogli zahamować bardzo pożądany napływ turystów do atrakcyjnego obiektu, zachwiać równowagę gospodarczą. Jeśli spojrzeć z tego punktu widzenia, była to właściwie kontrola rynku. Tylko On rozumiał ten problem i miał dość odwagi, żeby interweniować. Leadbeater przypuszcza, że to był zakulisowy powód ukrzyżowania, bo kapłani pewnie wyciskali dla siebie opłaty od przekupniów ze świątyni i woleli pozbyć się człowieka o szerszych ekonomicznych horyzontach i górującego, oczywiście, intelektem w wielu innych dziedzinach.

Leadbeater... prosił mnie, żebym do niego mówił po imieniu, George, jakoś odzwyczaiłem się od angielskiej formy zwracania się do znajomych po nazwisku... a więc George uwielbia piękno. Tym zjednał sobie Leolę. Tobie, Dunny, stary przyjacielu, mogę szczerze powiedzieć, że, moim zdaniem, Leola nie miała sposobności rozwinąć się w tym swoim środowisku. Cruikshankowie to naturalnie zaci ludzie, ale umysły ciasne. Teraz Leola robi szybkie

postępy. George pożyczył jej powieść Hutchinsona *Jeśli nadejdzie zima* i namówił, żeby koniecznie to przeczytała. Dziewczyna po prostu oderwać się nie może od tej książki. Ale najbardziej mi zaimponował George tym, że tak świetnie się ubiera. Nie tylko jak na pastora, każdy by chciał tak wyglądać. Obiecał zaprotegować mnie u swojego londyńskiego krawca. Do najlepszych krawców nie dostaniesz się bez referencji. George mówi, że Bóg stworzył piękne i porządne rzeczy, kto z nich nie korzysta, ten źle rozumie intencje Stwórcy. Czyś słyszał kiedy, żeby kaznodzieja w ten sposób nauczał? No, ale George nie jest byle popularyzatorem Biblii za sześćset dolarów rocznie, on z samej parafii dostaje osiem tysięcy pięćset, a drugie tyle zarabia prelekcjami i honorariami jako autor książek. Skoro Chrystus nie był ubogi — a na pewno nie był — George nie zamierza klepać biedy. Czy uwierzysz, że on w prawej kieszeni marynarki nosi garstkę drogich kamieni, półszlachetnych, ale przepięknych, po prostu, żeby je czuć w rękę. Parę razy dziennie wyciąga je i rzuca na jasnoszkarłatną chustkę, którą ma zawsze w kieszonce na piersi, i przygląda się, jak światło gra w tych kamieniach... Gdybyś widział wyraz jego twarzy w tych momentach! „Bóg dał nam nie tylko biedę i grzech — mówi z jakimś poetycznym uśmiechem. — Spójrzcie, te klejnoty są równie piękne jak krople deszczu i są Jego dziełem tak samo jak trąd, jak kwiat czy uśmiech kobiety.” Szkoda, że nie możesz przyjść do pierwszej klasy, żeby poznać George’a, niestety, to wykluczone, a nie ośmieliłbym się jemu zaproponować, żeby zszedł tutaj.

Tak więc nigdy nie zawarłem znajomości z wielbnym George’em Leadbeaterem, ale zastanawiałem się, czy on czytał Nowy Testament tyle razy co ja. Poza tym sam przeczytałem *Jeśli nadejdzie zima*, gdy ukazało się pierwsze wydanie tej książki i gdy William Lyon Mackenzie King, premier Kanady, powitał ją panegirykiem, twierdząc, że jest to bez wątpienia najświetniejsza powieść naszej doby, a księgarze wykorzystywali pochwałę premiera dla reklamy. Wydaje mi się, że literacki smak Kinga, podobnie jak religijny pastora Leadbeatera, dowodzi jedynie upodobania do landrynek — i niczego więcej.

Boy i Leola zeszli ze statku w Southampton, ja popłynąłem dalej do Antwerpii, bo głównym celem mojej podróży była pielgrzymka na tereny bitew. Oczywiście zmieniły się nie do poznania, porządek, schludność jak to w Holandii. Okopy, które znałem jako cuchnące błotniste jamy, wyłożono cementowymi chodnikami, żeby damy zwiedzając je nie zabrudziły bucików. Nawet ogromne cmentarze nie zdołały mnie wzruszyć, bo wobec ich rozmiarów straciłem poczucie, że leżą tutaj ludzie, którzy, gdyby żyli, byłiby mniej więcej moimi rówieśnikami. Opuściłem te okolice po daremnych poszukiwaniach w Passchendaele śladów miejsca, gdzie zostałem ranny i gdzie spotkałem się z Małą Madonną. Pytałem każdego, kto się nawinął, ale nikt nie umiał mi dopomóc w zorientowaniu się, gdzie to było. Nowe miasto zapewne pogrzebało tamto miejsce pod ulicami i domami. Figura Matki Boskiej? Owszem, jest ich sporo w kościołach i na murach różnych budynków, ale są to przeważnie szpetne, nowe i nic nie mówiące posągi. Żaden nie był podobny do mojej Madonny. Poznałbym ją natychmiast wszędzie i rzeczywiście rozpoznałem wiele, wiele lat później.

W ten sposób zrodziło się moje zainteresowanie dla sztuki średniowiecza i renesansu, zwłaszcza dla sztuki religijnej tych epok. Dostałem istnego bzika na punkcie Małej Madonny. Marzyłem, żeby ją raz jeszcze w życiu zobaczyć i wbrew rozsądkowi nie traciłem nadziei, że ją odnajdę. (Tak jak pewien mój znajomy, który podczas nalotów na Londyn stracił ulubioną laskę i szuka jej po dziś dzień ufnie po wszystkich antykwariatach i sklepach osobliwości, wierząc, że może jeszcze odzyska zgubę.) Dzięki temu obejrzałem mnóstwo figur Matki Boskiej w różnych stylach i z rozmaitych tworzyw i stałem się niezłym ich znawcą. Nauczyłem się w każdym razie tyle, że umiałem już swoją Małą Madonnę opisać jako statwę Niepokalanego Poczęcia, z polichromowanego drzewa, wysokości mniej więcej dwudziestu czterech cali, prawdopodobnie roboty snycerzy flamandzkich lub północnoniemieckich z okresu między rokiem 1675 a 1725. Jeśli Pan myśli, Panie Dyrektorze, że wiadomości te zdobyłem dopiero po odnalezieniu jej, to myli się Pan.

Najpierw poszukiwania a później rosnący zachwyty nad cudami, które oglądałem, zaprowadziły mnie do niezliczonych kościołów w Niderlandach, Francji, Austrii i Włoszech. Zamierzałem pierwotnie poprzestać na kilku tygodniach tych wakacji, ale zażądałem przysłania mi z kraju więcej pieniędzy i zostałem w Europie do ostatniego dopuszczalnego terminu — do końca sierpnia. „Co ty tu robisz, Dunstanie Ramsayu?” — pytałem nieraz sam siebie; z czasem przekroczyłem etap odpowiedzi, że zaspokajam swój nowy wspaniały entuzjazm dla sztuki i architektury religijnej, i zrozumiałem, że jednocześnie odkrywam na nowo religię. Nie znaczy to, że stałem się pobożny. Prezbiterianizm, którym nasiąkałem w dzieciństwie, skutecznie uodpornił mnie przeciw gorącym porywom wiary. Ale uświadomiłem sobie, że w sprawach religijnych jestem analfabetą, a nie cierpiałem ignorancji. Nie byłem takim głupcem ani też wielkim estetą, aby przypuszczać, że wszystkie te dzieła są jedynie sztuką dla sztuki. Mówiły one o czymś i chciałem to coś poznać.

Czymkolwiek to coś mogło być, powinienem był, jako historyk z wykształcenia, zacząć od podstaw, ale nie miałem dość czasu. Sceny biblijne nie nastroczały mi większych trudności, łatwo rozpoznawałem Jaela przeszywającego włócznią Sisarę lub Judytę z głową Holofernesa, ale święci zbijali mnie z tropu. Zacząłem więc, jak się dało najgruntowniej, studiować ich i wkrótce już wiedziałem, że starzec z dzwonkiem to święty Antoni Opat, a ten sam starzec wśród nękających go strasydeł to święty Antoni kuszony na pustyni. Nadziany strzałami niby ofiarny jeździec święty Sebastian i kulawy święty Roch z psem nie sprawiali mi kłopotu. Z naiwnym zachwytem na szwajcarskiej monecie poznałem świętego Marcina dzielącego się z biedakiem własnym płaszczem. Zamiłowanie do szczegółów, które niegdyś kazało mi ubiegać się o wiedzę polimathy, teraz okazało się bardzo przydatne, bo bez trudu mogłem zapamiętać poszczególne atrybuty i symbole niezliczonych świętych i przekonałem się, że ich żywoty są wspaniałą lekturą. Opanowała mnie brzydka pycha i zacząłem wyszukiwać najosobliwszych, trudnych świętych, nie znanych ogółowi katolickich wyznawców. Mówiłem i czytałem swobodnie po francusku (choć nigdy nie pozbyłem się cudzoziemskiego akcentu), dość dobrze byłem oswojony z łaciną,

toteż prędko nauczyłem się porozumiewać po włosku, z błędami, ale wystarczająco na moje potrzeby. Brakowało mi znajomości niemieckiego i postanowiłem nauczyć się tego języka w ciągu najbliższej zimy. Nic mnie nie odstraszało, jeśli dany przedmiot mnie interesował, wiedziałem, że się go nauczę, i to prędko.

Nie przychodziło mi jeszcze wtedy do głowy, że poznawane przeze mnie legendy dotyczą prawdopodobnie ludzi, którzy rzeczywiście niegdyś żyli i dokonali takich lub innych rzeczy, zasługując na pośmiertną popularność i miłość. To, czego się dowiadywałem, wskrzeszało po prostu i utwierdzało moje dzieciinne przeświadczenie, że religia jest w duchu bliższa baśniom *Z tysiąca i jednej nocy* niż naukom głoszonym w prezbiteriańskim kościele Świętego Jakuba. Zastanawiałem się, co by powiedziano w Deptford, gdybym zaproponował zastąpienie uwięzionej na szczycie organów gołębiczy przez należną świętemu Jakubowi płaską łódkę. Wiem, byłem głupi i zarozumiały, ale także szczęśliwy, jak koza błakająca się po cudownym ogrodzie hagiologii, więc pasłem się łapczywie i z wielkim zadowoleniem. Gdy wreszcie nadszedł termin powrotu do kraju, wiedziałem już, że znalazłem trwałe szczęście.

5

Obowiązki nauczycielskie zajmowały mi dni i część nocy. Byłem zastępcą kierownika internatu i miałem ładny, obszerny pokój na poddaszu głównego budynku oraz nędzną klitkę za sypialnię, a także prawo użytkowania łazienki wspólnej dla paru mieszkających na miejscu nauczycieli. Przez cały dzień prowadziłem lekcje, ale drewniana noga na szczęście uwalniała mnie od pańszczyzny nadzorowania gier sportowych po lekcjach. Co wieczór musiałem ślęczeć nad poprawianiem zadań domowych, wkrótce jednak wyrobiłem sobie zawodowe podejście do tych żałosnych wypraw w głębokie jaskinie ignorancji i nie pozwoliłem, aby to zajęcie mnie przytłaczało. Lubiłem towarzystwo większości kolegów, dzielących się na trzy mniej więcej równe liczebnie kategorie: dobrych ludzi, którzy byli dobrymi nauczycielami, i złych, którzy byli złymi nauczycielami, oraz śmiesznych dziwaków i wyko-

lejeńców, których sporo garnie się do nauczycielstwa i którzy często wywierają najsilniejszy wpływ na uczniów. Jeśli nie sposób znaleźć dobrego nauczyciela, dajcie chłopcu raczej człowieka z psychicznym garbem lub zawiedzionego w życiu ekscentryka, byle nie tępego, nudnego belfra. Tym właśnie prywatne uczelnie górują nad państwowymi, że mogą zatrudnić kilku kulturalnych wariatów i nie muszą się z tego przed nikim tłumaczyć.

Chłopcy lubili mnie z powodu drewnianej nogi, której stuk w korytarzu w porę ostrzegał o moim zbliżaniu się, tak że palacze, próżniacy i marzyciele (nie należy tych ostatnich dwóch grup utożsamiać) mogli przybrać właściwą postawę, zanim nadszedłem. Z wyjątkiem reprezentacyjnych występów używałem wtedy laski i każdy rozsądny chłopak wolał dostać tym kijem po tyłku niż słuchać długich nauk moralnych. Psychologowie-wychowawcy załamałoby pewnie nade mną ręce, ale znam chłopców i znam swoją laskę, a dobre wyniki tej metody wkrótce objawiły się podczas egzaminów.

Boy Staunton również zabłysnął talentem pedagogicznym. Wychowywał Leolę, a widując tę parę dość często, mogłem ocenić postępy. Boy chciał z niej zrobić idealną żonę wspinającego się coraz wyżej cukrowego magnata; pracował pilnie i szybko i już zdobył sobie pozycję w przemyśle produkującym napoje bezalkoholowe, cukierki i wyroby cukiernicze.

Świetnie zarządzał interesami opierając się na zasadzie tak prostej, że warto ją przypomnieć: założył własną firmę pożyczając w tym celu 5000 dolarów na cztery miesiące; ponieważ miał już 5000, spłacił dług bez trudu. Z kolei pożyczyl 10000 dolarów, które oddał skrupulatnie. W ten sposób prędko wyrobił sobie doskonałą reputację, zawsze spłacał dług bez zwłoki, lecz nie przed terminem, toteż bank udzielający mu kredytu nie tracił nigdy spodziewanych odsetek. Dyrektorzy banków polubili go, lecz Boy wkrótce przestał zakładać filie i zaciągał pożyczki już tylko dla swojej centralnej firmy. Cieszył się łaskami osiągnąwszy rangę cherubina w niebie finansów i potrzebował takiej żony, która pomogłaby mu awansować na całkowicie wypierzonego anioła, a potem jak najprędzej na archanioła.

Leola brała więc lekcje tenisa i brydża, starała się nie nazywać nawet w myślach pokojówki „dziewczyną”, i nie

mieć dzieci, bo na tym etapie nie były jeszcze pożądane. Wyglądała ładniej niż kiedykolwiek, nauczyła się operować banałami tak, by prowadzić gładkie rozmowy na wszelkie tematy, które wchodziły w zakres zainteresowań przyjaciół Boya, uwielbiała męża i trochę go się jednocześnie bała. Był taki bystry, błyskotliwy i przystojny! Wciąż jeszcze, jak mi się zdaje, dziwiło ją, że naprawdę została jego żoną.

W 1927 roku po raz pierwszy zdarzył się w życiu Boya jeden z tych niespodziewanych pomyślnych przypadków, które należałoby raczej nazywać zbiegiem okoliczności, a które pomagają ludziom ambitnym; przypadek ten wyniósł go jednym zamachem w wyższe sfery, gdzie Boy miał już odtąd obracać się zawsze. Podtrzymywał więc ze swoim pułkiem i regularnie uczestniczył w ćwiczeniach wojskowych; jak mi mówił, zamierzał działać na arenie politycznej; a dobre stosunki z wojskowymi zapewniały dużo głosów w wyborach. Kiedy więc książe Walii odbywał tego roku podróż po Kanadzie, któż mógł być stosowniejszym pod każdym względem adiutantem królewskiej wysokości niż przystojny, młodzieńczy, wesoły Boy Staunton? Wyznaczono mu te funkcje nie tylko na czas pobytu księcia w Toronto, ale na cały okres podróży od morza do morza.

Niewiele tych splendorów oglądałem, z wyjątkiem wizyty księcia Walii w naszej szkole, którą wypadało mu odwiedzić, ponieważ cieszyła się królewskim patronatem. Ciało pedagogiczne wystąpiło w togach i biretach, spoceni członkowie Korpusu Strzelców paradowali, krzyczeli i omdlewali z gorąca, a wąty potomek królów Artura, Alfreda i Karola II roztaczał swoje wdzięki. Z Krzyżem Wiktorii przypiętym do jedwabiu togi przedstawiono mnie dostojnemu gościowi, ale w pamięci utkwiał mi wyraźniej od młodego księcia Boy Staunton, niewątpliwie najbardziej okazała postać tej sceny. Były wychowanek szkoły i adiutant księcia Walii przeżywał swój wielki dzień, a ówczesny dyrektor uczelni traktował go z szacunkiem, który krytycznemu obserwatorowi musiał wydać się nieco przesadny.

Leola znalazła się także na tej uroczystości, bo chociaż oczywiście nie towarzyszyła Boyowi w całej podróży, zjawiała się, jak gdyby przypadkiem na różnych jej etapach w tym lub innym mieście Kanady. Nauczyła się składać

bardzo ładnie dworski ukłon — sztuka wcale niełatwa w sukniach z tamtych lat — i jeść tak, jak gdyby nigdy niczego nie przeżuwała, słowem wszystkiego, co należy do etykiety dworskiej i czego Boy od niej wymagał. Dla niej książę Walii był z pewnością tylko pretekstem dla świetnych występów publicznych Boya. Nigdy nie widziałem kobiety bardziej pochłoniętej miłością do wybranego mężczyzny, a ja cieszyłem się z jej szczęścia i szczerze życzyłem jej wszystkiego najlepszego.

Po odjeździe księcia państwo Staunton wrócili do swej roli gwiazd życia towarzyskiego ze skromnością licującą z ich młodym wiekiem. Boy nabrał wielu nowych zwyczajów, między innymi zaczął do biura nosić getry. Dla niego i dla Leoli era jazzu skończyła się, byli teraz poważnym, odpowiedzialnym młodym małżeństwem.

Po roku urodziło się pierwsze ich dziecko, które ochrzczono konserwatywnymi, lecz znamiennymi imionami: Edward Dawid. We właściwym czasie — skąd jego królewska wysokość dowiedział się o tym? — nadszedł tradycyjny prezent: kubek ozdobiony trzema piórami z wypisaną dewizą: „Ich dien — Ja służę”. Dawid używał tego kubka, póki nie dorósł do filiżanki i spodeczka; później pamiątkowy kubek stał na stole w salonie napełniony bezcere-monialnie zapalkami.

6

Doktor Staunton i jego żona nie bywali w domu syna i synowej, jak się domyślam, z powodów religijnych. Przyjeżdżając — zresztą bardzo rzadko — do Toronto, zatrzymywali się w tanim, konserwatywnym hotelu Carls-Rite i tam zapraszali młodą parę na lunch lub obiad, lecz noga ich nie postawiła w domu, gdzie podawano alkohole wbrew prawom krajowym i wbrew oczywistej woli Boskiej. Drugim kamieniem obrazy było dla rodziców porzucenie przez Boya i Leolę Kościoła prezbiteriańskiego i przejście do anglikańskiego.

W wyniku ruchu, który w 1924 roku osiągnął moment przełomowy, prezbiterianie i metodyści zawarli misterium coniunctionis i powstał Zjednoczony Kościół Kanadyjski z doktryną (łagodniejszą od serka śmietankowego), w której

małą zachowało się prezbiteriańskiej surowości i parafiańskiej nabożności metodystów. Garstka najtwardszych prezbiterianów i najszczerzej żarliwych metodystów pozostała przy swoich dawnych Kościołach, ale większość uznała tę unię za wielkie zwycięstwo Królestwa Chrystusowego na ziemi. Niestety nie obeszło się bez targów między bogatymi prezbiterianami a ubogimi metodystami, co wywołało kpiny wśród reszty ludności; zwłaszcza katolicy puścili w obieg irlandzki dowcip o największej w historii Kanady grabieży ziemi i mienia.

Wśród tego wzburzenia pewne co wrażliwsze dusze umknęły w objęcia anglikanizmu. Zazdrośni i niechętni mówili, że stało się tak, ponieważ Kościół anglikański jest wytworniejszy od ewangelickich i że ludzie przechodzący na anglikanizm awansują tym samym i w hierarchii towarzyskiej. W owych czasach każdy Kanadyjczyk musiał choćby nominalnie należeć do jakiegoś Kościoła; urząd statystyczny nie uznawał i nie przyjmował takich określeń jak „agnostyk” czy też „bezwyznaniowy” w rubryce „wyznanie”, toteż oparte na dostarczonych przez ten urząd danych statystyki dawały fałszywy obraz sił, reprezentowanych przez główne Kościoły w kraju.

Boy i Leola cichcem przenieśli się do wytwornego Kościoła anglikańskiego, gdzie rektor, kanonik Arthur Woodiwiss odznaczał się tak szerokimi poglądami, że nie wymagał od nich nawet konfirmacji. Jednakże Dawid był konfirmowany, gdy dorósł do odpowiedniego wieku, po nim zaś także Karolina, córka urodzona zgodnie z rozsądnym planem w dwa lata po synu.

Tak byłem przejęty historiami świętych, że nie umiałem powstrzymać się od wspomniania o nich w rozmowach z ludźmi, a to niepokoiło mojego przyjaciela.

— Uwważaj, Dunny, bo zdziwaczajesz — ostrzegał mnie, a czasem dodawał: — Kanonik Woodiwiss powiada, że święci są dobrzy dla katolików, bo oni mają do czynienia z całą rzeszą ciemnych ludzi, ale my wznieśliśmy się już znacznie nad ten poziom.

Skutek był taki, że przemyślałem jeszcze więcej świętych do konwersacji, żeby drażnić Boya. Coraz łatwiej teraz się irytował i nabierał pompatycznego tonu. Nakłaniał mnie, żebym porzucił nauczycielstwo (jednocześnie chwając ten szlachetny zawód) i urządził się lepiej.

— Jeżeli nie pospieszysz się i nie dasz życia do zrozumienia, czego od niego chcesz — powiedział pewnego dnia — życie wkrótce pokaże ci, jak umie człowieka urządzić.

Ale ja nie miałem pewności, czy pragnę wydawać życiu rozkazy, wolałem pogląd Greków, którzy radzili pozostawiać swoje sprawy w ręku losu. Rzeczywiście jesienią 1928 roku los przypomniał sobie o mnie i zwabił mnie z szerokiego gościńca na węższą ścieżkę.

Nasz ówczesny dyrektor — poprzednik Pańskiego bezpośredniego poprzednika — był entuzjastą idei streszczającej się w hasło „wprowadzajmy świat do szkoły i szkołę w świat”, toteż co środę rano, po modlitwie jakiś zaproszony prelegent opowiadał nam o swojej działalności. Sir Archibald Flower mówił na przykład o przebudowie szekspirowskiego Memorial Theatre w Stratfordzie nad Avonem i od każdego prawie ucznia dostał dolara na ten cel; ksiądz Jellicoe mówił o likwidacji londyńskich slumsów i znów prawie wszyscy poświęciliśmy po dolarze. Zazwyczaj jednak prelegenci byli Kanadyjczykami i któregoś środowego ranka nasz dyrektor wpłynął na salę — jedwabna toga nadawała jego krokom płynności, tak że raczej sunął, niż chodził — holując za sobą niejakiego pana Joela Surgeonera.

Surgeoner zresztą był już dość znanym człowiekiem, chociaż ja nigdy przedtem go nie widziałem. Kierował w Toronto misją „Liny Ratunkowej”, starał się pomagać ludziom wykolejonym i pokonanym przez życie oraz marynarzom ze statków kursujących po Wielkich Jeziorach, którzy podówczas stanowili grupę bardzo prymitywnych i upośledzonych robotników. Przemówił zwięźle i dobrze, bo chociaż widać było, że nie ma wykształcenia, słowa jego tchnęły ujmującą szczerością; podejrzewałem go jednak trochę o pobożne kłamstwa.

Spokojnie, najprostszym językiem opowiedział, że musi swoją misję utrzymywać z jałmużny i że czasem nie udaje mu się nic użebrać; w takich sytuacjach modli się o pomoc i nigdy jeszcze nie zdarzyło się, aby mu było odmówione to, czego potrzebował: ciepłe koce, a najczęściej żywność zjawiają się nie wiadomo skąd, nieraz w ostatniej chwili, pod wieczór, najczęściej podrzucone przez bezimiennego dobroczyńcę na stopniach schodów misji. Tymczasem ja,

nadęty młody osioł, gotowy wierzyć, że święty Jan Bosco dokonywał podobnej sztuki apelując do Niebios o rzeczy niezbędne dla podopiecznych chłopców, przekonany, że mogło się to nawet udać parę razy doktorowi Barnardo, o którym krążyły takie historie, ale jako prawdziwy Kanadyjczyk, w głębi duszy podświadomie przekonany o niższości własnej ojczyzny i jej obywateli, nie byłem zdolny wyobrazić sobie, że mogłoby się to wydarzyć w Toronto człowiekowi stojącemu przede mną. Zapewne szyderczy uśmiech wykrzywił mi usta.

Surgeoner stał odwrócony do mnie plecami, nagle jednak zwrócił się do mnie:

— Widzę, że pan nie wierzy mi — powiedział — ale mówię prawdę i jeśli zechce pan któregoś wieczora zajść do Liny Ratunkowej, pokażę panu odzież, koce i prowianty, które przynieśli nam z natchnienia Bożego miłośni ludzie, aby umożliwić prowadzenie dalej Bożego dzieła wśród Jego zapomnianych dzieci.

Słowa te zelektryzowały publiczność, paru chłopców roześmiało się, dyrektor rzucił na mnie wzrokiem, który niemal osmalił mi brwi, a ostatnie zdanie Surgeonera przyjęto burzą oklasków. Ale ja nie miałem czasu na odczucie własnej upokarzającej sytuacji, bo gdy Surgeoner spojrział mi prosto w twarz, natychmiast poznałem w nim trampa, którego niegdyś widziałem w deptfordzkiej żwirowni.

Nie zwlekając, poszedłem tego samego wieczora do misji Liny Ratunkowej. Mieściła się ona na parterze składu towarów nad jeziorem. Wszystko tu tchnęło ubóstwem; dolna część okien zamalowana była zieloną farbą, a na tym tle widniał napis: „Misja Liny Ratunkowej. Zapraszamy!” — wykaligrafowany ręką amatora. Wewnątrz skąpe oświetlenie elektryczne uzupełniały dwie lampy naftowe stojące na stole, na ławkach skleconych z odpadków drewna siedziało ośmiu mężczyzn, w tym czterech czy pięciu niewątpliwych obwiesiów, a reszta — biedni, lecz szanowni zwolennicy Surgeonera. Odbywało się nabożeństwo.

Surgeoner modlił się; z mnóstwa różnych rzeczy, jakich potrzebował dla misji, zapamiętałem nowy kocioł do gotowania zupy. Przypomniał też Panu Bogu, że zapas drewna na opał jest już na ukończeniu. Kiedy, że się tak wyrażę, złożył swoje zamówienie, zwrócił się do zebranych łagodnie i bez zarozumiałstwa, podobnie jak rano przemawiał

w szkole, i teraz zauważyłem w jego lewym uchu aparacik wzmacniający słuch, jeden z tych nieporęcznych przyrządów, jakie w tamtych latach były w użyciu; spostrzegłem też sznureczek wpuszczony za kołnierzyk, zapewne łączący aparacik z widocznym pod koszulą na piersi miniaturowym odbiornikiem. Surgeoner miał jednak głos dźwięczny i panował nad nim, nie twardy i skrzeczący, jak bywa u wielu głuchych.

Zauważył mnie oczywiście i skinął na przywitanie głową. Spodziewałem się, że będzie próbował wciągnąć mnie do swojego obrzędu, może napiętnować jako uczonego niedowiarka i szydercę, ale nic takiego nie zrobił. Opowiedział natomiast z wielką prostotą o swoim doświadczeniu z pewnym marynarzem, notorycznym bluźniercą, który każdym swoim odezwaniem się znieważał imię Boga. Surgeoner nie zdołał żadnym sposobem wpłynąć na niego i w końcu dał za wygraną. Wkrótce potem rozmawiał ze staruszką, żyjącą w skrajnej nędzy, lecz bogatą w chrześcijańskiego ducha; żegnając się z nim kobieta wcisnęła mu do ręki centa, ostatni swój grosz. Za tego centa Surgeoner kupił jakąś broszurkę, ale zamyślony o czymś innym, wsunął ją nie czytając do kieszeni, gdzie tkwiła przez kilka najbliższych tygodni, aż któregoś dnia Surgeoner przypadkiem spotkał znów bluźniercę. Nagle przyszło mu do głowy, żeby mu ofiarować tę broszurkę, a marynarz przyjął ją klnąc okropnie. Surgeoner więcej o tym epizodzie nie myślał, póki w dwa miesiące później nie natknął się znów na tego człowieka, tym razem zupełnie odmienionego. Marynarz przeczytał broszurkę, odnalazł Chrystusa i postanowił rozpocząć nowe życie.

Oczekiwałem, że w dalszym ciągu opowieści staruszka okaże się sędziwą matką bluźniercy i miłość połączy ich na nowo, ale Surgeoner nie posunął się aż tak daleko. Zastanawiałem się, czy było to samozaparcie zdyscyplinowanego literata, czy też jeszcze nie wymyślił tak efektownego zakończenia. Zebranie zamknięto po rozpaczliwie nieudolnym wykonaniu hymnu:

Rzuć linę ratunkową
Rzuć linę ratunkową,
Nurt unosi człowieka,
Rzuć linę ratunkową,
Rzuć linę ratunkową,
Tonący pomocy czeka.

Śpiewając bez akompaniamentu przeciągali słowa jak apatyczny chór znużonych zakonników. Wreszcie grupka rozpięchła się. Obwiesie poszli do sąsiedniej sypialni a szanowni obywatele do swoich domów. Zostałem sam na sam z Joelem Surgeonerem.

— Wiedziałem, że pan przyjdzie, ale nie spodziewałem się pana już dzisiaj — powiedział wskazując mi krzeselko przy stole. Oszczędnie zgasił elektryczne światło i siedzieliśmy odtąd w słabym blasku naftowych lamp.

— Przyrzekł mi pan pokazać, co dały misji wysłuchane modlitwy — powiedziałem.

— Wszystko, co pan tutaj widzi — odparł i odczytując z mojej twarzy, że jestem zaskoczony ubóstwem misji, poprowadził mnie do drzwi sąsiedniej sali; były to dwuskrzydłowe wrota rozsuwające się na metalowych szynach, jakie spotyka się w starych składach towarów. Otworzył je i w skąpym świetle sączącym się przez górne okienko zobaczyłem ubogą sypialnię, gdzie na pryczach leżało z pół setki mężczyzn.

— Modlitwa sprowadza do mnie tych ludzi, modlitwa, ciężka praca i wytrwała zebrana przynosi to, czego potrzeba, ażeby ich jakoś zaopatrzyć, panie Ramsay.

Pewnie usłyszał moje nazwisko w szkole.

— Pogadałem dziś przed wieczorem z naszym skarbnikiem — powiedziałem — i pańskie poranne przemówienie da panu czek na pięćset czterdzieści trzy dolary od sześciuset chłopców i personelu nauczycielskiego, złożonego z trzydziestu osób — to chyba nieźle. Co pan z tymi pieniędzmi zrobi?

— Zima nadciąga, za tę sumę można będzie kupić sporo ciepłej bielizny. — Zasunął drzwi i znów usiedliśmy w izbie, która, zdaje się, służyła za kaplicę, salę zebrań i kancelarię misji. — Czek pewnie dopiero za tydzień dojdzie do moich rąk, a my tu co dzień, co godzina potrzebujemy pieniędzy. Widzi pan, ile zebrałem dziś wieczorem od tej małej grupy? — Pokazał mi trzynaście centów na wyszczerbionym spodeczku.

Doszedłem do wniosku, że pora już zaatakować.

— Kazanie więcej nie było warte — powiedziałem. — Czy pan spodziewał się, że ludzie uwierzą w te wyszane z palca brednie o przeklinającym marynarzu i wdowim groszu? Myślę, że pan nie docenia swoich słuchaczy.

Nie spłoszył się wcale.

— Spodziewałem się, że uwierzą w ducha tej historii — odparł — i wiem z doświadczenia, jaki rodzaj opowieści lubią. Wy, ludzie wykształceni, upieracie się jak maniacy przy tym, co jest w waszym pojęciu prawdą, to znaczy przy prawdzie dosłownej jak protokół policyjny. Ci ludzie przez całe dni, codziennie stykają się z taką prawdą faktów, że ode mnie chcą usłyszeć coś innego.

— A więc pan im dostarcza romantycznych bajek?

— W miarę możliwości dostarczam im tego, co umacnia wiarę. Nie mam daru krasomówstwa ani wykształcenia, moje opowiadki często są liche i stare, a zapewne także niewiarygodne dla takich osób jak pan. Moi słuchacze nie żądają ode mnie zeznań pod przysięgą, ale też nie są głupi. Odróżniają moje nieudolne parable od ścisłych faktów. Nie chcę pana oszukiwać, ale w pracy tego rodzaju i w trybie życia, jaki ci ludzie pędzą, jest coś, co ściera ostre kontury faktów. Jeżeli pan myśli, że kłamię — bo z pewnością pan tak myśli — niech pan posłucha wyznań tych ludzi, gdy spowiadają się na większych wieczornych zebraniach w tej izbie. Najokropniejsze fantastyczne pomysły lęgną się w głowach tych biedaków, którzy już znaleźli szczęście wiary, ale jeszcze nie wznieśli się ponad chęć zabłyśnięcia w świecie. Rozdymają więc własne grzechy niby balony. Lepszy chcą się wydać gorsi, niż są naprawdę. Zbliżamy się do Boga małymi kroczkami, niedużym skokiem, a miłość do prawdy policyjnego protokołu, którą pan tak wysoko ceni, budzi się późno, na ostatnich etapach drogi, a czasem nigdy się nie zjawia. Cóż to jest prawda? — jak pytał Piłat. Nigdy nie twierdziłem, że umiałbym mu na to odpowiedzieć. Po prostu cieszę się, jeżeli pijak przestaje pić, jeśli mąż przestaje bić żonę, gdy złodziej próbuje żyć uczciwie. Jeżeli przy tym błaguje i przechwala się trochę, to najmniejsza szkoda, jaką mógłby wyrządzić. Wy, niewierzący, stawiacie okrutne, surowe wymagania wierzącym.

— Dlaczego pan myśli, że ja nie wierzę? — spytałem. — I dlaczego dzisiaj rano zwrócił się pan właśnie do mnie wobec całej szkoły?

— Przyznaję, że to był chwyt — odparł. — Kiedy się przemawia do takiego zgromadzenia, można wyrzucić

bardzo dobre wrażenie, jeśli pod koniec mówca zahaczy i oskarży jakiegoś sceptyka. Czasem można wypatrzeć kogoś, kto się śmieje, ale nie jest to konieczne. Najlepiej zwrócić się niespodziewanie do osoby stojącej tuż za mną. Wygląda to tak, jakbym miał oczy w tyle głowy. Oczywiście tkwi w tym odrobina chytryści, ale służy ona dobrej sprawie, a nikogo przecież nie krzywdzi.

— Wykrętne rozumowanie, na wskroś niemoralne — powiedziałem.

— Może, ale zapewniam pana, że nie jest pan pierwszą osobą, którą w ten sposób wykorzystałem, i nie będzie pan ostatnią. Trzeba służyć Bogu, a ja to robię takimi sposobami, na jakie mnie stać. Nie oszukuję Pana Boga — z wszystkich sił staram się być wobec Niego uczciwy — ale nie martwię się zbyt, jeżeli od czasu do czasu zwiode jakąś obcego człowieka.

— Nie jestem tak zupełnie obcy, jak pan myśli. — I powiedziałem mu, że go poznałem. Nie wiem, jakiej oczekiwałem od niego reakcji, pewnie spodziewałem się zaprzeczenia, ale zachował całkowity spokój.

— Ja pana, oczywiście, nie pamiętam — powiedział. — Nie zapamiętałem nikogo z ludzi, których widziałem wówczas w nocy, prócz tej kobiety. To ona mnie skierowała ku Bogu.

— Wtedy, gdy ją pan gwałcił?

— Nie zgwałciłem jej, proszę pana. Słyszał pan sam, jak to potwierdziła. Co nie znaczy, że nie mógłbym się tego dopuścić w stanie, w jakim wówczas byłem. Znalazłem się na dnie. Należałem do trampów. Czy pan sobie wyobraża, co to znaczy? Straceni ludzie, mało kto ich rozumie. Wie pan, słyszałem i czytałem nieprawdopodobne głupstwa na ich temat, próbowano ich przedstawić jako jednostki niezdolne ścierpieć kajdan cywilizacji, szukające atmosfery wolności, głoszono, że jest między nimi wiele ludzi wykształconych, wyznających wspaniałą filozofię, że śmieją się oni z ciężko pracujących i farmerów, od których dostają jałmużnę. Wszystko to są bzdury. Trampy to przeważnie wariaci, przestępcy i zwyrodnialcy, a włóczęgostwo spycha ich coraz niżej. Życie pod gołym niebem wykoleja człowieka. Och, wiem, świeże powietrze służy zdrowiu, ale pod warunkiem, że ktoś jest syty i ma dom, do którego może

wrócić. Bez tego wpędza w szaleństwo. Głód i tlen tworzą piekielną mieszankę dla człowieka, który nie przywykł do niej od urodzenia, jak dzikie plemiona. Trampy nie są dzikusami. W większości są to ludzie słabi, a przy tym często zboczeni.

Trafiłem między nich zwykłą drogą. Byłem przemądrzałym chłopakiem, kłóciłem się z ojcem, surowym i małośtkowo nabożnym, więc uciekłem z domu, chwyciłem się różnych dorywczych zarobków, potem zacząłem kraść i nauczyłem się pić. Wie pan, co pija tramp? Czasem czernidło do butów, precedzone przez kromkę chleba. Od tego dostaje się obłądu. Albo też bierze garstkę śliwek i stawia je w blaszanej puszcze na słońcu, żeby sfermentowały. Taki trunek na pusty żołądek lub też zagryziony surowymi jarzynami kradzionymi z pól wywołuje czarne wymioty. Tak samo jak buraki cukrowe, o które łatwo na plantacjach wokół Deptford; po sfermentowaniu mogą wyżreć dziurę nawet w miedzianym rondlu.

A jest też seks. Dziwna rzecz, jak seks rozpala się w źle odżywionym i sponiewieranym ciele. Wśród trampów jest wielu homoseksualistów. Byłem bardzo młody, a oni właśnie młodzików albo starców do tych celów wykorzystują, bo ci nie umieją się bronić. Nie jest to zabawa w białych rękawiczkach, jaką uprawiał wasz angielski poeta, który za to siedział w więzieniu. To mordercza gra, słaby chłopak lęka się stracić życie, kiedy przyłapie go banda trampów. A jednak nie umiera się od tego. Ja w ten właśnie sposób ogłuchłem prawie zupełnie. Opierałem się bandzie, więc zbili mnie, moim własnym butem tłukli mnie po uszach dopóty, dopóki nie straciłem sił do dalszego oporu. Wie pan, jakie mają powiedzonko? „Pij i rznij.” To całe ich życie. I moje było takie, dopóki ta kobieta nie okazała mi wielkiego miłosierdzia. Dziś wiem, że Bóg jest tak samo blisko nich, jak jest koło mnie i koło pana w tej chwili, tylko że ci nieszczęśnicy buntują się przeciw Niemu.

Tamtej nocy, kiedy się pierwszy raz spotkaliśmy, byłem obłąkany. Z pociągu towarowego trafiłem do „dżungli” w Deptford, natknąłem się na ognisko, przy którym siedziało siedmiu mężczyzn; mieli jedzenie, ktoś z nich upolował królika i w kubelku nad ogniem gotowali potrawkę z kilku wyrwanymi w jakimś ogrodzie marchewkami. Jadł pan kiedyś coś takiego? Obrzydliwe, ale byłem

głodny, a tamci po różnych przytykach oznajmili wreszcie, że dostaną kawałek mięsa, jeżeli przedtem oni dostaną ode mnie to, na co mają ochotę. Moja męskość zbuntowała się, uciekłem; ścigali mnie śmiechem, krzyczeli, że wrócę pokornie, jak mnie dobrze głód przycisnie.

I wtedy spotkałem błakającą się samotnie kobietę. Od razu poznałem, że to ktoś z miasta. Kobiety są wśród trampów rzadkością, za rozsądne na to. Była czysta, wydawała mi się aniołem, ale spróbowałem nastraszyć ją i zażądałem pieniędzy. Nie miała ani centa przy sobie, chwyciłem ją mocno w ramiona. Nie zlekła się wcale, zapytała, czego od niej chcę. Odpowiedziałem językiem trampów i nie zrozumiała, ale kiedy ją przewróciłem na ziemię i zacząłem szarpać na niej suknię, powiedziała: „Dlaczego pan jest taki brutalny?” Wtedy nagle wybuchnąłem płaczem. Przytuliła moją głowę do swoich piersi i pocieszała mnie łagodnie, a ja płakałem coraz gwałtowniej, ale, rzecz dziwna, mimo to wciąż jej pożałowałem. Jak gdyby tylko to mogło mnie uratować. Rozumie pan? Powiedziałem jej to. Nie zgadnie pan, co mi odpowiedziała. „Dobrze, ja się zgadzam, ale proszę obiecać, że pan zachowa się delikatnie.” Starłem się być jak najdelikatniejszy, ale w chwilę potem nadszedł pan i cała grupa szukających jej ludzi.

Kiedy wspominam tamtą chwilę, dziwię się, że to się nie skończyło moją ostateczną zgubą. Ale nie stało się tak. Przeciwnie, w tamtym momencie słońce weszło nad moim życiem. Jak gdybym zstąpił do piekieł i poprzez najstraszliwszy ogień wy dostał się nad jasne, przezrocyste jezioro, gdzie mogłem się obmyć i oczyścić. Byłem zamurowany w swojej głuchocie, więc nie słyszałem wiele z tego, co mówiła, rozumiałem tylko, że znalazła się w okropnej sytuacji i że nic jej nie mogę pomóc.

Nazajutrz rano wypuścili mnie na wolność i uciekłem z miasta śmiejąc się i krzycząc, jak opętaniec wyzwolony przez Chrystusa od diabłów. Bo tak rzeczywiście było ze mną. Użył tej kobiety za narzędzie, to jest błogosławiona święta, bo to, co dla mnie zrobiła — mówię poważnie — było cudem. Gdzie ona teraz przebywa?

Skądże mogłem wiedzieć? Wspomnienia pani Dempster często mnie nawiedzały, ale zawsze je odpychałem z niesmakiem, bo należały do przeszłości, z którą zerwałem raz na zawsze. Starłem się wymazać rodzinne miasteczko

z moich myśli, tak samo jak to zrobił Boy i z tych samych co on powodów. Pragnąłem nowego życia. Opowieść Surgeonera wyjaśniła mi, że w każdym nowym życiu Deptford pozostanie na swoim miejscu. Nie uwolnię się od niego tłumiając pamięć o przeszłości.

Rozmawialiśmy jeszcze dość długo i czułem coraz większą sympatię do niego. Wychodząc w końcu, położyłem na stole dziesięci dolarowy banknot.

— Dziękuję panu — powiedział. — Za te pieniądze będziemy mogli kupić nowy kocioł, tak bardzo nam potrzebny, a także drwa na opał. Teraz pan wie, jak bywają wysłuchane modlitwy?

7

Wróciłem przy pierwszej okazji do Deptford pod pretekstem, że chcę zasięgnąć u sędziego Mahaffeya rady w sprawie z tym krętaczem, który kupił ode mnie ojcowski tygodnik i do tej pory został mi winien połowę należności. Sędzia zalecał cierpliwość. Ale uzyskałem to, na czym mi naprawdę zależało; adres ciotki, która zabrała do siebie panią Dempster po śmierci jej męża. Wbrew informacji, jakiej niegdyś udzielił mi Milo Papple, ta ciotka nie była wdową, lecz starą panną, nazywała się Berta Shanklin i mieszkała w Weston. Sędzia dał mi adres nie pytając, po co mi jest potrzebny.

— Smutna historia! — powiedział. — Wydawała się taką miłą kobietką! I potem — obłąd. Od uderzenia śnieżną kulą. Ty pewnie nie masz pojęcia, kto mógł tę kulę rzucić, co? Nie wiesz. Tak też myślałem. Bo przecież, gdybyś wiedział, powiedziałbyś dawno temu. Ciężka wina, ciężka bez wątpienia. Nie wyobrażam sobie, żebyśmy mogli pociągnąć sprawcę do odpowiedzialności, ale jakież straszliwe skutki miał ten jego uczynek! McCausland stanowczo twierdzi, że ona zidiociała, straciła doszczętnie instynkt moralny i przestała odróżniać dobre od złego, tym się tłumaczy okropny epizod w żwirowni. Pamiętam, że ty byłeś jego świadkiem. Zrujnowane życie jej męża, potem ucieczka syna, który był przecież wtedy małym dzieckiem. Nigdy nie widziałem rozpaczy większej niż jej rozpacz, gdy w końcu zrozumiała, że chłopak zginął bezpowrotnie.

McCausland musiał dać jej dość silny zastrzyk morfiny, żeby panna Shanklin mogła ją stąd zabrać. Tak, wielka wina, chociaż wątpię, czy można by sformułować jakiś akt oskarżenia. Wina, którą ktoś dźwiga na sumieniu po dziś dzień.

Wzburzenie starszego pana, jego wzrok uparcie skierowany pod lub ponad małymi, bardzo brudnymi okularami prosto w moją twarz świadczyły niezbitcie, iż sędzia podejrzewa, że wiem więcej, niż chcę wyznać, a może nawet sam jestem winowajcą. Ale uważałem, że nie miałyby sensu mówić mu cokolwiek o tej sprawie; zachowałem urazę do Boya za ten jego postępek, nie mogłem jednak zapomnieć, że gdyby nie moja chytryść, kula nie trafiłaby w głowę pani Dempster. Starałem się traktować to całe wydarzenie jak przypadek, ślepy traf, który nie może budzić wyrzutów ani żalu.

Jednakże ta rozmowa roznieciła na nowo we mnie dotkliwe poczucie winy i odpowiedzialności za Paula; wojna i pierwsze lata dojrzałości przytłumiły ogień, lecz nie ugasiły go. W rezultacie popełniłem wielkie głupstwo: poszedłem do księdza Regana, który wciąż jeszcze był wtedy katolickim proboszczem w Deptford.

Nigdy przedtem z nim nie rozmawiałem, ale potrzebowałem kogoś, komu mógłbym zwierzyć się poufnie, a żywiłem protestanckie przekonanie, że księża są niezmiernie dyskretni i więcej wiedzą, niż mówią. W późniejszych latach zmieniłem tę opinię, lecz w tamtym momencie szukałem człowieka, który żył w Deptford, ale niezupełnie do tego miasta należał, i zdawało mi się, że ksiądz Regan spełnia te warunki. Tak więc w kwadrans po rozstaniu z sędzią znalazłem się w domu księdza, wdychałem zapach mydła i siedziałem na jednym z tych niewygodnych krzeseł, które znajdują przytułek we wszystkich księżowskich mieszkaniach na świecie.

Ksiądz Regan trafnie domyślał się, że przyszedłem, aby od niego wyciągnąć jakąś informację, i przyjął mnie bardzo nieufnie, ale gdy dowiedział się, o co chodzi, wybuchnął krótkim, głośnym, skrzeczącym śmiechem człowieka, który nieczęsto pozwala sobie na żarty.

— Święta, powiadasz? Trochę za wiele ode mnie żądasz, nie mogę nic w tej sprawie dopomóc. Odkrywanie świętych nie wchodzi w zakres moich obowiązków. Nie umiem roz-

strzygać, co jest cudem, a co nie jest. Nie wyobrażam sobie, żeby biskup miał ci dużo do powiedzenia, chociaż bardziej niż kto inny jest powołany do rozważania takich tematów. Nawrócony tramp! Sam nawróciłem jednego czy nawet dwóch trampów, w nich czasem budzi się skrucha, jak w każdym człowieku. Ten, o którym opowiadasz, wydaje się szczególnie gorliwy w pobożności, tak jak był przedtem w grzechu. Nigdy nie lubiłem przesady. A co do wskrzeszenia twojego brata, jak twierdzisz, o tej historii było niegdyś głośno w naszym mieście. Doktor McCausland mówi, że Willie wcale nie umarł wówczas, a chyba lekarz na tym się zna. Po prostu przez kilka minut nie dawał oznak życia. Daleko jeszcze od tego do historii Łazarza, prawda? A twoje własne przeżycie, gdy zostałeś ranny? Człowieku, byłeś przecież wtedy nieprzytomny! Muszę powiedzieć ci bez ogródek: odrzuć te wszystkie szalone myśli i zapomnij o nich.

Od dzieciństwa miałeś bujną wyobraźnię. Tak wszyscy mówili, gdy byłeś chłopcem, i widać nie wyrosłeś z tego. Trzeba się tych rzeczy bardzo wystrzeżać. Mówisz, że interesują cię święci. Bądź spokojny, ja nie poluję na konwertytów, ale radzę ci zapoznać się bliżej z religią, która wydaje świętych. A kiedy ją dobrze poznasz, założę się, że cofniesz się jak przed płomieniem. Inteligentni, obdarzeni wyobraźnią ludzie często mają ochotę flirtować ze „świętą matką”, jak nazywamy nasz Kościół, ale to nie jest dama nadająca się do flirtów, możesz mi wierzyć. Lubisz romanse, ale nie zniósłbyś jarzma.

Zahipnotyzowało cię przeświadczenie, że trzy cuda wystarczają jako dowód świętości, i wydaje ci się, że stwierdziłeś trzy cuda dokonane przez tę biedaczkę, która ma pomieszanie zmysłów i nie odróżnia dobra od zła. Dajże spokój, Ramsay.

Słuchaj, wytłumaczę ci to jak najprzystępniej: wiele jest dobrych ludzi na świecie i dzieje się mnóstwo rzeczy, których nie potrafimy sobie wyjaśnić, ale tylko jeden Kościół stara się dotrzeć aż do sedna i orzeka, co jest cudem, a co nie jest, kto jest święty, a kto nie, a tymczasem i ty, i ta biedaczka, o której mówisz, jesteście oboje poza tym Kościołem. Nie można zgodzić się na takie przemycanie świętych. Radzę ci, daj temu spokój. Poprzestań na faktach, które są ci wiadome, czy też tak ci się przy-

najmniej zdaje, i nie zapędzaj się dalej, bo sam także zdziwaczysz.

Staram się traktować cię jak najżyczliwiej, ponieważ szanowałem twoich rodziców. Zacni byli ludzie, a twój ojciec odnosił się z respektem do każdego wyznania. Ale istnieją duchowe niebezpieczeństwa, których wy, protestanci, nawet nie podejrzewacie, a igranie z trudnościami kultu i uświęconymi zagadnieniami to sposób niezawodny, żeby popaść w tarapaty. Pamiętam, że jeszcze w seminarium ostrzegano nas kiedyś przed osobnikiem, zwanym obłąkanym świętym.

Słyszałeś o obłąkanych świętych? Oczywiście nie. To jest właściwie żydowski pomysł. Żydzi nie są głupi. Obłąkany święty to ktoś, kto wydaje się bardzo bogobojny, wszystkich kocha i spełnia wszystkie możliwe dobre uczynki, ponieważ jednak jest głupi, nic dobrego z tego nie wynika albo, co gorsza, wynika coś złego, bo gdy cnota łączy się z szaleństwem, nie wiadomo, do czego może to doprowadzić. Czy wiesz, że roztropność zalicza się do cnót? Właśnie tego brakuje twojej obłąkanej świętej: roztropności. Na przedstawianiu z takimi osobami nic nie zyskasz prócz nieszczęść. Czy wiesz, że pech jest zaraźliwy? Teologia ma nawet nazwę dla tego zjawiska, ale wyleciała mi z pamięci.

Tak, wiem, mnóstwo świętych robiło różne dziwne rzeczy, ale nie przypominam sobie, żeby któryś biegał po mieście z koszykiem pełnym zwiędłej sałaty czy też zgniłych ziemniaków i wywoływał skandal bezwstydnymi wybrykami. Nie, nie, ta dziwaczka jest w najlepszym razie świętą wariatką i bardzo gorąco radzę ci, żebyś trzymał się od niej z daleka.

Tak więc wróciłem do Toronto w wielkiej rozterce; rada księdza Regana była tak niewątpliwie życzliwa i dobra, że miałem do wyboru albo jej usłuchać, albo zniechęcić człowieka, który mi jej udzielił. Znając mój upór łatwo domyślić się, co wybrałem. W niespełna tydzień później znalazłem się w Weston i rozmawiałem znowu z moją świętą wariatką.

Miała wtedy już czterdzieści lat, wyglądała jednak na młodszą. Niczym się nie wyróżniała prócz szczególnej słodyczy w wyrazie twarzy; ubrana była bardzo skromnie, myślę, że to ciotka zadecydowała o wyborze sukni dłuższej, niż nakazywała ówczesna moda, i prawdopodobnie uszytej w domu. Z początku nie mogła sobie mnie przypomnieć, a gdy zacząłem mówić o Paulu, obudziłem tak bolesne skojarzenia, że ciotka musiała interweniować i wyprowadziła panią Dempster z saloniku.

Ciotka nie życzyła sobie mojej wizyty, a ponieważ z góry to przewidywałem, zadzwoniłem do jej drzwi bez uprzedzenia. Panna Berta Shanklin, drobna, nieokreślonego wieku, miała grzeczny, prowincjonalny sposób bycia. Ładny dom urządzony był starannie i po staroświecku, według mody sprzed pięćdziesięciu lat; było tam wiele rzeczy brzydkich, ale nie tandetnych; ozdobione mozaiką pudełka, dwa brudne w kolorze olejne pejzaże włoskiej Kampanii z klasycznymi ruinami i malowniczymi wieśniakami, co nasuwało przypuszczenie, że ktoś z rodziny podróżował po Włoszech. Panna Shanklin pozwoliła mi rozmawiać z panią Dempster około dziesięciu minut, nim wyprowadziła ją z pokoju. Nie ruszyłem się z miejsca, chociaż wiedziałem, że wypadało już odejść.

— Jestem pewna, że odwiedził nas pan w najpocześniejszych zamiarach — powiedziała wracając do saloniku — ale sam pan się przekonał, że moja siostrzenica nie jest w stanie przyjmować gości. Przypominanie jej o dawnych czasach nie ma najmniejszego sensu, to ją tylko rozdrażnia i nie prowadzi do niczego dobrego. A więc żegnam pana i dziękuję za wizytę.

Zacząłem, jak umiałem najlepiej, tłumaczyć, dlaczego przyjechałem i dlaczego interesuję się losem jej siostrzenicy, wobec której czuję się dłużnikiem. Nie mówiłem nic o świętych, to nie należało do kompetencji panny Shanklin. Ale wspomniałem o doznanej w dzieciństwie dobroci, o tym, jak moja matka starała się opiekować młodą sąsiadką, o swoich wyrzutach sumienia, że nie odszukałem pani Dempster wcześniej. Dzięki mojej wymowie lody szybko zostały przełamane.

— To doprawdy bardzo miło z pańskiej strony. Wiem,

że w Deptford doszło do okropnych wydarzeń, i cieszy mnie, że nie wszyscy o biednej Mary zapomnieli. Panu, jak sądzę, mogę wyznać, że od początku małżeństwo Mary wydawało mi się wielką pomyłką. Amasa Dempster był zapewne dobrym człowiekiem, ale Mary przywykła do lżejszego życia, nie do zbytków, proszę mnie źle nie zrozumieć, lecz do pewnych wygód. Nie wypieram się, byłam temu związkowi przeciwna i część winy za dalsze nieszczęścia spada na mnie. Mary niby nie uciekła z Dempsterem ode mnie, ale czułam się dotknięta, że tak się oboje zachowywali, jakby prócz nich dwoja nikogo nie było na świecie. Mogłam im trochę ułatwić życie, lecz Amasa w swej dumie nie chciał nic przyjąć, a nawet jakby odrobinę irytowała go myśl, że Mary miałyby jakieś własne pieniądze, więc pomyślałam; „Nie, to nie! Radźcie sobie sami!” Dużo mnie kosztowało zachowanie takiej postawy, nigdy nawet nie widziałam Paula, proszę pana, a na pewno zrobiłabym dla niego wszystko w świecie, gdybym mogła dogadać się z jego ojcem. Ale, jak sądzę, posiadanie skromnego majątku wzbudziło we mnie dumę, a na niego tak samo wpłynęła religijność. Potem było już za późno. Kocham Mary bardzo serdecznie. Z całej rodziny ona jedna mi została. Miłość, gdy czuje się odtrącona, skłania człowieka czasem do małodusznych postępków. Byłam małoduszna, mówię to panu szczerze. Teraz staram się dla niej robić, co mogę, ale już jest za późno.

Panna Shanklin rozpląkała się, niegłośno ani gwałtownie, lecz w każdym razie musiała otrzeć oczy i wyszła do kuchni, żeby zarządzić podanie herbaty. Nim tę herbatę przyniosła służąca, między mną a panną Shanklin zapanowała całkowita harmonia.

— Miło mi słuchać, gdy pan mówi, że Mary pozostała dobra i słodka nawet po tym okropnym wypadku... bo to był wypadek, prawda? Uderzenie w głowę? Coś na nią spadło, czy tak? I że pan o niej pamiętał nawet gdzieś daleko na wojnie. Zawsze wiązałam z nią wielkie nadzieje. Oczywiście nie chciałam zatrzymać jej na zawsze przy sobie, ale... No, trudno, wiem, że kochała Amasę Dempstera, a podobno miłość wszystko usprawiedliwia. Z pewnością jednak trafiliby się inni kandydaci i chyba z żadnym nie powodziłoby się jej gorzej niż z tym Amasą, przyzna pan. Jej los jako żony Amasy okazał się ponury, burzliwy i bez-

nadziejny. A Mary była zawsze tak pełna nadziei... przed zamążpójściem.

Teraz niewiele z tego wszystkiego pamięta, na szczęście, bo gdy przypomina sobie, myśli o Paulu. Sama sobie nie pozwalam na zastanawianie się, co mogło spotkać małego chłopca, który uciekł z wędrownym cyrkiem. Prawdopodobnie od dawna już nie żyje i tym lepiej dla niego. Ale Mary oczywiście wciąż myśli o nim jak o małym chłopcu. Straciła, proszę pana, poczucie czasu. A ilekroć wspomina Paula, płacze i rozpacza tak, że serce się kraje. Nie mogę pozbyć się przekonania, że wszystko poszłoby inaczej, gdybym ja okazała więcej wyrozumiałości.

Zamierzałam pana prosić, żeby pan już nigdy więcej nie próbował nas odwiedzać, ale zmieniłam zdanie. Niech pan przyjeżdża i rozmawia z Mary, ale proszę mi obiecać, że będzie pan z nią od początku nawiązywał przyjaźń jako nowy znajomy. Mary nic nie wie o swojej przeszłości, a jeśli do niej wraca, to jedynie do okropnych wspomnień, że była trzymana na uwięzi, że Paul zginął i że Amasa — którego widzi w pamięci z granatowymi ustami, jak z wygniłą pośrodku twarzy jamą — oświadcza Bogu, iż wybaczył żonie ruinę własnego życia. Bo Amasa umarł modląc się, słyszał pan o tym?

9

W maju pamiętnego roku 1929 odebrałem telefon od Boya, co już samo w sobie było niezwykle, a zdziwiło mnie jeszcze bardziej, gdy dowiedziałem się, w jakim celu zadzwonił.

— Dunny, nie spiesz się zanadto, ale w ciągu dwóch tygodni musisz pozbyć się niektórych swoich akcji... — I wyliczył kilka rodzajów akcji, które posiadałem, bo kupiłem je kiedyś za jego radą.

— Ale te akcje wciąż ostatnio idą w górę! — odparłem.

— To nic, i tak musisz je sprzedać, a kupisz solidne ustabilizowane papiery wartościowe. Postaram się też dla ciebie o pakiet akcji Alpha.

Usłuchałem go i zawdzięczam radom Boya, że zyskałem w szkole reputację bardzo przewidującego businessmana. Niemal wszyscy inni nauczyciele, podobnie jak miliony obywateli na amerykańskim kontynencie, mieli trochę

pieniędzy ulokowanych w akcjach i to przeważnie w akcjach mniej pewnych, lecz dających szanse większych dywidend, i jeszcze przed Bożym Narodzeniem stracili te swoje oszczędności. Ja wyszedłem obronną ręką z giełdowej katastrofy tylko dlatego, że Boy Staunton poczuwał się do odpowiedzialności za mnie w tej dziedzinie.

Mało jednak wtedy myślałem o interesach, bo czekałem niecierpliwie na koniec semestru, żeby popłynąć znów za ocean i rozpocząć poszukiwania w Anglii, a potem prowadzić je dalej we Francji, Portugalii, Austrii i wreszcie w Czechosłowacji. Była to pierwsza z moich corocznych wypraw, które przerwała tylko wojna w latach 1939-1945; polowałem na świętych, aby ich identyfikować i opisywać, aż powstała w ten sposób książka *Stu świętych dla podróżnych*, dotychczas krążąca po świecie w sześciu językach i ciesząca się dużym powodzeniem; nie mówię już o moich dziewięciu innych książkach i drukowanych od czasu do czasu artykułach. Tym razem chodziło o grubą zwierzynę, o świętą, której historii nikt dotychczas nie opisał należycie i która występuje pod wielu postaciami, postanowiłem więc wyświetlić jej sekrety.

Są patroni na wszystkie ludzkie sytuacje, a ja trafiłem na ślad bardzo osobliwego okazu, orędowniczki, do której uciekają się dziewczyny, gdy chcą pozbyć się niepożądanego zalotnika. Terenem jej działalności, że się tak wyrażę, jest Portugalia. Owa święta miała rzekomo być córką portugalskiego króla, poganina, który przyrzekł jej rękę królowi Sycylii; ona jednak była chrześcijanką i ślubowała dziewictwo, więc modliła się, aby jej Bóg pomógł je zachować; rzeczywiście stał się cud, bo wyrosła jej bujna broda i król Sycylii nie chciał takiej żony, ojciec zaś wpadł w gniew i kazał dziewczynę ukrzyżować.

Zamierzałem zwiedzić wszystkie miejsca kultu tej dzwiny świętej, porównać różne wersje jej legendy, potwierdzić lub zburzyć autentyczność modlitwy skierowanej do niej i zaaprobowanej przez biskupa z Rouen w XVI wieku, i w ogóle wyszperać wszystko, co mogłoby rzucić jakieś światło na jej tajemnicę. Pospolicie nazywano ją Wilgeforis, co zapewne jest zniekształconym łacińskim określeniem „Virgo Fortis”, ale czczono ją również pod imionami Liberata, Kummernis, Ontkommerna, Livrade, a w Anglii — bo miała kiedyś swój ołtarz w katedrze Świętego

Pawła — Uncumber. Większość konserwatywnych hagiologów zaprzecza w ogóle jej istnieniu, twierdząc, że legenda zrodziła się wśród ciemnych wieśniaków, którzy fałszywie zinterpretowali jeden z wielu wizerunków najświętszego oblicza z Lukki, przedstawiający długowłosą i brodą postać w powłóczystej szacie wiszącą na krzyżu; jest to oczywiście wizerunek Chrystusa, namalowany rzekomo przez samego świętego Łukasza, ale jego liczne kopie mogły uchodzić za portret dziewczyny z brodą.

Ja wszakże żywiłem pewne własne domysły na temat Uncumber i chciałem sprawdzić ich prawdopodobieństwo. Po pierwsze sądziłem, że w tej legendzie przejawia się niewygasły kult hermafrodyty — Wielkiej Matki, czczonej przez długie wieki na Cyprze i w Kartaginie. Chrześcijanie w pierwszych wiekach przejęli od pogan niejedną popularną i cudami słynącą figurę, a zdarzało się to nawet i później. Poza tym zaczerpnąłem pewne interesujące informacje od dwóch lekarzy, doktora Mosesa i doktora Lloyda z nowojorskiego uniwersytetu, którzy ogłosili wyniki swoich badań nad zjawiskiem nienormalnego owłosienia, spotykanego u kobiet o wyjątkowo silnej uczuciowości. W pracy tej cytowali liczne przykłady pojawiania się nagle zarostu na twarzach dziewcząt, które przeżyły jakiś dramat miłosny; ponadto dwaj angielscy lekarze potwierdzili autentyczność przypadku pewnej młodej dziewczyny, której po brutalnym zerwaniu narzeczeństwa wyrosła bujna broda. Może to by tłumaczyło historię Uncumber? Ruszyłem do Europy, żeby dowiedzieć się o niej prawdy.

Tak więc wędrowałem żwawo po kontynencie w tej pozorze szaleńczej misji, tropiąc moją Uncumber czy to w zapadłych wioskach, czy też w dostępnych i ładnych miastach, jak Beauvais i Wissant, a pewnego razu zidentyfikowałem ją ponad wszelką wątpliwość na obrazie, który przedstawiał Uncumber (zwaną w tej okolicy Wilgeforte i z zażenowaniem prezentowaną przez miejscowego proboszcza) jako Gallę, patronkę wdów, przedstawianą niekiedy z brodą. Dopiero w sierpniu dotarłem do Tyrolu poszukując pewnej kaplicy, znajdującej się w miasteczku o trzydzieści kilka kilometrów na północno-zachód od Innsbrucka.

Miasteczko było nie większe niż Deptford i w jego trzech gospodach nie widywano wielu turystów z Ameryki Pół-

nocnej; dopiero później entuzjazm dla sportów zimowych ożywił wszystkie tyrolskie miasteczka i zmusił tamtejsze hoteliki i gospody do wprowadzenia pewnego komfortu. Zatrzymałem się w gospodzie o tradycyjnej nazwie „Pod Czerwonym Koniem” i zacząłem się rozglądać dokoła.

Nie byłem jedynym cudzoziemcem w miasteczku.

Namiot oraz kilka spleśniałych flag na rynku zwiastowały obecność wędrownego cyrku — „Le Grand Cirque Forain de St Vite”. Kto jak kto, ale ja nie mogłem być obojętny dla cyrku pod wezwaniem świętego Wita, patrona wędrownych aktorów, po dziś dzień na wsiach wzywano na ratunek w konwulsjach, padaczce czy wszelkich innych chorobach wprawiających ciało w drgawki. Na transparentach nie znalazłem koguta ani psa — godeł kojarzących się z imieniem świętego Wita — ale zapowiedź występów „człowieka-żaby”, „największego Tyrolczyka”, „dzikusa z puszczy”, a także, ku mojej radości, „kobiety z brodą”. Postanowiłem zawrzeć z nią znajomość i dowiedzieć się, czy doznała jakiegoś gwałtownego zawodu miłosnego.

Cyrk wyglądał żałośnie. Zewsząd wзираła porażka i nędza. Nie było planowanych z góry regularnych przedstawień; po prostu od czasu do czasu, gdy zebrała się dostatecznie liczna gromada widzów, para zabiedzonych akrobatów popisowała się wywracaniem koziołków i chodzeniem po obwisłej linie. Człowiek-żaba stawał na głowie, ale z taką miną, jakby dokonywał tej sztuki bez najmniejszej satysfakcji. Dzikus z puszczy ryczał, żując dość apatycznie ochłap surowego mięsa, na którym pozostały jeszcze kłaczki sierści. Konferansjer ostrzegał zagadkowo mieszkańców radząc tej nocy nie wypuszczać psów z domu, ale nikt się jakoś nie przestraszył. W przerwach między występami dziki człowiek siedział spokojnie, a obserwując ruchy jego szczęk doszedłem do wniosku, że na pociechę żuje tytoń.

Oglądaliśmy też karła tańczącego boso na potłuczonych butelkach; miał brudne nogi, a szklana stłuczka od częstego deptania straciła ostrość kantów. Główną atrakcją miał być pewien nieszczęśnik — Rinaldo Heteradelphian. Zdjąwszy szlafrok człowiek ten pokazał pod piersią ohydny narośl, w której oko wiary, wspierane przez wyjaśnienia konferansjera, mogło dopatrzeć się pary maleńkich pośladek i jak gdyby dwóch wyrastających z nich nóg bez

stóp — szczątków niedonoszonego bliźniaka. Kobieta z brodą robiła na drutach; głęboki dekolt pozwalał oglądać fragment olbrzymiego biustu, co miało rozwiać wszelkie podejrzenia co do jej płci. Skupiłem całą uwagę na kobiecie z brodą, bo Heteradelphian i woń skórzanych tyrolskich portek mogła przypawić o młodości nawet człowieka przyzwyczajonego do klas wypełnionych przez sztubaków.

Znudził mnie „Le Grand Cirque Forain de St Vite” i chciałem już wyjść, gdy na estradę wskoczył młody mężczyzna i stanąwszy obok dzikusa z puszczy zaczął szybko i gładko pokazywać sztuki z kartami. To był Paul Dempster.

Od dość dawna podzielałem przeświadczenie sędziego Mahaffeya i panny Shanklin, że Paul z pewnością już nie żyje. Teraz jednak na jego widok nie odczułem ani przez chwilę niedowierzania czy niepewności. Widziałem przedtem Paula ostatnio w roku 1915, kiedy miał siedem lat; po czteremastu latach mógłby być nie do poznania zmieniony wyrósłszy z dziecka na mężczyznę, ale poznałem go od pierwszego wejrzenia. Był bądź co bądź moim uczniem w sztuce manipulowania kartami i monetami, obserwowałem go wiele razy z bliska, gdy demonstrował swoją wyższość nade mną, niezdatnym jego nauczycielem. Dziecinna twarz przeobraziła się w twarz młodego mężczyzny, ale ręce, sposób, w jaki się nimi posługiwał, mało się zmieniły i nie mogły mnie zmylić.

Na estradzie mówił po francusku wplatając niekiedy zdania niemieckie z austriackim akcentem. Występ był dobry, wręcz doskonały, za dobry dla tej publiczności. Ci spośród widzów, którzy grywali w karty, przywykli do powolności, do kładzenia na stole w gospodzie, gdzie byli stałymi gośćmi, każdej karty z osobna tak, jakby ważyła co najmniej funta, i tasowania z namysłem. Błyskawiczne ruchy i zwinna żonglerka sztukmistrza olśniewały ich, ale nic z nich nie rozumieli. Nie inaczej reagowali później, gdy z kolei demonstrował sztuki z monetami. Przypomniała mi się za trudna dla mnie ongiś instrukcja: „Weź na dłoń sześć półkoronówek...” — gdy Paul wykonywał precyzyjnie to wszystko posługując się dużymi austriackimi monetami, wyplątując je z gęstych bród starszych mężczyzn, dojąc je z nosów dzieci, wyławiając długimi palcami zza staników chichoczących dziewcząt. Były to najprostsze, lecz zarazem

najtrudniejsze sztuczki, wymagające subtelnej zręczności rąk; wykonywał je z niezrównanym wdziękiem, a mogłem ocenić jego mistrzostwo, bo wierny młodzieńczemu entuzjastowi, nie opuszczałem żadnego występu magików, na jaki gdziekolwiek w świecie natrafiałem.

Gdy poprosił o zegarek do utłuczenia w móżdżerzu, podniosłem do góry swój i starałem się ściągnąć na siebie jego uwagę, lecz nie spojrział na mnie i wziął od jakiegoś zamożnego Tyrolczyka ogromną cebulę. Wbrew wszelkim wysiłkom z mojej strony nie chciał mnie zauważyć, chociaż musiałem wpadać w oko jako jedyny mężczyzna nie ubrany w miejscowy strój. Utlukł zegarek na drobne kawałki, które zaraz zniknęły w niewyjaśniony sposób, poprosił grubą gospodynię wiejską, żeby sięgnęła do swojej torby, w której nosiła druty i kłębki włóczki. Kobieta ze zdumieniem wyciągnęła z torby nienaruszony zegarek i na tym skończyło się przedstawienie. Tyrolczycy ciężkim krokiem ruszyli ku wyjściu namiotu.

Ja zostałem i zwróciłem się do niego po angielsku. Odpowiedział po francusku, a kiedy przeszedłem także na francuski, zagadał natychmiast po niemiecku. Nie dałem za wygraną. Pojedynek trwał dość długo, przeciągał się i był kłopotliwy, ale wreszcie przyznał się, że to rzeczywiście on, Paul Dempster, a przynajmniej że tak się nazywał przed wielu, wielu laty. Od dawna już nosił nazwisko Faustusa Legrand, posługiwał się nim dłużej niż poprzednim, które odrzucił jako dziesięcioletni chłopiec. Mówiłem o jego matce, wspomniałem, że ją odwiedziłem na krótko przed rozpoczęciem tej podróży. Nic na to nie odpowiedział.

Stopniowo jednak udało mi się przełamać lody, głównie dzięki temu, że inni członkowie trupy cyrkowej, ciekawi, czego może chcieć taki jak ja cudzoziemiec od jednego z nich, otoczyli nas, nie ukrywając żywego zainteresowania. Powiedziałem im, że pochodzę z tego samego co Paul miasteczka, i z przebiegłością, której nauczyłem się wyciskając z proboszczów i zakrystianów informacje o miejscowych relikwiarzach i historiach różnych świętych, dałem cyrkowcom do zrozumienia, że czułbym się zaszczycony, gdybym mógł postawić kolejkę czy nawet kilka kolejek przyjacielom Faustusa Legrand.

Nastrój od razu się poprawił, a kobieta z brodą, która,

jak się zdaje, była w „Le Grand Cirque Forain de St Vite” duszą życia towarzyskiego, zorganizowała w ciągu kilku minut przyjęcie i zamknęła namiot przed publicznością. Z wyjątkiem dzikusa z puszczy (który miał oczy narkomana) wszyscy lubili pić; wkrótce dostarczono nam kilka butelek trunku ze spirytusu, pędzonego z ziemniaków i przyprawionego brunatnym cukrem, uchodzącego w Austrii za rum, ale nie mającego nic wspólnego z prawdziwym rumem. Z pomocą alkoholu nie szczydziłem starań, żeby zdobyć popularność w tym gronie.

Nietrudno to osiągnąć w każdej grupie, czy to złożonej z najbardziej konwencjonalnych Kanadyjczyków, czy ze środkowoeuropejskich jarmarcznych cudaków, byle mówić ludziom o nich samych. Po godzinie wiedziałem już, że Heteradelphian ma córkę, która śpiewa w chórze operetki w Wiedniu, oraz że opuściła go żona, z niepojętych przyczyn znudzwszy się jego rozlicznymi zaletami. Karzeł, nieśmiały i niezbyt bystry, zapalał do mnie sympatią, ponieważ dbałem, żeby nie ominęła go żadna kolejka rumu. Człowiek-żaba był Niemcem i oburzał się na ciężar odškodowań wojennych, więc zapewniłem go, że całe kanadyjskie społeczeństwo uważa ten warunek traktatu pokojowego za krzywdzący. Nie oszukiwałem tych biedaków, którzy w chwilach wolnych od pracy zawodowej chcieli być traktowani jak zwyczajni ludzie: po prostu spełniałem chętnie to ich życzenie. Bardziej osobiste własne sprawy poruszyłem tylko w rozmowie z kobietą z brodą, wyznając jej, że szukam prawdy o Uncumber; zachwycona legendą o tej świętej, nalegała, żebym opowiedział ją całemu towarzystwu. Uznała tę historię za hołd dla wszystkich kobiet z brodą i zupełnie poważnie dyskutowała o namalowaniu nowego afisza, który by ją reklamował jako Madame Wilgeforte i przedstawiał ukrzyżowaną, surowym wzrokiem ścigającą unykającego w dal pogańskiego narzeczonego. Uncumber okazała się moją atutową kartą, bo niezwykłość zainteresowań sprawiła, że traktowali mnie jako podobny do nich wybryk natury, i bardziej niż wszystkie moje starania włączyła do wspólnej cyrkowej rodziny.

Kiedy zabrakło nam rumu, pokierowałem sprawą tak, aby nie kto inny, lecz Paul poszedł po nowe butelki. Liczyłem, że teraz już jego koledzy zechcą mi coś o nim opowiedzieć, i nie zawiodłem się w rachubach.

— Trzyma się z nami tylko ze względu na Dzikusa — powiedziała kobieta z brodą. — Nie będę przed panem, monsieur, tała, że Dzikus jest trochę niespełna rozumu i nie mógłby sam podróżować. Faustus bardzo szlachetnie poczuwa się wobec niego do długów wdzięczności, bo ten stary, póki nie zniedołężniał tak, że musiał poprzestać na najłatwiejszej roli, miał własną trupe, do której Faustus należał. Faustus uważa go za swojego ojca w zawodzie cyrkowego artysty. Zdaje się, że to Dzikus przywiózł Faustusa z Ameryki.

Wieczór upłynął bardzo wesoło i nim się skończył, za-
tańczyłem z kobietą z brodą; karzeł akompaniował nam gwizdząc i wybijając stopami rytm na bębnie. Widok człowieka tańczącego na drewnianej nodze ogromnie bawił rozgrzanych rumem artystów małego cyrku. Przed pożegnaniem rozmawiałem chwilę na osobności z Paulem.

— Czy mogę powiedzieć twojej matce, że widziałem się z tobą?

— Nie mogę panu w tym przeszkodzić, monsieur Ramsay, ale wydaje mi się to bezsensowne.

— Ona ciężko chorowała z żalu po twoim zaginięciu.

— Ponieważ chcę pozostać zaginionym, nie widzę, co by jej mogła pomóc wiadomość o moich losach.

— Smutne, że tak niewiele masz dla niej uczucia.

— Jest częścią przeszłości, której nie da się ani wskrzesić, ani zmienić, cokolwiek zrobiłbym teraz. Ojciec zawsze powtarzał, że to moje narodziny pozbawiły matkę rozumu. Jako dziecko musiałem więc dźwigać ciężar winy za obłęd mojej matki, jakbym to ja był sprawcą tego nieszczęścia. Musiałem także znosić okrucieństwo ludzi, którym ta forma obłędu wydawała się zabawna i pozwalali sobie na plugawe żarty z niej. Dla mnie to sprawa zamknięta, a jeśli matka umrze w obłędzie, to przecież dla niej będzie to lepsze od takiego życia!

Nazajutrz rano wyjechałem w dalszą drogę, szukać prawdy o Uncumber; przedtem jednak musiałem postarać się w banku o pieniądze, bo poprzedniego wieczora w „Le Grand Cirque Forain de St Vite” ktoś wyciągnął mi z kieszeni portfel. Wszelkie poszlaki wskazywały na Paula.

Gyges i król Kandaules

1

Boy Staunton zarobił grube pieniądze w okresie depresji gospodarczej, ponieważ handlował głównie tymi artykułami, które przynoszą chwilową pociechę. Tak już jest, że człowiek gnębiony przez los pije więcej niż kiedykolwiek kawy i zjada góry pączków. Otóż cukier w kawie pochodził z cukrowni Boya, a pączki — z jego wytwórni. Przpracowana i uboga matka chcąc dać dzieciom coś pożywnego, słodkiego i atrakcyjnego, żeby przestały płakać, zwykle częstuje je jakimś sokiem czy lemoniadą, a fabryka napojów bezalkoholowych należała również do Boya. Instytucja dobroczynna, jeśli chce doręczanej podopiecznym paczce nadać nieco mniej zgrzebny charakter, dokłada do niej torebkę cukierków dla dzieci, a cukierki produkował Boy. Za tonami takich wyrobów cukierniczych, słodyczy, smakołyków, biszkoptów i zwyczajnego cukru, za oceanem gazowanej wody, z pomocą chemikalii udającej smak wszystkich owoców świata, stał Boy Staunton, chociaż mało kto o tym wiedział. Był prezesem i dyrektorem administracyjnym konsorcjum Alpha, bardzo szanowanej spółki, która sama nic nie produkowała, lecz panowała nad firmami produkującymi rozmaite wyroby.

Pracował pilnie i miał przedsiębiorczego, śmiałego ducha. Kiedy pierwszy raz zainteresował się produkcją chleba, tylko dlatego że pewna firma tej branży znalazła się w kłopotach i można było kupić ją za bezcen, spytałem, czemu nie zajmuje się również warzeniem piwa.

— Niewykluczone, że to zrobię, ale dopiero wtedy, gdy życie gospodarcze ustabilizuje się trochę — odparł. — Na razie uważam, że trzeba dostarczać społeczeństwu artykułów pierwszej potrzeby.

I obaj w zadumie pociągnęliśmy po łyku wyśmienitej whisky z wodą sodową, z piwniczki Boya.

Nowa piekarnia reklamowała się hałaśliwie, zapewniając, że utrzyma bez zmian ceny chleba. Dotrzymała obietnicy, ale bochenki wydawały się nieco lżejsze, w cieście zaś było więcej baniek powietrza niż poprzednio. Nasza szkoła kupowała chleb tej firmy, więc miałem sposobność go ocenić.

Na decyzję Boya wpłynęła obok miłości bliźniego także miłość synowska. Stary doktor Staunton początkowo krzywił się, że syn go przerasta, wkrótce jednak nad innymi uczuciami wzięła w nim górę chciwość i kupił gruby pakiet akcji Alpha. Wciągając starszego pana do spółki w produkcji piwa, syn naraziłby się na awanturę, a Boy nigdy nie szukał guzów.

— Alpha zajmuje się głównie artykułami pierwszej potrzeby — lubił mawiać. — W dzisiejszych czasach ludzie potrzebują tanich posilnych produktów żywnościowych. Rodzina, której nie stać na mięso, może bez trudu kupić nasze witaminizowane biszkopty.

Miał rację; najlepszy dowód, że w krótkim czasie stał się naprawdę bogaczem, to znaczy jednym z tych ludzi, których osobiste dochody, chociaż pokaźne, są tylko częścią mistycznego ciała olbrzymich kapitałów, stojących za nimi i dających się co najwyżej oszacować, lecz niemożliwych do obliczenia.

Kilku zgryźliwych polityków z najbardziej radykalnego stronnictwa spróbowało te bogactwa oszacować, żeby wykazać, że samo istnienie Boya jest w pewnym sensie niedopuszczalne w kraju, gdzie ludzie cierpią niedostatek. Jak wielu idealistów politycy ci nie rozumieli spraw pieniężnych i po zebraniu, na którym piętnowali Boya oraz jemu podobnych businessmenów grożąc, że skonfiskują ich majątki przy pierwszej okazji, rozeszli się do tanich restauracji, a tam pili cukier Boya, jedli cukier Boya i palili papierosy, nie uświadamiając sobie, że tym sposobem zwiększają zyski innego potwora, którego pragnęli unicestwić!

Nieraz w szkole słyszałem, jak młodszy nauczyciele rzucali na Boya gromy. Rekrutowali się spośród Anglików lub Kanadyjczyków, którzy studiowali w Anglii, i tam im nabiło głowy mądrościami londyńskiej szkoły ekonomicznej i poglądami pisma „The New Statesman”, którego numery

poniewierały się w pokoju nauczycielskim jeszcze w mi-
siąc po dacie publikacji. Nigdy nie byłem pewny własnych
przekonań politycznych (studia nad historią oraz upodoba-
nie do mitów i legend stępiły ostrość moich sądów), ale
bawiło mnie słuchanie tych biedaków pracujących za
marne pensje i oskarżających Boya wraz z garstką innych
„kaptalistów”; panowała wtedy moda na ściąganie dwóch
środkowych sylab w jedną, mocno akcentowaną, co miało
zapewne wyrażać pogardę dla bogaczy. Nigdy nie prote-
stowałem, i nikt z moich kolegów nie wiedział, że znam
osobiście tego „kaptalistę”, wobec którego urody, elegancji,
stylu życia oraz sukcesów szczególnie żałośnie wyglądały
ich skórzane łatki na łokciach marynarek i wysiedziane
flanelowe spodnie. Nie była to z mojej strony nielojalność;
po prostu zdawało mi się, że Boy, którego oni nienawidzą
i nie znają, nie ma nic wspólnego z Boyem, którego ja wi-
dywałem co dwa tygodnie a nawet częściej.

Ja zaś zawdzięczałem swoją uprzywilejowaną pozycję
temu, że byłem jedynym człowiekiem, z którym Boy mógł
swobodnie rozmawiać o Leolu. Mimo najlepszych chęci
Leola nie mogła Boyowi dotrzymać kroku w awansie to-
warzyskim. Boy był geniuszem, to znaczy człowiekiem,
który świetnie i bez widocznego wysiłku dokonuje rzeczy
dla większości ludzi niemożliwych do osiągnięcia, nawet
kosztem wielkiego trudu i wysilenia wszystkich zdolności.
Był geniuszem, gdy chodziło o zarabianie pieniędzy, a to
jest dar równie rzadki jak wielkie talenty artystyczne.
Prostota jego pomysłów i wirtuozeria, z jaką je urzeczy-
wistniał, pobudzały zawistników do twierdzenia, że Boy
ma po prostu wyjątkowe szczęście, a moich szkolnych ko-
legów do nazywania go szalbierzem. Ale to on sam był
twórcą swojego szczęścia i nigdy na jego finansową karierę
nie padł cień skandalu.

Jego ambicje nie ograniczały się do pieniędzy; wiele bu-
dował na osobistej znajomości z księciem Walii, a chociaż,
mówiąc ściśle, wyrażała się ona jedynie otrzymywaniem
raz do roku około Bożego Narodzenia życzeń świątecznych
na kartoniku ozdobionym książęcym monogramem, w roz-
mowach Boya urastała do imponujących, lecz jeszcze nie-
zupełnie absurdalnych rozmiarów. „Nie spędzi w tym roku
świąt z rodziną w Sandringham — mówił Boy, gdy zbliżało
się Boże Narodzenie — woli pewnie uniknąć nudów.”

Można było z tych uwag wnioskować, że Boy ma poufne informacje z pierwszej ręki, może otrzymał intymny list, chociaż każdy, kto czytywał gazety, wiedział tyleż co on. Wszyscy przyjaciele Boya musieli bez pytania domyślać się, o kim mowa; inaczej przestaliby być jego przyjaciółmi. Gdyby podobną słabostkę żywił ktoś mniej błyskotliwy i zwycięski, oczywiście wyśmiano by go, lecz znajomi otaczający Boya nie należeli do ludzi, którzy śmieją się z kilku milionów dolarów. Po przyjeździe na świat Dawida stało się jasne, że Leola nie nadała w szybkiej wspinaczce ku szczytom.

Kapitał dziewczęcej urody wystarcza kobiecie tylko do pewnego momentu. Leola, tak samo jak Boy i ja, miała już za sobą pierwszą młodość; Boy był tylko o dwa miesiące ode mnie młodszy, chociaż ja wyglądałem starzej, a on młodziej, niżby wypadało w trzydziestym trzecim roku życia. Leola była o niespełna rok młodsza od nas, a dziewczęcy typ urody nie pasował teraz ani do jej wieku, ani do pozycji męża. W pocie czoła brała lekcje brydża, mah-jonga, tenisa, ślezczała nad „książkami miesiąca”, załamując się jednak w połowie *Krystyny, córki Lawransa*, słuchała, nic nie rozumiejąc, płyty ze *Świętem wiosny*, zachwycała niestosownie *Bolerem* Ravela, ale nic z tego nie mogło jej naprawdę zmienić i wreszcie, oszołomiona, z poczuciem klęski, zaczęła ulegać przygnębieniu. Straciła zapał do dalszej walki, aby przerobić się na wyrafinowaną, wykształconą, śledzącą w każdej dziedzinie najnowsze mody kobietę, jaką Boy pragnął mieć za żonę. Uwielbiała chodzenie po zakupy, ale wybierała suknie fatalnie; lubiła ładne rzeczy, ale podobały jej się falbanki i riuszki wtedy, gdy moda żądała prostych, surowych linii i specyficznego szyku w stroju damskim. Ilekroć puszczał ją samą do sklepów, wracała — wedle jego określenia — z kompletem garderoby w ckliwym stylu Mary Pickford, a ilekroć sam w Paryżu towarzyszył jej do salonów mody, wyprawa kończyła się potokiem łez, bo sprzymierzał się z wytrawną sprzedawczynią przeciw własnej niezdecydowanej żonie, która natychmiast zapominała całej mozolnie nabytej francuszczyzny, jeśli znalazła się twarzą w twarz z Francuzem lub Francuzką. Po angielsku zresztą też nie mówiła tak, jakby przystało małżonce człowieka, który kiedyś obracał się w towarzystwie księcia Walii i któremu mogło się to

w przyszłości znowu zdarzyć. Słyszałem kiedyś, jak Boy strofował ją, że jeśli już musi używać prowincjonalnych wyrażań, niech przynajmniej mówi „na Boga”, a nie „ola Boga”. Pouczał, że kolacją nazywa się posiłek jadany po teatrze, a nie codzienny rodzinny posiłek o godzinie wpół do ósmej wieczorem, czyli obiad. Nie mogła też zapamiętać, kiedy należy mówić „mnie”, a kiedy „mi”, kiedy „jego”, a kiedy „swój”.

W pierwszych latach małżeństwa Leola, urażona tymi pouczeniami, czasem odpowiadała na nie ostro, że wcale nie widzi powodu, aby zadzierać nosa, mówić inaczej, niż przywykła od dzieciństwa, i zachowywać się nienaturalnie. W takich przypadkach Boy stosował, jak to nazywał, „kurację milczenia”. Nie robił uwag, ale Leola wyczulonym wewnętrznym uchem słyszała ton milczącej dezaprobaty i na pamięć znała odpowiedzi na własne impertynencje czy bluźnierstwa: nie jest zadzieraniem nosa sposób bycia zgodny z zajmowaną w świecie pozycją, a język używany w Deptford nie jest językiem tego świata, do którego oboje teraz należą. Co do nienaturalności, to naturalne jest to zachowanie, które zaangażowana specjalnie bona tępi u małego Dawida, pilnując, żeby nie jadł obu rękami i nie siusiał na podłogę. Dajmy więc spokój głupim argumentom o naturalnym sposobie bycia. Oczywiście Boy miał rację, a Leola ustępowała i starała się być taką kobietą, jakiej on sobie życzył.

Jemu wszystko przychodziło tak łatwo! Nigdy nie zapominał niczego, co mogło mu być użyteczne, polerował stale coraz świetniej swoje maniery i język. Nie był przez to ani trochę mniej męski i młodzieńczy, ale cechy te przylgnęły do niego jak do pewnego typu uroczych angielskich aktorów — na przykład do Clive’a Brooka — którzy są jednocześnie stuprocentowymi mężczyznami i dżentelmenami — czego na ogół Kanadyjczycy nie umieją osiągnąć.

Sytuacja ta nie wytworzyła się nagle, lecz narastała stopniowo w ciągu sześciu lat ich małżeństwa, w okresie gdy Boy bardzo się zmienił, a Leola pozostała prawie niezmienną. Nawet macierzyństwo nic nie pomogło, odpoczywała po wypełnieniu biologicznej funkcji, zamiast tym bardziej energicznie umacniać swoją życiową pozycję.

Nigdy nie wtrącałem się do kłopotów Leoli; wydawało mi się, że ich kłótnie małżeńskie są odosobnionymi po-

tyczkami, dopiero z perspektywy lat dostrzegłem, że były to ostre przejawy toczącej się nieustannie kampanii. Jeśli mam być szczerzy, muszę wyznać, że nie chciałem brać na swoje barki ciężkich obowiązków rozjemcy. Boy nie pozwalał mi zapomnieć, że — jak sądził — odebrał mi Leolę, lubił na ten temat dowcipkować, a nawet posuwał się do żartobliwych, dość przezroczytych aluzji, w których wyrażał przypuszczenie, że może dla nas wszystkich byłoby lepiej, gdyby sprawa wzięła inny obrót. A ja nie żywiłem już dla Leoli innych uczuć prócz litości. Gdybym próbował za nią orędownąć, mógłbym się znaleźć w roli obrońcy, a mężczyzna, który broni żony przed jej prawowitym mężem, musi być gotowy ponieść wszelkie konsekwencje.

Co do mnie, wcale nie byłem gotowy do ponoszenia takich czy innych konsekwencji. Odwiedzałem Stauntonów często, ponieważ zapraszali mnie i ponieważ fascynowały mnie błyskotliwe posunięcia Boya. Podobała mi się rola przyjaciela rodziny, chociaż bardzo różniłem się od całego ich towarzystwa, kółka, rekrutującego się z sztywnych, bogatych, zdecydowanie młodzieńczych osób. Dopiero po dłuższym czasie odkryłem, że jestem Boyowi potrzebny jako człowiek, przy którym można głośno myśleć, i że treścią jego rozmyślań jest najczęściej ubolewanie nad niedoskonałością żony, z którą ma dzielić swoje wzniosłe przeznaczenie.

Jeśli chodzi o moje osobiste zdanie, Leola wcale nieźle spełniała swoje funkcje; równoważyła trochę nazbyt gładką doskonałość Boya. Ale idealna żona, którą on sobie wymarzył, musiałaby łączyć piękność i majestat lady Diany Manners z inteligencją lady Margot Asquith. Wyjawiał mi, że do małżeństwa skłoniła go miłość, wyłącznie miłość, a chociaż tego nie powiedział, jasne było, że ma z tego powodu żal do Kupidyna.

Dwa razy tylko dałem się wciągnąć w ich małżeńskie spory. Po raz pierwszy we wczesnym okresie, około 1926 roku, jeśli mnie pamięć nie myli, gdy Boy odkrył teorię doktora Emila Coué; była ona dość głośna już od roku 1920, ale do Kanady dotarła później, gdy moda na nią gdzie indziej już przemijała.

Pamięta pan zapewne, Panie Dyrektorze, doktora Coué i ogromny sukces jego metody autosugestii? Odznaczała się prostotą i zdawała się rozwiązywać wszelkie problemy,

a takim pokusom Boy, mimo całego swojego sprytu, nigdy nie mógł się oprzeć. Jeżeli będziesz zasypiał mrużąc: „Z każdym dniem czuję się pod każdym względem coraz lepiej i lepiej” — skutki okażą się cudowne: oporne jelita zaczną regularnie funkcjonować, ból podrażnionej macicy minie, rozstrój ustąpi miejsca spokojowi, drgawki i dreszcze ustaną. Zaogniona skóra w ciągu jednej nocy zagoi się, jękała zacznie mówić płynnie, pamięć nie będzie cię już zawodziła, cuchnący oddech zmieni się w majowy zefirek, a łupież stanie się tylko niemiłym wspomnieniem. Nade wszystko metoda doktora Coué obiecywała wzmocnienie „moralnej energii”, a Boy Staunton był gorącym wyznawcą energii we wszystkich postaciach.

Chciał, żeby Leola zdobyła energię moralną, wtedy bowiem, jak sądził, wszystko inne — obycie towarzyskie, dowcip, swoboda i zarazem dystygowane maniery — będzie jej z pewnością przydane. Leola posłusznie powtarzała formułkę doktora Coué po sto razy co wieczór przez sześć tygodni, lecz nie widać było żadnych rezultatów.

— Po prostu za mało się starasz, Leo — powiedział Boy któregoś wieczora, gdy byłem u nich na obiedzie. — Musisz się lepiej starać.

— Może Leola właśnie za bardzo się stara — powiedziałem.

— Nie pleć głupstw, Dunny. Cokolwiek człowiek robi, nigdy nie może starać się za bardzo.

— Mylisz się, Boy. Czy nie słyszałeś o prawie odwróconego wysiłku? Im bardziej się starasz, tym bardziej jest prawdopodobne, że spudłujesz.

— Pierwszy raz w życiu słyszę te nonsensy. Któż to powiedział?

— Mnóstwo mądrych ludzi, a w ostatnich latach także twój doktor Coué. Nie spiesz się z zaciśniętymi zębami do sukcesu — radzi — bo wszystko dokoła sprzysięgnie się przeciwko tobie. To fakt psychologiczny.

— Nabierasz mnie. Nic podobnego nie ma w jego książce.

— Ależ, Boy, swoim zwyczajem nie przestudiowałeś jego teorii gruntownie. Ta książka to tylko nędzna broszurka, która daje groteskowe i uproszczone pojęcie o teorii doktora Coué. Powinieneś przeczytać *Sugestię i autosugestię* Baudouina, żeby zrozumieć, o co naprawdę chodzi.

— Ile stron?

— Nie liczyłem. Dość gruby tom.

— Nie mam czasu na grube księgi. Musi mi wystarczyć samo sedno sprawy. Jeżeli wysiłek szkodzi, dlaczego mnie metoda Couégo pomaga? Wkładam w jej stosowanie mnóstwo wysiłku.

— Nie sądzę, żeby ci pomagała. Tobie to w ogóle niepotrzebne. Z każdym dniem pod wszystkimi względami powodzi ci się coraz lepiej i lepiej. W każdym znaczeniu, jakie słowu „lepiej” nadajesz, bo jesteś taki, jaki jesteś. Urodziłeś się z sukcesem we krwi.

— No, więc przynieś tę swoją książkę i wytłumacz to Leoli. Namów ją, żeby przeczytała, i pomóż zrozumieć.

Zrobiłem to, ale nadaremnie. Leola nie czuła się coraz lepiej i lepiej, bo nie miała pojęcia, na czym to „lepiej” ma polegać. Nie rozumiała, czego Boy od niej chce. Nigdy chyba nie spotkałem drugiej kobiety równie miłej i równie głupiej. Doktor Coué zawiódł w jej przypadku podobnie jak w wielu innych, ale nie mogę mieć o to do niej pretensji. Jego metoda była w gruncie rzeczy formą zlaicyzowanej egocentrycznej modlitwy, odartej z ludzkiej godności, z jaką się kojarzy najpokorniejsza nawet prawdziwa modlitwa. Musiała spalić na panewce tak samo, jak wszystkie inne próby wymuszenia sukcesu dla ludzi z natury niezdolnych do odnoszenia sukcesów.

Za drugim razem wtrąciłem się pomiędzy Leolę i Boya w znacznie poważniejszej sprawie. Boy dał mi kilka rolek filmu prosząc, żebym je dla niego wywołał. Prośba zdawała się zupełnie naturalna, bo podczas moich wypraw na poszukiwanie świętych używałem często aparatu fotograficznego i osiągnąłem dość dużą wprawę; w szkole nie mogąc nadzorować gier sportowych, zgodziłem się prowadzić dla chłopców klub fotoamatorów i uczyłem ich także wywoływania w ciemni filmów. Zawsze chętnie oddawałem drobne przysługi Boyowi, którego radom zawdzięczałem finansową niezależność, a gdy mi tłumaczył, że nie może powierzyć tych rolek zawodowemu fotografowi, byłem pewny, że są to zdjęcia z wizyty książęcej i prawdopodobnie figuruje na nich sam książę.

Tak też było rzeczywiście, z wyjątkiem dwóch rolek poświęconych wyłącznie na amatorskie, pretensjonalne „akty” Leoli, leżącej na poduszkach, wyglądającej zza mgły

tiulu, siedzącej przy toalecie, klęczącej przed kominkiem, grożącej paluszkami pluszowemu misiowi, wybierającej czekoladkę z ozdobionej kokardami bombonierki, słowem we wszystkich sentymentalnych pozach, jaki ówczesny gust aprobował w tego rodzaju „artystycznych” fotografiach, i do wszystkich Leola pozowała nago. Gdyby była doświadczoną modelką, a Boy sprawnym fotografem, wyszłyby z tego zdjęcia, jakich wiele można oglądać w gardzących pruderią wydawnictwach. Ale z nieumiejętności ich obojga powstały żenujące obrazki; setki par zabawia się robieniem takich zdjęć, lecz rozsądni ludzie nie pokazują ich osobom trzecim.

Nie wiem dlaczego mnie to tak bardzo rozgniewało. A więc tak się dla nich nie liczyłem, tak przywykli traktować mnie jak nadwornego eunucha, że nie uważali za stosowne krępować się wobec mnie? A może właśnie tym sposobem miałem dowiedzieć się, ile straciłem, gdy Boy odbił mi Leolę? Albo też Boy dawał mi do zrozumienia, że nie będzie się sprzeciwiał, jeśli zechcę go teraz od Leoli uwolnić? Nie ukrywał przede mną, że Leola trzyma się konwencjonalnych pojęć i że jej małomieszczański erotyczny jadłospis nie może zadowolić bardziej wyrafinowanych apetytów męża. Jakimikolwiek motywami tłumaczyłem sobie ten postępek, byłem oburzony i miałem ochotę zniszczyć filmy. Muszę jednak uczciwie przyznać się, że obejrzałem zdjęcia dokładnie i zapewne nie bez poządliwości, co rozgniewało mnie jeszcze bardziej.

Wreszcie podjąłem decyzję znamiennej dla mojego charakteru: wywołałem zdjęcia jak najstarszanniej, a najlepsze (wszystkie, na których figurowała Leola) powiększyłem i oddałem je Boyowi bez słowa, czekając co nastąpi dalej.

Gdy następnym razem byłem u nich na obiedzie, Boy przyniósł całą paczkę zdjęć i zaczął je z wolna przeglądać opowiadając, co w danym momencie jego książęca wysokość mówił. Wreszcie doszliśmy do serii z Leolą.

— Och, nie, tych nie pokazuj!

— Dlaczego?

— Bo nie.

— Dunny przecież wszystkie je już widział. Wywoływał je, myślę, że zatrzymał sobie komplet odbitek.

— Nie — powiedziałem. — Nie zatrzymałem dla siebie ani jednej.

— A to żałuj! Nie znajdziesz nigdy fotografii ładniejszej dziewczyny.

— Proszę cię, Boy, odłóż to, a jak nie, to idę na górę do mojego pokoju. Nie chcę, żeby Dunny oglądał te zdjęcia w mojej obecności.

— Nie podejrzewałem cię o taką pruderię, Leo.

— To nie wypada, Boy.

— Nie wypada, nie wypada! Oczywiście, że nie wypada! Tylko głupcy zastanawiają się, co wypada, a co nie wypada. Usiądź tu, pomiędzy mną a Dunny'm, i bądź dumna, że jesteś taka śliczna.

Leola wyczuwając irytację w jego głosie ustąpiła i siedziała pomiędzy nami, gdy Boy pokazywał zdjęcia mówiąc mi, jakiej w każdym przypadku użył przesłony, jak ustawił światła, aby osiągnąć określone „walory”, dzięki czemu pośladki Leoli rzeczywiście wyglądały jak obciągnięte sztucznym jedwabiem, a brodawki piersi lśniły, zamiast się rumienić. Zdawało się, że zmieszanie Leoli sprawia mu głęboką satysfakcję; miał to być zabieg wychowawczy, aby zrozumiała, że jej uroda ma nie tylko prywatne, lecz publiczne znaczenie. Wspomniał relację Margot Asquith o tym, że przyjmowała kiedyś gości leżąc w wannie, ale — jako niepoprawnie roztargniony czytelnik — nie pamiętał, w jakich okolicznościach to się zdarzyło.

Gdy kończyliśmy już ten przegląd fotografii, zwrócił się do mnie ze złośliwym uśmiechem:

— No co, przyjacielu, mam nadzieję, że nie zrobiło ci się tutaj za gorąco?

Rzeczywiście było mi gorąco. Cały gniew, który we mnie wezbrał podczas wywoływania filmów, zakipiał teraz na nowo. Odpowiedziałem jednak, że czuję się jak najlepiej.

— Obawiałem się, że tobie, tak samo jak Leoli, ta sytuacja wyda się niezwykła.

— Owszem, niezwykła, ale nie bezprzykładna. Można ją nazwać historyczną lub mitologiczną.

— A to dlaczego?

— Kiedyś zdarzyło się coś bardzo podobnego. Czy pamiętasz historię Gygesa i króla Kandaulesa?

— Nigdy jej nie słyszałem.

— Tak też myślałem. Otóż Kandaules był przed wiekami królem Lydii i tak czuł się dumny z piękności swo-

jej żony, że zapragnął, aby jego przyjaciel, Gyges, koniecznie zobaczył ją naga.

— Wspaniałomyślny człowiek! I cóż się dalej stało?

— Są dwie wersje. Według jednej królowa zadurzyła się w Gygesie i we dwoje zrzucili Kandaulesa z tronu.

— Doprawdy? No, w naszym przypadku to nie grozi, jak myślisz, Leo? Mój tron byłby dla ciebie, Dunny, troszkę za duży.

— Według drugiej wersji Gyges zabił Kandaulesa.

— Nie przypuszczam, żebyś mógł tak postąpić, Dunny.

Ja tego też nie przypuszczałem. Myślę, że jednak podsycałem w Boyu matrymonialny ogień, bo w dziewięć miesięcy później pracowite obliczenia przekonały mnie niemal ponad wszelką wątpliwość, że właśnie tej nocy został porwany młody Dawid. Boy był na pewno naturą bardzo skomplikowaną i jestem przeświadczony, że kochał Leolę. Co myślał o mnie? Tego po dziś dzień nie wiem. Nikt nie mógł ani przez chwilę wątpić o tym, że Leola kochała męża całym swym bezkrytycznym sercem. Żaden postępek Boya nie mógł tego zmienić.

2

W okresie roku szkolnego co dwa tygodnie w sobotę przed południem jeździłem do Weston na lunch z panną Bertą Shanklin i panią Dempster. Podróż podmiejskim pociągami trwała niespełna pół godziny, mogłem więc opuszczać szkołę po dopełnieniu obowiązków polegających na nadzorze nad chłopcami z internatu, którzy tego dnia rano odrabiali zadane lekcje, i byłem już o trzeciej z powrotem w mieście. Dłuższe wizyty byłyby, jak mówiła panna Shanklin, zbyt męczące dla biednej Mary. W rzeczywistości męczyłyby ją sama; zwyczajem wielu osób opiekujących się chorymi, interpretowała wolę pani Dempster tak, jak kapłan mógłby ubarwić intencje apatycznego bóstwa. Ale była zawsze łagodna i poczciwa; szczególnie podobał mi się sposób, w jaki stroiła siostrzenicę w ładne, świeże suknie i pielęgnowała jej włosy. W Deptford zwykle widywałem panią Dempster brudną i zaniedbaną, gdy się snuła po mieszkaniu uwiązana na powrozie.

Pani Dempster przy stole rzadko się odzywała, a cho-

ciaż niewątpliwie poznawała we mnie stałego gościa, nic nigdy nie zdradzało, że łączą nas jakieś wspomnienia z czasów jej życia w Deptford. Ja dotrzymywałem danej pannie Shanklin obietnicy i grałem rolę nowego przyjaciela, mile widzianego w tym domu, gdzie rzadko zjawiali się mężczyźni, a przecież prawie wszystkie kobiety, nawet te najbardziej zakamieniałe w staropanieństwie, lubią od czasu do czasu męskie towarzystwo.

Prócz mnie jedynym gościem płci męskiej, który odwiedzał je w różnych porach, był adwokat panny Shanklin, Onpheus Wettenhall. Nigdy nie odkryłem w nim nic takiego, co by usprawiedliwiało jego rodziców z wyboru tak pretensjonalnego imienia dla syna. Może powodowali się rodzinną tradycją. Zaproponował mi, abym nazywał go, jak wszyscy znajomi, po prostu Orphem. Małego wzrostu, wąsaty jak sum, nosił okulary w srebrnej oprawie i był skory do śmiechu.

Nie znałem bardziej zapalonego myśliwego niż Orph. O każdej porze roku, gdy dozwolone było strzelanie do jakiegokolwiek żywego stworzenia lub łapanie go na haczyk, Orph polował lub łowił. W sezonie ochronnym dla innej zwierzyny strzelał do świstaków i drobnych stworzeń, których prawo łowieckie nie raczyło dostrzegać. Gdy rozpoczynał się sezon pstrągów, wędka Orpha zanurzała się w wodzie pięć minut po północy; gdy wolno było polować na płową zwierzynę, Orph mieszkał w lesie niczym Robin Hood. Jak wszyscy namiętni myśliwi miał kłopoty z pozbywaniem się upolowanej zwierzyny, bo żona nie chciała mieć w kuchni dzicyzny częściej niż cztery lub pięć razy w tygodniu. Zjawiał się więc od czasu do czasu u panny Shanklin, otwierał bez ceremonii frontowe drzwi i już od progu wołał: „Berto! Przyniosłem ci coś pięknego!” W chwilę potem wkraczał taszcząc jakąś ociekającą wodą albo krwią zdobycz, którą służąca co prędzej wynosiła do kuchni, podczas gdy panna Shanklin odgrywała stosowną scenkę manifestując zachwyty nad hojnością daru i jednocześnie zgrozę na widok bestii uśmierconej własnoręcznie przez nieustraszonego Orfeusza.

Sympatyczny człowieczek; polubiłem go za pogodne usposobienie i za galanterię, z jaką odnosił się do panny Shanklin oraz do pani Dempster. Często namawiał mnie do udziału w rzezi, ale wymigiwałem się pod pretekstem,

że drewniana noga nie pozwala mi na myśliwskie wyprawy. Na wojnie użyłem strzelaniny do syta i miałem tego dość na całe życie.

Rozpocząłem wizyty w Weston jesienią 1928 roku i składałem je wytrwale aż do lutego 1932, kiedy to panna Shanklin zachorowała na zapalenie płuc i umarła. Zawiadomił mnie o tym listownie Wettenhall, wzywając, abym przyjechał na pogrzeb, i dodając, że musi ze mną po tych smutnych uroczystościach koniecznie porozmawiać.

Pogrzeb, jak to w lutym, był okropnie męczący, więc presto znad grobu pospieszyłem skwapliwie do ciepłej małej kancelarii Wettenhalla. Miał na sobie czarny garnitur, po raz pierwszy zobaczyłem go nie w sportowym ubraniu.

— Nie traćmy czasu na niepotrzebne wstępy — powiedział nalewając hojną ręką dla każdego z nas żytniówkę do szklanek, na których brzegu usta poprzednich użytkowników zostawiły widoczne ślady.

— Sprawa jest prosta. Berta wyznaczyła pana wykonawcą swojego testamentu. Cały majątek dziedziczy Mary Dempster z wyjątkiem kilku małych legatów — między innymi dla mnie, starego wielbiciela, za to, że troskliwie dbałem o jej interesy — i dla paru innych osób. Ma pan otrzymywać pięć tysięcy rocznie pod jednym warunkiem, a mianowicie, że postara się pan o formalną nominację na kuratora Mary Dempster i podejmie się pan opieki nad nią oraz administrowania pieniędzmi aż do końca jej życia. Ja mam dopilnować formalności w Urzędzie Opieki Społecznej. W razie śmierci pani Dempster majątek przejdzie na pana. Po spłaceniu długów i podatków majątek Berty powinien wynieść... no, nie mniej niż ćwierć miliona, a może i trzysta tysięcy. Ma pan prawo zrzec się obowiązków opiekuna wraz z legatem, jeśli pan nie chce brać na siebie tych kłopotów. Zostawiam panu kilka dni do namysłu.

Na tym stanęło, chociaż z góry wiedziałem, że się zgodzę. Powiedziałem jeszcze parę konwencjonalnych, ale najzupełniej szczerych zdań o swojej wielkiej sympatii dla panny Shanklin i o żalu z powodu jej zgonu.

— Nam obu będzie jej brakowało — odparł Orph. — Kochałem ją... oczywiście w ścisłych granicach przyzwoitości... i nie wyobrażam sobie, jak bez niej potoczy się moje życie.

Wręczył mi odpis testamentu i wróciłem do miasta. Nie

odwiedziłem tym razem pani Dempster, która, rozumie się nie była na pogrzebie. Chciałem, zanim się z nią zobaczę, uporządkować pewne sprawy.

Nazajutrz zasięgnąłem informacji, jak postępować, aby zostać formalnie kuratorem pani Dempster, i dowiedziałem się, że procedura nie jest bardzo skomplikowana, lecz wymaga pewnego czasu. Czułem się ogromnie podniesiony na duchu, co mogę tylko tłumaczyć tym, że zrobiło mi się lżej na sumieniu. W dzieciństwie przytłaczała mnie świadomość winy wobec pani Dempster, ale łudziłem się, że wojna rozproszyła ten nastrój. Czyż noga nie stanowiła dostatecznego okupu za zły uczynek? Był to argument bardzo prymitywny i bez trudu go obaliłem, jak mi się zdawało. Okazało się, że poczucie winy nie zniknęło, zepchnąłem je tylko na dalszy czy może na głębszy plan, poza pole widzenia, bo teraz odżyło z całą mocą domagając się zadośćuczynienia, skoro nadarzyła się po temu sposobność.

Inny jeszcze aspekt sprawy narzucał się moim myślom, mimo że starałem się go odsunąć: jeżeli pani Dempster jest świętą, będę miał swoją własną świętą. Ale czy jest? Rzym, jedyna ludzka instancja podejmująca się orzekać, kto jest, a kto nie jest święty, żądał trzech niezbitnie udowodnionych cudów. Za panią Dempster przemawiało moralne odrodzenie Surgeonera dzięki jej aktowi miłosierdzia, niewątpliwie heroicznemu wobec obowiązujących w Deptford obyczajów; wskrzeszenie Willie'ego; wreszcie cudowne objawienie, jakiego ja doznałem w Passchendaele w momencie, gdy doszedłem do kresu wytrzymałości.

Teraz więc będę mógł przekonać się, czym jest świętość, przestudiować ją bez całego aparatu Rzymu, do którego nie mam dostępu. Opętała mnie myśl, że może zdołam przyczynić się poważnie do rozwoju psychologii religii, posunę o dalszy krok naprzód dzieło Williama Jamesa. Zapewne nie byłem dobrym nauczycielem tego dnia, gdy wszystkie te myśli kłębiły się w mojej głowie.

Jeszcze gorszym stałem się w dwa dni później, gdy zjawił się u mnie policjant i zawiadomił, że Orpheus Wettenhall zastrzelił się i że przedstawiciele porządku publicznego chcą ze mną porozmawiać.

Sprawę trzymano w ścisłej tajemnicy. Ludzie odważnie gadają o samobójstwie i o prawie człowieka do wyboru godziny własnej śmierci, gdy chodzi o wydarzenia dalekie

i nie dotyczące ich osobiście. Ale w większości z nas bezpośrednio zetknięcie się z taką śmiercią budzi zgrozę, tym bardziej, jeśli stało się to w małym, zżytym ze sobą środowisku. Policja, urzędnik śledczy i wszyscy zainteresowani podjęli wszelkie możliwe środki ostrożności, aby prawda o śmierci Orpha nie przedostała się do wiadomości ogółu; no i oczywiście prawda wyszła na jaw, a okazała się historią prostą i nienową.

Orph należał do starej szkoły adwokatów rodzinnych; administrował mieniem wielu rodzin farmerskich oraz osób takich, jak panna Shanklin, nie mających pojęcia o nowoczesnych sposobach prowadzenia interesów. Słowo Orpha miało wartość złota, więc udzielano mu szerokich plenipotencji i nie żądano od niego kaucji czy gwarancji; byłoby to dowodem braku zaufania, niegodnym w tak zażytych stosunkach. Orph wypłacał klientom przyzwoite, niewygórowane nadmiernie dywidendy od ich kapitałów przez wiele lat, ale częścią tych sum spekulował na giełdzie i zatrzymywał dla siebie pokaźną część wielkich zysków. Krach zaskoczył go nie przygotowanego i od roku 1929 czerpał pieniądze na dywidendy dla klientów z osobistej kasy (jeśli można ją nazwać osobistą), aby uniknąć kompromitacji. Śmierć Berty Shanklin uniemożliwiła mu dłuższe ukrywanie prawdy.

Publicznie podano do wiadomości, że Orph, który całe życie manipulował bronią, trzymał przy czyszczeniu na sztorc nabitą strzelbę, a gdy w niepojęty sposób koniec lufy znalazł się w jego ustach, ze zdumienia stracił głowę i niechcący nacisnął spust tak, że kula ścięła mu wierzchołek czaszki i położyła go trupem na miejscu. Urzędnik śledczy nie miał wątpliwości, że była to śmierć na skutek nieszcześliwego przypadku.

Ten i ów może nawet dał się tym protokołem przekonać, ale tylko na jeden dzień czy też na dwa dni, bo potem dowiedziano się, w jakim stanie Wettenhall zostawił swoje interesy, a na ulicach można było zobaczyć błakające się bezradnie grupki starców i kobiet, niezdolnych uwierzyć w swoje nieszczęście.

Nikt nie miał czasu ani litości dla tych pomniejszych osób dramatu; całe współczucie miejscowego społeczeństwa skupiało się na głównym bohaterze — Orphie Wettenhallu. Jakież moralne tortury musiał cierpieć, zanim zdecydował

się odebrać sobie życie! Znamienne, że przekroczył próg zaświatów spoglądając ku górze, na wielką wypchaną głowę łosia, którego upolował przed czterdziestu laty. Któż by ośmielił się zająć jego miejsce podczas polowania na płową zwierzynę następnej jesieni! Czy ktokolwiek mógłby dorównać jego zręczności i szybkości w odzieraniu ze skóry ubitych sztuk? Nie mówiono jednak wiele o zręczności, z jaką Orph odarł ze skóry swych klientów, stwierdzono tylko, że z pewnością zamierzał zwrócić brakujące sumy przy pierwszej nadarzającej się możliwości.

Nikt tego wyraźnie nie powiedział, ale wszyscy, jak się zdaje, zgodnie myśleli, że Berta Shanklin wykazała brak taktu umierając nie w porę i stawiając miejscowego Nemroda w tak okropnej sytuacji. „Wola Boska, dziś on, jutro ja” — powtarzali obywatele utarty frazes, nie zastanawiając się nad wnioskami, jakie należałoby z niego wyciągnąć. Nie słyszałem, aby ktoś napomknął o Mary Dempster; w ten sposób nauczyłem się dwóch rzeczy: że popularność nie ma nic wspólnego z nieskazitelnością charakteru i że współczucie szybciej przytępia umysł niż wódka.

Mimo pilnych poszukiwań w domu pani Shanklin znalazłem gotówką zaledwie dwadzieścia jeden dolarów, a na jej rachunku bankowym, na który Wettenhall wpłacał co kwartał należne sumy, zostało po potrąceniu kosztów pogrzebu i ostatniej choroby, zaledwie dwieście dolarów. Od tej więc chwili łożyłem na utrzymanie pani Dempster z własnej kieszeni i trwało to aż do jej śmierci, która nastąpiła w roku 1959. Czy mogłem postępować inaczej?

Jako wykonawca testamentu miałem prawo sprzedać z licytacji dom i meble, uzyskałem jednak za wszystko tylko cztery tysiące dolarów; okres depresji gospodarczej nie sprzyjał takim transakcjom. We właściwym terminie otrzymałem oficjalnie tytuł kuratora pani Dempster. Ale cóż miałem z nią począć? Zebrałem informacje o różnych sanatoriach i stwierdziłem, że gdybym ją w jednym z nich umieścił, sam poszedłbym z torbami. W Colborne zaapelowano do wszystkich nauczycieli, żeby zrzekli się dobrowolnie części poborów dla podtrzymania szkoły, i wszyscy zgodziliśmy się na tę ofiarę; mieliśmy wielu chłopców, których rodzice nie mogli płacić za ich naukę lub też prosili o odroczenie terminu chesnego, a nasza uczelnia, zgodnie ze swoimi zasadami, nie chciała tych uczniów skreślać z listy. Ulo-

kowałem swoje pieniądze bezpieczniej niż większość ludzi, lecz nawet Alpha płaciła niewiele; Boy uważał, że wysokie dywidendy robiłyby złe wrażenie w tych czasach, zamiast nich przydzielano udziałowcom dodatkowe akcje i znaczne sumy zysków inwestowano z powrotem w rozbudowę przedsiębiorstwa, by powiększyć szanse przyszłych dochodów. Miałem dość pieniędzy na kawalerskie życie, ale nie wystarczyłoby mi środków na utrzymanie pacjentki w kosztownym zakładzie. Wbrew wielkim oporom musiałem w końcu zdecydować się na oddanie pani Dempster do publicznego szpitala dla psychicznie chorych w Toronto, gdzie mogłem ją mieć stale na oku.

Czarny to był dzień dla nas obojga, gdy odwiozłem ją do tego zakładu. Personel mieli tam dobry i poczywy, ale o wiele za mały, a budynek stary i okropny. Wzniesiono go przed osiemdziesięciu laty i zaprojektowano w epoce, gdy chorych psychicznie po przyjęciu do zakładu natychmiast pakowano do łóżek i trzymano ich tam, aby w bezpiecznych warunkach czekali na śmierć lub wyzdrowienie. Toteż sale ogólnego użytku były nieliczne i źle wyposażone, a pacjenci przesiadywali lub snuli się w korytarzach, jeśli nie leżeli w łóżkach. Budynek należał do tego typu architektury, która lepiej przedstawia się z zewnątrz niż wewnątrz. Nakryty był kopułą, błyszczał mnóstwem zakratowanych okien i przypominał zaniedbany pałac.

Salę miały wysokie sufity i pomimo wielu okien były ciemnawe, a wentylacja działała kapryśnie. Nad wonią środków dezynfekcyjnych górował zaduch rozpachy, tak często panujący w więzieniach, sądach i domach wariatów.

Mary Dempster dostała miejsce w jednej z podłużnych sal i zostawiłem ją stojącą przy łóżku z łagodną pielęgniarką, która tłumaczyła jej, co należy zrobić z zawartością przywiezionej walizki. Ale twarz pani Dempster już wyglądała tak, jak pamiętałem ją z najgorszych dni w Deptford. Nie odważyłem się obejrzeć za siebie i nigdy w życiu nie czułem się tak nikczemny jak w tym momencie. Ale cóż mogłem zrobić?

Niezależnie od obowiązków nauczycielskich, obserwacja, jak Boy nieświadomie niszczy Leolę, oraz nowej wyłącznej odpowiedzialności za los Mary Dempster, musiałem w tym okresie zdobyć się na ogromny wysiłek, bo wtedy właśnie nawiązałem łączność z bollandystami i znalazłem dostęp do głównego nurtu pracy, która przyniosła mi ogromnie dużo satysfakcji, a także pewną reputację w ściśle ograniczonym kręgu specjalistów.

Wiele czasu spędzałem w życiu na tłumaczeniu ludziom, kim są bollandyści, a chociaż Pan, Panie Dyrektorze, ucho- dzi w szkole za wszechwiedzącego, wolę przypomnieć, że jest to grupa jezuitów, którzy za szczególne zadanie postawili sobie utrwalenie wszelkich dostępnych wiadomości o świętych w wielkich księgach pod tytułem *Acta sanctorum*; pracę tę zainicjował w roku 1643 John van Bolland i odtąd (wyjąwszy okres wojen domowych i religijnych) prowadzą ją jego naśladowcy; od roku 1837 bollandyści ślęczą nad nią prawie bez dłuższych przerw; studiują świętych w takim porządku, w jakim figurują oni w kalendarzu, zaczynając od stycznia i dotychczas zapełnili sześćdziesiąt dziewięć tomów doszedłszy do listopada.

Prócz tej olbrzymiej i z natury rzecznej powolnej pracy wydają od roku 1882 roczniki zawierające zebrane w toku studiów materiały interesujące, lecz nie mieszczące się w wyznaczonych dla *Acta sanctorum* ramach; roczniki te noszą tytuł *Analecta bollandiana*, a nazwa „Pokłosie bollandystów” świadczy o niezwyklej skromności uczonych autorów, bo są to teksty bardzo ważne i ciekawe z punktu widzenia historii i hagiografii.

Dla mnie, jako dla historyka, niezmiernie pouczające było studiowanie, jakich świętych czczono w różnych okresach dziejów; pewne wieki upodobały sobie szczególnie cudotwórców, inne wyróżniały raczej działaczy, którzy dzięki talentom organizatorskim osiągnęli pozornie cudowne wyniki. W ostatnich latach zacięli dawni święci, którzy podbili nawet serca protestantów, tracą przewagę na rzecz postaci mniejszej miary, zawdzięczających zaszczytne wyróżnienie przypadkowi, który obdarzył ich czarną, żółtą lub czerwoną skórą; jest to jakby w gronie świętych reprezentacja należąca różnym grupom populacji świata. Moi przyjaciele

bollandyści pierwsi gotowi są przyznać, że w wynoszeniu na ołtarze świętych więcej jest polityki, niż się wydaje naiwnym wyznawcom.

Nie stać mnie na posiadanie własnego kompletu *Act*, lecz często do nich zaglądam — dwa, trzy razy tygodniowo — w bibliotece uniwersyteckiej. Udało mi się jednak, trochę dzięki uśmiechowi szczęścia, a trochę przypadkiem, kupić serię *Analectów*, a chociaż kosztowała mnie, według standardu z lat depresji, majątek, nie rozstałbym się z nią za nic; opasłe tomy w egzotycznie wyglądających oprawach były przedmiotem podziwu wielu gości zaglądających do mojego gabinetu w szkole.

Chłopcy wytrzeszczali oczy odkrywając, że naprawdę czytam teksty francuskie, niemieckie i łacińskie; bardzo dobrze, jeśli dzięki temu dowiedzieli się, że te języki żyją poza szkolnymi lekcjami. Niektórzy moi koledzy na widok tych książek uśmiechali się pobłaźliwie, a kilku uroczystych osłów puściło plotkę, że „przechodzę do rzymskiego obozu”; na długo przed Pana przybyciem do naszej szkoły stary Eagles ostrzegał mnie przed „szkarłatną niewiastą” i zadawał mi retoryczne pytanie, jak mógłbym „przełknąć papieża”. Później miliony ludzi przełknęły Hitlera i Mussoliniego, a my pewnych demokratycznych leaderów, których trzeba było wypluć z niesmakiem. Wobec tego przełknięcie papieża wydaje się błahostką. Wróćmy jednak do roku 1932; prenumerowałem i czytałem *Analecta*, uczyłem się pilnie greki (nie języka Homera, lecz dziwacznej greki średnio-wiecznych zakonnych kronikarzy), aby nic z tych tekstów nie uronić.

Wtedy właśnie przyszła mi do głowy zuchwała myśl, żeby posłać moje zapiski o Uncumber redaktorowi *Actów* — znakomitemu Hipolitowi Delehaye; w najgorszym razie ryzykowałem, że je zignoruje albo odeśle ze zdawkowym podziękowaniem. Wyobrażałem sobie, zgodnie z protestanckimi uprzedzeniami, że katolik tylko czeka na sposobność, aby mi napluć w oko; obawiałem się też, że jezuita, chytry i wyćwiczeni w dwulicowości, ukradną mi moje odkrycia, a potem, żeby zatrzeć ślady zbrodni, naślą na mnie zamachowca z bombą. Mimo wszystko zaryzykowałem.

Upłynął z górą miesiąc, nim poczta przyniosła mi następujący list:

Cher Monsieur Ramsay!

*Pańskie uwagi o postaci Wilgefortis-Kummernis przeczytało kilku z nas z dużym zainteresowaniem, a chociaż dane nie są dla nas nowością, interpretacja i synteza wydają się tak godne uwagi, że prosimy o zgodę na ogłoszenie ich w najbliższym roczniku *Analectów*. Zechce Pan łaskawie odpowiedzieć możliwie jak najrychlej, bo czasu zostało niewiele. Gdyby Pan odwiedził kiedyś Brukselę, bardzo bym się ucieszył mogąc poznać pana osobiście. Spotkanie z poważnym hagiografem jest dla mnie zawsze ogromną przyjemnością, tym bardziej jeśli tak, jak w Pana przypadku, chodzi nie o zawodowca, lecz o człowieka poświęcającego się tej pracy z zamiłowania.*

Avec mes souhaits sincères

Hippolyte Delehay, S.J.

Société des Bollandistes

24 Boulevard Saint Michel

Bruxelles

Mało rzeczy w życiu sprawiło mi tyle radości co ten list. Mam go dotychczas. Nauczyłem się od dni wojny nie mówić nigdy o przedmiotach mojego entuzjazmu ludziom, którzy go nie dzielają — a tak bywa najczęściej — to wtedy jest przykro i radość przygasa. Dlaczego zawsze porywają mnie sprawy dla moich bliźnich obojętne? Ale tym razem nie wytrzymałem. Chełpiłem się w pokoju nauczycielskim, że moją pracę przyjęto do *Analectów*. Koledzy nic nie rozumiejąc patrzyli na mnie zdziwieni, jak krowy na przejeżdżający pociąg, a potem wrócili do rozmowy o fantastycznym sukcesie, jaki osiągnął poprzedniego dnia Brebner na terenie golfowym.

Przy najbliższej okazji powiedziałem o tym liście Boyowi; do jego świadomości dotarł jedynie szczegół, że napisałem swój esej po francusku. Co prawda nie opowiedziałem mu nigdy historii *Uncumber* i jej nadprzyrodzonej brody; Boy nie nadawał się na słuchacza takich psychologiczno-mitologicznych plotek, które mogą zaciekać tylko prostaczków albo ludzi naprawdę wyrafinowanych intelektualnie. Boy do żadnej z tych dwóch kategorii nie należał, ale cenił towary w dobrym gatunku, toteż od tego dnia byłem do *Stauntonów* zapraszany na obiady wraz z ich szykowymi znajomymi, a nie jako jedyny gość przy rodzinnym stole.

Zdarzyło mi się podsłuchać, jak Boy mówił o mnie do jakichś bankierów czy maklerów: „To bardzo zdolny facet, mówi biegle kilkoma językami i drukuje artykuły w wielu europejskich wydawnictwach... Trochę ekscentryczny, ale cóż, przyjaciel z dawnych lat”.

Jego przyjaciele zapewne myśleli, że pisuję o „sprawach bieżących”, i często pytali mnie, co sądzę o depresji gospodarczej, czym się ta sytuacja skończy. Starałem się wówczas robić dobrą minę i odpowiadałem, że, moim zdaniem, zmierzamy do rozwiązania problemu, ale, z drugiej strony, nie wiadomo, czy najgorsze mamy już za sobą; finansistów najskuteczniej uspokaja taka mikstura z nadziei i pesymizmu. Uważałem ich za nieznośną bandę durniów, ale zdawałem sobie sprawę, że muszą mieć jakieś specyficzne zdolności, skoro umieli zdobyć majątki. Jednakże chociaż bardzo lubiłem pieniądze, nie zamieniłbym się z finansistami na rodzaj umysłowości pożytecznej przy robieniu dobrych interesów.

Dziwni byli ci bogaci i ustosunkowani przyjaciele Boya, najwidoczniej jednak wydawali się sobie nawzajem bardzo interesujący. Wiele mówili o tym, co nazywali polityką, mimo że nie było w tym programu ani linii politycznej; troszczyli się o przeciętnego obywatela, określając go zwykle jako „szarego człowieka”. Ten „szary człowiek” miał dwie wielkie wady: po pierwsze nie potrafił myśleć trzeźwo, a po drugie chciał zbierać żniwo, chociaż nic nie posiał. Nigdy nie zauważyłem, żeby „kaptaliści” myśleli bardzo trzeźwo, lecz doszedłem do wniosku, że zbierają to, co przedtem posiali, a posiali, wbrew własnym złudzeniom, nie ciężką pracą i ciężkie osobiste ofiary, lecz talent, dość rzadki talent, taki, którego nawet obdarzeni nim ludzie nie lubią talentem nazywać, talent niedostępny dla każdego, kto gotów jest w pocie czoła o niego zabiegać — talent do manipulowania pieniędzmi.

Jakżeby mogli być szczęśliwi, gdyby uznali swój dar i chlubili się nim, zajmując wobec świata postawę utalentowanych egocentryków, podobnie jak malarze, muzycy i rzeźbiarze. Ale oni uprawiali inny styl. Uparcie degradowali swój talent do poziomu zwykłej nabytej wiedzy i pracowitości. Pragnęli uchodzić za mędrców, którzy poznali drogi tego świata, i za wytrawnych polityków; chcieli na własnym przykładzie udowodnić, czym mogłoby stać się

szary człowiek, gdyby zechciał myśleć trzeźwo i zadowolili się zbieraniem tylko tego, co posiał. Zarówno oni, jak ich żony (przeważnie podobne do papug lub buldogów) pozbawieni byli wesołości i z wyjątkiem chwil pijaństwa wydawali się tak skwaszeni, że szary człowiek — jak sobie mówiłem — mógł tylko dziękować Bogu, iż nie jest taki jak oni.

Sądziłem, że wiedzą o szarym człowieku mniej ode mnie, bo ja biłem się na wojnie w szeregach szarych ludzi, podczas gdy oni przeważnie byli oficerami. Widziałem na własne oczy bohaterstwo szarego człowieka, a także jego nieszczemność, wrażliwość i bezmyślne okrucieństwo, ale nigdy nie zauważyłem większych zdolności do obmyślania lub przeprowadzania konsekwentnych, gruntownie przestudowanych, dalekosiężnych planów; szary człowiek, tak samo jak przemądrzali bogacze, zdany był na łaskę własnych emocji. Gdzie można znaleźć mądrość i zrozumienie? Na pewno nie wśród „kaptalistów” Boya Stauntona i nie wśród klepiących biedę rezonerów w szkolnym pokoju nauczycielskim ani też na wiecach socjalistów i komunistów, które niekiedy rozpędzała na placach miejskich policja. Zdawało mi się, że jestem jedyną w otoczeniu osobą, która zna plan zdolny dźwignąć świat z upadku i otrzeć łzę z każdego oczu. Nic dziwnego, że we własnej ojczyźnie czułem się jak cudzoziemiec.

Nic dziwnego też, że szukałem miejsca, gdzie czułbym się u siebie w domu, i aż do pierwszego pobytu w brukselskim Collège de Saint-Michel myślałem w swej naiwności, że mógłbym to miejsce znaleźć wśród bollandystów. Spędziłem tam kilka bardzo szczęśliwych tygodni, bo natychmiast przyjęli mnie do kolegium cudzoziemskich studentów, a w miarę jak poznawałem niektórych kierujących instytucją jezuitów, pozyskiwałem sobie coraz więcej względów i mogłem swobodnie korzystać ze wspaniałej biblioteki. Przeszło sto pięćdziesiąt tysięcy książek o świętych! Istny raj dla mnie!

Często jednak, zazwyczaj koło trzeciej po południu, gdy powietrze gęstniało, a współtowarzysze studiów zasypiali przy sąsiednich biurkach nad swoimi skryptami, myślałem: „Dunstanie Ramsayu! Co ty, u licha, robisz tutaj? Co sobie wyobrażasz? Dokąd to ma cię zaprowadzić? Skończyłeś trzydzieści cztery lata, nie masz żony ani dziecka, nie masz

żadnych określonych planów prócz własnego kaprysu, uczysz chłopców, którzy, bardzo zresztą słusznie, uważają cię za słup miłowy na swojej drodze i pójdą nią dalej mijając cię jak słup, bez jednego spojrzenia; nie masz innych więzi z ludźmi prócz obowiązku opieki nad obłąkaną kobietą, z którą kojarzysz jakieś nedorzeczne złudzenia; ślęczysz tutaj nad żywotami świętych równie fantastycznymi jak czarodziejskie baśnie, spisany przez ludzi wyzutych ze zmysłu historycznego i pomimo wszystko nie umiesz uwolnić się od przeświadczenia, że spędzasz czas pożytecznie. Dlaczego nie jedziesz do Harvard, nie zrobisz doktoratu, nie spróbujesz zdobyć stanowiska na uniwersytecie i wyższej intelektualnej rangi? Obudź się, człowieku! Inaczej prześniesz całe życie!”

A potem dalej mozoliłem się, żeby dociec, dlaczego Marię Magdalenę utożsamiano z Marią, siostrą Marty i Łazarza, czy ta para siostr, z których jedna jest uosobieniem cnót gospodarskich, a druga zmysłowości, mają jakieś rzeczywiste pierwowzory w wierzeniach pogan, a także — cóż za próżniak i osioł ze mnie! — czy ojciec ich nie jest gdzieś w Biblii opisany jako typ podobny do bogaczy bywających na prozonych obiadach u Boya Stauntona. Jeśli był takim człowiekiem, cóż dziwnego, że córka zeszła na złą drogę?

Mimo tych popołudniowych wątpliwości i wyrzutów, jakie sam sobie niekiedy czyniłem, nie wyrzekłem się przekonania, dość zresztą mglistego, że poważne studia nad jakąkolwiek doniosłą dziedziną ludzkiej wiedzy, nad jakąś teorią czy wierzeniami, jeśli badamy je z krytycznym, ale nie okrutnym nastawieniem, przyniosą w końcu jakieś cenne i trwałe owoce: pomogą zrozumieć istotę życia i prawdziwe przeznaczenie człowieka. Droga, którą wybrałem, była rzeczywiście niezwykła dla młodego protestanta wychowanego w Deptford, ale przecież los pchnął mnie w tym kierunku tak wyraźnie, że opór wydawał mi się niebezpiecznym zuchwalstwem. Jak pan już zapewne rozumiał, należę do ludzi współdziałających z losem, a nie do tych, którzy przystawiają mu pistolet do skroni i wymuszają określone dary dla siebie. Nie pozostało mi nic innego, jak dalej trwać przy swoich planach, wierzyć w swój kaprys, pamiętać, że na mnie, tak samo jak na świętych, światło prawdopodobnie spłynie z jakiegoś niespodziewanego źródła, jeśli w ogóle będzie mi ono dane.

Towarzystwo bollandystów liczyło niewielu członków, toteż mogłem z czasem poznać, przynajmniej przelotnie, większość jezuitów należących do tego grona, bardzo miłych i uprzejmych ludzi. Dzisiaj uświadamiam sobie, że chociaż prędko pozbyłem się niedorzecznych uprzedzeń do jezuitów, pewien osad nieufności został na dnie mojego umysłu. Obawiałem się, na przykład, jakiejś nadprzyrodzonej chytrności z ich strony i postanawiałem być niezmiernie ostrożny w rozmowach. Nie mam pojęcia, jakie sekrety chciałem tym sposobem chronić, ale jeśli nawet byli obdarczeni jakąś wyjątkową przebiegłością, nie marnotrawili tego talentu na moją skromną osobę. Podejrzewałem też, że zwęszą przewrotną protestancką krew w moich żyłach i nigdy nie pozyskam ich zaufania. Tymczasem stało się przeciwnie, jako protestant zaciekawiałem ich i okazywali mi specjalne względy. W tamtych latach nie posługiwano się jeszcze tak powszechnie jak teraz indeksem kartkowym do robienia notatek, więc zainteresowali się moją metodą. Większość z nich używała po prostu świstków papieru, które porządkowali ze zdumiewającą dla mnie sprawnością. Jednakże mimo najuprzejmniejszego traktowania wiedziałem, że zawsze pozostanę tylko gościem w tym kurtuazyjnym, odgradzonym od reszty świata kręgu, i prędko odkryłem, że Societas Jesu nie zachęca swych członków do nawiązywania poufalszych przyjaźni z nikim, nawet z innymi jezuitami. Byłem przyzwyczajony do obywania się bez bliskich przyjaciół, ale żywiłem skrytą nadzieję, że tutaj, wśród ludzi dzielących moje najgłębsze zainteresowania, sytuacja okaże się inna.

Tym bardziej pochlebiło mi, gdy po kilku rozmowach, jakie z nim miałem, ojciec Delehaye, naczelny redaktor *Analectów*, powiedział:

— Nasze wydawnictwo, jak panu wiadomo, drukuje materiały dostarczane przez bollandystów oraz ich przyjaciół. Mam nadzieję, że będzie pan naszym częstym korespondentem, a w miarę możliwości także gościem, bo teraz zaliczamy pana niewątpliwie do grona naszych przyjaciół.

Powiedział mi to na pożegnanie, gdyż nazajutrz miałem wyjechać do Wiednia w towarzystwie pewnego sędziwego bollandysty, ojca Ignacio Blazona.

Ojciec Blazon był jedynym dziwacznym zjawiskiem, jakie zaobserwowałem w Collège de Saint-Michel. Odcinał się

jaskrawo na tle statecznego i konwencjonalnego sposobu bycia pozostałych jezuitów i myślę, że tamci trochę się za niego wstydzili. Był manifestacyjnie — można by nawet rzec teatralnie — kapłanem, na przekór jezuickiemu stylowi. W czterech ścianach zawsze, a często także po mieście chodził w sutannie, co było dość źle tutaj widziane. Zmięty czarny kapelusz wyglądał tak, jakby rozpoczął swoją karierę na głowie Don Basilia w *Cyruliku sewilskim*, lecz z biegiem lat utracił blask i fason. Ojciec Blazon nosił aksamitną pozieleniałą ze starości piuskę z przetartymi do białości szwami i nawet wychodząc z domu zatrzymywał ją pod kapeluszem. Większość jezuitów paliła z umiarem papierosy, ojciec Blazon bez umiaru zażywał tabakę z dużego rogowego puzderka. Oprawkę okularów miał wzmocnioną brudnym sznurkiem. Włosom przydałoby się już nie strzyżenie, a wręcz koszenie. Duży bulwiasty nos błyszczał czerwienią. Zębów zostało mu niewiele, więc policzki zakłęśły. Powierzchność miał rzeczywiście tak farsową, że żaden reżyser teatralny z jakim takim smakiem nie puściłby go na scenę w tej przesadnej charakteryzacji. A jednak taki, jaki był, dreptał po bibliotece bollandystów nucąc pod nosem, hałaśliwie niuchając tabakę i zaglądając ludziom przez ramię, ciekawy, co czytają.

Wkrótce zrozumiałem, że jest tolerowany ze względu na wielką erudycję, a także, jak myślę, na podeszły wiek. Mówił płynnie po angielsku z bardzo nikłym cudzoziemskim akcentem i przeskakiwał z jednego języka na drugi z wirtuozerią, która każdego musiała zadziwiać, a jemu sprawiała nie ukrywaną przyjemność. Kiedy go pierwszy raz zobaczyłem, perorował zżywieniem do jakiegoś irlandzkiego mnicha po irlandzku, nie zważając na dyskretne psykanie i szept: „Tacete!” dyżurnego bibliotekarza. Kiedy pierwszy raz mnie zauważył, spróbował mnie speszyć zagadując po łacinie, ale znalazłem się na wysokości zadania i po wymianie kilku wstępnych formułek przeszliśmy na angielski. Prędko dowiedziałem się, że ojciec Blazon lubi jeść i jest wielkim smakoszem, toteż często jadalśmy razem obiady.

— Jestem urodzonym gościem — powiedział. — Jeśli pan weźmie na siebie rachunek, z radością zrewanżuję się informacjami o świętych niemożliwymi do znalezienia w naszej bibliotece. Jeśli natomiast będzie pan nalegał,

abym z kolei wystąpił w roli gospodarza, będę żądał, aby pan mnie zabawił, ale uprzedzam, że mnie niełatwo zabawić, monsieur Ramezay. Jako gospodarz jestem wymagający, niedostępny, kłopotliwy. Jako gość — po prostu inny człowiek, może mi pan wierzyć!

Wobec czego zawsze byłem gospodarzem i zwiedziliśmy wszystkie najlepsze restauracje w Brukseli. Ojciec Blazon spełnił z nawiązką swoje obietnice, a gdy się któregoś dnia specjalnie zapalił, niemal zaczął krzyżeć, tak że musiałem go uciszać. Ludzie siedzący przy pobliskich stolikach gapił się na nas, a biusty pań — sądząc z pozorów, nabożnych — falowały z oburzenia. Ojciec Blazon omiół salę dzikim wzrokiem melodramatycznego spiskowca i przyciszył głos do syczącego szeptu. Drobiny jadła, tryskające wraz ze śliną z jego ust, rozsiane były na obrusie.

— Wszystkie te okropności, jakie ludzie opowiadają o świętych, wcale nie świadczą o braku szacunku, wprost przeciwnie. To głos wiary! Miłości, która tuli świętego do serca i uzupełnia jego charakterystykę tym wszystkim, co przemilczą historia i legenda, co on sam pewnie w sobie stłumił, walcząc o świętość. Święty tryumfuje nad grzechem. Tak, ale większość ludzi nie może się na to zdobyć, więc z miłości, chcąc, żeby ukochany święty był bardziej do nas podobny, przypisujemy mu naszą własną niedoskonałość. Oczywiście nie zawsze w sprawach płci. Tomasz z Akwinu był potwornym tłuściochem, święty Hieronim — straszliwie porywczy. To pociecha dla grubasów i złośników. Człowiek nie może znieść doskonałości, która go przytłacza. Wymaga, żeby nawet za świętymi wlokła się smużka cienia. Jeśli ci najlepsi, którzy tak szlachetnie żyli, lecz ciągnęli za sobą swój cień, zdołali zbliżyć się do Boga, jest nadzieja dla nas, dla najgorszych z nas.

Czasem zastanawiam się, dlaczego tak niewielu świętych oznaczało się mądrością. Oczywiście byli między nimi także mądrzy ludzie, ale przeważają głupi. Często myślę, że Bóg mniej ceni rozum niż cnoty heroiczne. Mądrość jest nieefektywna, nie strzela fajerwerkami pod niebo. Większość ludzi lubi efektywne widowiska. Trudno ich za to ganić. Ale co do mnie, dziękuję pięknie, mam inny gust.

Z tym więc uczonym gadułą wyruszyłem z Brukseli w drogę do Wiednia. Zgodnie z jego wolą stawiłem się wcześniej na dworcu i zastałem go już w wagonie, niepodziel-

nie panującego nad pustym przedziałem. Skinął na mnie, żebym tam wszedł, nie przerwał jednak swoich zajęć, to znaczy głośnego czytania brewiarza przy otwartym oknie, aby przechodzący pasażerowie mogli go słyszeć.

— Niech mnie pan wesprze w Pater noster — powiedział i zaczął grzmiącym głosem, ile sił w płucach, recytować po łacinie Modlitwę Pańską. Przyłączyłem się do chóru z nie mniejszą energią; dorzuciliśmy jeszcze kilka gromkich Ave i Agnus Dei. Dzięki tym pobożnym hałasom zachowaliśmy przedział na wyłączny nasz użytek. Ludzie podchodzili do drzwi, ale słysząc, co się święci, umykali mrucząc gniewnie jak najdalej od takich współpasażerów.

— Dziwna rzecz, jak podróżni stronią od wspólnej modlitwy, która przecież — kto wie? — może ich uchronić od jakiejś okropnej katastrofy — rzekł ojciec Blazon mrugając do mnie uroczyście, gdy rozległ się gwizdek konduktora, lokomotywa sapnęła i pociąg wytoczył się z dworca. Rozpostarł na kolanach dużą chustkę, umieścił pośrodku niej tabakierkę, swój sponiewierany kapelusz odłożył na siatkę, gdzie już spoczywał tobołek obwiązany szalikiem, i usadowił się wygodnie do dłuższej rozmowy.

— Czy nie zapomniał pan koszyka z prowiantami? — zapytał. Oczywiście wziąłem ze sobą zapasy i nie poskąpiłem niczego. — Przeworność radzi niezwłocznie wypić kieliszek brandy — powiedział. — Znam tę trasę, ruch pociągu bywa czasem mocno nieprzyjemny. — Napoczęliśmy więc butelkę już o wpół do dziesiątej rano i wkrótce ojciec Blazon rozgadał się nie żałując głosu; zawsze wolał monolog od dialogu. Streszcze tu pokrótce jego wywody.

— Nie zapomniałem pańskiego pytania co do tej kobiety, którą pan utrzymuje w domu wariatów, Ramezay. Nic na ten temat nie mówiłem podczas naszych obiadów, ale zapewniam pana, że myślałem o tym. I niezmiennie dochodzę do tej samej konkluzji: Dlaczego pan się o to tak troszczy? Cóż by panu z tego przyszło, gdybym powiedział, że to jest naprawdę święta? Nie ja kreuję świętych i nie papież może to zrobić. My tylko uznajemy świętość, gdy ją poświadczają niezbite dowody. Jeżeli pan ją uważa za świętą, jest dla pana święta. Czego więc pan chce? To jest, jak my mówimy, rzeczywistość duchowa; pan jest szalony, że wymaga ponadto aprobaty świata. Ta kobieta jest protestantką. Cóż z tego? Rozumie się, być protestantem to znaczy znaleźć się na

połowie drogi do ateizmu, a niezliczone wasze sekty od czasu tak zwanej reformacji nie uznają nawet swoich własnych świętych. Ale duch chrześcijaństwa nie pozwala nam wykluczyć możliwości objawienia się cnót heroicznych wśród protestantów. Niech pan zaufa własnemu sądowi. Przecież wy, protestanci, właśnie o prawo do własnego sądu upominaliście się tak gwałtownie!

— Ale mnie chodzi o cuda. Ojciec w tym rozumowaniu wcale nie bierze pod uwagę cudów.

— Ech, cuda! Na każdym kroku dzieją się cuda. Ale zależą od okoliczności. Jeżeli ja pana sfotografuję, potraktuje pan to jako komplement dla siebie albo jako nudziarstwo. Jeżeli natomiast pojedę do puszczy Ameryki Południowej i sfotografuję człowieka z jakiegoś pierwotnego plemienia, on będzie to zapewne uważał za cud, a może przerazi się, że ukradłem cząstkę jego duszy. Jeżeli sfotografuję psa i pokażę mu jego wizerunek, nie robi to na nim najmniejszego wrażenia, bo pies nie wie, jak wygląda, gubi swoją indywidualność w zbiorowej psiej tożsamości. Cuda to zjawiska, których ludzie nie umieją sobie wytłumaczyć. Pańska sztuczna noga wydawałaby się ludziom średniowiecza cudem, a może nawet diabelską sztuczką. Cuda w dużym stopniu zależne są od czasu i miejsca, od ludzkiej wiedzy i niewiedzy. Jadę teraz do Wiednia, żeby w dawnej Cesarzkiej Bibliotece pracować nad katalogiem manuskryptów greckich. Będę tonął w powodzi cudów, bo prości greccy mnisi uwielbiali cuda i dopatrywali ich się we wszystkim. Szczerze wyznam, że z pewnością obrzydłą mi cuda, nim skończę tę robotę. Samo życie dla nas jest tak wielkim cudem, że nie warto robić tyle hałasu wokół błahych, drobnych wyłomów w tym, co pompatycznie nazywamy porządkiem naturalnym.

Proszę spojrzeć na mnie! Ja też jestem swego rodzaju cudem. Moi rodzice, Hiszpanie, prości ludzie, mieszkali niedaleko Pamplony. Mieli siedem córek — niech pan pomyśli, Ramezay, siedem! Biedna matka ugiwała się pod brzemieniem wstydu. Złożyła więc uroczyście ślubowanie, że jeśli urodzi syna, poświęci go na służbę Bogu. Ślubowała w kościele jezuitów, toteż oczywiście, dodała jeszcze obietnicę, że zrobi z chłopca jezuitę. W niespełna rok potem przyszedłem na świat ja, mały Ignacio, ochrzczony imieniem świętego założyciela Towarzystwa Jezusowego. Myślę, że

dla genetyka nie ma nic nadzwyczajnego w tym, że po siedmiu córkach kobieta urodziła syna, ale dla mojej matki był to cud. Sąsiadki — wie pan, jak to zawsze sąsiadki — mówiły: „Poczekajmy, teraz dopiero zaczną się kłopoty, chłopiec okaże się łobuzem. Więzienia pełne są takich ofiarowanych przed ołtarzem synów!” Czy się sprawdziła ta przepowiednia? Nic podobnego! Można by myśleć, że z łona matki już wyszedłem jako jezuita, chętny do nauki, posłuszny, inteligentny i czysty. Spójrz pan na mnie, Ramezay! Do siedemdziesiątego siódmego roku życia zachowałem dziewictwo. Czy wielu ludzi może to o sobie powiedzieć? Dziewczęta robiły, co mogły, żeby mnie skusić; moje siostry zachęcały przyjaciółki, żeby próbowały mnie uwieść, bo rozumiały tylko zwykłą miarę czystości, a moja wydawała się odrażająca. Ale ja zawsze odpowiadałem: „Bóg dał nam klejnot czystości nie po to, żebyśmy ją wdeptywali w błoto, moja miła Dolores (czy Mario, czy jak jej tam było). Módl się o dobre uczciwe małżeństwo i kochającego męża, a o mnie nawet nie myśl”. Och, jak je to złościło! Jedna rzuciła we mnie sporym kamieniem, po dziś dzień mam bliznę na głowie, o tu, gdzie dawniej zaczynały się włosy. To był prawdziwy cud, bo co rano nieomylnie dowody przekonywały mnie, że mógłbym być wspaniałym kochankiem — rozumie pan? — ale bardziej kochałem swoje powołanie.

Kochałem je tak, że gdy nadszedł właściwy czas i gdy zgłosiłem się do jezuitów, moi egzaminatorzy nie mogli pozbyć się nieufności. Byłem za dobry, żeby być prawdziwy. Niepokoiła ich ta historia — ślub matki, moja wstrzeźliwość. Obwąchiwali mnie ze wszystkich stron starając się wykryć jakiś ślad nieodkupionej natury, jakiś cień, jak to przed chwilą określiliśmy, i nie mogli nic znaleźć. Czy uwierzy pan, Ramezay, że to stało się zawadą na mojej drodze nie mniejszą, niż gdybym był krnąbrnym opozycjonistą i awanturnikiem. Tak, tak, ciężki miałem nowicjat, a gdy przez niego wreszcie przebrnąłem i byłem już biegłym scholastykiem, kazano mi spełniać wszelkie możliwe najczarniejsze roboty, żeby sprawdzić, czy się nie załamie. Siedemnaście lat czekałem, aby pozwolono mi złożyć cztery ostatnie śluby i stać się pełnoprawnym członkiem Towarzystwa Jezusowego. A potem... no, sam pan widzi, czym się stałem teraz. Myślę, że jestem pożyteczny,

pracowałem solidnie dla bollandystów, nikt jednak nie nazwie mnie ozdobą naszego zakonu. Jeśli kiedyś byłem cudem, dawno to się skończyło. Mój cień ukazał się dopiero wtedy, gdy doszedłem do późnego wieku.

Wie pan, że wychowanie jezuitę opiera się na surowej reformie jaźni i dążeniu do gruntownego poznania siebie. Zanim człowiek złoży ostateczne śluby, powinien wykorzenić ze swojej religijności wszelkie pierwiastki uczuciowe i wszelką grę wyobraźni. Sądzę, że to osiągnąłem o tyle, o ile moi przełożeni mogli mnie poznać. Ale po czterdziestce zaczęły mi chodzić po głowie różne myśli i zadawałem pytania, które nie powinny były mi się nasuwać. Mężczyźni tak samo jak kobiety przeżywają klimakterium. Lekarze temu przeczą, ja jednak nawet wśród nich spotkałem wielu panów z objawami wieku przejściowego. Wracajmy lepiej do tych moich myśli. Na przykład o Chrystusie. Ma przyjść powtórnie, prawda? Mówiąc otwarcie, wątpię, czy kiedykolwiek odszedł od nas daleko. Ale przypuśćmy, że przyjdzie po raz drugi; wszyscy chyba liczą, że przyjdzie, aby dla nich wyciągnąć kasztany z ognia. Co powiedzą, jeśli przyjdzie depcząc winnice, wypędzając biczem przekupniów z świątyni jednego dnia, a drugiego zasiadając do stołu z bogaczami, jak to robił ongiś? Gniew Jego jest straszliwy, na pewno odziedziczył go po swoim Ojcu. Czy przyjdzie na zachodzie — dajmy na to jako Irlandczyk albo Teksańczyk — ponieważ Zachód jest twierdzą chrześcijaństwa? Czy położy kres sporom między katolikami a protestantami? Te pytania wydają się niepoważne, wręcz dziecinne. Ale czyż On nie kazał nam upodobnić się do dzieci?

Mnie osobiście marzy się, że gdy przyjdzie powtórnie, to po to, by kontynuować swoją misję jako człowiek stary. Jestem stary, całe życie byłem żołnierzem Chrystusowym, ale muszę panu wyznać, że, w miarę jak mi przybywa lat, coraz mniej do mnie przemawiają Jego nauki. Niekiedy bardzo dotkliwie uświadamiam sobie, że idę ścieżką wskazaną przez Przewodnika, który umarł nie dożywszy nawet połowy mojego wieku. Odczuwam i widzę rzeczy, których On nie mógł widzieć ani odczuwać. Wiem o rzeczach, o których On chyba nie wiedział. Każdy pragnie takiego Chrystusa, jaki jest najpotrzebniejszy jemu i tym, co myślą podobnie jak on. Czy to źle, że pragnę Chrystusa,

który by mnie nauczył, jak powinien żyć stary człowiek? Nauka Chrystusa głoszona była dogmatycznie, z pewnością i energią charakterystycznymi dla młodych. Mnie potrzeba nauki uwzględniającej nagromadzone z czasem doświadczenie, wycucie paradoksu i dwuznaczności, którego nabywa się dopiero z wiekiem. Myślę, że po czterdziestce należałoby z szacunkiem uznawać Chrystusa, ale pociechy i rady szukać u Boga Ojca, który mądrością przewyższa wcielonego Syna. Bądź co bądź czcimy Tróję Świętą, a Chrystus jest tylko jedną Jej osobą. Myślę, że gdy przyjdzie powtórnie, ogłosi jedność życia cielesnego i życia duchowego. I wtedy może nabierze dla nas sensu to życie pełne cudów, okrutnych zrządeń losu, sprośności i pospolitości. Kto wie? Może nawet uda nam się uczynić je znośne dla każdego?

Nie zapomniałem o pańskiej obłąkanej świętej. Głupstwem wydaje mi się zgryzota, że to pan swoim zachowaniem się ściągnął na jej głowę tę śnieżną kulę. Może ta kobieta właśnie po to została zesłana? Pan mówi, że ocaliła pana na pobojuwisku. Może wcześniej już raz ocaliła pana przyjmując na siebie cios dla pana przeznaczony?

Nie namawiam, żeby pan rzucił z siebie obowiązek opieki nad nią. Jeśli ona nie ma bliższych przyjaciół, powinien pan oczywiście troszczyć się o nią. Ale niech pan przestanie zastępować Boga, próbując wynagrodzić jej to, że jest wariatką, podczas gdy pan ma wszystkie klepki w porządku. Niech pan zajmie się istotnym problemem: kim ona jest? Nie, nie chodzi mi o dane paszportowe czy też nazwisko panięskie, lecz o to, kim jest w pańskim osobistym świecie. Jaką postać reprezentuje w pańskiej osobistej mitologii? Jeżeli na polu bitwy zjawiła się panu niosąc ratunek, jak pan powiada, jest to prawdopodobnie sprawa równie ważna dla niej jak dla pana. Wiele ludzi w chwilach niebezpieczeństwa widzi swoją matkę. Dlaczego pan ujrzał nie matkę, ale właśnie tę kobietę?

Kim ona jest? To musi pan odkryć, Ramezay, i musi pan znaleźć odpowiedź w prawdzie psychologicznej, nie w prawdzie obiektywnej. Z pewnością nieprędko pan to osiągnie. Tymczasem, nie przestając szukać, niech pan przeżywa swoje własne życie akceptując wszystkie możliwości, jakie pan ma zapewne za cenę jej losu, bo może taka właśnie jest wola Boska w odniesieniu do niej i do pana.

Panu wydaje się to okropne? Dla niej, biedaczki złożonej w ofierze, i dla pana, który musi jej ofiarę przyjąć? Czy pan zna powiedzenie Einsteina? Einstein, genialny fizyk, nie jakiś tam jezuita, jak stary Blazon, powiedział: „Bóg jest podstępny, lecz nie okrutny”. Tkwi w tym zdaniu głęboka żydowska mądrość, bardzo zdrowa dla waszych zmaconych protestanckich mózgów. Spróbuj zrozumieć podstęp, zamiast chlipać nad okrucieństwem. Może Bóg wyznaczył ci jakieś szczególne zadanie? Może coś tak ważnego, że jesteś wart ceny obłędu tej kobiety?

Czytam w pańskich chytrych szkockich oczach! Pomyślał pan, że gadam tak, ponieważ smakował mi zafundowany przez pana piknik. „Starego Blazona natchnął kurczak pieczony, sałata, śliwki i słodycze, butelka wina wzmocniona łykniętą przedtem wódką. — Tak, tak myśli pan! — Dlatego radzi mi nabrać o samym sobie dobrego mniemania, zamiast gardzić sobą, jak przystało gorliwemu protestantowi!” Bzdura, mój panie! Ja jestem stary i mądry, ale nie jestem eremitą na puszczy, który umie prorokować tylko wtedy, gdy głód skręca mu kiszki. Niemało nagłowilem się nad problemem starości próbując połączyć mądrość ciała z mądrością ducha tak, aby zespoliły się w jedno. W moim wieku nie można oddzielać ciała od duszy bez udręki i szkody, wtedy dopiero gadałbym głupstwa i kłamstwa.

Pan jest jeszcze dość młody, żeby uważać duchowe męczarnie za coś wzniosłego, za dowód wyższości moralnej. Ale nie jest pan już młodzieńcem, wkracza pan w wiek średni, pora zrozumieć, że taka duchowa gimnastyka nie prowadzi do mądrości. Przede wszystkim, trzeba sobie przebaczyć, że jest się tylko człowiekiem. To wstęp do wielkiej mądrości, cząstka tego, co nazywamy bojaźnią Bożą, a dla pana jedyna droga, żeby ocalić równowagę psychiczną. Niech pan z tym nie zwleka dłużej, bo inaczej skończy pan razem ze swoją świętą w domu wariatów.

To rzekłszy Blazon nakrył chustką twarz i zasnął pozostawiając mnie samego z moimi myślami.

4

Łatwo było ojcu Blazon udzielać rad i przypominać o nich od czasu do czasu pocztówką (zwykle z reprodukcją

jakiegoś rubasznego dzieła mistrzów Renesansu, bo lubił akty o bujnych kształtach) z wypisanymi fioletowym atramentem takimi na przykład kilku zdaniem: „Jak się panu powodzi w Wielkiej Bitwie? Kim ona jest? Modłę się za pana I.B.S.J.” Intrygowało to mocno moich kolegów, bo w naszej szkole rzadko kartka dochodziła do rąk adresata nie przeczytana przedtem przez co najmniej dwie lub trzy osoby. Ale nawet gdybym był bardziej skłonny do słuchania cudzych rad, niż jestem, nie mógłbym zastosować się do nich bez trudności.

Wizyty u Mary Dempster bardzo mi ciążyły. Nie sprawiała szpitalowi kłopotów jako pacjentka, lecz otępienie pogłębiło się i nie zdarzały się już teraz nawet przebliski duchowego życia, które obserwowałem w okresie, gdy mieszkała z panną Shanklin. Cotygodniowe moje odwiedziny były wydarzeniem w jej monotonnej egzystencji i w sobotnie popołudnia zawsze mnie oczekiwała w kapeluszu na głowie. Rozumiałem wymowę tego kapelusza: wyrażał nadzieję, że tym razem zabiorę ją z zakładu. Podobnie łudziły się liczne inne pacjentki, a gdy pojawiał się lekarz naczelny, rozgrywały się dramatyczne sceny: kobiety czepiały się jego rękawów, a nawet — nie uwierzyłbym, gdybym tego nie widział na własne oczy — padały przed nim na kolana i usiłowały całować go po rękach, wszystkie bowiem chore, które miały jakąś swobodę ruchów, wiedziały, że od tego człowieka zależy ich wyzwolenie. Kilka młodszych próbowało wprowadzać ton erotyczny do tych próśb: „Doktoru, ja przecież jestem twoją dziewczyną! Wypuścisz mnie już teraz na wolność, co? Wiem, że mnie lubisz bardziej niż inne!” Ja bym tego nie mógł znieść, ale on znosił wszystko cierpliwie. Opary seksualizmu w takim miejscu budziły we mnie wstręt. Oczywiście uchodziłem tam za „chłopaka pani Dempster” i przyjaciółki podniecały w niej nadzieję, że następna moja wizyta przyniesie jej wyzwolenie. Ofiarowywałem jej czekoladki, żeby mogła częstować te liczne towarzyszkę niedoli, których nikt regularnie nie odwiedzał.

Podkreślam, że nie rościłem pretensji do szpitala; duża instytucja w wielkim mieście musiała przyjmować wszystkich kierowanych do niej chorych. Ale nie byłem zdolny wytrzymać dłużej niż godzinę wśród tych przez nikogo nie kochanych półprzytomnych kobiet. Wiele z nich poznałem

osobiście i zabawiałem je opowieściami, a ponieważ w moim repertuarze miałem głównie żywoty świętych, opowiadałem ich w szpitalu mnóstwo, unikając jednak historii zbyt cudownych i niepokojących, zwłaszcza — nauczony smutnym doświadczeniem — historii o cudownym uwolnieniu z więzienia czy z jakichkolwiek pęt. Lubiły mnie słuchać, a ja przemawiając do całej grupy nie musiałem męczyć się próbami nawiązania rozmowy z panią Dempster i nie widziałem niemego oczekiwania w jej oczach.

Podczas tych wizyt w szpitalu wryła mi się głęboko w świadomość prawda, że chociaż obłąd okalecza rozum, uczuciowość pozostaje niezmiernie żywa w psychice chorych. Wiem, że moje odwiedziny sprawiały pani Dempster wielką przyjemność, pomimo zawodu, że odchodząc nie zabieram jej z sobą; w każdym razie byłem jej gościem, a inne kobiety ceniły mnie jako interesującego człowieka, który opowiada mnóstwo ciekawych historii, tak że nabierała wskutek tego pewnego znaczenia w gronie swoich towarzyszek. Wstydzę się przyznać, ile mnie kosztowały te wizyty, w niektóre soboty musiałem niemal batem popędzać się do szpitala i przeklinałem ten ciężący na mnie dożywotni, jak się zdawało, wyrok.

Powinienem był odnosić się obiektywnie do tej sprawy, traktować ją jak „dobry uczynek”. Ale było to niemożliwe z powodu bliskiej więzi łączącej mnie z panią Dempster. Miałem wrażenie, że odwiedzam cząstkę własnej duszy skazanej na pobyt w piekle.

Może zastanawia się Pan, Panie Dyrektorze, dlaczego nie zwróciłem się do Boya Stauntona o pieniądze na umieszczenie pani Dempster w lepszym zakładzie; chodziło przecie o rodaczkę z Deptford, dotkniętą nieszczęściem, nie mówiąc już o roli, jaką Staunton odegrał przyczyniając się do jej smutnego losu. Niełatwo na to pytanie odpowiedzieć. Staunton nie lubił, żeby mu przypominać Deptford, chyba w żartach. Przy tym Boy, jeśli brał udział w jakiejś sprawie, zawsze brał w swoje ręce władzę nad nią. Gdyby zgodził się pomóc — nie jest to wcale pewne, bo zawsze podkreślał, że wstępnym warunkiem sukcesu jest zdolność do powiedzenia „nie” — mianowałby sam siebie protektorem pani Dempster i jej zbawcą; ja zostałbym zdegradowany do rangi jego agenta. Moje motywy nie były jasne ani czyste: uparcie wierzyłem, że gdybym ja nie mógł opiekować

się panią Dempster, nikt inny nie powinien mnie w tym zastąpić. Mary Dempster należała do mnie.

Można by zapytać: jeśli nie stać cię było na umieszczenie tej kobiety w prywatnym zakładzie lub przynajmniej na oddziale pacjentów prywatnych w publicznym szpitalu, jakże mogłeś pozwalać sobie na zagraniczne podróże co lato? Na te wojaże, jak się zdaje, nie żałowałaś sobie! Racja, ale mimo poczucia obowiązku wobec pani Dempster nie zapominałem całkowicie o własnych potrzebach i zainteresowaniach. Entuzjazm wciągał mnie w świat świętych, ambicja kusiła, aby wyróżnić się wyjaśniając ich sekrety innym ludziom. Potrzebowałem też jakiegoś odpoczynku i odświeżenia głowy.

Zapiski w moim dzienniku świadczą, że odwiedzałem panią Dempster czterdzieści razy w ciągu roku w soboty, a ponadto w święta Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy, a także w dzień jej urodzin. Jeśli to się wydaje Panu za mało, proszę samemu spróbować takich wizyt, Panie Dyrektorze, i wtedy dopiero wydać sąd. Zawsze ze zgnębieniem przyjmowała wiadomość, że wyjeżdżam na letnie ferie, ale starałem się tym nie wzruszać i tylko obiecywałem jej mnóstwo pocztówek, bo Mary Dempster ogromnie lubiła obrazki, a otrzymywanie korespondencji podnosiło ją w oczach innych pacjentek. Czy robiłem dla niej wszystko, co było w mojej mocy? Zdaje mi się, że tak, ale stanowczo nie chciałem znaleźć się razem z moją świętą w domu wariatów, jak mi groził ojciec Blazon, stając się tylko dodatkiem do jej choroby.

Pochłaniała mnie też praca. Byłem już wtedy wicedyrektorem, miałem pełne ręce roboty. Skończyłem swoją pierwszą książkę *Stu świętych dla podróżnych* i rozchodziła się dobrze w pięciu językach, ale głównie w wersji angielskiej, bo Europejczycy nie podróżują tak wiele jak Brytyjczycy i Amerykanie. Napisałem ją po prostu obiektywnie, ucząc czytelników, jak identyfikować najpopularniejszych świętych, gdy napotkają ich wizerunki, obrazy i figury, wyjaśniałem, dlaczego zyskali popularność. Unikałem katolickich roztkliwiań i protestanckich uśmieszków. Zbierałem materiały do następnej książki, dużo obszerniejszej, zatytułowanej *Święci w świetle historii i mitologii ludowej*; chciałem w niej przede wszystkim rozważyć kwestię, dlaczego ludziom potrzebni są święci, a potem — w jakim

stopniu ta potrzeba wywiera wpływ na osiągnięcie świętości przez wiele bardzo różnych, niepospolitych i hojnie obdarzonych jednostek. Porwałem się na niemałe zadanie i wcale nie byłem pewny, czy mu sprostam, ale chciałem spróbować. Podtrzymywałem też kontakt z bollandystami, pisząc do *Analectów* oraz do Królewskiego Towarzystwa Historycznego, ilekroć miałem coś interesującego do powiedzenia.

Dałem się też wciągnąć głębiej niż przedtem w życie Stauntonów. Boy lubił moją obecność tak samo, jak lubił mieć w domu cenne obrazy i ładne dywany. Wnosiłem właściwy ton, inaczej mówiąc dawałem Boyowi przewagę nad przyjaciółmi, pozycję człowieka, u którego stale bywa gość z innego świata; kiedy przedstawiał mnie dodając po nazwisku wyjaśnienie: „Pisarz” — słyszałem dużą literę na początku tego wyrazu. Oczywiście znał innych pisarzy, malarzy, muzyków i aktorów, ale ja byłem najbardziej trwałym i najmniej kłopotliwym okazem w jego kolekcji.

Mógłby mi ktoś zarzucić, że szyderstwem odwdzięczam się za tony dobrego jada i beczki dobrych trunków skonsurowane pod dachem Stauntona; na usprawiedliwienie pozwolę sobie powiedzieć, że płaciłem za wstęp w jego wysokie progi: można było zaprosić mnie w ostatniej chwili, jeśli ktoś inny zawiódł, zabawiałem najnudniejszą z całego towarzystwa damę, rozpylałem atmosferę kultury na najbardziej nawet filisterskim zebraniu fabrykantów cukru i hurtowników wyrobów piekarniczych, nie poniżając jednak nigdy innych gości. Moja obecność w jadalni stanowiła niemal równoważnik Raeburna na ścianie; reprezentowałem uznaną wartość, miałem grubą powłokę werniksu i nikogo nie urażałem.

Dlaczego zgadzałem się zajmować pozycję, którą w tak niemiły sposób scharakteryzowałem? Po pierwsze przez nigdy nie nasyconą ciekawość ewolucji Boya, bo doprawdy lubiłem go pomimo jego afektacji i pompy. Po wtóre dlatego, że gdybym nie był u Stauntonów, gdzieżbym spotkał tak urozmaiconą galerię postaci. Po trzecie — nie przestałem być wdzięczny Boyowi za rady finansowe, które pomogły mi przetrwanie bez strat okresu depresji i które z czasem miały mi umożliwić poprawienie warunków bytu pani Dempster i zwiększyć moją swobodę ruchów w podró-

zach zagranicznych. Jak większością ludzi, mną także kierowały bardzo różne motywy.

Towarzyskie życie Boya interesowało mnie, ale jego życie prywatne wręcz fascynowało. Nie spotkałem drugiego człowieka, w którego życiu seks grałby równie dominującą rolę. Sam Boy nie zdawał sobie z tego sprawy. Powiedział mi kiedyś, że ów sławny Freud wydaje mu się wariatem z tą swoją teorią sprowadzającą wszystko do problemów płci. Nie próbowałem bronić Freuda; interesował mnie podówczas głównie fantastyczny przewodnik po najciemniejszych zakamarkach psychiki, C. G. Jung, ale przeczytałem sporo prac Freuda i zapamiętałem jego przestrożę, aby nie spierać się o zalety psychoanalizy z osobami, które są jej wrogie.

Seks tak wrósł w jego naturę, że Boy nie zauważał go, tak samo jak powietrza, którym oddychał. Mały Dawid miał być stuprocentowym mężczyzną pod każdym względem. Pamiętam głośną awanturę o lalkę w stroju szkockim, którą Leola pozwoliła bawić się chłopcu. Jego syn wychowany na mazgaja! Lalka powędrowała do kubła ze śmieciami na oczach płaczącego Dawida, który lubił brać ją ze sobą do łóżka (miał wtedy sześć lat). Na pocieszenie chłopczyk dostał piękną lokomotywę, ciągnącą miniaturową piłę tarczową, która naprawdę przecinała zapałkę na pół. Gdy Dawid miał osiem lat, ojciec dał mu bokerskie rękawice i nawet ukląkł, żeby syn mógł walnąć go w nos.

Do małej Karoliny odnosił się z żartobliwą galanterią. „Jak się dziś czuje moja ślicznotka?” — pytał całując jej małą rączkę. Gdy bona przyprowadzała ją do salonu pełnego gości, Boy potem wychodził z córeczką do hallu, aby ją zapewnić, że była najładniejszą dziewczyną w tym gronie. Nic dziwnego, że Dawid łatwo się peszył i żałośnie starał się wszystkim przypodobać, a Karolina była rozpieszczoną kapryśnicą.

Leola nigdy nie słyszała teraz, że była najładniejszą dziewczyną w salonie. Boy traktował żonę z rycerską wyrozumiałością, pod którą wyczuwało się irytację. Leola kochała go miłością nie cofającą się przed poniżeniem, ale była jedyną istotą, która nie pobudzała jego seksualnej energii, chyba tylko jej negatywną formę — tyranię. Próbowałem jej bronić, ile się dało, ponieważ jednak była całkowicie niezdolna bronić się sama, musiałem zachowywać wielką ostro-

żność. Jeżeli atakowałem Boya — co czasem się zdarzało — natychmiast stawała po jego stronie. Żyła w wyłącznej zawisłości od niego; nawet jeśli Boy stawiał jakieś poważne zarzuty Leoli, nic, co ja mógłbym powiedzieć w jej obronie, nie miało znaczenia, gdyż on nigdy się nie mylił.

Oczywiście obraz nie zawsze był tak czarno-biały. Pamiętam dzień, gdy Leola po raz pierwszy odkryła, że Boy romansuje z innymi kobietami. Stało się to na skutek klasycznego przypadku: znalazła kompromitujący liścik w jego kieszeni. Stauntonowie rzadko unikali szablonów we wszelkich istotnych sprawach życiowych.

Byłem naturalnie poinformowany o jego przygodach; Boy nie umiał ukrywać osobistych sekretów, zwykł usprawiedliwiać się ze swoich postępów późnym wieczorem, gdy już sporo wypiliśmy jego dobrej whisky.

— Człowiek mojego temperamentu nie może ograniczyć się do jednej kobiety, tym bardziej, jeśli jest związany z kobietą nie rozumiejącą, że zbliżenie seksualne polega na wzajemnej wymianie, nie dającą nic z siebie, leżącą po prostu jak worek piasku — mówił wykrzywiając się boleśnie, abym docenił jego męczeństwo.

Wtajemniczał mnie szczegółowo w swoje potrzeby seksualne: musi mieć kobietę często, i to nie byle jaką, lecz gorącą, namiętą, okrutną, dowcipną, zuchwałą, słowem prawdziwą kobietę. W jego relacji wyglądało to na męczącą harówkę, jak gdyby intensywny trening bokserki z workiem. Cieszyłem się w duchu, że nie mam takich wymagań. W Montrealu znał kilka pań — nie prostytutki, osoby wykształcone i inteligentne, które mimo małżeństwa nie wyrzekły się swobody — i odwiedzał je, jak mógł najczęściej; o pretekst do tych wycieczek nie było trudno, bo w Montrealu miał różne interesy.

Wzmianka o interesach przypomina mi o innej fazie seksualizmu Boya, której z pewnością on sam nie był świadomy, ale której przejawy zaobserwowałem u niego kilkakrotnie. Nazwałem to sobie „homoseksualizmem korporacyjnym”. Stale wyszukiwał obiecujących młodych ludzi, którzy by w jego służbie i dzięki niemu mogli zrobić karierę. Musieli to być gorliwi apostołowie cukru, pączków, prażonej kukurydzy czy tym podobnych artykułów, ale zarazem młodzieńcy o bystrym umyśle. Jeśli trafił na odpowiedniego kandydata, „brał go w swoje ręce”, zapraszał

na lunch do klubu, na obiad do domu, na prywatne rozmowy do dyrektorskiego gabinetu w biurze.

Wprowadzał tych młodych ludzi w arkana businessu, popierał ich szybki awans w hierarchii swego konsorcjum, czasem ku rozżaleniu starszych pracowników, nie tyle bystrych, ile kompetentnych i wydajnych.

Po kilku miesiącach przychodziło rozczarowanie. Bystry młody człowiek bywał z reguły ambitny, a że ambicja rzadko idzie w parze z wdzięcznością, prędko nabierał przeświadczenia, że po prostu otrzymuje to, co mu się należy, nie okazywał już ani takiej chęci słuchania rad, ani takiego uwielbienia jak na początku, a nawet niekiedy pozwalał sobie mieć własne, odmienne niż Boy opinie. Rozczarowany Boy dowiadywał się, że zdaniem tych swoich protegowanych powinien uważać się za szczęśliwca, mając tak utalentowanych współpracowników.

Niektórzy wobec nowych perspektyw kariery ośmielali się żenić, a wówczas Boy zapraszał ich wraz z żonami do swego domu na obiad. Potem zadawał im pytanie, dlaczego bystry młody człowiek mając wszelkie dane, by zrobić karierę, przekreśla swoje szanse sukcesu wiążąc się z głupią gęsią, która z pewnością stanie się kłodą na jego drodze do awansów w konsorcjum. W ten lub podobny sposób prawie wszyscy młodzieńcy zawiedli Boya, a ci nieliczni, którzy ominęli ten niebezpieczny zakręt, znudzili mu się naturalnym biegiem rzeczy i pozostali dobrze sytuowanymi, lecz pozbawionymi wpływów urzędnikami w jego królestwie.

Nie twierdę, że Boy traktował tych młodzieńców inaczej niż jako współpracowników w swoim przedsiębiorstwie, lecz w każdym razie ja wyczuwałem pod powierzchnią służbowej zależności jak gdyby stosunek Jowisza do podających ambrosję młodzieńców. Korporacyjni Ganimedzi nie znali swojej roli i dlatego sprawiali w końcu zawód Boyowi.

Leola ocknęła się podczas pamiętnych świąt Bożego Narodzenia 1936 roku, który Boyowi przyniósł silny wstrząs uczuciowy. Stary król, Jerzy V, umarł w styczniu, a ja, pamiętając spojrzenia, jakie z nim kiedyś wymieniliśmy, przez tydzień chodziłem w czarnym krawacie. Natomiast Boy wpadł w euforię, bo teraz „On” miał nareszcie wstąpić na tron; nie spotkali się z „Nim” w ciągu ubiegłych

dziwięciu lat, Boy został jednak niezachwianie wierny temu swojemu bohaterowi. Powtarzał wszelkie pogłoski, jakie doszły do jego uszu; spodziewał się ogromnych zmian, bezprzykładnego wzmocnienia autorytetu Korony, gruntownej czystki i usunięcia głupich starców, skupienia wokół nowego króla najświetniejszych młodych ludzi, no i oczywiście weselszego dworu, takiego, jakiego Anglia nie miała od czasów Karola II; „wesoły dwór” — to dla Boya znaaczyło, że zapanuje w sprawach płci styl boksterskiego treningu. Gdyby przeczytał dzieła pewnych psychologów, którzy głoszą, że koronowany i namaszczony król jest symbolicznym fallusem swojego narodu, niechybnie przyklasnęłyby tej tezie z zapalem.

Jak powszechnie wiadomo, wkrótce sprawy wzięły zupełnie inny obrót. Na północnoamerykańskim kontynencie dowiedzieliśmy się prawdy wcześniej niż mieszkańcy Wysp Brytyjskich, bo naszych gazet nie obowiązywała taktowna dyskrecja. Młody król — miał wtedy czterdzieści dwa lata, ale ludziom takim jak Boy wydawał się młodzieńcem — miewał kłopoty ze starszą generacją... i nawzajem. Stanley Baldwin, który towarzyszył księciu w jego podróży po Kanadzie w 1927 roku i którego Boy dotychczas czcił jako męża stanu z wyraźną żyłką literacką, teraz stał się jego osobistym wrogiem; o arcybiskupie Canterbury Boy wyrażał się tak, że nawet Woodiwiss — obecnie archidiakon — musiałby go zganić.

W okresie kryzysu mówiono o fantastycznym pomysle stworzenia grupy „giermków króla”, którzy mieli w jakiś niesprecyzowany sposób „stanąć u boku” swojego bohatera i wprowadzić jego wybrankę wraz z nim na tron. Boy należał do entuzjastycznych „giermków króla”; każdy, kto uchodzi za dżentelmena i rozumie wymagania miłości, powinien dzielić jego przekonania. Przy każdej okazji wygłaszał do mnie prelekcje na ten temat. Jako historyk współczułem królowi, ale nie widziałem dobrego czy wyraźnego wyjścia z tego galimatiasu. Zdaje się, że Boy nawet wystosował kilka telegramów z wyrazami solidarności i zachęty do króla, nie słyszałem jednak, aby otrzymał jakąś odpowiedź. Nadszedł czarny listopad i zacząłem obawiać się, że Boy traci rozum; czytał wszystkie gazety, słuchał wszystkich komunikatów radiowych, łowił wszystkie plotki. Nie byłem przy tym, gdy usłyszał posępną nowinę o abdy-

kacji dnia 11 grudnia, ale wieczorem zaszedłem do domu Stauntonów i po raz pierwszy w życiu ujrzałem Boya spietego na umór, to wybuchającego płaczem, to tyradami oburzenia na despotów sprzysiężonych przeciwko prawdziwej miłości i przejawom autentycznej osobowości.

Święto Bożego Narodzenia było u Stauntonów istnym sądnym dniem, Leola musiała sama kupić dla dzieci gwiazdkowe podarunki, które prawie wszystkie nie spodobały się jej mężowi. Gdy gruby portier z biur Alphy zjawił się w wypożyczonym przebraniu jako Święty Mikołaj, Boy przy dzieciach powiedział mu, żeby nie robił z siebie błazna i wracał lepiej do roboty, czyli wyniósł się do diabła. Nie spojrział nawet na prezenty od Leoli i dzieci. Kiedy przyszedłem do Stauntonów na wczesny gwiazdkowy obiad, już po odwiedzeniu w szpitalu pani Dempster, zastałem Leolę we łzach, Dawida skulonego w kącie z książką w ręku — której jednak nie czytał — a Karolinę biegającą po całym domu i usiłującą zainteresować kogoś lalką, którą już zdążyła połamać. Pożartowałem z Dawidem, naprawiłem lalkę na tyle, że pomimo pokieraszowania, znów trzymała się kupy, starałem się być miły dla Leoli. Boy powiedział, że jeśli chcę zachowywać się jak jeden z tych cholernych świętych, o których wciąż bredzę, to wolałby, żebym robił to gdzie indziej, ale nie u niego. Nieopatrznie poradziłem mu, żeby przyjął abdykację Edwarda VIII, jak się godzi mężczyźnie, a wtedy zaczął ziać milczącą nienawiścią tak, że każdy kęs przy obiedzie stawał nam wszystkim kością w gardle. Wreszcie oznajmił, że idzie przejść się i chce spacerować samotnie.

Leola współczując mi w strapieniu, poszła po jego palto i kapelusz i wtedy właśnie wyjmując z kieszeni rękawiczki wyciągnęła razem z nimi list jednej z tych „wyższych ponad przesady” kobiet w Montrealu. Wyszedłszy do hallu Boy zobaczył ją przykucniętą na schodach i szlochającą okropnie, i natychmiast odgadł przyczynę jej rozpacz.

— Nie masz powodu zachowywać się w ten sposób — powiedział biorąc z podłogi płaszcz i wkładając go. — Twoja pozycja nie jest ani trochę zagrożona. Ale jeśli wyobrażasz sobie, że dam się przykuć do tego wszystkiego — tu gestem wskazał w kierunku salonu, usianego szczątkami zabawek i przedstawiającego, trzeba przyznać, żaloszny

mimo bogactwa obraz rodzinnego życia — to bardzo się mylisz.

Wszedł zostawiając Leolę ryczącą głośno.

Przykro mi, że napisałem „ryczącą”, ale doprawdy Leola nie była piękna w tym dramatycznym momencie. Bona miała tego dnia wychodne, ale udało mi się wyprawić dzieci na górę do ich pokoi, po czym spędziłem trudną godzinę próbując uspokoić Leolę. Niestety, nie mogę powiedzieć, że próbowałem ją pocieszyć, bo to było w mocy tylko jednego mężczyzny, a ten właśnie brnął gdzieś w śniegu, zagrożony we własnym egocentrycznym piekle. W końcu namówiłem Leolę, żeby poszła spać, a przynajmniej położyła się do łóżka i czekała na dalszy rozwój sytuacji. Zapewniałem ją, że nigdy nie jest tak źle, jak się w pierwszej chwili wydaje. Nie wierzyłem w ten swój argument, ale zamierzałem pogadać z Boyem.

Poszła do swojej sypialni, odczekałem czas pewien, nim zdecydowałem się zajrzeć tam i sprawdzić, jak się teraz czuje. Z obmytą twarzą, przyczesana, leżała w strojnej koszuli, bo takie lubił Boy.

— Czy mogę być o ciebie spokojny, jeśli teraz pójde już do domu?

— Pocałuj mnie, Dunny. Nie, nie tak, od niechcienia. Kiedyś lubiłeś mnie całować.

Nie wiem, czy zdawała sobie z tego sprawę, że zachęta mogła nas zaprowadzić daleko. Czy historia Gygesa i Kandaulesa miała się skończyć tym, że Gyges odbierze przyjacielowi żonę? Nie, w gruncie rzeczy nie myślałem tego. Ale schyliłem się i pocałowałem ją trochę mniej oficjalnie.

— Nie, to też nie to. Pocałuj mnie naprawdę.

Zrobiłem to i gdyby moja sztuczna noga nie zgrzytnęła złowieszczo, gdy ukląknę na łóżku, z pewnością przyprawiłbym Boyowi Stauntonowi rogi, na które niewątpliwie zasłużył. Ale oprzytomniałem i podniosłem się mówiąc:

— Musisz teraz zasnąć. Wrócę wieczorem i pogadam z Boyem.

— Nie kochasz mnie! — jęknęła. Pospieszyłem ku drzwiom uciekając przed nowym wybuchem łez.

Oczywiście nie kochałem jej. Dlaczegoż miałbym ją kochać? Już od dziesięciu lat nie czułem dla niej nic prócz litości. Posłałem sobie łóżko i zamierzałem w nim się

wyspać, nie przewidziałem tam miejsca dla Leoli. Ostatniego lata podróżując za granicą spędziłem weekend z Dianą i jej mężem w ich uroczej wiejskiej siedzibie pod Canterbury i były to bardzo przyjemne dni. Wyrosłem z chłopięcej miłości do Diany, tym bardziej z uczuć, jakie budziła we mnie kiedyś Leola. Nie chciałem stać się ofiarą jej rozrzewnienia nad własną krzywdą. Wstrząs, jakiego doznała odkrywając zdradę Boya, zaostriżył jej seksualny apetyt. Tylko tym tłumaczyła się cała scena. Myślę, że Boy nie spał z nią od początku niespokojnego okresu, zakończonego abdykacją króla. Nie chciałem paść łupem czyjejś pomyłki chronologicznej. Poszedłem także na spacer, zjadłem drugi świąteczny obiad — nie sposób tego dnia uniknąć ciężkostrawnych dań — i wróciłem do szkoły około dziewiątej zamierzając poczytać.

Niestety, w progu spotkał mnie palacz centralnego ogrzewania, jedyny człowiek nie zwolniony na ten dzień ze służby, i przekazał mi prośbę, żebym natychmiast zadzwonił do Stauntonów w ważnej i nie cierpiącej zwłoki sprawie.

Zadzwoiłem. Odezwała się bona. Wróciwszy do domu, gdzie jeszcze nie było pokojówki ani kucharki i lokaja, zjazała do sypialni pani Staunton, żeby powiedzieć jej dobranoc. Okazało się, że z panią stało się coś bardzo złego. Bona nie chciała nic wyjaśniać przez telefon. Tak, wezwała doktora, ale w wieczór Bożego Narodzenia niełatwo sprowadzić lekarza, od jej telefonu minęła godzina, a jeszcze się nie zjawił. Czy ja przyjdę natychmiast? Sprawa bardzo poważna.

Ponieważ jej głos brzmiał coraz bardziej histerycznie, obiecałem się pospieszyć. Ale w wieczór Bożego Narodzenia trudno o taksówkę, tak, że dopiero w pół godziny potem wbiegłem schodami do sypialni Leoli i zobaczyłem ją w łóżku, bielszą niż poduszki, z obandażowanymi przegubami rąk, a przy niej bonę, bliską rozstroju nerwowego.

— Niech pan zobaczy! — szepnęła bez tchu popychając mnie do drzwi łazienki.

Wanna zdawała się pełna krwi. A więc Leola przecięła sobie żyły i ułożyła się w gorącej kąpieli, żeby umrzeć dostojnie na modłę starożytnych Rzymian. Nie знаła jednak anatomii, straciła dużo krwi, ale rany nie były śmiertelne.

Wkrótce po mnie nadszedł lekarz, trochę pijany, lecz

zawodowo dość sprawny. Bona udzieliła prawidłowo pierwszej pomocy, wobec czego doktor tylko nałożył świeże opatrunki, zrobił Leoli jakiś zastrzyk i zapowiedział swoją następną wizytę na drugi dzień.

— Wezwałam przede wszystkim pana z tego powodu — zwróciła się do mnie bona w chwili, gdy drzwi zamykały się za doktorem. I wręczyła mi kopertę do mnie zaadresowaną. Wyjąłem list i przeczytałem:

Najdroższy Dunny!

To już koniec. Boy, nie kocha mnie, Ty także. Dlatego lepiej, żebym odeszła. Wspominaj o mnie czasem. Zawsze Cię kochałam.

Twoja Leola

Głupia, głupia Leola! Myśląc tylko o sobie napisała ten list, który mógł mnie narazić na najokropniejsze kłopoty. Gdyby umarła, jak wyglądałby ten list w oczach prokuratora ustalającego okoliczności zgonu? Bona w każdym razie na pewno go przeczytała, koperta nie była zaklejona. Wściekałem się na tę nieszczęsną idiotkę Leolę. Ani słówka do Boya. Nic, tylko ten list do mnie. Stałbym się w opinii świata potworem, gdyby nie to, że Leola sfuszerowała samobójstwo, tak samo jak wiele innych rzeczy w swoim życiu.

Jednakże nie mogłem robić jej wyrzutów, gdy zaczęła wracać do zdrowia. Bardzo uważałem, żeby nigdy nie napomknąć ani słowem o tym liście. Leola także. Nigdy już o tym nie było mowy między nami.

Boya nie mogliśmy nigdzie znaleźć. W filii w Montrealu nic o nim nie wiedziano. Wrócił dopiero po Nowym Roku, gdy Leola, chociaż bardzo słaba, zaczęła wstawać. Nie wiem i nigdy mi żadne z nich nie powiedziało, jaka wtedy scena rozegrała się między nimi, ale od tego dnia zachowywali pozory i nic nie zdradzało rozdźwięku w ich małżeństwie, tylko Leola szybko więdła i starzała się przedwcześnie. Ładna buzia, która kiedyś uwiodła wdziękiem i mnie, i Boya, była teraz nalana i pozbawiona wyrazu. Leola włączyła się do legionu snujących się po świecie istot rannych w życiowej bitwie.

Najboleśniej, jak się zdawało, odczuły to zdarzenie dzieci. Bona, w chwili doraźnego niebezpieczeństwa opanowana

i sprawna, w pokoju dzieciennym załamała się i w przejrzystych aluzjach dała im do zrozumienia, że mamusia o mało nie umarła. Dzieci skojarzyły to sobie z awanturą, która rozegrała się wcześniej tego dnia w domu, i przez długi czas nie mogły odzyskać równowagi psychicznej. Dawid był coraz bardziej milczący i nieśmiały, a Karolina z byle powodu wrzeszczała i tupała w atakach złości.

W wiele lat później Dawid powiedział mi, że z wszystkich dni w kalendarzu najbardziej nienawidzi Bożego Narodzenia.

Liesl

1

Chciałbym jak najmniej miejsca poświęcić latom drugiej wojny światowej — „także światowej”, jak mówili moi uczniowie; brzmi to w moich uszach jak potwierdzenie, że pierwsza wojna, którą tak żywo zapamiętałem, nie była jedynym ani największym wybuchem zbiorowego ludzkiego szaleństwa w naszym stuleciu. Nie mogę jednak tego okresu całkowicie pominąć, choćby dlatego, że przyniósł Boyowi Stauntonowi ogromny awans w hierarchii społecznej. Jako przemysłowiec maczający — mówiąc przenośnie — palce w milionach rozmaitych smakołyków oraz innych popularnych produktów spożywczych, stał się potęgą w ekonomice kraju, nic więc dziwnego, że kiedy wojna zażądała, by najzdolniejsi ludzie podjęli służbę państwową, Boya Stauntona uznano za najstosowniejszego kandydata na ministra aprowizacji w koalicyjnym gabinecie.

Spełniał to zadanie bardzo dobrze. Był sprawnym organizatorem i niewątpliwie wiedział, co smakuje rzeszom ludzkim. Wszystkie zasoby swojego konsorcjum oraz powiązanych z nim i od niego zależnych firm wprzęgał do pracy wyżywienia Kanady i jej sił zbrojnych, a także Wielkiej Brytanii o tyle, o ile na to pozwalała akcja nieprzyjacielskich łodzi podwodnych. Niestrudzenie popierał badania laboratoryjne nad produkcją nowych koncentratów — głównie owocowych — aby dostarczyć wojsku i dzieciom w bombardowanych krajach posilnych produktów w czasie, gdy brakowało solidniejszego jądła. Jeśli przeciętny wzrost mieszkańców Wysp Brytyjskich jest dzisiaj wyższy niż w roku 1939, niemała część zasługi przypada Boyowi Stauntonowi. Należał do nielicznych osób, które nie będąc naukowcami, wiedziały naprawdę, co to jest witamina, gdzie ją można znaleźć i jak najtańszym kosztem dać ją ludziom.

Oczywiście musiał lwią część czasu spędzać w Ottawie. Rzadko widywał w latach wojny żonę i dzieci, składając tylko w domu przelotne wizyty, podczas których nie mógł odzyskać utraconej zażyłości nawet ze swoją uwielbianą Karoliną.

Spotykałem się z nimi od czasu do czasu, ponieważ był teraz członkiem rady zarządzającej naszą uczelnią i ponieważ Dawid mieszkał w naszym internacie. Mógł być uczyć się mieszkając w domu, ale Boy chciał, żeby jego syn oswoił się z życiem zbiorowym i wyrastał pod męską opieką. Tak więc Dawid spędził okres od jedenastego do osiemnastego roku życia w Colborne, odkąd zaś jako dwunastoletni chłopiec przeszedł do starszej klasy, miałem z nim do czynienia prawie codziennie.

Mnie też w roku 1942 przypadł obowiązek zawiadomienia biednego chłopca o śmierci jego matki. Nieszczęsna Leola od początku wojny pogrążała się coraz głębiej w apatii i wiedła, gdy jednocześnie mąż jej wspinał się coraz wyżej i zyskiwał uznanie dla swoich zdolności. Nie należała do tych żon działaczy politycznych, które dają wszystkim do zrozumienia, że przyczyniły się swoją pomocą i inteligencją do rozwoju uzdolnień mężów. Nie należała też do innego typu żon, które w prasie i klubach kobiecych zwierzają się, że ich mężowie, tak wybitni na arenie świata, w domu są niestety fajtlapami. Leola nie była i nie chciała być osobistością publiczną.

Całkowicie wyrzekła się ambicji golfowych i brydżowych, porzuciła wszelkie inne zajęcia, w których za wczesnych lat małżeństwa z trudem osiągnęła jaką taką biegłość, nie czytała już modnych powieści ani w ogóle niczego. Odwiedzając dom Stauntonów, zastawałem Leolę niezmiennie z drutami w ręku: robiła dla Czerwonego Krzyża grube skarpetki do żołnierskich butów, przebierając drutami automatycznie i myśląc o czymś innym. Parę razy zaprosiłem ją na obiad do restauracji i był to dość ciężki obowiązek, lżejszy jednak niż obiady w jej domu. Wobec nieobecności Boya i obojga przebywających w szkołach dzieci ta bogato umeblowana landara ziała martwością, a służba, zdemoralizowana krzątaniem się dla jednej pani, która niczego nie wymagała i bała się własnych służących, pracowała niedbale.

Gdy Leola zachorowała na zapalenie płuc, powiadomiłem

o tym Boya, zrobiłem wszystko, co wydawało się wskazane, i nie przejmowałem się zbyt. Ale ówczesne leki nie działały tak skutecznie jak znane dzisiaj już środki przeciw zapaleniu płuc, toteż po ustąpieniu choroby rekonwalescencja była długa i wymagała ostrożności. Wyjazd do strefy o łagodniejszym klimacie przedstawiał zbyt wiele trudności, nikt zresztą nie mógłby Leoli towarzyszyć w takiej podróży, została więc w domu. Nie mogłbym przysiąc, co się naprawdę stało, ale zawsze zdawała mi się podejrzana wersja, jakoby Leola otworzyła zamknięte przez pokojówkę okno, zaziębiła się i w niespełna tydzień potem umarła.

Boy przebywał wówczas w Anglii, zajęty sprawami swojego ministerstwa; zatrzymywały go tam obowiązki oraz trudności lotów transatlantyckich w okresie wojny. Telefonicznie poprosił mnie, żebym go zastąpił i zrobił wszystko jak należy. Zorganizowałem pogrzeb, co było łatwe, i zawiadomiłem, kogo wypadało, co było niełatwe. Karolina przyjęła nowinę hałaśliwym płaczem i zostawiłem ją pod opieką jakiejś rozsądnej nauczycielki, która zdjęła ze mnie brzemień tej sceny. Dawid zaskoczył mnie.

— Biedna mamusia — powiedział. — Myślę, że tak jest dla niej lepiej.

Co sądzić o takiej reakcji czternastoletniego chłopca? I co z nim począć? Nie mogłem odesłać go do jego domu, a sam nie miałem domu, lecz jedynie gabinet i sypialnię w szkole, tam więc na razie zaprowadziłem Dawida, umówiłem się z opiekunką internatu, że będzie co godzina zaglądała do chłopca, pilnując, żeby nie popadł w krańcową depresję i żeby nie brakowało mu niczego, co szkoła jest w stanie mu dać w tych okolicznościach. Szczęściem spał długo, a na noc odprawiłem go do infirmerii, gdzie dostał osobny pokój.

Na pogrzebie trzymałem się obok Dawida, bo starzy państwo Staunton już nie żyli, a Cruikshankowie w rozpaczy nie byli zdolni do niczego, płakali tylko i wymieniali uściski rąk. Boy nie popierał większej żałyłości z rodziną żony, wskutek czego Cruikshankowie prawie nie znali wnuka.

Pogrzeb wypadł w posępny jesienny dzień, wprawdzie nie lał deszcz, ale wszystko wokół było wilgotne i zwiędłe. Ludzi nie przyszło wiele, bo przyjaciele Stauntonów rekrutowali się z wysoko postawionych osobistości, które

w ten czy inny sposób uczestniczyły w wysiłku wojennym i nie mogły się stawić. Za to wieńców przysłano całe stopy i kwiaty wyglądały dziwnie nedorzecznie pod listopadowym niebem.

Nad grobem zobaczyłem nieoczekiwaną postać: Milo Papple! Poznałem go od razu, chociaż postarzał się, rozrył i był jak na siebie niezwykle poważny. Gdy Woodiwiss czytał modlitwy, przypomniałem sobie, że ojciec Mila umarł co najmniej dwadzieścia lat temu i że napisałem wówczas list kondolencyjny. Ale kajzer (którego rolę Myron Papple z takim temperamentem grał po pierwszej wojnie, gdy wieszano niemieckiego cesarza in effigie), pomimo nienawiści obywateli Deptford i wielu innych miast lub miasteczek, żył w Doorn aż do kwietnia 1941 roku piłując drwa i rozmyślając przez dwadzieścia trzy lata po swoim upadku o szaleństwie świata, który go zdetronizował. Medytowałem o długowieczności zdetronizowanych władców zamiast, jak by wypadało, żegnać się z Leolą. Ale wiedziałem, że pożegnałem się z nią, jeśli chodzi o jakieś cieplejsze uczucia, tamtego popołudnia w dzień Bożego Narodzenia, gdy szukała u mnie pociechy, a ja uciekłem. Odtąd nie łączyło mnie z nią już nic prócz poczucia obowiązku.

Opuszczając cmentarz uścisnęliśmy sobie ręce.

— Biedna Leola — powiedział Milo zdławionym głosem. — Oto koniec wielkiej romantycznej miłości. Zawsze uważaliśmy ją i Pera za najpiękniejszą parę, jaka kiedykolwiek brała ślub w Deptford. A dla ciebie, Dunny, śmierć Leoli to na pewno ciężki cios.

Wstydzilem się, że wcale tego nie odczuwałem. Ciężko było tylko pójść do pustego domu, rozmawiać z chłopcem, póki służba nie podała obiadu, po czym odprowadzić go z powrotem do szkoły, radzić, żeby lepiej poszedł do swojej klasy i starał się podjąć zaraz zwykły tryb życia — im prędzej, tym lepiej.

Boy zawsze niepokoił się, czy Dawid wyrośnie na stuprocentowego mężczyznę. W tych trudnych dniach chłopiec zachował się, jak przystało mężczyźnie. Nie widywałyśmy go w tym okresie tak często, gdybym nie pełnił wówczas chwilowo funkcji dyrektora szkoły. Już w pierwszych dniach wojny nasz ówczesny zwierzchnik ruszył do ataku na nieprzyjaciela w szeregach służby oświatowej armii; pewnej

nocy, czarnej wskutek obowiązującego zaciemnienia, wpadł pod koła jakiejś ciężarówki i szkoła opłakiwała go jak bohater. Po jego wyjeździe zarząd musiał naprędce znaleźć zastępcę, a że w okresie wojny trudno było o kogoś lepszego, mianowano mnie pełniącym obowiązki dyrektora, nie zwiększając jednak moich poborów, bo przecież musieliśmy dźwigać wspólne brzemie nie myśląc o osobistych interesach. Była to ciężka, niewdzięczna praca, nie cierpiałem związanych z nią administracyjnych zajęć. Staralem się jednak sprostać zadaniu i udawało mi się to aż do roku 1947, gdy nastąpiła trudna rozmowa między mną a Boyem, już wtedy komandorem Orderu Brytyjskiego Imperium (za zasługi wojenne) i przewodniczącym zarządu naszej uczelni.

— Dunny, świetnie się spisywałeś w latach wojny i długo potem. Ale to cię bawiło, prawda?

— Nie, to była ciężka harówka. Nie kończące się kłopoty ze znalezieniem i utrzymaniem personelu. Musiałem sobie radzić z kilku starymi nauczycielami i kilku młodymi niezdolnymi do służby, a także mówiąc szczerze, do nauczycielskiego zawodu. Mieliśmy też trudności z tak zwanymi „wojennymi gośćmi”, z chłopcami tęskniącymi do domu, nie cierpiącymi Kanady albo też przekonanymi, że poza Anglią mają prawo opuścić się w nauce. Trzeba też było panować nad histerycznymi nastrojami, gdy z teatru wojny przychodziły złe wieści, a tym bardziej, gdy dowiadywaliśmy się o sukcesach. Musiałem zachować prawie wszystkie godziny lekcji, a jednocześnie spełniać obowiązki dyrektora. Nie, Boy, to nie było zabawne.

— Dla nikogo z nas wojna nie była łatwa. Ale mimo to, wyglądasz kwitnąco, Dunny. Teraz trzeba się zastanowić, co dalej.

— Jesteś prezesem zarządu. Decyzja do ciebie należy.

— Nie chciałbyś dłużej być dyrektorem, prawda?

— Zależałoby to od warunków. Teraz praca mogłaby być przyjemna. W ciągu ostatnich siedemnastu miesięcy udało mi się dobrać niezły personel; spodziewam się też, że łatwiej będzie o pieniądze, skoro zarząd znów może się tą sprawą zająć.

— Mówiłeś przecież, że nienawidzisz dyrektorskich funkcji.

— W wojennych warunkach nikt nie mógłby ich polu-

bić. Teraz, gdy sytuacja poprawiła się, mógłbym z nich mieć dużo satysfakcji.

— Słuchaj, bracie, nie będziemy dłużej przeciągać niepotrzebnie tej rozmowy. Zarząd ocenia twoje zasługi. Chce nawet wydać bankiet na twoją cześć. Pragnie w obecności całej szkoły powiedzieć, ile wszyscy ci zawdzięczamy. Ale na stanowisko dyrektora pragnie powołać kogoś młodszego.

— To znaczy w jakim wieku? Znasz moją metrykę. Nie mam jeszcze pięćdziesięciu lat, podobnie jak ty. Ile ma mieć dyrektor szkoły średniej w dzisiejszych czasach?

— Ściśle mówiąc nie tylko o to chodzi. Okropnie mi utrudniasz moją misję. Jesteś nieżonaty, Dunny. Dyrektor powinien mieć żonę.

— Kiedyś chciałem mieć żonę, ale okazało się, że ty jej chciałeś bardziej skutecznie niż ja.

— To cios poniżej pasa. W każdym razie Leo nie chciała... No, mniejsza z tym. Nie masz żony.

— Mógłbym znaleźć naprędce jakąś kandydatkę. Panna Gostling z siostrzanej naszej szkoły biskupa Cairncross od paru lat spogląda na mnie bardzo łaskawym okiem, oczywiście w stylu akademickim.

— Bądźże poważny. Nie chodzi tylko o żonę, Dunny, w ogóle jesteś dziwny.

— Czy to znaczy, że pomawiasz mnie o homoseksualizm? Gdybyś znał chłopaków tak jak ja, nie przyszłoby ci do głowy coś tak niedorzecznego. Gdyby Oscar Wilde powołał się na artykuł o nieodpowiedzialności chorych umysłowo, wyszedłby z sądu niewinniony.

— Nie, nie, nie! Nie mówię o pederastii. Jesteś dziwny, odmienny, śmieszny, inny niż wszyscy dookoła.

— Bardzo interesujące. A cóż ja takiego robię? Pamiętasz Iromongera ze srebrną łątą w czaszce? On wdrapywał się na rury wodociągowe w sali szkolnej i przemawiał do uczniów spod sufitu. To był naprawdę dziwak! Albo nieszczęsny alkoholik Bateson, który w chłopców, jeśli nie uważali na lekcji, ciskał mokrą rękawicą bokserką i zaraz ją za pomocą sznurka ściągał do siebie z powrotem. Zawsze mi się zdawało, że tacy ekscentrycy wnoszą do szkoły coś cennego, mówią chłopcom o szerokim świecie, którego uczelnie stanowe nie ośmielają się naśladować. Nie sądzisz chyba, że jestem dziwaczny w takim sensie?

— Jesteś doskonałym nauczycielem. Wszyscy to wiedzą.

Masz również szczęście do stypendiów. Cieszysz się reputacją utalentowanego pisarza. Ale pozostaje ten jeden szkopuł.

— Jaki?

— Ci twoi święci. Nie przeczę, twoje książki są wspaniałe. Ale gdybyś był ojcem, czy chciałbyś syna posłać do szkoły, kierowanej przez rzeczoznawcę problemów świętości? Czy zrobiłbyś to, nawet gdybyś był nie ojcem, lecz matką? Kobiety nie znoszą ani cienia dziwactwa u mężczyzny, któremu mają powierzyć swoich synów. Co innego religia w szkole, dla religii jest w wychowaniu raz na zawsze uznane miejsce. Ale nie dla mętnego świata cudotwórców, świętych czarodziejów i odcieleśnionych kobiet. O świętych nie może być mowy. Jestem twoim starym przyjacielem, ale także prezesem zarządu tej szkoły i w żaden sposób nie mogę takich rzeczy tolerować.

— Wylewasz mnie?

— Broń Boże! Nie stawiajmy sprawy na ostrzu noża. Rozumiesz chyba, że jesteś niezmiernie cenny dla szkoły jako nauczyciel — znany autor poważnych książek poświęconych trudnym tematom, tłumaczonych na obce języki, sympatyczny ekscentryk i tak dalej. Ale jako dyrektor w pokojowych czasach ściągnąłbyś na nas katastrofę.

— Ekscentryk? Ja?

— Tak, tak, ty, na Boga, czy myślisz, że twój zwyczaj dłubania małym palcem w uchu zachwyca chłopców? Albo gdy ruszasz brwiami, krzaczastymi jak wąsy! Nie pojmuję, dlaczego ich nie przystrzygasz. A twoje okropne tweedowe ubranie, nigdy nie prasowane! A ten obrzydliwy nałóg oglądania chustki po wydmuchiwaniu w nią nosa; jakbyś miał nadzieję wywróżyć coś sobie z własnych smarków! Wyglądasz o dziesięć lat za staro na swój wiek. Minęły czasy ekscentrycznych dyrektorów. Rodzice życzą sobie na tym stanowisku człowieka takiego samego jak oni.

— Dyrektora stworzonego na ich obraz i podobieństwo, tak? Oczywiście już kogoś na to miejsce zaangażowałeś, inaczej nie byłoby ci tak pilno pozbyć się mnie. Kto to jest?

(Boy wymienił pańskie nazwisko, Panie Dyrektorze, usłyszałem je wtedy po raz pierwszy w życiu, więc nie ma złośliwości w relacjonowaniu Panu tej rozmowy.)

Utarczka trwała jeszcze chwilę, nie oszczędzałem Boyo-

wi zakłopotania, bo czułem się nikczemnie wykorzystany. W końcu powiedziałem:

— Dobrze, zostanę jako kierownik pracowni historycznej i wicedyrektor. Rezygnuję z waszego bankietu, ale chciałbym, żebyś jako prezes zarządu przemówił do całej szkoły, jednoznacznie stwierdzając, że nie zostałem zdegradowany natychmiast, gdy znalazłeś kogoś bardziej podobającego się rodzicom. To będzie kłamstwo, ale chcę ocalić twarz. Powiesz, że pragnąc poświęcić więcej czasu twórczości pisarskiej, sam zaproponowałem tę zmianę i że zobowiązałem się poprzeć bez zastrzeżeń nowego dyrektora. No, i dacie mi półroczny, pełnopłatny urlop, zanim wrócę do pracy.

— Zgoda. Lojalny gracz z ciebie, Dunny. Dokąd pojedziesz na ten półroczny urlop?

— Od dawna marzę o odwiedzeniu wielkich świątyń Ameryki Łacińskiej. Zacznę od Meksyku, gdzie chcę zobaczyć kościół Najświętszej Panny z Gwadelupy.

— No, proszę! W dalszym ciągu, i to zaraz po naszej rozmowie, podejmujesz te swoje dziwne poszukiwania, właśnie to jedyne dziwactwo, które stało się między tobą a stanowiskiem dyrektora!

— Oczywiście. Nie spodziewasz się chyba, że będę liczył się z opinią ograniczonych typów jak ty, twój zarząd i rodzice bandy młodych kretynów.

2

Tak się więc stało, że parę miesięcy później siedziałem w kącie ogromnej XIX-wiecznej zbudowanej w bizantyńskim stylu bazyliki w Gwadelupie, obserwując nie kończący się na pozór tłum mężczyzn, kobiet młodych i starych, którzy na klęczkach czólgali się naprzód, aby znaleźć się jak najbliżej cudownego obrazu Matki Boskiej.

Ten obraz zaskoczył mnie. Może dlatego, że w swej ignorancji żywiłem uprzedzenie, jakoby wszystko, co meksykańskie, musiało być krzyżące, a może z powodu fantastycznego łacińskiego charakteru legendy spodziewałem się zobaczyć coś z artystycznego punktu widzenia obrażającego dobry smak. Byłem już wtedy na skromną miarę znawcą świętych obrazów, obejrzałem ich wiele, od malowi-

deł w katakumbach, od szerniałego, lśniącego Świętego Oblicza w Lukce, aż do najśłodszych Rafaelów czy Murillów. Tu jednak miałem przed oczyma obraz, który rzekomo nie był dziełem ręki śmiertelnika — nawet nie świętego Łukasza — lecz cudem ukazał się na lewej stronie opończy pewnego wieśniaka.

W 1551 roku Najświętsza Panna objawiła się kilkakrotnie na tym miejscu Juanowi Diego i nakazała powtórzyć biskupowi Zumarraga, że życzy sobie, aby tu właśnie zbudowano kościół ku jej czci; gdy Zumarraga zażądał oczywiście dowodów, że Juan Diego naprawdę takie polecenie dostał z nieba, Najświętsza Panna wypełniła opończę wieśniaka różami, chociaż działo się to w zimie; a kiedy Juan rozchylił przed biskupem płaszcz, ujrzano nie tylko róże, lecz także na wewnętrznej stronie ten obraz, na którego widok biskup w zachwycie padł na kolana.

Możliwie jak najdyskretniej (bo zawsze bardzo się staram nie być natrętny, gdy zwiedzam świątynie) studiowałem obraz przez mocną, choć małą kieszonkową lornetkę. Niewątpliwie namalowany był na tkaninie o grubym, prostackim splocie, a biegnący przez jej środek szew odchyłał się od linii prostej na tyle tylko, żeby ominąć twarz Madonny. Wizerunek utrzymany w konwencji Niepokalanego Poczęcia przedstawiał Najświętszą Pannę, wiejską dziewczynę lat około piętnastu, stojącą na sierpie księżycy. Malowidło wykonane było biegle, a twarz musiała wydać się piękna, byle patrzący wymazał z wyobraźni maskę ladażnicy, jaką współczesna kosmetyka zastępuje piękność, a szukał prawdziwie ludzkiego oblicza. Dlaczego prawe oko było przymknięte, jakby trochę obrzmiałe? Dziwny rys w świętym obrazie. Ale kolory szlachetne, sporo złota, jednakże bez barbarzyńskiej ostentacji. Hiszpania mogłaby chlubić się tym dziełem. Proporcje — szerokość mniej więcej trzy i pół raza pomieściłaby się w długości — odpowiadały wymiarom tilma, jaką chłopci noszą w okolicy tego miasta. Rzeczywiście obraz godny uwagi.

Mimo to nie obraz był głównym przedmiotem mojego zainteresowania. Wzrok mój przykuwali klęczący wierni, których twarze stały się piękne tak, jak wszystkie prawie twarze ludzi w obecności wcielonemu miłosierdzia, Świętej Matki, uosobienia Boskiego współczucia. Jakże odmienne niż przymrużone oczy, przygryzione wargi, wyraz wyracho-

wania tych miłośników sztuki, których widuje się przed Madonnami w galeriach malarstwa. Tutejsi wierni nie wiedzieli nic o sztuce, obraz był dla nich symbolem czegoś innego i bardzo łatwo ten symbol stawał się rzeczywistością. Tych ludzi nie tknęła nawet nowoczesna cywilizacja, ale ich rząd z wszystkich sił stara się, by przyjęli od niego to bezcenne dobrodziejstwo: antyklerykalizm i amerykańska zapobiegliwość wkrótce wyzwolą ich z wiary w cuda i święte obrazy. Zadaję sobie jednak pytanie, skąd wtedy spłynie na nich miłosierdzie i Boże współczucie? A może nie są one potrzebne ludziom dobrze odżywionym, którzy wiedzą, jakie cuda kryje w sobie atom? Nie ubolewam nad postępami oświaty i rozwojem ekonomicznym, zastanawiam się tylko, jaką cenę zapłacimy za to i w jakiej monecie.

Dzień po dniu przesiadywałem godzinami w bazylice, rozmyślając. Kościelni i zakonnice rozdające reprodukcje świętego obrazu przywykli do mojej obecności; brali mnie zapewne za przedstawiciela bardzo nielicznej grupy nabożnych bogaczy lub za dziennikarza przygotowującego artykuł dla jakiegoś czasopisma poświęconego turystyce. Wrzucałem swój grosz do każdej wyciągniętej ku mnie skarbonki i zostawiano mnie w spokoju, ale nie jestem bogaty, a pisałem powoli i mozolnie, tak wciąż poprawiając i zmieniając swój tekst, że nie wyobrażałem sobie nawet, jak będzie wyglądała ostateczna wersja; pisałem niejako prolog do dyskusji o naturze wiary. Dlaczego wszędzie na ziemi, we wszystkich epokach ludzie łaknęli cudów zaprzeczających faktom możliwym do sprawdzenia? Czy cuda zdarzają się na skutek ludzkiego pragnienia, czy też to pragnienie wypływa z pewności, opartej na jakiejś głębokiej wiedzy, której bezpośrednio ani poznać, ani zakwestionować nie można — z przeświadczenia, że cudowność jest niewątpliwie składnikiem rzeczywistości?

Wiadomo, że filozofowie zajmowali się tą kwestią i znajdowali odpowiedź, która ich całkowicie zadowalała; ale, o ile wiem, żadna filozoficzna odpowiedź nie miała nigdy większego znaczenia dla ludzi spoza kręgu filozofów. Starałem się ten problem rozpatrywać bez różowych okularów wiary i bez zielonych szkieł nauk ścisłych. Aż do dnia, w którym znalazłem się w bazylice gwadelupskiej, zdołałem dojść jedynie do niezachwianego przekonania, że wiara jest psychologiczną rzeczywistością i że tam, gdzie

przeszkadza się jej lgnąć do rzeczy niewidzialnych, zagarnia widzialne i wznieca krwawe kataklizmy. Innymi słowy, irracjonalne pobudki tak czy inaczej zawsze dojdą do głosu, może dlatego, że mylimy się nazywając je „irracjonalnymi”.

Rozmyślenia takie nie mogą wypełnić całych dni. Wstałem zazwyczaj wcześniej i w kościele spędzałem ranne godziny. Po lunchu sypiałem, zgodnie z miejscowym obyczajem. Później aż do obiadu zwiedzałem miasto. Cóż jednak robić po obiedzie? Nie mogłem przesiadywać w salonach hotelu, były bowiem na hiszpańską modłę niewygodne. W saloniku do pisania królował duży obraz przedstawiający Ostatnią Wieczerzę, jedna z najbardziej posępnych wizji tej najsmutniejszej biesiady; nikt z uczestników wyraźnie nie mógł przełknąć ani kęsa, a całe jagnię, które wydawało się niepokojąco żywe, chociaż obłupione ze skóry, leżało na półmisku pośrodku stołu i z wyrzutem patrzyło na Judasza.

Spróbowałem teatru i natrafiłem na sztukę, w której rozpoznałem *Frou Frou* Victorien Sardou, mocno zhispanizowaną i przyprawioną dodatkowo według meksykańskiego smaku. Przedstawienie to znudziło mnie mocno. Poszedłem raz i drugi do kina, wyświetlano amerykańskie filmy z hiszpańskim dubbingiem. Z ulgą przeczytałem w porannej w gazecie, że w Teatro Chueca można będzie podziwiać pewnego magika i za pośrednictwem hotelu kupiłem bilet.

Entuzjazm do magii nigdy we mnie całkowicie nie wygasł i widziałem wszystkich najlepszych magików mojej doby: Thurstona, Goldina, Blackstone'a, nadzwyczajnego niemieckiego iluzjonistę, który występował pod pseudonimem Kalag, i Harry'ego Houdini na krótko przed jego śmiercią. Ale nazwisko człowieka, którego miałem oglądać w Meksyku, nie było mi znane; afisz głosił, że Magnus Eisengrim zadziwi z kolei Meksyk, odbywszy już tryumfalne tournée po Ameryce Południowej. Przypuszczałem, że jest to Niemiec, który ze względów politycznych woli w tych czasach nie próbować występów w Stanach Zjednoczonych.

Wkrótce po podniesieniu kurtyny wiedziałem już, że będzie to przedstawienie zupełnie niepodobne do wszystkich widowisk tego rodzaju, jakie w życiu oglądałem. W XX wieku magicy estradowi zawsze byli żartownisiami, nawet Houdini prawie przez cały czas spektaklu szczyrzył zęby

niby gwiazdor filmowy. Ci sztukmistrze nieustannie gadali, żeby upewnić publiczność, że nie trzeba ich brać poważnie za cudotwórców — chcą tylko zabawiać ludzi, są bardzo zręczni, ale ich magia to po prostu żarty. Nawet jeśli posługiwali się trochę hipnozą — jak to czynił bardzo zgrabnie Blackstone — nikt nie miał powodu do niepokoju.

Magnus Eisengrim był zupełnie inny. Nie występował w zwykłym stroju wieczorowym, lecz w pięknym fraku z aksamitnym kołnierzem i w krótkich jedwabnych spodniach. Rozpoczął od ukazania się pośrodku sceny nie wiadomo skąd; z powietrza schwycił czarodziejską różdżkę, owinał się czarnym płaszczem i nagle stał się przezroczysty; jego partnerki — dziewczęta w fantastycznych kostiumach — przesuwały się jakby przez niego; wreszcie poły płaszcza rozwiały się i magik wrócił do cielesnej postaci, za to dziewczyny nabrały widmowej przezroczystości tak, że mógł przesywać je różdżką na wylot. Zaczęło mnie to bawić. Sztuczka, „Iluzja widm” starego Peppera, jest w zasadzie dość znana, lecz w tym nowym opracowaniu intrygowała tajemniczością. A przy tym nikt na scenie ani razu się nie uśmiechnął.

Teraz Eisengrim przedstawił się widowni. Mówił wytwornym językiem hiszpańskim i od pierwszego słowa było jasne, że nie chce uchodzić za humorystę, lecz za sztukmistrza, który zabawia publiczność widowiskiem tajemniczym i pięknym, przyprawionym odrobiną grozy. Z pewnością jego powierzchowność i cała inscenizacja znacznie odbiegały od szablonu zwykłych popisów tego rodzaju; nie był wysoki, lecz sposób bycia miał tak dostojny, że zapominało się o małym wzroście. Miał bardzo piękne oczy i wyraz godności, największe jednak wrażenie robił głos, o wiele silniejszy, niż można by się spodziewać u tak drobnego mężczyzny, o niezwykle rozległej skali i bardzo dźwięczny. Podejmował nas jak szanowanych gości, obiecując uraczyć w ciągu tego wieczora wizjami i złudzeniami, które od dwóch tysięcy lat karmią ludzką wyobraźnię, a także, dla zabawy, kilku błahymi sztuczkami.

To było coś nowego; magik poetyczny, który sam siebie traktuje poważnie. Z pewnością nie spodziewałem się w takiej roli spotkać powtórnie Paula Dempstera. Ale to był Paul bez wątpienia, Paul pewny siebie, ogładzony, zupełnie niepodobny do cyrkowego sztukmistrza, wąsatego bro-

dacza w obszarpanym ubraniu, którego widziałem w „Le Grand Cirque Forain de St Vite” przed piętnastu laty; toteż dopiero po dłuższym czasie utwierdziłem się w przekonaniu, że to jest jednak on. Jakim sposobem ukształtował tę swoją nową osobowość, gdzie się nauczył tych pięknych numerów w najlepszym guście?

Prezentował je tak świetnie, że nikt chyba prócz mnie w Teatro Chueca nie zdawał sobie sprawy, jak stare w swej istocie są te sztuczki. Paul nie pokazał ani jednego nowego chwytu, wszystkie należały do starego klasycznego repertuaru, znanego ludziom, których interesuje historia tej osobliwej pomniejszej gałęzi sztuki a zarazem rzemiosła.

Zaproponował gościom, aby trącili się z nim kielichem, zanim przystąpi do poważnej pracy, po czym nalał do kieliszków czerwone oraz białe wino, brandy, tequilę, whisky, mleko i wodę z jednej butelki; sztuczka bardzo stara, którą on odnowił wdziękiem gościnności. Pożyczył od widzów dwanaście chusteczek — między innymi także ode mnie — i spalił je w szklanym naczyniu; potem z popiołów wyciągnął jedenaście chusteczek upranych i wyprasowanych; gdy dwunasty widz zaczął zdradzać pewne zaniepokojenie, Eisengrim polecił mu patrzeć w górę, ku sufitowi, skąd natchmiast sfrunęła chusteczka prosto w ręce swego właściciela. Z kolei Eisengrim poprosił jedną z pań o torebkę, wyjął z niej paczuszkę, która wydymała się i rosła, aż w końcu spod osłony ukazała się dziewczyna; magik kazał jej unieść się w powietrze i chwilę kołysać się nad kanałem orkiestry, wrócić do stolika; tu dziewczyna nakryta zasłoną z powrotem zmaląa, aby pomieścić się znowu w paczuszce; paczuszka zaś wróciła do damskiej torebki i okazało się, że teraz zawiera miniaturową bombonierkę z cukierkami. Wszystko to było zrobione pięknie, zaprezentowane bez facecji, które tak często nadają popisom magików ton krzykliwy i ordynarny.

Druga część spektaklu zaczęła się od hipnozy. Spośród pięćdziesięciu osób, które zgłosiły się na ochotnika, wybrał dwadzieścia i usadowił je półkolem na scenie. Potem jednej po drugiej kazał wykonywać czynności, których zwykle wymagają od swych ofiar hipnotyzerzy w teatrze: wiosłować, jeść niewidzialne potrawy, zachowywać się jak gość na przyjęciu, słuchać muzyki i tak dalej — lecz jeden pomysł Eisengrima był dla mnie nowością: powiedział pewne-

mu poważnemu panu w średnim wieku, że przyznano mu w tej chwili Nagrodę Nobla i że powinien wobec tego wygłosić odpowiednie przemówienie. Człowiek ten wykonał rozkaz z taką godnością i zabłysnął taką elokwencją, że publiczność nagrodziła go hucznymi oklaskami. Widziałem nieraz, jak hipnotyzer, aby wykazać swoją władzę, ośmieszał poddających się jej ludzi. W tym przypadku nie było ani śladu takiego tonu, wszystkie osoby, ocknąwszy się z hipnozy, zeszyły ze sceny nie poniosłszy uszczerbku na godności osobistej, a nawet ze spotęgowanym poczuciem ważności.

Potem Eisengrim pokazał kilka magicznych ucieczek z pęt i więzów, które nakładali mu ochotnicy z widowni, dufni w swoją umiejętność supłania węzłów niemożliwych do zerwania. Związano Eisengrima i włożono go do skrzyni, którą na sznurze podciągnięto pod sufit teatru; w pół minuty później Eisengrim już szedł środkowym przejściem widowni w kierunku sceny; ściągnął skrzynię na dół i otworzył jej wieko, by wszyscy ujrzeli we wnętrzu kukłę, jego karykaturalną podobiznę.

W najefektowniejszej ucieczce Eisengrim zastosował pewien wariant sztuczki, wymyślonej i rozslawionej przez Houdiniego. Ubrany tylko w spodenki kąpielowe został zakuty w kajdany i wepchnięty głową naprzód do blaszanego pojemnika o kształcie bańki na mleko; bańkę zamknięto, pokrywkę zabezpieczono kłódkami, dostarczonymi przez kilka osób spośród publiczności, po czym naczynie zatopiono w zbiorniku z wodą, opatrzonym oszklonymi oknami, przez które mogliśmy wyraźnie widzieć, co się dzieje we wnętrzu; potem zbiornik razem ze wszystkim, co zawierał, osłonięto kotarami i publiczność w ciszy oczekiwała na dalszy tok zdarzeń. Poproszono dwóch panów, żeby patrzyli na zegarki i po upływie trzech minut wezwali dyżurującego w teatrze strażaka, który ma niezwłocznie otworzyć bańkę.

Trzy minuty minęły. Sprowadzony strażak bardzo niezdarnie wyłowił bańkę z wody i otworzył kłódkę. Bańka okazała się pusta, a strażakiem był sam Eisengrim. Ten numer najbardziej z wszystkich, jakie składały się na cały spektakl, zbliżał się do komedii.

Trzecia część spektaklu miała charakter poważny, prawie uroczysty i tchnęła dziwnie erotyczną atmosferą; nigdy

jeszcze nie wyczuwałem nic podobnego na żadnym z wielu oglądanych spektakli magicznych, na których z reguły znaczną część widowni wypełniają dzieci. „Sen Midasa” był rozbudowaną iluzją; Eisengrim w asyście ładnej dziewczyny wyłowił z powietrza, z kieszeni widzów, z ich uszu, nosów i kapeluszy mnóstwo srebrnych dolarów, wrzucił je do wielkiego miedzianego garnka; zdawało się, że brzęk spadających monet nigdy nie ustanie. Opętany nienasyconą chciwością Midas zamienił dziewczynę w posąg ze złota i sam przeraził się tego, co zrobił. Zaczął uderzać w posąg młotkiem, odrąbał mu rękę, którą puścił w obieg między publiczność, uderzył statwę w twarz. Potem w porywie skrucy złamał swą czarodziejską różdżkę. Natychmiast miedziany garnek okazał się pusty, a gdy skierowaliśmy z powrotem wzrok na dziewczynę, ujrzeliśmy znów żywą, cielesną istotę, lecz bez jednej ręki i z krwawiącymi wargami. Ten posmak okrucieństwa przypadł publiczności do gustu.

Ostatnia iluzja była zatytułowana „Wizja doktora Fausta” i program obiecywał, że w tej scenie — i tylko w niej — publiczność będzie mogła zobaczyć piękną Faustynę. Jeśli tę sztukę sprowadzimy do zasadniczego schematu, polega ona na tym, że magik pokazuje dziewczynę w dwóch oddzielnych i odległych od siebie punktach sceny, chociaż pozornie ani ona, ani on nie przechodzą z jednego miejsca na drugie, i jest to dość znana iluzja. W wersji Eisengrima był to konflikt w duszy Fausta pomiędzy miłością niebiańską i ziemską; po jednej stronie sceny ukazała się piękna Faustyna jako Małgorzata, skromnie ubrana i przedająca na kołowrotku; gdy Faust zbliżył się do niej — zniknęła, a jednocześnie po drugiej stronie sceny w kwitnącej altanie zjawiła się Wenus, naga o tyle, o ile pozwalało meksykańskie poczucie przyzwoitości. Było oczywiste, że w roli obu — Małgorzaty i Wenus — wystąpiła ta sama piękna Faustyna, obdarzona talentem aktorskim, tak że umiała przekazać jednoznacznie myśl, iż piękno duchowe i gorąca zmysłowość mogą mieszkać w tym samym ciele; publiczność przyjęła obraz i jego wymowę z zachwytem. Wreszcie Faust, doprowadzony do szaleństwa rozterką trudnego wyboru, zabił się, a Mefisto ukazał się w płomieniach, żeby zawlec go do piekła. Faust zniknął pośrodku sceny, wznosząc się bez żadnej widocznej podpory na kilka stóp ponad podłogą, a piękna Faustyna zjawiła się raz jeszcze, uosabiając, jak

można było się domyślić, wieczną kobiecość, promieniując współczuciem i zarazem prezentując odsłonięte dość wysoko nogi.

Kulminacyjny moment nastąpił, kiedy Mefisto zrzucił płaszcz i przekonaliśmy się, że — ktokolwiek został strącony do piekieł — przed nami we własnej osobie stoi mistrz Eisengrim.

Publiczność reagowała na przedstawienie bardzo życzliwie, a po zakończeniu długo i z zapalem biła brawa. Bileter zagroził mi drogę, gdy chciałem przejść na scenę, przy innych więc drzwiach powiedziałem, że chciałbym zobaczyć się z panem Eisengrimem. Portier odparł, że jest to niemożliwe. Eisengrim wydał rozporządzenie, aby nikogo nie wpuszczać. Wyciągnąłem bilet wizytowy, bo chociaż w Ameryce Północnej te rekwizyty wyszły prawie zupełnie z użycia, w Europie mają jeszcze pewne znaczenie, toteż noszę zawsze kilka biletów przy sobie. Ale i to nic nie pomogło. Mocno niezadowolony, już chciałem odejść z gniewem, gdy jakiś głos zapytał: — Czy pan Dunstan Ramsay? — W osobie, która w ten sposób przemówiła do mnie z ostatniego stopnia schodów, domyśliłem się kobiety, chociaż była ubrana po męsku, włosy miała krótko ostrzyżone i wydała mi się najszpetniejszą istotą, jaką zdarzyło mi się w życiu spotkać; nie była jednak kaleką: wysoka, prosta, najwyraźniej bardzo silna; ręce miała ogromne, szczękę wielką i wystającą, podobnie jak kości czołowe, tworzące ciężki okap nad małymi oczkami, tkwiącymi w głębokich jamach. Głos wszakże brzmiał pięknie, a wymowa świadczyła o kulturze, mimo lekko cudzoziemskiego akcentu. — Eisengrim z radością pana przyjmie. Zauważył pana wśród publiczności. Proszę za mną.

Zakulisowa część teatru nie była zbyt rozbudowana, a w korytarzu, którym prowadziła mnie przewodniczka, słyszałem głośną kłótnię w nieznanym mi języku, jak mi się zdawało, portugalskim. Przewodniczka zapukała do jakichś drzwi i nie czekając odpowiedzi otworzyła je; znaleźliśmy się w garderobie, gdzie toczyła się kłótnia. To Eisengrim, nagi do pasa, ścierając brudnym ręcznikiem szminkę z twarzy, sprzeczał się z piękną Faustyną w stroju Ewy, piękną jak jutrzienka i wściekłą jak zmoknięta kura, zajęta także zmywaniem szminki, która pokrywała ją od stóp do głów; kiedy weszliśmy, chwyciła peniuar i spow-

ła się nim, wystawiając jedynie poszczególne części ciała, aby je w dalszym ciągu zmywać podczas rozmowy, która się nawiązała.

— Ona domaga się różowego światła w ostatnim obrazie — wyjaśnił mojej przewodniczącej po niemiecku Eisengrim. — Tłumaczę jej, że to by mi zepsuło efekt Mefista w czerni, ale wiesz, jaki z niej uparciuch.

— Teraz nie pora na tę dyskusję — powiedziała brzydka kobieta. — Panie Ramsay, oto pański dawny przyjaciel, Magnus Eisengrim, a to — piękna Faustyna.

Piękna Faustyna obdarzyła mnie niepokojąco czarownym uśmiechem i wyciągnęła brudną, wysmarowaną tłuszczem dłoń, którą przed chwilą ścierała szminkę z górnej części ud. Chociaż jestem Kanadyjczykiem szkockiego pochodzenia i ujrzałem światło dzienne w Deptford, nie dałem się speszyć latyńskiej chórzystce i pocałowałem ją w rękę bardzo, jak mi się wydawało, szarmancko. Potem uściśnięłem prawicę Eisengrima, który uśmiechał się do mnie przyjaźnie, ale chyba niezupełnie szczerze.

— Dawno się nie widzieliśmy — powiedział po hiszpańsku, myślę, że chciał mi w ten sposób utrudnić rozmowę, ale ja dość swobodnie władam tym językiem, więc dalej posługiwaliśmy się nim w rozmowie.

— Przeszło trzydzieści lat — odparłem — jeśli nie liczyć przelotnego spotkania w „Le Grand Cirque Forain de St Vite”. Jak się miewają „dzikus z puszczy” i moja przyjaciółka „kobieta z brodą”?

— Dzikus umarł wkrótce po tym naszym spotkaniu. Innych ludzi z tego zespołu straciłem z oczu na początku wojny.

Ponieważ rozmowa utykała i brzmiała sztucznie, zdecydowałem pożegnać Eisengrima, który najwidoczniej nie życzył sobie mojego towarzystwa. Ale brzydka kobieta powiedziała:

— Mamy nadzieję, że zechce pan jutro zjeść lunch razem z nami.

— Liesl, czy jesteś pewna, że wiesz, co robisz? — prędko po niemiecku wtrącił Eisengrim.

Ale ja niemieckim językiem władam także dość swobodnie. Kiedy więc brzydka kobieta odparła:

— Tak, jestem najzupełniej pewna i ty również jesteś zdecydowany, nie mówmy już teraz więcej na ten temat —

zrozumiałem wszystko dokładnie i powiedziałem po niemiecku:

— Byłaby to dla mnie wielka przyjemność, ale nie chciałbym się państwu narzucać.

— Czyż taki stary przyjaciel mógłby nie być najbardziej pożądanym gościem? — odpowiedział Eisengrim przechodząc na angielski; odtąd już zawsze mówił do mnie w tym języku, chociaż stracił w nim wprawę. — Czy wiesz, Liesl, że pan Ramsay był moim pierwszym nauczycielem magii? — Zrobił się teraz słodki jak miód, a gdy odchodziłem, szepnął mi na ucho: — Co do tej małej pożyczki... — pamięta pan? Nigdy bym jej nie przyjął, gdyby nie to, że Dzikus bardzo potrzebował pomocy... Pozwoli pan, że zwrócę ten dług niezwłocznie.

I lekko klepnął moją marynarkę w miejscu, gdzie w wewnętrznej kieszeni nosiłem zwykle gotówkę.

Wieczorem, gdy z przezornością kanadyjskiego Szkota przeliczałem pieniądze, stwierdziłem, że kilka banknotów przybyło mi w portfelu, a zwrócona suma przewyższała nieco, lecz nie w sposób dla mnie zenujący, kwotę, która zniknęła z mojej kieszeni podczas poprzedniego spotkania z Paulem. Nabrałem o Eisengrimie bardziej pochlebnego mniemania. Cenię u ludzi skrupulatność w sprawach finansowych.

3

Tak wszedłem w skład świty Eisengrima i wbrew pierwotnym zamiarom nie zwiedziłem świątyń Ameryki Południowej. Decyzja zapadła przy lunchu nazajutrz po spotkaniu w teatrze. Do stolika zasiadł ze mną Eisengrim i szpetna Liesl, ale pięknej Faustyny nie było. Gdy o nią spytałem, Eisengrim powiedział:

— Nie jest jeszcze gotowa pokazywać się w miejscach publicznych.

Zastanawiałem się, dlaczego Paul nie waha się paradować w przyzwoitej restauracji u boku poczwary, ale wstydzi się wprowadzić najpiękniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek spotkałem na ziemi. Zrozumiałem to jednak, nim lunch dobiegł do końca.

Po godzinie czy dwóch Liesl stała się mniej brzydka.

Ubrana była po męsku, w żakiet i spodnie, ale koszulę miała miękką, a zamiast krawata efektowny szalik przewleczoney przez pierścień. Na jej miejscu nie nosiłbym męskich lakierków — dużych rozmiarów — lecz poza tym nie mogłem temu strojowi zarzucić braku dyskrecji. Krótkie włosy były elegancko uczesane, a wargi lekko powleczone szminką. Nic nie mogło złagodzić niezwyklej brzydoty tej zniekształconej twarzy, ale Liesl zachowywała się sympatycznie, miała uroczy głos i dawała dowody bystrej inteligencji, trzymanej na wodzy, aby Eisengrim mógł panować nad rozmową.

— Pan już rozumie, do czego dążymy — powiedział. — Chcemy stworzyć widowisko magiczne, jedyne na tak wysokim poziomie, i postanowiliśmy je możliwie najlepiej oszlifować, zanim wyruszymy na wielkie tournée po całym świecie. Jest jeszcze dość surowe... Och, dziękuję panu za uprzejmość, ale to jeszcze dalekie od tego, co postawiliśmy sobie za cel. Pragniemy doskonałej sprawności, połączonej z wdziękiem i romantycznym urokiem, jakim tchnie balet... europejski balet, nie amerykańskie akrobacyjne popisy. Wiadomo panu, że teatr dzisiejszy wyrzekł się niemal wszelkiego uroku; aktorzy starają się pokazywać spoceni i realni, a dramaturgowie publicznie rozdrapują swoje strupy. No trudno, taki jest duch czasu. Ale zawsze istnieje jednocześnie inna tendencja, wprost odwrotna niż pozornie królująca moda. Dziś ta ukryta tęsknota domaga się romantyczności i cudów. To właśnie możemy, jak nam się zdaje, ofiarować ludziom, ale nie wstydliwie i nie z uśmiechem, lecz autorytatywnie. Bardzo usilnie zabiegamy o taki autorytet. Na pewno spostrzegł pan, że nikt z nas na scenie nie uśmiecha się ani nie dowcipkuje. Uśmiech podczas takiego widowiska to już połowa uniżonego ukłonu przed publicznością. Widział pan magików występujących w nocnych lokalach? Wyłązą ze skóry, żeby się wszystkim przypodobać, żeby ludzie mówili: „Jaki zabawny facet”, zamiast: „Jaki wspaniały, jaki tajemniczy!” To wada wszystkich widowisk rozrywkowych: chcemy się wam podobać, klepcie nas po ramieniu, pieśćcie! My chcemy czegoś innego.

— Czego ty chcesz? Żeby się ciebie bali?

— Żeby mnie podziwiali. To nie egoizm. Ludzie pragną coś podziwiać, a duch czasu zabrania im tego. Gotowi są

płacić, byle dać im naprawdę dobre i zadziwiające widowisko. Czy wojna niczego nie nauczyła nas? Hitler na początku swej kariery powiedział: „Podziwiającie mnie, zdumiewajcie się, bo umiem robić rzeczy, których inni nie potrafią zrobić” — i ludzie z uwielbieniem padali plackiem przed nim. My ofiarowujemy niewinną rozrywkę, która może nasycić głodną część ludzkich dusz. Ale nie uda się to, jeżeli pozwolimy, aby ludzie, których zadziwiliśmy, dotykali nas poufale, traktowali protekcjonalnie i głaskali po głowie. Dlatego powzięliśmy pewien plan.

— Jaki mianowicie?

— Nasz teatr musi zachować swój charakter także poza godzinami przedstawień. Nie pokazuję się poza sceną inaczej niż w okolicznościach, które mogą w jakiś sposób dodawać mi autorytetu. Nigdy nie demonstruję sztuk poza teatrem. Jeśli ktoś spotka mnie na mieście, musi zobaczyć dystygowanego dżentelmena, imponującego godnością, a nie sympatycznego faceta jak wszyscy inni. Dziewczyny mają w kontraktach warunek, że nie wolno im przyjmować żadnych zaproszeń bez naszej zgody, pokazywać się gdziekolwiek w strojach, których nie zaaprobujemy, zadawać się ze swoimi chłopakami; w ogóle mają w opinii ludzkiej uchodzić za prawdziwe damy. Niełatwa sprawa, z samą Faustyną mamy wielkie kłopoty, nie nauczyła się jeszcze ubierać jak należy, a jedzenie pochłania jak lwica.

— Musisz dużo płacić, żeby ludzie zgodzili się na taki tryb życia.

— Oczywiście. Toteż zespół musi być nieliczny, a płaca płaconą. Znajdziemy odpowiednich ludzi.

— Dobrze, ale mówisz wciąż „my”, „my” zrobimy, „nasza” aprobata. Czy to pluralis maiestatis? Jeśli tak, obawiałbym się o twoją równowagę psychiczną.

— Nie, nie. „My” — to znaczy Liesl i ja. Ja jestem magikiem, ona autokratycznym władcą zespołu, jak pan wkrótce się przekona.

— A dlaczego Liesl rządzi zespołem?

— To też wkrótce pan odkryje.

— Nie jestem pewny, czego ode mnie chcecie. Moje zdolności do magii jeszcze bardziej zmalały od czasów, gdy byłeś całą moją publicznością w deptfordzkiej bibliotece.

— Nic nie szkodzi. Liesl pana potrzebuje.

Spojrzałem na Liesl, która uśmiechnęła się czarująco mimo okropnie ciężkiej dolnej szczęki, i odparłem:

— Liesl przecież nic o mnie nie wie.

— Nie docenia pan sam siebie — powiedziała. — Czyż nie jest pan autorem *Stu świętych dla podróżnych* i *Zapomnianych świętych Tyrolu?* A także *Celtyckich świętych Brytanii i Europy?* Gdy wczoraj Eisengrim wspomniał, że zauważył pana wśród publiczności i że pan wcisnął mu do ręki chusteczkę, od razu zapragnęłam poznać pana osobiście. Zawdzięczam panu wiele cennych informacji i jeszcze cenniejsze miłe godziny lektury pańskiej uroczej prozy. Nieczęsto spotyka się tak znakomitego hagiografa.

Różne są rodzaje magii. Tych kilka zdań objawiło mi prawdę, że Liesl wcale nie jest tak szkaradna, jak myślałem, że to kobieta o interesującym umyśle i niewątpliwym wdzięku, uwięziona okrutnie w zniekształconym ciele. Umiem poznać się na pochlebstwach, gdy ktoś mnie nimi zwodzi, ale zdarza się to rzadko. Zresztą są pochlebstwa dobre i złe, a te były w najlepszym gatunku. Cóż to za niezwykła osoba, która w obcym sobie języku zna wyraz tak rzadki jak „hagiograf”? Prócz bollandystów nikt jeszcze tak mnie nie nazwał, a przecież nie zamieniłbym tego określenia na królewski tytuł. Urocza proza! Muszę dowiedzieć się od Liesl czegoś więcej jeszcze.

Wiele osób po wysłuchaniu pochlebstw stara się natychmiast zamanifestować trzeźwość umysłu, chcąc ukryć, że połknęło przynętę. Ja właśnie do takich należę.

— Wasz plan wydaje mi się bardzo nieekonomiczny — powiedziałem. — W naszych czasach teatry wędrowne bankrutują, jeżeli nie grają przed liczną publicznością i nie mają solidnego finansowego poparcia. Zamierzacie dawać przedstawienia na najwyższym poziomie artystycznym. Na czym opieracie nadzieję przetrwania? Z pewnością ja nie mogę wam udzielić rad, które pomogłyby wam w tym skutecznie.

— Nie tego od pana oczekujemy — odparła Liesl. — Rad w sprawach finansowych szukamy u finansistów. Jeśli o pana chodzi, chcemy skorzystać z pańskiego dobrego smaku i ze szczególnej formy dość niezwykłej pomocy. Za którą, oczywiście, zamierzamy zapłacić.

Innymi słowy wypraszałi sobie amatorskie i wścibskie

mieszanie się do ich gospodarki pieniędzmi. Ale jakiej niezwykłej pomocy mogli ode mnie żądać?

— Każdy magik ma swoją autobiografię, którą sprzedaje się w teatrze i poza teatrem — ciągnęła dalej Liesl. — Są to przeważnie nędzne ramoty, pisane przez jakąś inną osobę — nazywacie takiego podstawionego autora „murzynem”, jeśli się nie mylę? My chcemy, żeby autobiografia Magnusa Eisengrima była godna poziomu naszego programu. Musi być napisana bardzo dobrze, ale zarazem przystępnie, przekonująco i pięknym stylem. I to właśnie mógłby pan dla nas zrobić, drogi panie!

Gestem, który u innej kobiety byłby powabny i zalotny, położyła olbrzymią dłoń na mej ręce, nakrywając ją całą.

— Jeśli miałbym podpisać tę historię własnym nazwiskiem, z góry kategorycznie odmawiam.

— Nigdy w świecie! Zależy nam, żeby to była autobiografia. Pana prosimy, żeby zechciał być „murzynem”. A jeżeli taka propozycja wydaje się obraźliwa dla tak znakomitego pisarza, gotowi jesteśmy wynagrodzić to wysokim honorarium. Zebrałam w tej sprawie informacje: trzy tysiące pięćset dolarów to niezła zapłata.

— Ale i niezbyt dobra. Zgódźcie się dać mi oprócz tych trzech i pół tysięcy połowę zysków ze sprzedaży, a może zastanowią się nad waszą ofertą.

— Stara zachłanna krew Ramsayów! — rzekł Eisengrim i po raz pierwszy usłyszałem jego szczerzy śmiech.

— Pomyślcie, czego żądacie. Autobiografia musi być fikcyjna. Rozumiecie chyba, że publiczność nie strawi wytwornego światowca, jeśli okaże się on synem pastora baptystów z małego kanadyjskiego miasteczka...

— Nigdy nie mówiłeś, że twój ojciec był pastorem — zwróciła się Liesl do Eisengrima. — Ileż mamy ze sobą wspólnego! W rodzinie mojego ojca jest wielu pastorów.

— Biografię tak samo jak osobowość bohatera trzeba starannie skonstruować — powiedziałem. — Sam przez cały czas lunchu tłumaczyłeś mi, że znakomitych dzieł wyobraźni nie można kleić byle jak.

— Niech pan nie stawia nam zbyt trudnych warunków — prosiła Liesl. — Oczywiście nie każdy pisarz umiałby to zrobić. Ale pan tak przekonująco pisze o świętych, usypiając czujność sceptyków subtelnie nieszczerą bezstronnością, traktując cuda z rzeczową powagą... pan jest dla nas wy-

marzonym autorem. Możemy i chcemy zapłacić, ale oczywiście w granicach rozsądku. Myślę, że taki stary przyjaciel magii jak pan nie może nam odmówić.

Uśmiech na jej szpetnej twarzy był tak ujmujący, że nie mogłem rzeczywiście odmówić. Zapowiadało się to jak przygoda, a pięćdziesięcioletni mężczyzna nie spotyka już na każdym zakręcie okazji do przygód.

4

Czy pięćdziesięcioletniemu mężczyźnie w ogóle powinny się zdarzać przygody? Takie pytanie zadawałem sobie w miesiąc później: miałem wyżej uszu Magnusa Eisengrima i jego zespołu, nie cierpiałem Liesl Vitzlipützli — bo takie absurdalne nazwisko nosiła jego szkaradna współniczka. Nie mogłem jednak wyzwolić się z pęt ich energii i uporu, z jakim dążyli do celu, a cudowna tajemnica ich zawodu zawładnęła moim samotnym sercem.

Przez kilka pierwszych dni dusza radowała się we mnie, gdy siedziałem z Liesl na parterze pustego teatru, podczas gdy na scenie Eisengrim urządzał próbę. Dzień w dzień powtarzał i wnikliwie analizował kilka swoich iluzji, podkreślając jakiś moment, wyciszając inny, wciąż doskonalał subtelną technikę odwracania w pożądanym kierunku uwagi widzów, bo na tym polega cała sztuka scenicznego czarodzieja.

Obserwowałem go z wielką satysfakcją, bo naprawdę był mistrzem we wszystkich żonglerskich sztuczkach, które wydawały mi się tak wspaniałe i tak niedostępne w moich chłopięcych latach. „Połóż na dłoni sześć półkoronówek...” Tę sztuczkę umiał wykonywać obu rękami. Niemal łzy napłynęły mi do oczu, kiedy oglądałem jego kostium magika, zadziwiający frak z mnóstwem ukrytych kieszeni: gdy Eisengrim wszystkie te skrytki napełnił rekwizytami potrzebnymi do „Snu Midasa”, frak ważył dwanaście funtów, ale na figurze magika leżał idealnie i żadną wypukłością nie zdradzał swoich sekretów.

Pytano mnie o zdanie w sprawach programu i chętnie dzieliłem się uwagami. Za moją radą wprowadzono pewne zmiany w drugiej części przedstawienia. Zaproponowałem

wyrzucenie numeru z bańką i strażakiem. Nie ma nic romantycznego w człowieku ładowanym do blaszanego naczynia i w ucieczce z takiego więzienia. Zresztą numer ten polega na fizycznej zręczności, więc nie pasuje do programu iluzjonisty i magika. Liesl skorzystała z okazji, żeby opowiedzieć się za włączeniem na to miejsce innego numeru pod tytułem „Mosiężna głowa brata Bacona”, a ja poparłem ją gorąco, bo ta sztuczka znakomicie harmonizowała z charakterem, jaki pragnęli nadać swojemu teatrowi. Ale wspomniały Eisengrim nigdy nie słyszał o franciszkańskim bracie Baconie i podobnie jak wiele osób w analogicznej sytuacji był przekonany, że coś, czego on nie wie, musi być mało warte i znane jedynie paru dziwacom.

— Zareczam ci, że to w sam raz dla ciebie — tłumaczyłem. — Możesz publiczności na wstępie opowiedzieć o wielkim zakonniku-czarodzieju i o jego Mosiężnej Głowie, która przepowiadała przyszłość i odgadywała sekrety przeszłości. Napiszę ci tekst. Mniejsza o to, czy ludzie słyszeli o bracie Baconie, czy nie. Wielu z twoich widzów nie słyszało o Fauście, a mimo to podoba im się twoja wersja tej historii.

— O przepraszam, każdy wykształcony człowiek musiał słyszeć o Fauście — nieco napsuszonym tonem zaprotestował Eisengrim. — To przecież postać z bardzo znanej opery.

Nie miał pojęcia, że Faust jest bohaterem jednego z najsławniejszych w świecie dramatów.

Brakowało mu podstawowego wykształcenia, chociaż mówił płynnie kilkoma językami, i Liesl między innymi musiała go taktownie nauczyć, żeby nie zabierał głosu na tematy, których nie zna. Myślę, że jego niezwykła, imponująca osobowość wiele zawdzięczała ignorancji, a raczej temu, że nie napchano mu głowy powierzchownymi wiadomościami, które pozwoliłyby mu stać się szarym człowiekiem w szarym tłumie. Jako nauczyciel z dwudziestoletnim doświadczeniem nie szanowałem dyletantów. Eisengrim umiał to, co umiał, lepiej niż ktokolwiek na świecie, to mu dawało pewność siebie, a czasem też trochę niewiarygodnie naiwnego egotyzmu.

Pracowaliśmy intensywnie nad Mosiężną Głową, która miała być po prostu starą doskonałą sztuczką „czytania myśli”, podaną w nowej formie. Eisengrim sprawiał, że Mosiężna Głowa „lewitowała”, unosząc się, pozornie bez

żadnych podpórek ani drutów, nad środkiem sceny; dziewczęta z zespołu schodziły między publiczność i zbierały od widzów rozmaite drobne przedmioty, które każdy z właścicieli kładł do koperty i zaklejał ją. Eisengrim otrzymywał te koperty na tacy i prosił Mosiężną Głowę, aby każdy przedmiot kolejno opisała, wskazując jego właściciela. Mosiężna Głowa wywiązywała się z tego zadania wymieniając rząd i numer fotela osoby, do której dany przedmiot należał. Dopiero wtedy Eisengrim brał koperty do ręki. Potem Mosiężna Głowa zwracała się w kilku słowach do trzech, jak się zdawało, na chybił-trafił wybranych widzów, czyniąc aluzje do ich spraw osobistych. Był to numer w swoim rodzaju pierwszorzędny a tekst, który do niego napisałem, prosty, literacki, wolny od pompatycznej retoryki, tak lubianej przez magików, w znacznym stopniu, jak sobie pochlebiam, przyczyniał się do wytworzenia nastroju tajemniczości.

Sztuka była trudna, bo dużo zależało od dziewcząt zbierających na sali przedmioty; każda musiała mieć głowę na karku, a głowa nie należała do najlepiej rozwiniętych narządów ich ciała. Krótkie przemówienia zwracane do osób rzekomo na chybił-trafił wybranych polegały na sztuce prostej, lecz niełatwej, bo w tym przypadku potrzebna była wielka zręczność współpracownika zespołu, złodzieja kieszonkowego, który prócz wyjątkowego talentu do kradzieży odznaczał się wyrazem twarzy tak uczciwym i sympatycznym, że kiedy mieszał się z wchodzącym do teatru tłumem, ścisnął na powitanie ręce gości i torował sobie drogę, jakby spiesząc w jakimś interesie, nikt go nie mógł podejrzewać o jakieś nieczne zamiary. Aby znakomitym osobistościom oszczędzić fadygi wystawiania w kolejce do szatni, ofiarowywał się grzecznie zabrać ich płaszcze do swojego gabinetu i często w kieszeniach znajdował bezcenne listy. Ale w przypadku kobiet lub mężczyzn bez szczególnej pozycji społecznej trzeba było po prostu okradać ich, co było oczywiście niebezpieczne. Nasz złodziejaszek robił to z przyjemnością, przypominając sobie dawne dobre czasy, nim ziemia w Londynie zaczęła mu się palić pod stopami tak, że musiał zwać do Rio.

Z powodu kilku słów, które Mosiężna Głowa zwróciła do pewnej damy pierwszego wieczora, gdy włączono ten numer do programu, nazajutrz odbył się pojedynek między

znanym meksykańskim adwokatem a miejscowym denty-
stą, pozującym na Don Juana. Nic nie mogło nam zrobić
lepszey reklamy i różne osoby ofiarowały spore sumy za
pozwolenie zasięgnięcia w cztery oczy rad Mosiężnej Głowy.
Eisengrim, jak każdy perfekcjonista skłonny do niepokoju,
bał się, że takie rewelacje zniechęcą publiczność do teatru,
ale Liesl była dobrej myśli, uszczęśliwiona zapewniała,
że ludzie będą cisnęli się na przedstawienie, żeby usłyszeć,
jak Mosiężna Głowa rąbie prawdę w oczy ich sąsiadom.
Okazało się, że Liesl miała rację.

To ona przemawiała w imieniu Mosiężnej Głowy, bo
nikt inny w zespole nie byłby zdolny tak błyskawicznie
interpretować listów czy zapisków w notesie ani formu-
łować wypowiedzi pikantnych, lecz nie podpadających pod
paragraf o zniesławieniu. Liesl była obdarzona wyjąt-
kową inteligencją i intuicją; umiała improwizować i styli-
zować dwuznaczne, a zarazem szokujące zdania, których
nie powstydziałaby się wyrocznia delficka.

Mosiężna Głowa święciła takie tryumfy, że ktoś zapro-
ponował, aby ten numer przesunąć na koniec programu,
jako jego najlepszą sensację. Sprzeciwiłem się temu; skoro
spektakl miał przede wszystkim uderzać w ton romanti-
czny, wizja doktora Fausta stanowiła jego najodpowied-
niejsze ukoronowanie. Ale Głowa jako intrygująca zagadka
była naszym szczytowym osiągnięciem w swoim rodzaju.

Muszę pochwalić się, że to ja dostarczyłem pomysłu do
jednej z najlepszych iluzji, jakie Eisengrimowi przyniosły
światową sławę. We wszystkich teatrach variétés na świe-
cie można spotkać magików, którzy przepiłowują kobietę
na dwie części, ale ja namówiłem Eisengrima, żeby doko-
nał tej operacji na ochotnikach spośród publiczności.

Było to możliwe dzięki jego darowi hipnotyzera. Kiedy
opracowaliśmy ten numer we wszystkich szczegółach
i umieściliśmy go w programie przedstawienia, Eisengrim
najpierw dokonywał najbanalniejszej ze sztuk polegających
na iluzji, przecinając piłą tarczową którąś z naszych sta-
tystek, pokazując jej uśmiechniętą głowę w jednym końcu
skrzyni, podczas gdy w drugim wierzgały nogi dziewczyny,
przy czym między dwiema częściami pudła ziała pusta
przestrzeń, co najmniej na trzy stopy szeroka. Następnie
zapraszał ochotnika z sali, aby tę samą operację przepro-
wadzić na nim. Tego ochotnika poddawał lekkiej hipnozie

tłumacząc, że jest to konieczne, bo delikwent nie znieczulony wiercąc się mógłby zrobić sobie jakąś krzywdę. Potem pakował go do nowej skrzyni i przepoławiał wielką, groźnie wyglądającą piłą zawodowego tracza. Prezentował ochotnika w dwóch kawałkach, ale zdolnego nie tylko wymachiwać nogami, lecz również odpowiadać na pytania i oznajmiać, że czuje w połowie ciała bardzo przyjemną lekkość i pustkę. Na nowo scalony przez magika, człowiek ten schodził ze sceny niewątpliwie z zawrotem głowy, ale pełen podziwu dla własnej osoby i uradowany oklaskami.

Najlepszy moment tej iluzji następował wtedy, gdy dwaj statyści podsuwali delikwentowi duże lustro, aby mógł sam zobaczyć, że jest przecięty na dwoje. Tym numerem zastępowaliśmy poprzedni, zbyt banalny eksperyment hipnotyczny, który oglądałem jako widz pierwszego wieczora.

Praca nad tymi iluzjami była bardzo przyjemna, niestety działała destrukcyjnie na mój charakter. Zdawałem sobie sprawę, że odzyskuję najmiłsze chwile dzieciństwa, moja wyobraźnia nigdy nie zaznała równie wspaniałej swobody, lecz razem z wolnością dla fantazji wracała skłonność do kłamstw, brak skrupułów, zachłanny egocentryzm dziecka. Przyłapywałem sam siebie na bezczelnych przechwałkach i łągarstwach. Rumieniłem się ze wstydu, ale nie mogłem się opanować. O ile siebie znam, nigdy przedtem nie umiałem całkowicie przedzierzgnąć się w skórę dyrektora szkoły — osobistość poważną, uczoną, niezłomnego charakteru — byłem jednak historykiem, hagiografem, starszym panem o nieskazitelnej reputacji, kawalerem Krzyża Wiktorii, autorem kilku chwalonych książek, człowiekiem, którego droga życiowa jest raz na zawsze wytyczona, a możliwości sukcesu jasno określone. Tymczasem znalazłem się w Meksyku, nie tylko stowarzyszony z trupą wędrownego magika, ale całkowicie wciągnięty w jej życie. Pewnego dnia, ku własnemu zdumieniu, klepnałem jedną ze statystek po pośladkach i filuternie zmrużyłem oko na jej rzekome oburzenie; wtedy zrozumiałem, że coś niedobrego dzieje się z Dunstanem Ramsayem.

Łatwo było ustalić dwa najgorsze błędy: stałem się niebezpiecznie niedyskretnym gadułą i zakochałem się w pięknej Faustynie.

Nie wiem, który z nich bardziej mnie martwił. Od dzieciństwa potrafiłem trzymać język za zębami. Lubiłem słu-

chać plotek, nigdy ich nie powtarzając bez ostatecznej konieczności; nigdy nie zawiodłem niczyjego zaufania, wolałem rozkoszować się w skrytości myślą, że jestem powiernikiem cudzych sekretów. Przyjaźń z Boyem Stauntonem w dużym stopniu opierała się na jego niewzruszonej pewności, że nie wyjawię nic z tego, co mi zwierza ściśle poufnie, a prawie wszystko, o czym ze mną mówił, traktował jako poufne zwierzenia. Czerpałem satysfakcję z tego, że dużo wiem, nie z tego, że mógłbym niemało powiedzieć. A teraz paplałem jak sroka, wyjawiałem rzeczy, które przedtem nigdy by mi nie przeszły przez usta, i to komu! Liesl, o której wiedziałem, że nie szanuje cudzych sekretów ani zwierzeń.

Rozmawialiśmy zwykle po południu, gdy Liesl majstrowała przy rekwizytach i mechanizmach używanych do różnych numerów, w małym teatralnym warsztacie za sceną. Wkrótce odkryłem, dlaczego Liesl panuje nad zespołem: po pierwsze finansowała teatr Eisengrima; całe przedsięwzięcie powstało i trzymało się dzięki jej gotówce lub też pożyczkom przez nią gwarantowanym. Była Szwajcarką, wedle pogłosek krążących po teatrze, córką rodziny posiadającej jedną z największych szwajcarskich wytwórni zegarków. Po wtóre miała niezwykły talent do mechaniki; jej ogromne ręce dokonywały cudów zręczności operując skomplikowanymi sprężynami i wyzwalaczami. Liesl była też rękodzielnikiem, sporządziła Mosiężną Głowę z lekkiej masy plastycznej tworząc dzieło bardzo interesujące; żaden przedmiot w teatryku Eisengrima nie był tandetny, wszystko nosiło znamię jej dobrego smaku. W przeciwieństwie do wielu rzemieślników Liesl umiała też myśleć nie tylko o wyglądzie rzeczy, które robiła, ale też o ich funkcjonalności.

Czasem pouczała mnie o pięknie mechaniki.

— Istnieje kilkanaście podstawowych zasad — mówiła. — Nie twierdzę, że przy ich zastosowaniu wszystko jest możliwe, ale na pewno możliwe są sztuki magiczne, jeśli ktoś wie, czego chce. Niektórzy magicy próbują posługiwać się tak zwaną nową techniką — promieniami, radarem i tak dalej. Ale to dzisiaj każdy chłopiec rozumie. Mało kto natomiast naprawdę zna działanie mechanizmu zegarowego, bo nosząc stale zegarki na rękę ludzie po prostu o nich nie myślą.

W rozmowach ze mną uporczywie wciąż nawiązywała

do autobiografii Eisengrima, nad którą pracowałem. Nie zwykłem rozmawiać o pracy, którą mam właśnie na warsztacie, żywię nawet zabobonną obawę, że takie gadanie może zaszkodzić książce pochłaniając energię, potrzebną autorowi do pisania. Ale Liesl chciała koniecznie wiedzieć, jak mi idzie ta robota, jaką wybrałem koncepcję, jakie wspaniałe kłamstwa wymyśliłem, żeby przedstawić Paula Dempstera jako czarodzieja z Północy.

Uzgodniliśmy ogólne zarysy jego historii: Eisengrim miał być synem nadbałtyckiej krainy; wychowywali go może podobni do gnomów Lapończycy po śmierci jego rodziców, podróżników, może Rosjan-arystokratów. Albo rodzicami jego będą Szwedzi czy Duńczycy zamieszkujący w Finlandii. A może rodzice zginęli w puszczech Kanady? W każdym razie Eisengrim będzie dziecięciem stepów, swoje wilcze nazwisko przybrał na pamiątkę po dzikich bestiach, których wycie wśród nocy w najwcześniejszym dzieciństwie zastępowało mu kołysanki, a także dlatego, że chciał ukryć prawdziwe arystokratyczne rodowe nazwisko. Studiowałem żywoty kilku skandynawskich świętych i miałem w zapasie mnóstwo barwnych szczegółów.

Nic dziwnego, że gdy dyskutowaliśmy o tych fikcyjnych zdarzeniach, Liesl zapagnęła też poznać prawdziwe fakty. Pomimo jej odrażającej powierzchowności i mimo że w głębi duszy nie miałem do Liesl zaufania, potrafiła wciągnąć mnie w zwierzenia; sam nie wiem, jak to się stało, ale opowiedziałem jej o naszym rodzinnym Deptford, o Dempsterach i przedwczesnych narodzinach Paula — chociaż nie wyjawilem wszystkiego, co mi było o tym wiadome; opowiedziałem jej nawet o przykrym incydencie w żwirowni i o jego konsekwencjach, o ucieczce Paula; nie mogłem tego później odżalować, ale tak się rozpędziłem, że opowiedziałem też o Willie'em, o Surgeonerze i co najgorsze o Małej Madonnie. Kiedy tę historię wypaplałem, nie mogłem usnąć przez całą następną noc, a nazajutrz rano, gdy zostałem z Liesl sam na sam, zacząłem ją błagać, żeby nikomu nie powtórzyła tego, co ode mnie usłyszała.

— Nie, Ramsay, nic podobnego panu nie obiecuję — odparła. — Jest pan w takim wieku, że chyba pan już nie wierzy w sekrety. Nie ma sekretów, wszyscy lubią gadać i gadają. No cóż, wiem, że księża, adwokaci i lekarze zobowiązani są do dyskrecji zawodowej, ale nawet oni nie za-

wsze dochowują tajemnicy. Jeśli wytrwają, dziwaczejają zwykle; płacą wysoką cenę za swoją skrytość. Pan także zapłacił drogo i wygląda pan na człowieka duszącego się od nadmiaru sekretów, świadczą o tym te zacięte ponuro usta, surowy wzrok, mina okrutnika, bo jest pan sam dla siebie okrutny. To, że pan trochę popuścił wodze językowi, bardzo dobrze panu zrobiło, już pan nabiera bardziej ludzkiego wyglądu. Trochę jest pan dzisiaj zdenerwowany, bo nie przywykł pan jeszcze do zmniejszonego ciśnienia tych wszystkich przechowywanych tajemnic, ale wkrótce poczuje pan ulgę.

Po południu ponowiłem prośby, lecz nie chciała mi niczego obiecać; zresztą i tak pewnie bym jej nie uwierzył, nawet gdyby to zrobiła. Irracjonalnie, obsesyjnie czciłem ideał dyskrecji, z jaką przez pięćdziesiąt lat przemilczałem swoje sekrety — po to tylko, żeby je teraz tak nieopatrnie zdradzić!

— Jeżeli człowiek z natury tak skryty jak pan nie mógł zachować w sekrecie tego, co wie o Eisengrimie, jakże może się pan spodziewać dyskrecji od osoby, którą pan pogardza tak jak mną — powiedziała. — Och, tak, pan mną pogardza. Gardzi pan niemal wszystkimi ludźmi z wyjątkiem matki Paula. Nic dziwnego, że ona wydaje się panu świętą; obciążyła ją pan całą czułością, którą powinien pan rozłożyć na pół setki osób. Proszę nie patrzeć na mnie tak tragicznym wzrokiem, należałoby mi raczej podziękować. Mając pięćdziesiąt lat mógłby pan ucieszyć się, że nareszcie dowiaduje się prawdy o sobie. To okropne miasteczko i straszni szkoccy rodzice zrobili z pana moralnego potwora. Ale nie jest jeszcze za późno, mógłby pan jeszcze przeżyć kilka lat po ludzku, prawie normalnie. Jest pan najmilszym pod słońcem człowiekiem, ale także głupcem. Proszę mi lepiej powiedzieć, jakim sposobem wyciągnie pan małego Magnusa Eisengrima z tej obrzydliwej Kanady do innych krajów, gdzie możliwe są wielkie duchowe przygody?

Cierpiałem z powodu tego załamania się, które przeobraziło mnie w gadułę, ale była to fraszka w porównaniu z torturami, jakie znosiłem zadurzywszy się w pięknej Fausty nie.

To była choroba, zdawałem sobie sprawę, że to choroba. Jasno widziałem, że piękna Faustyna nie jest kobietą, którą miałbym prawo kochać. Po pierwsze, była co najmniej

o trzydzieści lat młodsza ode mnie. Nade wszystko nie miała w głowie ani odrobiny rozumu, była potwornie próżna, złośliwie zazdrosna o inne dziewczęta z zespołu, dąsała się, gdy nie otaczały ją kadzidła uwielbienia. Buntowała się przeciw regulaminowi teatru zabraniającemu przyjmowania zaproszeń od mężczyzn, którzy ją ujrzeni na scenie, rozkoszowała się ich hołdami, bo cisnęli się ku niej przed wyjściem dla artystów, zasypując ją kwiatami, cukierkami i rozmaitymi podarkami, gdy wsiadała wraz z Eisengrimem do wynajętej limuzyny. Jakiś młodzieniec z płomienymi oczyma wcisnął jej do ręki swój wiersz, ale Faustyna, widząc zapisaną kartkę, myślała, że to czek i z oburzeniem odrzuciła dar. Serce mi się krajało z litości nad jej ciemnotą. Była jak zwierzątko.

A jednak kochałem ją. Kręciłem się po teatrze, żeby zobaczyć ją wchodzącą czy wychodzącą. Czaiłem się za kulisami — miałem tam wstęp wolny, bo ogromne parawany osłaniały scenę od wzroku robotników teatralnych należących do zespołu, aby nie podpatrzyli sekretów naszych iluzji — i śledziłem Faustynę, gdy błyskawicznie z Małgorzaty przeobrażała się w Wenus, ponieważ mimo przemysłności, z jaką uszyto oba kostiumy, przez jedno oka mgnienie mogłem ją zobaczyć naga. Wiedziała o tym, czasem rzucała mi porozumiewawczy uśmiech, czasem marszczyła brew ze zgorzeniem. Nie umiała wyrzec się niczyjego uwielbienia, a co do mnie, chociaż dla większości zespołu pozostałem osobistością nieco tajemniczą, wiedziała, że mój głos liczy się poważnie w najwyższych sferach teatru.

Nieraz całe noce spędzałem bezsennie wywołując jej wizerunek w wyobraźni. W takie noce cierpiałem najstraszniejszą udrękę kochanka, który stwierdza, że nie umie odtworzyć w umyśle dokładnie twarzy uwielbianej; piszę to bez nadziei, aby mógł mnie zrozumieć ktoś, kto nie zaznał takiego poniżenia uczuć: drżałem, jakbym popełnił bluźnierstwo zniekształcając w ten sposób jej wizerunek. Zamęczałem się bezowocnymi pytaniami: czy obietnica dożgonnej służby wystarczy, aby ją dla mnie zjednać? A jeśli tak — bo zdrowy rozsądek nigdy mimo wszystko nie opuścił mnie całkowicie — jak piękna Faustyna będzie zachowywała się wobec ciekawych, wytrzeszczających na nią oczy sztubaków z Colborne College albo wobec żon innych nauczycieli na ich ogłupiających herbatkach towarzyskich? Mimo woli

wybuchałem śmiechem, wyobrażając sobie te sytuacje. Bo tak byłem wrośnięty w swoje życie w Kanadzie, że zawsze w myślach wyznaczałem Faustynie rolę prawowitej małżonki, a sobie dalszą pracę nauczycielską.

Moja nauczycielska praca! Czyż Faustyna byłaby zdolna pojąć, czym jest nauczycielstwo, i że człowiek może mu poświęcić życie! Łamiąc sobie głowę, jak jej to wytłumaczyć, doznałem nowego szoku, bo po raz pierwszy zacząłem się zastanawiać, czy jest to rzeczywiście tak wspaniałe powołanie, jak sobie dotychczas, od lat uprawiając ten zawód, wyobrażałem. Jakże będę mógł złożyć swoje sukcesy u jej przesłicznych stóp, skoro ona nie ma pojęcia, czym są moje dzieła? Ktoś — zapewne Liesl — powiedział jej, że bardzo dużo wiem o świętych, i to jakoś dotarło do jej świadomości.

Pewnego radosnego dnia, gdy spotkałem ją na korytarzu wracając zsa kulis, gdzie podglądałem jej metamorfozę w „Wizji doktora Fausta”, zagadnęła mnie:

— Dobry wieczór, święty Ramsayu!

— Święty Dunstanie — poprawiłem.

— Nie znam świętego Dunstana. Czy to był rozpustny stary święty, który podglądał kobiety? Wstyd, wstyd, święty Dunstanie!

Zakołysała lubieżnie biodrami i umknęła do garderoby, którą dzieliła z Eisengrimem.

Rozpływałem się w ekstazie szczęścia zmieszanego z rozpaczą. Przemówiła do mnie! Wie, że ją śledzę, a zapewne domyśla się też, że ją kocham i że jej pragnę. Ta zaczepka czy słowna utarczka — jakkolwiek by nazwać to nasze spotkanie — jasno o tym świadczyło. Tak, ale nazwała mnie świętym Dunstanem! Co to znaczy? I w dodatku rozpustnym starym świętym, a więc uważała mnie za starucha! Nie bez racji, miałem przecież pięćdziesiąt lat, a według chronologii peruwiańskiej dziewczyny, z pewnością półkrwi Indianki, to był wiek zgrzybiały. Ale zagadnęła mnie, dała do zrozumienia, że wie o mojej miłości i...

Przeżuwałem te chaotyczne myśli przez całą prawie noc przypisując Faustynie subtelność wbrew trzeźwemu rozsądkowi, ale nie mogłem opędzić się od tych złudzeń.

Oficjalnie była kochanką Eisengrima, ale ustawicznie kłócili się, bo on lubował się w pedantycznym porządku, a ona z ich wspólnej garderoby stale robiła śmietnik. Poza

tym nie mogłem wątpić, że jedyną jego naprawdę wielką miłością jest miłość własna; zajęty był wciąż myślą o tym, jak widzi go publiczność, i psychologicznym doskonaleniem swoich numerów z taką samą pilnością, z jaką Liesl dbała o ich mechaniczną niezawodność. Widziałem w życiu wiele okazów egocentryzmu, wiedziałem, że egocentryzm zuboża miłość do innych osób, a czasem całkowicie ją unicestwia. Czyż nie tak stało się w przypadku Boya i Leoli? Jednakże Eisengrim w hotelu dzielił pokój z Faustyną; wiedziałem to, bo z kwatery, gdzie mieszkałem poprzednio, przeniosłem się do jeszcze bardziej typowo hiszpańskiego hotelu, w którym zatrzymała się elita teatralnego zespołu. A więc zajmowali wspólny pokój, ale czy z tego można wysnuwać jakieś wnioski?

Odkryłem prawdę nazajutrz po owym spotkaniu, gdy nazwała mnie „świętym Dunstanem”. Poszedłem do teatru około piątej po południu i przypadkiem znalazłem się na korytarzu, przy którym mieściły się garderoby gwiazd; drzwi były otwarte i zobaczyłem Faustynę nagą — przebierała się ustawicznie — w objęciach Liesl, która lewą ręką obejmowała piękną dziewczynę i tuliła do siebie całując namiętnie; prawa ręka Liesl była dla mnie niewidoczna, ale ruch bioder Faustyny i jej rozmarzone pomruki miały jednoznaczną wymowę nawet dla człowieka tak w tej dziedzinie mało uświadomionego jak ja.

Podobnego upadku ducha nie przeżyłem nawet w najstraszniejszych chwilach wojny. Ale tym razem nie zjawiała się Mała Madonna, aby dodać mi odwagi lub miłosiernie odebrać mi przytomność.

5

— Jakoś pan dzisiaj przybladł, drogi panie!

To Liesl zrobiła tę uwagę. Około pierwszej w nocy zapukała do drzwi mojego hotelowego pokoju, a gdy otworzyłem, zobaczyłem ją w szlafroku narzuconym na pidżamę, z uśmiechem na szpetnej twarzy.

— Czego pani sobie życzy?

— Porozmawiać. Uwielbiam rozmowy z panem, a panu wygadanie się jest bardzo potrzebne. Żadne z nas nie ma ochoty spać, wobec tego porozmawiajmy.

Weszła, a ponieważ w małym pokoiku było tylko jedno bezkompromisowo twarde krzesło, usiadła na łóżku.

— Proszę usiąść tutaj przy mnie. Gdybym była angielską damą czy też czyjąś matką, pewnie bym na wstępie zapytała: „Co się właściwie stało?” Ale to czysta retoryka. Wiem, co się stało. Dziś po południu zobaczył mnie pan z Faustyną. Ależ tak, spostrzegłam pana w lustrze. No i co? Nie odpowiedziałem nic.

— Przypominasz mi małego chłopca, Ramsay. Zresztą nie, o mało nie zapomniałam, że to tylko niemądrzy mężczyźni lubią, gdy ich się porównuje do małych chłopców. A więc jesteś pięćdziesięcioletnim człowiekiem, którego uczucia, od dawna zakorkowane, rozsadziły butelkę bryzgając szkłem i kwasem na wszystkie strony. Dlatego mówiłam o małym chłopcu, przepraszam cię za to, ale nie umiając poradzić sobie z sytuacją jako pięćdziesięciolatek, cofnąłeś się w dzieciństwo. No tak, współczuję ci. Nie bardzo, ale troszkę.

— Wypraszam sobie taki protekcyjny ton, Liesl.

— To jedno z tych angielskich wyrażen, których nigdy dobrze nie zrozumiałam.

— No więc, nie traktuj mnie tak z wysoka, rozumiesz? Niech ci się nie zdaje, że jesteś od wszystkich mądrzejsza. Nie występuj w roli wyrafinowanej Europejki, Cyganki z wędrownego teatru, kobiety obdarzonej wyjątkową intuicją, lekceważącej uczucia biednego prostaka, który w swej ciemnocie stosuje do życia zasady przyzwoitości i honoru, zamiast wykorzystywać osoby nieświadome zapewne, co czynią.

— Chodzi ci o Faustynę, prawda? To cudowna dziewczyna, ale istota z gatunku, o jakim ty, Ramsay, nie masz najłżejszego pojęcia! To nie jest jedna z waszych północnoamerykańskich dziewcząt, na pół magister nauk humanistycznych, na pół finansistka, a na pół pocziwa kwoka — wypadły mi aż trzy połowy, ale mniejsza o to. To istota ulepiona ze zwykłej gliny, ciało jej jest warsztatem i świątynią, cokolwiek ono jej mówi, jest dla niej najczystszy prawem i wyrocznią. Nie rozumiesz takiej osoby, ale takich jest na świecie więcej niż kobiet spętanych zasadami przyzwoitości, honoru i innych bardzo męskich wynalazków, które tak szanujesz. Faustyna jest arcydziełem Stwórcy. Nie ma ani źdźbła tak zwanej inteligencji, nie potrze-

buje jej, aby spełnić swoją misję. Nie patrz na mnie ze złością dlatego, że mówię o jej misji. Jest jej przeznaczone błyszczeć wspaniale przez kilka lat, a nie przeżyć jakiegoś nudnego małżonka, by potem do osiemdziesiątki korzystać z jego pieniędzy, chodzić na odczyty i porównywać uroki rozmaitych zimowych wycieczek obiecujących romantyczne przygody na Karaibach.

— Mówisz, jakbyś się uważała za Pana Boga.

— O, przepraszam! To twój przywilej, pseudocyniczny stary kocurze, obserwujący życie zza kulis i przyłapujący aktorów na błędach. Ty chcesz być tylko widzem. A teraz wpadłeś, znalazłeś się w ogniu walki i chlipiesz, ponieważ walka wydaje ci się brutalna.

— Liesl, zanadto jestem zmęczony i zniechęcony, żeby z tobą dyskutować. Jedno ci tylko powiem, możesz się z tego śmiać, ile ci się podoba, możesz rozpaplać, komu zechcesz, bo wiem przecież, że z zasady nie dochowujesz sekretu cudzych zwierzeń. Kochałem Faustynę.

— Ale już jej nie kochasz z powodu tego, co zobaczyłeś po południu. Och, błędny rycerzu! Och, święty! Kochałeś, ale nigdy jej nie dałeś żadnego podarunku, nie powiedziałeś komplementu, nie zaprosiłeś na kolację, nie próbowałeś obdarzyć tym, co w pojęciu Faustyny jest miłością: słodkim cielesnym spazmem dzielonym z interesującym partnerem.

— Mam pięćdziesiąt lat, drewnianą nogę i na pół bezwładne jedno ramię. Czy to może być interesujące dla Faustyny?

— Tak! Dla niej wszystko jest interesujące. Nie znasz jej, ale, co gorsza, wcale nie znasz siebie. Nie jest z tobą tak źle, Ramsay.

— Dziękuję.

— Och, co za godność! Czy tak się przyjmuje komplement z ust damy? Mówię mu, że nie jest z nim tak źle, jak sobie wyobraża, a on się nadyma niby stara panna i robi kwaśne miny. Muszę powiedzieć ci to inaczej: jesteś fascynującym starszym panem. Teraz lepiej?

— Jeżeli już powiedziałaś wszystko, z czym tutaj przyszłaś, chciałbym teraz iść spać.

— Widzę, że już odczepiłeś i odstawiłeś do kąta swoją drewnianą nogę. Ja też chętnie pójdę do łóżka. Może razem?

Spojrzałem na nią ze zdumieniem. Wyglądało na to, że propozycję traktuje poważnie.

— Nie patrz tak, jakby to było nie do pomyślenia. Masz pięćdziesiąt lat i jesteś trochę pokiereszowany. Co do mnie, z pewnością nie spotkałeś w życiu gorszej karykatury kobiety. Może to właśnie byłoby szczególnie pikantne zestawienie?

Wstałem i zacząłem skokami sunąć ku drzwiom. Z biegiem lat nabrałem wprawy w takich skokach. Ale Liesl chwyciła mnie za poły pidżamy i ściągnęła z powrotem na łóżko.

— Ho, ho, ty byś chciał romansu Wenery z Adoniszem! Mam cię uwięzić w ramionach i przełamać młodzieńczą wstydlivość? Dobrze!

Była silniejsza, niż się spodziewałem, i nie miała żadnych przesądów co do lojalności w walce. Zawleczony na jednej nodze do łóżka znalazłem się w jej objęciach. Muszę jej ciało porównać do gumy, tak mi się wydawało giętkie i zarazem mocne. Ogromna roześmiana twarz z potworną dolną szczęką zbliżała się do mojej twarzy, małpie wargi wysuwały się do pocałunku. Nie biłem się z nikim od wielu lat — od czasu wojny — ale teraz musiałem walczyć o... O co właściwie? W łagodnych pojedynkach z Agnes Day, Gloria Mundy i Libbie Doe — które należały do odległej już przeszłości — jeśli w ogóle można mówić o agresji w tak letnich amorach, to agresorem zawsze byłem ja. Nie mogłem pozwolić, aby zgwałciła mnie ta szwajcarska mазszkara. Chwyciwszy Liesl jedną ręką za włosy, a drugą za kurtkę od pidżamy, silnym ruchem zrzuciłem ją na podłogę.

Wylądowała z łoskotem, omal tynk nie posypał się ze ścian. Odbiła się jak piłka, złapała w garść moją drewnianą nogę i rąbała nią o moją jedyną goleń. Jęknąłem i zakląłem siarczyście. Ale gdy drugi raz zamachnęła się tą niezwykłą maczugą — nigdy swojej protezy nie uważałem za oręż, ale okazała się nim, i to strasznym, biorąc pod uwagę sprężyny i nity — miałem już przygotowaną poduszkę i wyrwałem broń z ręki przeciwniczki.

Teraz już ktoś na niższym piętrze walił w sufit i protestował po hiszpańsku, ale nie wystarczyło to, aby mnie uspokoić. Skacząc natarłem na Liesl, wymachując protezą tak groźnie, że Liesl popełniła błąd i cofnęła się, dzięki

czemu mogłem ją w kącie przyprzeć do muru. Młóciłem drewnianą nogą i pięściami z wściekłością, której wspomnienie zawstydza mnie dotychczas; ale Liesl oddawała ciosy, a że miała potężne pięści, walka była dość uczciwa. Zaczął ją jednak ogarniać strach, bo mój bojowy szkocki temperament ponosił mnie i okazał się nawet dla mnie niespodziewanie gorący. Łzy bólu i przerażenia płynęły z jej głęboko osadzonych oczu, krew kapała z rozciętej wargi. Rąbnąłem ją jeszcze raz i drugi, a potem, beznogą stroną wsparty o ścianę, zacząłem ją zaganiać ku drzwiom. Sięgając ręką za plecy chwyciła klamkę, lecz w tym momencie znalazłem mocną podporę w poręczy łóżka i trzymając się jedną ręką, drugą ścisnąłem nos Liesl i skręciłem go tak, że kość — jak mi się wydawało — chrupnęła. Liesl wrzasnęła, udało jej się wreszcie otworzyć drzwi i wyskoczyć z tupotem na korytarz.

Opadłem na łóżko. Sapałem, ale czułem się znakomicie, lepiej niż kiedykolwiek w ciągu ubiegłych trzech tygodni. Pomyślałem o Faustynie. Och, ta Faustyna! Czy obilem Liesl, żeby pomścić Faustynę? Nie. Doszedłem do wniosku, że nie. Jakby wielka chmura spowijająca mój umysł rozwinęła się nagle, a chociaż było to niewątpliwie przedwczesne, miałem wrażenie, że mój rozsądek wraca z wolna na swoje miejsce i że wkrótce będą znów sobą.

Cierpiąc przez cały wieczór udrekę, nie zjadłem kolacji i teraz odezwał się głód. Nie miałem nic do jedzenia, ale przechowywałem w walizce butelkę whisky. Znalazłem ją i leżąc na wznak w łóżku pociągnąłem spory łyk. Pokój wyglądał jak pobojowisko, ale sprzątanie odłożyłem na następny ranek. Szlafrok Liesl i strzępy jej pidżamy poniewierały się na podłodze; zostawiłem je tam jako szlachetne trofea.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Kto tam? — spytałem po angielsku.

— Señor — syknął oburzony głos. — Rozumiem, noc poślubna, dla pana to godziny szczęścia, ale proszę pamiętać, że na dole są ludzie, i to nie najmłodszy, chcieliby trochę spokoju, jeśli łaska...

Przeprosiłem w ceremonialnej hiszpańszczyźnie i właściciel syczącego głosu podreptał w głąb korytarza. Noc poślubna! Jak dziwnie ludzie interpretują efekty dźwiękowe!

W chwilę potem nowe stukanie, jeszcze delikatniejsze od poprzedniego. Tym razem po hiszpańsku zawołałem:

— Kto tam?

Gdy się odezwała, poznałem głos Liesl.

— Proszę cię, pozwól mi łaskawie zabrać moje klucze — powiedziała ochryple i bardzo oficjalnie.

Otworzyłem drzwi. Stała pod nimi boso, przytrzymując resztki pidżamy na piersi.

— Oczywiście, señora — odparłem kłaniając się wytwornie (o ile jest to możliwe na jednej nodze) i gestem zaprosiłem Liesl do wnętrza. Nie wiem, dlaczego zamknąłem za nią drzwi. Patrzyliśmy na siebie nawzajem nieufnie.

— Jesteś silniejszy, niżby można sądzić z pozoru — stwierdziła.

— Ty także — odpowiedziałem. Potem uśmiechnąłem się lekko. Uśmiech zwycięzcy zapewne: tak samo zwykle uśmiecham się do chłopców, jeśli przedtem napędziłem im okropnego strachu. Liesl podniosła swój szlafrok manewrując tak, aby nie odwrócić się ani na sekundę plecami do mnie.

— Czy mogę cię poczęstować kropelką whisky? — spytałem podając butelkę. Wzięła ją z moich rąk i przytknęła do ust, lecz alkohol podrażnił skaleczone wargi i Liesl wzdrygnęła się z bólu. To uśmierzyło resztki mojego gniewu. — Usiądź — powiedziałem. — Opatrzę jakoś twoje rany.

Usiadła na łóżku a ja obmyłem skaleczenia i położyłem mokry, chłodny kompres na nos, zadziwiająco spuchnięty. W pięć minut później siedzieliśmy obok siebie na łóżku, oparci na spiętrzonych poduszkach, zgodnie na zmianę pociągając whisky ze wspólnej butelki.

— Jak się teraz czujesz? — spytałem.

— Dużo lepiej. A ty? Goleń nie boli?

— Dawno nie czułem się tak dobrze.

— Świetnie! Właśnie po to przyszłam, żeby ci poprawić samopoczucie.

— Doprawdy? Myślałem, że przyszłaś, aby mnie uwieść. Zdaje się, że to twoje hobby. Uwodzić każdego, kto się nawinie. Często dostajesz przy tej okazji lanie?

— Nie bądź głupi. Po prostu próbowałam tym sposobem coś ci powiedzieć.

— Chyba nie to, że mnie kochasz. W różne nieprawdo-

podobne rzeczy wierzyłem w życiu, ale to już byłoby nawet dla mnie za wiele.

— Nie. Chciałam ci powiedzieć, że jesteś człowiekiem, masz takie same ludzkie słabości jak wszyscy.

— Czy ja się tego kiedykolwiek wypierałem?

— Słuchaj, Ramsay, przez ostatnie trzy tygodnie opowiedziałeś mi po trosze całą swoją historię, mnóstwo szczegółów ze swojego życia uczuciowego i wszystko to brzmiało tak, jakbyś nie uważał siebie za istotę ludzką. Bierzesz na własne sumienie odpowiedzialność za cudze biedy. To jest twoje hobby. Poczujesz się do obowiązku opieki nad nieszczęsną wariatką, ponieważ znałeś ją w dzieciństwie. Znosisz wyrafinowane obelgi i pozwalasz się lekceważyć przyjacielowi z lat chłopięcych — temu królowi cukru, który jest taką grubą rybą w twoich stronach. Dochowujesz przyjaźni tej Leoli — och, co za imię! — kobiecie, która ci kiedyś dała kosza, ponieważ wołała wyjść za króla cukru. Wszystko to trzymasz w sekrecie, dumnie milczysz, nie chcesz przyznać, że postępujesz bardzo szlachetnie. To właśnie jest nie po ludzku. Jesteś bardzo lojalnym człowiekiem wobec wszystkich ludzi, ale robisz wyjątek dla Dunstana Ramsaya. Jakże możesz być naprawdę dobry dla innych, jeśli nie jesteś dobry dla siebie?

— Moi wychowawcy nie zalecali mi dąć w trąbkę za każdym razem, gdy zdarzy mi się zrobić coś dobrego dla bliźnich.

— Wychowanie! Kalwinizm! Jestem Szwajcarką, znam kalwinizm nie gorzej niż ty. To okrutny styl życia, nawet jeśli zapomnimy o religii i nazwiemy ją etyką, zasadami przyzwoitego postępowania czy też jakimkolwiek innym mianem wykluczającym Pana Boga. Ale nawet kalwinizm może człowiek ścierpieć, jeżeli zawrze jakiś kompromis z samym sobą. Ale ty tego nie zrobiłeś, całej ogromnej części życia wcale nie przeżyłeś, zaparłeś się jej, odsunąłeś ją na bok. Dlatego doczekawszy się pięćdziesiątki, dłużej już nie możesz wytrzymać, rozsypujesz się w proszek i otwierasz serce przed pierwszą naprawdę inteligentną kobietą, jaką spotkałeś, to znaczy przede mną, i zadurzyłeś się jak sztubak w dziewczynie, która jest dla ciebie tak niedostępna, jak gdyby mieszkała na księżycu. To nieprzeżyte życie bierze odwet na tobie, Ramsay. Nagle wystrychnęło cię na głupca.

Musisz poznać tę część życia, którą dotychczas odpychałeś. Nie wykręcaj się, nie zżymaj, nie próbuj protestować. Nie namawiam cię, żebyś od czasu do czasu przepadał na cały tydzień i pił w knajpach ani też, żebyś co czwartek odwiedzał chyłkiem jakąś wdowę w jej jedwabnym gniazdku, wzorem mieszczańskich lowelasów. Wart jesteś czegoś lepszego. Ale każdy ma swojego diabła, człowiek tak niepospolity jak ty ma pewnie też niepospolitego diabła. Musisz poznać także jego ojca, starego diabła. Och, to chrześcijaństwo! Ludzie nawet jeśli przysięgają, że nie wierzą w nie, mają w szpiku kości piętnaście wieków chrześcijaństwa, które ukształtowało nasz świat, toteż chcą pokazać, że mogą być chrześcijanami bez Chrystusa. Ci są najgorsi, przyjęli okrucieństwo doktryny bez poetyckiej urody mitu.

Dlaczego nie uściśniesz ręki swojego diabła, Ramsay, dlaczego nie zmieniasz tego poronionego stylu życia? Dlaczego nie pozwolisz sobie choćby raz zrobić coś niewytłumaczalnego, irracjonalnego, usłuchać podszeptu diabła po prostu, żeby się wyszumieć? Stałbyś się wtedy innym człowiekiem.

Nie każdemu radziłabym to, oczywiście. Tylko ludziom dwa razy urodzonym. Łatwo ich rozpoznać. Często nawet przybierają inne nazwisko. Czyż nie opowiadałeś mi, że tamta młoda Angielka obdarzyła cię nowym imieniem? Kim był przedtem Magnus Eisengrim? A ja? Czy wiesz, co znaczy naprawdę moje imię i nazwisko — Liselotte Vitzlipützli? Brzmi śmiesznie, ale kiedyś zrozumiesz jego znaczenie. A więc narodziłeś się dwukrotnie, jesteś już bliżej śmierci niż narodzin, a jeszcze nie zaznałeś prawdziwego życia!

Kim jesteś? Jakie jest twoje miejsce w poezji i micie? Czy wiesz, za kogo ja cię uważam? Myślę, że jesteś „piątą osobą”.

Nie rozumiesz? Widzisz, w stałych zespołach operowych istniejących u nas, w Europie, musi być primadonna — z reguły sopran, bohaterka, często głupia kobieta; tenor, który niezmiennie gra rolę jej kochanka; kontralt — rywalka sopranu, wiedźma czy ktoś w tym stylu; bas — czarny charakter i rywal tenora lub też groźny jego przeciwnik.

A więc ich czworo. Ale do zbudowania intrygi potrzebny jest koniecznie jeszcze ktoś, zazwyczaj baryton, któ-

rego nazywa się „piątym”, bo dla niego w sztuce nie ma pary; to jest postać nie mająca swego odpowiednika drugiej płci. Z pewnością ty jesteś takim „piątym”, bo to jest człowiek, który zna tajemnicę urodzenia bohatera albo też ratuje bohaterkę, gdy jej się wydaje, że wszystko już stracone, albo żywi pustelnicę w jej celi, a niekiedy nawet powoduje czyjąś śmierć, jeśli tego wymaga libretto. Primadonne, kontraltowi, tenorowi i basowi przypadają najpiękniejsze arie i najefektowniejsza akcja, ale nie dałoby się rozwiązać intrygi bez „piątej osoby”. To rola pozornie mało efektowna, lecz bardzo ważna, a ci, co ją grają, robią nieraz karierę trwalszą niż złote głosy. Czy jesteś „piątym”? Powinieneś znaleźć odpowiedź na to pytanie!

Nie jest to, Panie Dyrektorze, dosłowna relacja, bo ja także sporo mówiłem owej nocy, a powtarzając słowa Liesl skorygowałem jej angielszczyznę i nieco skróciłem przemówienie. W każdym razie gadaliśmy do czwartej nad ranem, zanim usnęliśmy spokojnie, ale przedtem jeszcze spełniło się to, po co Liesl za pierwszym razem wtargnęła do mojego pokoju.

Z takim maszkaronem! A jednak nigdy nie zaznałem równie głębokiej rozkoszy ani potem tak kojącego smaku tkliwości.

Nazajutrz znalazłem przyczepioną do klamki moich drzwi wiązaną kwiatów i bilecik z kilku nakreślonymi wytworną hiszpańszczyzną słowami:

Proszę mi wybaczyć brak uprzejmości, jaki okazałem tej nocy. Miłość wszystko zwycięża, a młodość ma swoje prawa. Oby Pan przeżył sto lat złożonych z równie szczęśliwych nocy!

Sąsiad z pokoju na niższym piętrze.

Wieczór złudzeń

1

Pisanie autobiografii Magnusa Eisengrima sprawiało mi wielką przyjemność, bo nie obowiązywała mnie ścisłość historyczna i nie musiałem badać wiarygodności świadectw. Puściłem wodze fantazji i pisałem taką książkę o magiku, jaką pragnąłbym przeczytać, gdybym był jednym z widzów jego teatru, pełną romantyzmu i dziwów, z dyskretną, lecz dostateczną w podtekście nutą erotyczną i odrobiną sadyzmu. Rozchwytywano tę książkę jak świeże bułeczki. Liesl i ja przewidywaliśmy, że autobiografia będzie cieszyła się popytem w kuluarach teatru, w którym będą się odbywały przedstawienia, ale okazało się, że w księgarniach również ludzie ją kupują, a gdy wkrótce została wydana w taniej edycji broszurowej, sprzedawano tę książeczkę z powodzeniem w sklepach tytoniowych i innych miejscach, gdzie zawsze można znaleźć ciekawą, sensacyjną lekturę. Ludzie, którzy nie poświęcili nigdy w życiu ani godziny na intensywną pracę, lubili czytać, jak to Magnus po czternaście godzin na dobę ćwiczył się w sztukach z kartami i z monetami, a gdy wreszcie kończył, był zlany potem i wskutek wyczerpania nerwowego nie mógł nic przełknąć prócz śmietanki, wzmocnionej kilku kroplami koniaku. Ludzie, których miłosne przeżycia były nastrojone wyłącznie na wysokie C, wpadali w zachwyty dowiadując się, że w okresie, gdy Eisengrim pogrążył się całkowicie w studiach nad hipnotyzmem, jego wzrok nabierał takiej siły, że jedno spojrzenie wystarczyło, aby piękne kobiety rzucały mu się na szyję, biedne ómy, ciągnące na własną zgubę do ognia.

Opisałem tajemniczy warsztat w tyrolskim zamczysku, gdzie magik obmyślał i opracowywał swoje iluzje, napomknąłem, że niekiedy urządził, jeszcze nie dość udosko-

nalone, kaleczyły okropnie dziewczęta podczas prób; Eisengrim oczywiście hojnie płacił za kuracje dla nich. Czasem robiłem z niego potwora, ale zachowywałem w tym umiar. Nie wyjawiałem jego wieku, pozostawiając pole domysłom czytelników. Udała mi się ta historyjka, żałowałem tylko, że nie wytargowałem większego procentu od zysków. Swoją drogą i tak przynosiła mi — i po dziś dzień przynosi — bardzo pożądany dodatek do regularnych dochodów.

Pisałem autobiografię Eisengrima w cichym zakątku masywu Adirondack, gdzie pojechałem w parę dni po nocnej potyczce z Liesl. Kontrakt Eisengrima w Teatro Chueca dobiegł końca, jego zespół miał odwiedzić jeszcze kilka miast Ameryki Środkowej przed wyruszeniem do Europy, na długie, jak się spodziewano, tournée. Na pożegnanie ofiarowałem pięknej Faustynie ładny i dość kosztowny naszyjnik, w zamian za co dostałem od niej pocałunek i oboje uważaliśmy tę transakcję za dość korzystną. Eisengrimowi podarowałem naprawdę cenne spinki do mankietów i gorsu smokingowej koszuli; prezent zaskoczył go, bo sam był skąpcem i nie mieściło mu się w głowie, że ktoś dobrowolnie rozstaje się z pieniędzmi dla cudzej przyjemności. Ale odbyłem z nim poważną rozmowę i wymusiłem od niego obietnicę, że będzie przyczyniał się do utrzymania pani Dempster; długo odmawiał twierdząc, że nic jej nie jest winien i że właśnie jej zła sława wygnała go z rodzinnego miasta. Odparłem na to przypominając mu, że gdyby nie ta ucieczka z Deptford, nie zostałby mistrzem Eisengrimem, lecz byłby pewnie pastorem baptystów na zapadłej kanadyjskiej prowincji. Argument był fałszywy i bolesny dla jego próżności, ale pomógł mi w osiągnięciu celu. Liesl także mnie poparła. Nalegała, żeby Eisengrim podpisał zlecenie dla swojego banku na pewne sumy, które miały mi być wypłacane miesięcznie; Liesl wiedziała, że gdyby Eisengrim obiecał wysyłać co miesiąc czeki, wkrótce by o tym zapomniał. Spinki trochę kołły jego zranione skąpstwo. Liesl nie dostała ode mnie żadnego prezentu; staliśmy się już wtedy parą serdecznych przyjaciół i obdarzaliśmy się wzajemnie czymś, co nie da się spłacić podarunkami.

Właściwie nie potrzebowałem tych pieniędzy od Eisengrima, ale cieszyłem się, że je zdobyłem. W miesiąc po zakończeniu wojny mogłem przenieść panią Dempster z ogólnej

sali obrzydliwego miejskiego przytułku do znacznie lepszego zakładu pod małym miastem, gdzie korzystała z przywilejów prywatnej pacjentki, przebywała w towarzystwie chorych tylko wtedy, gdy miała ochotę, i oddychała świeżym powietrzem, bo dom był otoczony dużym parkiem. Udało mi się to załatwić za pośrednictwem przyjaciela, który miał pewne wpływy; lekarze byli zdania, że pacjentka będzie lepiej się czuła w takim miejscu, a jednocześnie stwierdzili, że nie mogłaby przebywać na wolności, nawet gdyby miała gdzie się podziać. Obciążało mnie to dość znacznym comiesięcznym wydatkiem, a chociaż kapitałik mój wzrósł tak, że mogłem sobie na to pozwolić, musiałem jednak ograniczać pewne osobiste wydatki i zastanawiałem się, jak często będę mógł w przyszłości podróżować po Europie. Czułbym się winny wobec niej i wobec pamięci Berty Shanklin, gdybym nie poprawił jej warunków życia, ale zmuszało mnie to do oszczędzania na innych wydatkach, tym bardziej że starałem się uskładać pewną rezerwę na starość. Znalazłem się w dość pospolitej sytuacji: chciałem postępować szlachetnie, ale jednocześnie żałowałem, że mnie to sporo kosztuje.

Toteż, jak już wspominałem, ucieszyłem się, że będę dostawał regularnie od Eisengrima pewną sumę na ten cel, pokrywającą mniej więcej trzecią część rzeczywistych kosztów utrzymania pani Dempster w prywatnym zakładzie, ale z nadmiaru radości popełniłem fatalny błąd. Powróciwszy z półrocznego urlopu odwiedziłem panią Dempster i podczas pierwszej wizyty powiedziałem jej, że odnalazłem Paula.

Zastałem ją w znacznie lepszym stanie, przygnębienie i oszołomienie, które malowały się na jej twarzy przez wiele poprzednich lat, zniknęły, odzyskała niemal słodycz i trochę figlarny wyraz z dawnych lat, gdy ją widywałem uwięzowaną na sznurze w Deptford. Posiwiiała, lecz nie miała zmarszczek i zachowała smukłą figurę. Uradowała mnie ta poprawa. Ale w dalszym ciągu cierpiała na tę samą wciąż chorobę, którą psychiatrzy określali rozmaitymi naukowymi terminami; w Deptford mówiono o tym po prostu, że pani Dempster jest niespełna rozumu. Była zdolna samodzielnie umyć się, ubrać i uczesać, rozmawiała z innymi pacjentkami, pocieszając je, czy nawet zabawiając, oddawała pewne usługi, opiekując się na spacerze ko-

bietami bardziej niż ona bezradnymi. Ale jej pojęcia o świecie, który ją otaczał, były chaotyczne, zwłaszcza zaś nie miała zupełnie poczucia czasu. Niekiedy wspominała Amasę Dempstera tak, jakby był postacią z książki przeczytanej dawno i nieuważnie; mnie znała jako stały składnik swojego życia, ale zjawiałem się i znikiałem, moja półroczna nieobecność nie różniła się w jej wyobrażeniu prawie wcale od tygodniowych pauz pomiędzy zwykłymi wizytami. Odwiedzając ją regularnie ulegałem tylko własnemu poczuciu obowiązku, a nie obawie, że pani Dempster dozna przykrości i zawodu, jeśli nie przyjadę w oznaczonym terminie. Jednakże Paul zajmował wyjątkowe miejsce w jej beładnym świecie, jak się wówczas przekonałem.

Paul był dla niej wciąż jeszcze dzieckiem, małym chłopcem, zaginionym niegdyś, bardzo dawno i zarazem wcale niedawno; pragnęła odzyskać go takiego samego, jakiego utraciła. Nie wierzyła, że Paul uciekł, raczej został porwany, uprowadzili go źli ludzie, którzy wiedzieli, co to za skarb; ukradli go z okrucieństwa, żeby zranić matkę, odbierając jej dziecko i skrzywdzić dziecko odbierając mu matkę. Nie umiała wyobrazić sobie jasno tak okropnej złośliwości, ale mówiła czasem o Cyganach; na tych koczowników inne, od wieków osiadłe plemiona chętnie składają brzemień wszystkich swoich irracjonalnych lęków. W autobiografii Eisengrima zamieściłem rozdział o jego pobycie za lat dziecinnych w obozie cygańskim i słuchając dywagacji pani Dempster, wstydziłem się tej części mojego dzieła.

Skoro wiem, gdzie przebywa Paul, dlaczego nie przywiozłem go do matki? Co zrobiłem, żeby go odzyskać? Czy Paul jest źle traktowany? Jak mogę mówić, że przynoszę wieści o Paulu, jeśli wykręcam się i zwlekam nie chcąc ani przyprowadzić dziecka do niej, ani też jej zaprowadzić do niego?

Daremnie tłumaczyłem, że Paul ma teraz z górą czterdzieści lat, że wiele podróżuje, ponieważ pracuje w bardzo absorbującym zawodzie i nie rozporządza swobodnie własnym czasem, że z pewnością kiedyś, może już w niedalekiej przyszłości, przyjedzie do Kanady. Powiedziałem, że przesyła jej serdeczne pozdrowienia — skłamałem, bo o niczym podobnym nie wspomniał — że pragnie jej za-

pewnie wszelkie wygody i bezpieczny byt. Wpadła w podniecenie, stała się nagle jakby inną osobą, a ja, przerażony, dodałem jeszcze, że to Paul opłaca jej pobyt w zakładzie, chociaż, Bóg świadkiem, była to nieprawda i — jak się okazało — nowy mój błąd.

W życiu nie słyszała równie niewiarygodnej bzdury: jakże dziecko mogłoby utrzymywać matkę w jakimś zakładzie? A więc tak przedstawia się sprawa? Zakład jest podstępnie zamaskowanym więzieniem, gdzie ją zamknięto, aby rozłączyć z synem! Nie miała wątpliwości, kto jest jej więziennym dozorcą: oczywiście ja, Dunstan Ramsay, udający przyjaciela, jak zmija zaczajona w trawie, wróg, z pewnością agent złych sił, które jej odebrały Paula.

Rzuciła się na mnie, chciała mi wydrapać oczy. Trudno mi było bronić się, bo ta burza, którą sam nieopatrznie wywołałem, przeraziła mnie i oszołomiła, A przy tym tak zawsze czciłem panią Dempster, że nie mogłem zdobyć się wobec niej na brutalność. Szczęściem — choć w pierwszej chwili, gdy to się stało, ogarnęła mnie panika — zaczęła krzyczeć i natychmiast nadbiegła pielęgniarka. We dwoje prędko obezwładniliśmy chorą. W ciągu następnej półgodziny musiałem wśród ogólnego zamieszania wyjaśnić lekarzowi, jak doszło do tego wybuchu; panią Dempster położono do łóżka i zastosowano tak zwany lekki przymus; przywiązano ją pasami do łóżka i dano uspokajający zastrzyk.

Gdy nazajutrz przyjechałem do zakładu, dowiedziałem się, że z pacjentką jest niedobrze. W ciągu następnego tygodnia stan jej pogorszył się jeszcze i z czasem musiałem spojrzeć prawdzie w oczy: z mojej winy pani Dempster z osoby po prostu niespełna rozumu zmieniła się w kobietę nękaną przez manię prześladowczą, przeświadczoną, że jacyś złoczyńcy uknuli spisek, aby jej wydrzeć syna i że jestem wysłannikiem tych zbrodniarzy. Trzymano ją teraz pod ścisłym nadzorem, a moje wizyty uznano za niepożądane. Jednakże raz jeszcze pojechałem tam, gnany wyrzutami sumienia, a chociaż nie widziałem pani Dempster, pokazano mi okno jej pokoju: znajdował się w skrzydle, gdzie wszystkie okna były zakratowane.

Tak straciłem na pewien czas jedną z gwiazd stałych mojego wszechświata, a ponieważ własną głupotą spowodowałem tę okropną zmianę w pani Dempster, byłem tym bardzo przygnębiony. Wkrótce miałem ponieść nową stratę — czy przynajmniej znieść inną jeszcze zmianę w swoim życiu — gdy Boy Staunton ożenił się powtórnie, a ja nie znalazłem łaski w oczach jego drugiej żony.

Podczas wojny Boy nabrał upodobania do działalności, którą nazywał polityką. W wyborach przeszedł łatwo, ponieważ był konserwatystą, a partia liberałów, planując stworzenie koalicyjnego gabinetu, nie wysunęła ze swej strony żadnego kandydata, który by z Boyem rywalizował. Ale w latach, gdy rozporządzał ogromną władzą, zapomniał, że został wybrany przez akklamację, i zaczął sam siebie uważać za polityka, ba, nawet za męża stanu, który ma potężną rzeszę zwolenników wśród wyborców. Żywił złudzenia typowe dla polityka-amatora i po zakończeniu wojny twierdził, że wykrył w społeczeństwie ukryte nastroje, w pewnych środowiskach nawet zdecydowane żądania, aby stanął na czele konserwatystów i jak najprędzej wyzwolił naród kanadyjski spod haniebnego jarzma liberałów. Poza tym łudził się, jak wielu nowicjuszy na arenie politycznej, że stosując „zdrowe zasady businessu” w rządzeniu państwem ozłoci je nowym, świetnym blaskiem.

Spróbował zatem zdobyć pozycję lidera konserwatystów, ale był nowym wśród nich człowiekiem, więc nie miał szans powodzenia. Co do mnie, sądziłem, że Boyowi z wielu względów nie uda się zrobić kariery politycznej: był bardzo bogaty i nie rozumiał, że bardzo bogaci ludzie nie są ulubieńcami mas; był bardzo przystojny, a tacy mężczyźni rzadko cieszą się popularnością jako politycy, nawet wśród kobiet; nie miał politycznych przyjaciół i nawet nie wiedział, że są mu potrzebni.

Wbrew tym przeszkodom raz odniósł zwycięstwo, a stało się to w wyborach uzupełniających, gdy w parlamencie zwolniło się miejsce tradycyjnie należące do konserwatystów. Wyborcy przypomnieli sobie jego zasługi z okresu wojny i poparli go większością niespełna tysiąca głosów. Niestety w Izbie Reprezentantów wygłosił kilka niemądrych przemówień i kilka gazet wytknęło mu dyktators-

kie zapędy; wtedy napadł w Izbie na prasę i obraził ją, za co musiał gorzko odpokutować. Boy nie zdawał sobie sprawy, że stanowi znakomity cel dla zawistników i szyderców. Jednakże zdobył garstkę zwolenników, a między nimi panią Denyse Hornick.

Była w ruchu kobiecym ważną osobistością. Podczas wojny była w pomocniczej służbie kobiet marynarki królewskiej, awansowała do stopnia kapitana i pełniła tę funkcję doskonale. Po wojnie założyła małe biuro podróży i rozwinęła je w duże przedsiębiorstwo. Podobała jej się linia polityczna, którą reprezentował Boy, a po kilku osobistych z nim rozmowach spodobał jej się także sam Boy. Nie chce przypisywać jej motywów, których oczywiście nie mogą znać, ale miałem wrażenie, że postanowiła wyjść za Boya i wmówić mu, że to on pierwszy wpadł na ten pomysł.

Boy zawsze lubił seksualne przyjemności, jakich mogą dostarczyć kobiety, ale wątpię, czy kiedykolwiek dostrzegł w nich istoty ludzkie, a już z całą pewnością nic nie wiedział o kobietach tak inteligentnych i energicznych jak Denyse. Początkowo zainteresował się nią, ponieważ dominowała w paru grupach związanych z szerszym kobiecym ruchem, mogła więc za ich pośrednictwem wywierać poważny wpływ na układ głosów w wyborach. Wkrótce przekonał się, że Denyse Hornick lepiej niż ktokolwiek rozumie jego poglądy polityczne i zdobył się na typowy dla siebie komplement zapewniając wszystkich dokoła, że pani Hornick ma umysłowość mężczyzny.

Wybory uzupełniające wprowadziły go na dwa lata do parlamentu, nim nadszedł termin wyborów powszechnych, czyli prawdziwej próby sił. Publiczność wtedy już zdążyła zapomnieć o jego talentach organizatorskich, wykazanych podczas wojny, i o należytym mu za to wdzięczności; dla własnej partii konserwatywnej był człowiekiem niewygodnym, bo pozwalał sobie publicznie krytykować jej lidera, liberałowie z natury rzeczy zwalczali go, a prasa mu nie sprzyjała. Boy prowadził zażartą kampanię, stracił głowę i straszył wyborców zamiast im pochlebiać, wdał się w wojnę z poważną gazetą i zagroził jej procesem o zniesławienie. W dniu wyborów poniósł klęskę tak druzgocącą, że oznaczało to przegraną wyraźnie osobistą, a nie tylko polityczną.

Natychmiast po ogłoszeniu wyników głosowania udzielił

w telewizji pamiętnego wywiadu. „Jak się pan czuje, panie Staunton, w tej niepomyślnej sytuacji?” — spytał prowadzący wywiad redaktor i oczekiwał cierpkiej odpowiedzi, ale z pewnością nie tej, jaką otrzymał: „Jak Łazarz — odparł Boy — lizany przez psy!”

Cały kraj śmiał się z tej repliki, a gazeta, której Boy zarzucał oszczercze wystąpienia, poświęciła mu sympatyczny artykułik pouczający o istocie demokracji. Ale garstka zwolenników, z Denyse na czele, dochowała mu wierności.

Po pewnym czasie prasie znudziło się prześladowanie go i w kilku artykułach ubolewano, że tak wielkie zdolności nie są wykorzystane dla dobra ogółu. Boy jednak nie dał się już przejednać. Raz na zawsze wyrzekł się polityki i wrócił do cukru oraz wszystkich rzeczy, jakie można z cukru produkować, i zajął się interesami ze wznowioną energią.

Denyse miała inne ambicje i była przebieglejszym od niego politykiem. Uznała, że Boy byłby wspaniałym gubernatorem prowincji Ontario i zabrała się do roboty, żeby go na to stanowisko wprowadzić.

Kampania musiała trwać długo. Urząd gubernatorski był „darem Korony”, to znaczy, że nominacji udzielał gabinet dominialny. Niedawno właśnie mianowano gubernatora, a że dygnitarz ten cieszył się dobrym zdrowiem, miejsce mogło zwolnić się najwcześniej za pięć lat. Boy w tym przypadku miał cenne kwalifikacje jako kandydat; piastowanie tego urzędu kosztowało mnóstwo pieniędzy, bo obowiązki reprezentacji były wielkie, a pensja stosunkowo mała, toteż nieliczni tylko ludzie ubiegali się o tak kosztowny zaszczyt. Z drugiej wszakże strony nie zdawało się prawdopodobne, aby liberalny rząd w Ottawie zechciał poprzeć byłego konserwatywnego członka parlamentu na to stanowisko, więc Boy miałyby szanse jedynie pod warunkiem zmiany gabinetu. Plan był zatem ryzykowny i uzależniony od różnych okoliczności, trzeba było wyjątkowego szczęścia, żeby osiągnąć cel. Dobrze charakteryzuje Denyse fakt, że zdecydowała się podjąć niezwłocznie zabiegi dyplomatyczne, aby ewentualny uśmiech losu nie zaskoczył jej nieprzygotowanej na jego powitanie.

Boyowi ten pomysł wydał się świetny. Nigdy nie wyzbył się upodobania do wszystkiego, co dotyczyło Korony, i nie

wątpił, że potrafiłyby obowiązki reprezentacyjne spełniać znakomicie, a może nawet nadać im nowe znaczenie. Miał wszelkie wymagane na tym stanowisku kwalifikacje z wyjątkiem jednej: gubernator musi być człowiekiem żonatym.

W tej właśnie kwestii Denyse najwyraźniej objawiła męskość swojego umysłu. Boy powtórzył mi dokładnie jej słowa wypowiedziane podczas pierwszej rozmowy między nimi na ten temat: „W tym nie mogę panu pomóc, sprawa zależy wyłącznie od pana”. Potem zaraz przystąpiła do rozważania istoty urzędu gubernatora, wyliczając przywileje, które zabezpieczają go od tyranii licznie obsadzonych instytucji ustawodawczych. Twierdziła, że nie jest to stanowisko czysto reprezentacyjne, lecz agenda, za której pośrednictwem monarchia pełni tradycyjne swoje funkcje, chroniąc konstytucję przed zakusami polityków, zapominających, że wybrano ich, aby służyli ludowi, a nie by go wyzyskiwali. Denyse gruntownie przestudiowała sprawę, nie gorzej od prawnika wyspecjalizowanego w prawie konstytucyjnym znała pełnomocnictwa i granice kompetencji gubernatora.

Boy od dość dawna zauważył, że Denyse jest powabna, teraz spostrzegł, że zasługuje na miłość. Od pierwszych chwil ich porozumienia ujęła go inteligentną, trzeźwą i lojalną obroną jego interesów, ale męskość jej umysłu trochę go odstręczała. Teraz zrozumiał, że biedna Denyse poświęciła wiele ze swej kobiecej natury, aby osiągnąć sukces w swoim przedsiębiorstwie oraz wywalczyć poprawę losu dla kobiet nie dorównujących jej inteligencją ani rozsądkiem, dlatego prawie zapomniała, że jest kobietą, i to w dodatku diabelnie ponętą!

Gdy miłość zawładnie ludźmi w średnim wieku, którzy mają ustaloną pozycję w świecie, siła ich osobowości i zdecydowania sprawia, że romanse młodych w porównaniu z ich związkami wydają się nieśmiałe i niezdarne. Nie nękają ich żadne wątpliwości, wiedzą, czego chcą, i śmiało dążą do celu. Boy już wiedział, że pragnie ożenić się z Denyse.

Denyse nie tak łatwo jednak dała się zdobyć. Boy opowiadał mi o swoich zalotach. Nasze stosunki wtedy jeszcze były takie same, jak w ciągu poprzednich trzydziestu lat, z tą jedynie różnicą, że dzięki Liesl już wiedziałem, iż zwierzchnia nie wydziera się z jego duszy na przekór woli,

lecz tryskają niby nafta z otwartego szybu i że ja jako „piąta osoba”, nieuchronnie jestem przeznaczony do roli powiernika.

Denyse początkowo nie chciała słuchać jego miłosnych oświadczeń. Broniła się dwoma argumentami: jej przedsiębiorstwo, które sama przecież stworzyła, żąda od niej wyłącznej i usilnej pracy, a po wtóre, jako przyjaciółka Boya nie chce narazić jego świetnej kariery przez krępowanie go więzami być może niebezpiecznymi.

Jakież mogą tu grozić niebezpieczeństwa? — pytał. Niechętnie wyznała w końcu, że ma na myśli pana Hornicka. Wyszła za niego na początku wojny, gdy miała zaledwie dwadzieścia lat; małżeństwo trwało bardzo krótko, zakończyło się na jej żądanie rozwodem. Czy reprezentant Korony może być ożeniony z rozwódką?

Boy zlekceważył tę przeszkodę. Królowa Wiktorja dawno umarła. Nawet król Jerzy nie żyje. Wszyscy dzisiaj uznają rozwód za niezbędną, humanitarną instytucję, a odważna kampania, którą prowadziła Denyse o liberalizację ustawy rozwodowej, daje jej szczególne prawa. Denyse miała jednak i inne jeszcze sekrety do wyjawienia.

Byli w jej życiu po Hornicku inni mężczyźni. Jest normalną kobietą, ma pewne seksualne potrzeby — przyznała się do tego bez wstydu — zdarzyły się raz i drugi w jej historii takie potajemne związki.

Biedactwo — mówił Boy — mimo wszystko ulega przesądowi dwojakiej miary moralności, innej dla mężczyzn, a innej dla kobiet. Powiedział jej o swojej okropnej pomyłce, jaką popełnił żeniąc się z Leolą, o tym, jak Leola zmusiła go — tak, wręcz zmusiła — do szukania poza małżeństwem zrozumienia i seksualnego zadowolenia, którego nie mógł znaleźć u żony. Denyse rozumiała go doskonale, długo jednak musiał ją przekonywać, że ten sam rozsądny pogląd odnosi się również do niej. W tych sprawach — powiedział mi Boy z zarozumiałym uśmiechem — nie wykazywała męskiego umysłu. Musiał bardzo ostro ją potraktować, nim w końcu ustąpiła... Nawet przez parę dni nazywał ją małą gąską, ale zaniechał tego, ze względu na zbyt rubaszne skojarzenia.

Potem uśmiechnął się pobłaźliwie z niedorzeczności jej uporu — wysunęła nowy argument: ludzie mogliby podejrzewać, że zaślubiła go dla pieniędzy i pozycji społecznej,

jaką jej mógł dać. Pochodziła z prowincjonalnego miasteczka, a chociaż dzięki doświadczeniu życiowemu nabyła pewnej ogłady (nie pamiętam dokładnie, ale zdaje się, że nie zawahała się nawet przyznać, że jej życie wbijało rozum pałką do głowy), wątpi, czy umiałaby sprostać obowiązkowi pani Boyowej Staunton, która może będzie małżonką gubernatora i będzie musiała przyjmować osoby z królewskiej rodziny. Nie, za dobrze zna własne możliwości, za bardzo kocha Boya, aby go narazić na kłopoty tego rodzaju.

Oczywiście kocha go. Od pierwszej chwili. Rozumie jego płomienną, niecierpliwą naturę, która nie mogła znieść konkurencji o popularność u tłumów, czego wymaga współczesna polityka. Nie ma wielkich pretensji intelektualnych, lecz sporo czytała, i Boy przypomina jej Koriolana w kanadyjskim wydaniu. Wyobraża sobie, że mógł jak Koriolan krzyknąć: „Podła wrzaskliwa psiarnio, której tchnienie jest dla mnie tym, czym wyziew zgniłych bagien!” * — do nikczemników atakujących go podczas wyborów. Serce jej rwało się do tego prawdziwie wielkiego człowieka, zbyt dumnego, aby ścisnąć tysiące rąk i całować niemowlęta, umizgać się do motłochu i zyskać od niego prawo zajęcia stanowiska, należnego mu ze względu na wrodzone zdolności.

Tak więc męski umysł, który pomógł pani Denyse Hornick osiągnąć sukcesy w świecie, musiał ustąpić kobiecej tkliwości, którą pod tą twardą powierzchnią odkrył i rozbudził Boy Staunton, dlatego też po załatwieniu odpowiednich formalności zawarty został związek małżeński.

Ślub nie był ani ceremonią religijną, ani weselem, można by go raczej nazwać „impresą”. Stawiły się wszystkie ważne osobistości ze świata Boya, a dzięki zręcznym manewrom Denyse także paru członków gabinetu z Ottawy; premier przysłał telegram zredagowany przez najwymowniejszego ze swoich sekretarzy. Biskup Woodiwiss udzielił ślubu, gdy zapewniono go, że Denyse nie ponosi winy za swój rozwód, ale trochę grymasił, i Boy musiał go długo przekonywać; mój przyjaciel powiedział mi później, że kłopoty zarządzania diecezją oraz pogłoski o śmierci Boga wyraźnie nadwreżyły intelekt biskupa. Panna młoda miała na palcu pierścionek niezwyklej rozmiarów, funkcje

* W. Szekspir, *Koriolan*, akt III, sc. 3, przeł. J. Paszkowski, Warszawa 1958.

drużby pełnił prezes banku, najlepszy szampan łał się takim strumieniem, jakim może się łać najlepszy szampan, gdy szafarzem jest najlepszy specjalista od aprowizacji (to znaczy, że wypadalo nie więcej niż trzy szklaneczki na gościa, chyba że ktoś bardzo natrętnie upominał się o czwartą). Wesołości nie było, ale nie było też rozgoryczenia, z wyjątkiem tej odrobiny, którą wniósł Dawid.

— Czy ucałujemy pannę młodą? — spytał go jeden ze starszych panów.

— Czemuż by nie? — odparł Dawid. — Jest przecież obcałowana jak Biblia w sądzie okręgowym i przez ludzi mniej więcej tej samej kategorii.

Starszy pan odsunął się co prędzej i powiedział komuś, że Dawid zapewne jest smutny ze względu na pamięć o swojej matce.

Ja myślę inaczej. Dawid i Karolina nie lubili macochy, a jej córki Lorene wprost nie mogli ścierpieć.

W okresie, gdy Boy starał się o rękę Denyse, prawie nie mówiło się o Lorene, trzeba jednak było brać w rachubę jej istnienie. Lorene urodziła się z niefortunnego małżeństwa Denyse z Hornickiem, który prawdopodobnie cierpiał na brzydką chorobę; w dniu drugiego ślubu swojej matki miała trzynaście lat. Wcześniej dojrzewiała fizycznie, duże twarde piersi sterczały jej wysoko pod brodą, jakby wcale nie miała szyi. Była przysadzista, ciężko zbudowana, a ruchy miała tak nieskoordynowane, że strącała ze stołów nawet przedmioty znajdujące się dość daleko od niej. Z powodu krótkiego wzroku nosiła grube okulary. Już teraz widać było, że wkrótce będzie nadmiernie owłosiona i nadmiernie też pociła się przy najlżejszym wysiłku. Śmiała się często i hałaśliwie, a gdy się dobrze rozochociła, z wypiekami na twarzy zaczynała się ślinić i wsysać z powrotem kapiącą jej na brodę ślinę. Niezyczliwi mówili, że jest kretynką, ale przesadzali; kształciła się w specjalnej szkole z internatem. Skierowano ją tam na kurs zajęć praktycznych, stosowniejszych dla niej niż skromny program ogólnokształcący, i uczyła się z powodzeniem sztuki kulinarnej oraz szycia.

Na ślubie swojej matki Lorene tryskała radością. Szampan rozluźnił słabe hamulce i dziewczynka kręciła się wśród gości, objając się o ludzi i przedmioty, z zaślinioną brodą i rozpromienioną twarzą:

— Jestem najszczęśliwszym dzieckiem pod słońcem! — wykrzykiwała. — Mam wspaniałego nowego tatusia, własnego tatę Boya, pozwolił mi się tak nazywać. Proszę pa-trzeć, jaką piękną bransoletkę dostałam od niego!

Lorene w niewinności serca próbowała zaprzyjaźnić się z Dawidem i Karoliną. Stanowili przecież teraz jedną rodzinę. Biedna Lorene nie wiedziała, jak dziwne stopnie pokrewieństwa może obejmować pojęcie rodziny. Karolina, nie odznaczająca się nigdy miłym usposobieniem, trakto-wała ją wręcz niegrzecznie. Dawid upił się, chichotał i pół-głosem robił impertynenckie uwagi podczas przemówienia Boya, odpowiadającego na toast za zdrowie nowożeńców.

Prawie przy każdym ślubie jest jakiś błazen. Na drugim weselu Boya rolę błazna grała Lorene, ale dopiero gdy się przewróciła — z winy szampana czy też wysokich obca-sów, do których nie była przyzwyczajona, a najpewniej z obu powodów razem — wyprowadziłem ją do hallu i wysłuchałem opowieści o jej ulubionym, wyjątkowo mą-drym piesku. W końcu zasnęła i dwaj kelnerzy wynieśli ją do samochodu.

3

Jak większość żon Denvse nie lubiła przyjaciół meża z jego przedmałżeńskich czasów, ale w moim przypadku okazała szczególną zaciekłość. Była inteligentna, konwencjonalnie przystojna, niepospolicie utalentowana do intryg i poli-tyki, ale jej życiowe zainteresowania ograniczały się wy-łącznie do zewnętrznego świata. Nie była obojętna na sprawy duchowe, wyczuwała ich istnienie i występowała jawnie jako ich wróg. Jasno dała do zrozumienia, że na ślub ko-ścielny zgodziła się jedynie przez wzgląd na konieczności dyktowane przez pozycję społeczną Boya; potępiała liture-gię kościelną, ponieważ usuwa kobietę na drugi plan. Całą moralną i etyczną energię — a miała jej niemało — skupiała na dążeniu do reform społecznych. Ich program obejmował łatwe rozwody, zasadę równej płacy za równą pracę dla kobiet tak samo jak dla mężczyzn, usunięcie wszelkiej dyskryminacji słabszej płci w zakresie zatrud-nienia; walcząc o te sprawy nie była jędzą-feministką

z pospolitych karykatur, ale rozumną, logiczną i niestrudzoną działaczką.

Boy często zapewniał mnie, że pod tymi pozorami, manifestowanymi na arenie publicznej, Denyse jest naprawdę nieśmiałą, miłą dziewczyną, żałośnie spragnioną czułości i pieśczoł, ale mnie Denyse nigdy nie objawiła tych ukrytych cech swojej osobowości. Obdarzona dużą intuicją, wyczuła, że widzę w kobietach coś więcej niż współobywatelki, krzywdzone ekonomicznie z powodu kilku błahych różnic biologicznych. Może nawet odgadła, że bardzo szanuję kobiety za te właśnie przymioty, które ona woli w sobie tłumić. W każdym razie na pewno nie życzyła sobie widywać mnie często w domu, a gdy tam zachodziłem, wedle zwyczaju utartego w ciągu trzydziestu poprzednich lat, zawsze wdawała się ze mną w delikatne sprzeczki, najczęściej na temat religii. Jak wiele osób nie mających pojęcia o zagadnieniach religijnych, przypisywała tym, którzy się nimi zajmują, niedorzeczne wierzenia. Wiedziała o moim zainteresowaniu dla świętych, bądź co bądź działając w agencji turystycznej nie mogła nie dostrzec moich książek. Wszystko, co dotyczyło świętych, budziło w niej odrazę, a ja w jej oczach byłem człowiekiem tej samej klasy co ludzie wróżący z listków herbaty albo wierzący w kredyt społeczny. Wprawdzie państwo Staunton zapraszali mnie od czasu do czasu na obiad, gdy mieli innych gości, których wypadało z tych czy innych powodów przyjąć i jakoś zabawić, lecz straciłem przywilej zażyłego przyjaciela domu.

Boy starał się załagodzić tę sytuację zapraszając mnie niekiedy do klubu na lunch. Wzmacniał coraz bardziej swoją pozycję, a także rozszerzał interesy, teraz już prowadzone na olbrzymią skalę; stał się osobistością publiczną, ważną figurą w różnych filantropijnych instytucjach, a nawet po trosze mecenasem sztuk pięknych, bo to właśnie weszło w modę.

Wyczuwałem, że go to nuży. Nienawidził wszelkich komitetów, lecz nie mógł ich uniknąć, chociaż zwykle im patronował. Nienawidził braku sprawności w działaniu, musiał jednak godzić się z pewnymi nieodłącznymi od demokracji przeszkodami. Nienawidził ludzi nieszczęśliwych, ale jako filantrop musiał się właśnie nimi interesować. W dalszym ciągu był przystojny i wywierał magne-

tyczny urok, lecz gdy w moim towarzystwie pozwalała sobie jak zwykle na swobodę, zdradzał zły humor i zdawał się rozczarowany. Przejął od Denyse jej racjonalizm — bo tak nazywała swoją postawę — i stał się jego żarliwym wyznawcą; pewnego dnia w klubie York po ukazaniu się mojej grubej książki o psychologii mitów i legend oraz po kilku recenzjach z niej w czasopiśmie oskarżył mnie z gniewem o płytkość — jak się wyraził — umysłu i o szerzenie zabobonów.

Nie czytał mojej książki, więc rozprawiłem się ostro z jego zarzutami. Trochę schował rogi i powiedział, że w każdym razie ma coś na swoje usprawiedliwienie, jest bowiem ateistą i dlatego trudno mu ścierpieć takie poglądy jak moje.

— Wcale mnie twój ateizm nie dziwi — odparłem. — Stworzyłeś sobie Boga na własne podobieństwo, a gdy okazał się niewiele wart, zniszczyłeś Go. To dość pospolita forma psychologicznego samobójstwa. — Chciałem po prostu odpowiedzieć ciosem na cios, ale Boy, ku mojemu zdumieniu, załamał się nagle.

— Nie dokuczaj mi, Dunny — powiedział. — I tak czuję się okropnie. Zrealizowałem prawie wszystkie swoje plany i ludzie uważają mnie za człowieka szczęśliwego. No oczywiście, mam Denyse, która pilnuje, żebym nie stracił formy, na szczęście, bo nie myśl, Dunny, że jej nie jestem za to wdzięczny. Ale czasem miałbym ochotę wsiąść w samochód i pojechać gdzieś bardzo daleko, rzucić wszystko, cały ten cholerny kram.

— Życzenie bardzo mitologiczne — odparłem. — Oszczędzę ci trudu czytania mojej książki, aby dowiedzieć się, co taka chęć znaczy. Jak król Artur chcesz przejść w krainę zapomnienia w pełnej zbroi, ale nasza nowoczesna medycyna jest zbyt mądra, aby ci na to pozwolić. Musisz się zestarzeć, musisz poznać starość i nauczyć się, jak być starym. Pewien mój bardzo kochany wiekowy przyjaciel powiedział mi kiedyś, że tęskni do takiego Boga, który nauczyłyby go, jak trzeba się starzeć. Mam nadzieję, że znalazł to, czego szukał. Musisz iść za jego przykładem albo zginięsz. Bogowie karzą tych, których nienawidzą, wieczną młodością.

Spojrzał na mnie prawie z nienawiścią.

— W życiu nie słyszałem bardziej niedorzecznych i de-

fetystycznych bzdur — powiedział. Ale nim dopiliśmy do końca kawę, odzyskał zwykły humor.

Chociaż potraktowałem go szorstko, niepokoiłem się o niego. Jako chłopiec Boy był trochę brutalem i samochwalcem, a przy tym nie umiał zachować się właściwie, jeżeli przegrywał. Dorastając nauczył się ukrywać te wady tak, że ktoś, kto nie znał go równie dobrze jak ja, mógłby uwierzyć, że je naprawdę przewyciężył. Ale ja nigdy nie sądziłem, aby cechy bardzo silne w dzieciństwie mogły całkowicie w człowieku zaniknąć; schodzą w podziemie albo przeobrażają się w coś innego, nigdy jednak nie giną bez śladu. Często wracają z nową siłą, gdy mija południe życia. One to właśnie, a nie uwiad starczy, wpędzają człowieka w powtórne dzieciństwo. Ten schemat obserwowałem także w mojej własnej historii; jako chłopak popisywałem się ciętością języka, przekraczającą znacznie konieczność samoobrony i zapewne często bolesną dla innych; skłonność ta odezwała się we mnie znów około pięćdziesiątki. Najwyraźniej miałem być złośliwym starszkiem, tak jak byłem kiedyś złośliwym chłopcem. Boy Staunton wkroczył w etap życia, gdy już nie starał się zatajać brutalnej żądzy panowania nad wszystkimi dokoła, złościł się i postępował nikkzemnie, jeśli coś szło nie po jego myśli.

Gdy zbliżamy się do sześćdziesiątki, płaszcz, którym spowijamy naszą istotną osobowość, jest już przetarty ze starości i bardzo cienki.

4

Pani Dempster umarła w roku drugiego ożenku Boya. Jej śmierć zaskoczyła mnie, bo wyobrażałem sobie, że obłąkani z reguły żyją długo, i nawet w testamencie swoim postarałem się zapewnić środki na jej utrzymanie w przypadku, gdyby mnie przeżyła. Długi pobyt w okropnym miejskim przytułku nie wyrządził trwałych szkód w jej organizmie, a po przeniesieniu do prywatnego zakładu w wiejską okolicę nabrała więcej sił i poweselała, jednak załamała się, gdy tak głupio opowiedziałem jej o odnalezieniu Paula. Po tym moim, wbrew dobrym intencjom, zgubnym błędzie nigdy już nie była kobietą „niespełna rozumu”. Za pomocą

narkotyków doprowadzono ją sztucznie do apatii, lecz ja nie ufałem tym metodom (może wskutek ignorancji) i zażądałem, aby w miarę możliwości oszczędzono jej takiego poniżenia i nie wymuszano spokoju środkami otępiającymi. Stała się więc dla zakładu szczególnie trudną pacjentką i musiałem dodatkowo płacić za opiekę nad nią. Niekiedy wpadała w furię przeciwko mnie, złemu geniuszowi jej życia, ale większą część czasu spędzała w przygnębieniu rozpaczy.

To ją wyniszczało. Nie mogłem z nią rozmawiać, ale czasem widywałem ją przez judasza w drzwiach jej pokoju; z każdym miesiącem zdawała się węższa i coraz mniej podobna do dawnej pani Dempster. Pojawiły się fizyczne niedomagania: lekka cukrzyca, zaburzenia funkcji nerek i serca; nic poważnego, zdaniem lekarzy, którzy z zawodowym optymizmem zapewniali mnie, że te dolegliwości dadzą się opanować w ten lub inny sposób i że pacjentka ma jeszcze przed sobą co najmniej dziesięć lat życia. Ale ja nie podzielałem ich opinii, bo urodziłem się w Deptford, gdzie niezwykle przenikliwie umiano rozpoznawać pierwsze sygnały „załamywania się” człowieka, i rozumiałem, co się dzieje z panią Dempster.

Mimo wszystko zaskoczył mnie telefon z zakładu, którego dyrekcja zawiadomiła mnie, że pani Dempster miała poważny atak sercowy i że obawiają się następnego w najbliższych godzinach. Pani Dempster stanowiła niemal od początku mojego życia jego stały składnik i wbrew ludowej mądrości, oswojonej z „załamywaniem się” ludzi, nie wyobrażałem sobie, że mogłaby zniknąć. Uczułem dziwny skurcz serca, który mnie przestraszył, lecz pospieszyłem co prędzej do zakładu; znalazłem się tam jednak dopiero w parę godzin po otrzymaniu telefonicznej wiadomości.

Leżała teraz w infirmerii i była nieprzytomna. Lekarze przewidywali najgorsze, zasiadłem więc w poczekalni czekając na jej śmierć. W dwie godziny potem przyszła do mnie pielęgniarka: chora mnie wzywała. Ponieważ od kilku lat widok mój zawsze wywoływał u niej wielkie wzburzenie, wahałem się, czy usłuchać wezwania, ale zapewniono mnie, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Stałem przy jej łóżku.

Była okropnie blada, twarz miała zapadniętą, lecz gdy wziąłem ją za rękę, otworzyła oczy i przyglądała mi się

dość długo. Niewyraźnie, ledwo dosłyszalnym głosem spytała:

— Dunstable Ramsay?

Upewniłem ją, że to ja. Długą chwilę milczała.

— Myślałam, że Dunstable Ramsay jest małym chłopcem — powiedziała wreszcie i znów zamknęła oczy.

Siedziałem przy jej łóżku jeszcze długo, ale już się nie odezwała do mnie więcej. Spodziewałem się, że powie coś o Paulu. W godzinę później niespodziewanie jej ręka, którą wciąż trzymałem w swojej dłoni, drgnęła, uściśnęła mnie leciutko. To był ostatni znak porozumienia między mną a panią Dempster. Wkrótce potem zaczęła oddychać głośno i chrapliwie, a pielęgniarka skinęła na mnie, żebym wyszedł. W pół godziny później zawiadomiła mnie, że pani Dempster umarła.

Przeżyłem bardzo złą noc. Zdobywałem się na posępny stoicyzm, póki nie znalazłem się w łóżku, wtedy jednak wybuchnąłem płaczem. Nie zdarzyło mi się to od czasu, gdy przed wielu laty matka mnie zbiła, nie płakałem nawet w najgorszych latach wojny, toteż przestraszyłem się boleśnie swoich łez. Kiedy w końcu zasnąłem, miałem okropne sny, w których zjawiała się matka w koszmarnych postaciach. Było to tak trudne do zniesienia, że zapaliłem lampę i próbowałem czytać, ale nie mogłem skupić uwagi na zadrukowanych kartkach; dręczyły mnie fantastyczne przywidzenia tak rozpaczliwe i okrutne, jakbym nie miał sześćdziesięciu lat i nie był postrachem sztubaków, erudytą o pewnej skromnej sławie, lecz najsłabszym dzieckiem, prześladowanym przez nocne zmary.

Po tym ataku koszmarów na moją duszę, gdy rano dzwonek szkolny zabrzmiał budząc chłopców w internacie, byłem cały roztrzęsiony; skaleczyłem się przy goleniu, zwymiotowałem po półgodzinie wszystko, co przełknąłem na śniadanie, i podczas pierwszej lekcji tak ostro skarciłem głupiego ucznia, że na pauzie wezwałem go do siebie i przeprosiłem. Musiałem bardzo źle wyglądać, bo koledzy okazali mi niezwykle względy, a w klasach wyczuwałem niepokój. Podejrzewano zapewne, że jestem ciężko chory, i chyba słusznie, ale była to choroba, na którą nie znam lekarstwa.

Zarządziłem, aby zwłoki pani Dempster przewieziono do Toronto, gdzie miały być spalone w krematorium. Wszy-

stko to załatwiał przedsiębiorca pogrzebowy i nazajutrz po śmierci pani Dempster zgłosiłem się u niego.

— Mary Dempster? — powiedział. — Proszę do sali C.

Wydawała mi się bardzo zmieniona, bo balsamator nie pożałował różu. Nie wyglądała odmłodzona czy też spokojna, jak to się zwykle mówi o umarłych. Po prostu zobaczyłem drobną starą kobietę ułożoną w trumnie przed pogrzebem. Ukłąłem, a przedsiębiorca wyszedł. Modliłem się o spokój dla duszy Mary Dempster w jakimś niewiadomym i nieokreślonym świecie, pod miłosierną opieką mocy nie zidentyfikowanej, której istnienie jednak głęboko odczuwałem. Była to modlitwa tego rodzaju, że potwierdzała argumenty Demyse Staunton przeciw religii, ale znalazłem się we władzy tak potężnego impulsu, że opierając mu się popełniłbym duchowe samobójstwo. Błagałem też o przebaczenie dla siebie, bo chociaż postępowałem wobec Mary Dempster, jak umiałem najlepiej, nie dość ją kochałem czy też za mało miałem rozumu, czy może zabrakło mi wielkoduszności w stosunku do niej.

Potem zrobiłem coś tak dziwaczego, że piszę o tym z lękiem, Panie Dyrektorze, bo mógłby mnie pan nazwać głupcem lub wariatem, a nawet jednym i drugim. Kiedyś byłem niezbitcie przeświadczony, że Mary Dempster jest świętą, a nawet po długich latach nie zmieniłem tego zdania. Sprawiała przecież trzykrotnie cud, w każdym razie ja to uważałem za cuda, chociaż inni nie chcieli tego uznać. Tradycja głosi, że z ciał świętych po śmierci unosi się piękny zapach, w wielu przypadkach porównywany z wonią fiołków. Pochyliłem się więc nad głową Mary Dempster i węszyłem ten nieomylny zapach świętości. Ale czułem tylko perfumy, dość dobre, niewątpliwie jednak pochodzące z flakonu.

Przedsiębiorca wrócił niosąc krucyfiks; widząc, że ukłąłem, wyciągnął wniosek, że ten symbol jest stosowny w danym przypadku. Przyłapał mnie na węszeniu.

— Chanel nr 5 — wyjaśnił szeptem. — Zawsze używamy tych perfum, jeżeli rodzina nie dostarczy nic innego. Może pan zauważył, że trochę wypełniliśmy biust pańskiej matki, bo w czasie ostatniej choroby widać bardzo schudła, a zbytnia płaskość figury sprawia przykre wrażenie.

Był to poczciwy człowiek spełniający skrupulatnie obowiązki swojego zniesławionego, lecz przecież niezbędnego

zawodu, dlatego wstrzymałem się od wszelkich uwag. Sprostowałem jedynie, że zmarła nie była moją matką.

— O, przepraszam. A więc zapewne ciotka — odparł rozpaczliwie starając się zadowolić klienta i pocieszyć go bez niedyskrecji.

— Nie, ani matka, ani ciotka — powiedziałem, ale nie mogłem określić pustym i nie dość wymownym mianem przyjaciółki pani Dempster, która była czymś tak ważnym w moim życiu, pozostawiłem więc prawdę domyślności przedsiębiorcy.

Następnego dnia znalazłem się zupełnie sam w kaplicy krematorium, gdy zwłoki Mary Dempster zsunęły się przez otwarte drzwiczki w płomienie. Bo i któż inny miałby jeszcze ją pamiętać?

5

Umarła w marcu. Następnego lata wyjechałem do Europy i odwiedziłem bollandystów z nadzieją, że usłyszę jakieś pochwały mojej wydanej ostatnio grubej książki. Nie wstydzę się tej nadziei, bo któż mógł lepiej niż bollandyści ocenić zalety lub błędy mojej pracy? A cóż może być miłsze niż uznanie prawdziwych znawców przedmiotu? Nie rozczarowałem się, bo przyjęli mnie jak zawsze gościnnie. Dowiedziałem się też od nich z radością, że ojciec Blazon żyje jeszcze mimo bardzo sędziwego wieku i przebywa w pewnym wiedeńskim przytułku.

Nie zamierzałem wstępować do Wiednia, chociaż wybierałem się na festiwal do Salzburga, ale że nie miałem od ojca Blazon wiadomości od kilku lat, nie oparłem się pokusie odnowienia tej przyjaźni. Odnalazłem go w przytułku prowadzonym przez szarytki; siedział w łóżku oparty o spiętrzone wysoko poduszki; postarzał się, ale nie zmienił, z tym wyjątkiem, że stracił kilka zębów; nosił nawet tę samą starą, zniszczoną aksamitną piuskę, zawadiacko przekrzywioną na rozwichrzonych siwych włosach. Poznał mnie od razu.

— Ramezay! — zapiał, gdy wszedłem. — Myślałem, że już umarłeś! Staro wyglądasz. No, musisz już mieć bardzo dużo lat. Ile? Nie wstydź się, powiedz. Ile masz lat?

— Dopiero co skończyłem sześćdziesiąt jeden — odpierem.

— No, proszę, patriarcha! Wyglądasz na więcej. Wiesz, ile ja mam? Nie wiesz i nie powiem ci tego. Gdyby siostrzyczki dowiedziały się, traktowałyby mnie jak grzyba. I tak o wiele za dokładnie mnie myją. Gdyby odkryły mój prawdziwy wiek, chłostałyby mnie swoimi okropnymi szczotkami jak świętego Bartłomieja. Przyznam ci się jednak, że przekroczyłem setkę, ale nikomu nie powiem, jak dawno. Sekret wyda się po mojej śmierci. Każdej chwili mogę umrzeć. Nawet teraz, podczas rozmowy z tobą. Wtedy przynajmniej na pewno ostatnie słowo należałoby do mnie, he? Siadaj. Wydajesz się zmęczony.

Napisałeś piękną książkę. Oczywiście całej nie przeczytałem, ale jedna z sióstr czytała mi z niej coś niecoś. Nie pozwoliłem jej robić tego dłużej, bo ma okropnie zły akcent angielski, profanowała twoją wytworną prozę i przekreślała wszystkie imiona własne. Taką wymową mordowała po prostu tekst. Jakże mało wykształcone są te kobiety! Morderczynie żywego słowa! Za karę zmusiłem ją do głośnej lektury powieści *Le Juif errant*. Po francusku czyta dobrze, ale ten tekst parzy ją w język, wiesz, to jest książka okropnie antyklerykalna. A jak się w niej wygaduje na jezuitów! Czarnoksiężnicy, zmijcie! Gdybyśmy byli w części tak chytry, jak podejrzewał Eugène Sue, panowalibyśmy dzisiaj nad światem. Biedna siostrunia pojąć nie mogła, dlaczego chcę tego słuchać i dlaczego tak się zaśmiewam. Wreszcie poinformowałem ją, że ta książka jest na indeksie, i teraz poczciwina myśli, że jestem smokiem przebranym za jezuitę. Ano, trzeba się czymś zabawiać, żeby czas się nie dłużył. Co porabia twoja obłąkana święta?

— Kto?

— Nie krzycz, słuch mam doskonały. Twoja obłąkana święta, wariatka, która tak ważną rolę odegrała w twoim życiu. Myślałem, że znajdę jakieś słówko o niej w twojej książce, ale nic nie ma. Przejrzałem indeks dokładnie, zawsze od tego zaczynam, kiedy biorę jakąś książkę do ręki: mnóstwo rozmaitych świętych, bohaterów, legend, ale obłąkanej świętej ani śladu. Dlaczego?

— Zdziwiłem się, że ojciec tak ją nazwał, bo nie słyszałem tego określenia od trzydziestu lat. Ostatnim człowiekiem,

który tak się wyraził o Mary Dempster, był pewien Irlandczyk.

I opowiedziałem mu o rozmowie odbytej niegdyś z księdzem Reganem.

— Och, Ramezay, jesteś zanadto popędliwy! Co za pomysł, żeby stawiać takie pytania wiejskiemu proboszczowi! Musiał to jednak być człowiek niegłupi. Nie wszyscy Irlandczycy są idiotami, mają sporą domieszkę hiszpańskiej krwi, trzeba ci wiedzieć. Bardzo dziwne, że wiedział coś o obłąkanych świętych. Słyszałeś, że jedna z nich ma być wkrótce kanonizowana? Bertilla Boscardin, która działała cuda podczas pierwszej wojny światowej wśród pacjentów szpitali, goiła rany i obdarzała heroicznym męstwem w godzinach nalotów nieprzyjacielskich. Ale to nie była klasyczna obłąkana święta, zanadto aktywna, one zazwyczaj bywają bierne i niezwykle kochają Boga, z jakimś szczególnym zrozumieniem, o którym święty Bonawentura mówił, że jest niedostępne nawet dla najmądrzejszych uczonych.

— Ksiądz Regan zapewniał mnie, że obłąkani święci są niebezpieczni. Zwłaszcza Żydzi przed nimi ostrzegają, twierdząc, że te świątobliwe osoby bywają wścibskie i przynoszą pecha.

— Bo tak rzeczywiście bywa, jeśli są bardziej obłąkane niż święte. Wszyscy zresztą przynosimy naszym bliźnim pecha, często nic o tym nie wiedząc. Mówiąc o obłąkanych świętych, nie mam jednak na myśli tych kiwających się kretynów, którzy bełkocą o Panu Bogu zamiast o plugaństwach, jak to przeważnie robią inne przygłupki. Przypomnij mi historię tej Mary Dempster.

Spełniłem jego życzenie, a gdy skończyłem opowieść, ojciec Blazon oznajmił, że musi się nad tą sprawą zastanowić. Widziałem, że jest już zmęczony, zresztą jedna z sióstr, która weszła niepostrzeżenie, dała mi znak, że pora, abym się wyniósł.

— To kochany, dobry staruszek — powiedziała do mnie — ale bardzo lubi przekomarzać się z nami. Jeżeli pan chce mu zrobić wielką przyjemność, proszę przynieść najlepsze wiedeńskie czekoladki; ogromnie narzeka na szpitalną kuchnię. Żołądek ma strusi. Chciałabym mieć taki zdrowy żołądek, a przecież nie mam nawet połowy jego lat.

Nazajutrz zjawiłem się z wielką ilością czekoladek, któ-

rych większą część oddałem zakonnicom w depozyt, aby wydziały staruszkowi odpowiednie dzienne porcje. Nie chciałem, żeby się na moich oczach obżarł śmiertelnie, ale bombonierka, którą mu bezpośrednio doręczyłem, była bardzo ładna i nie brakowało w niej maleńkich szczypczyków do wybierania pożądanej czekoladki spomiędzy innych.

— Oho, święty Dunstan ze swoimi szocypcami — szepnął. — Mów jak najciszej, święty Dunstanie, bo wszyscy sąsiedzi zbiegną się do moich czekoladek, a mogłyby im nie posłużyć na zdrowie. Oj, świątobliwy mężu! Jak myślisz, może przez komorę celną siostrzyczek dałoby się przemyścić butelczynę naprawdę dobrego wina, co? Wydziałają mi po naparstku jakiegoś paskudztwa, które kupują tanio, i to tylko w rzadkie dni świąteczne!

Wiesz, rozmyślałem o twojej obłąkanej świętej. Posłuchaj, do jakich doszedłem wniosków: nigdy by nie przeszła przez sito bollandystów, ale z pewnością była niepospolitą osobą, bardzo kochającą Pana Boga i bezgranicznie ufającą w Jego miłość. Jeśli chodzi o cuda, obaj zbyt głęboko wysondowaliśmy je, żeby traktować sprawę dogmatycznie; ty w nie wierzysz, a wiara ta przydała twojemu życiu piękna i dobra; nic byś nie zyskał na ściśle naukowej analizie tych zjawisk. Znacznie ważniejsze wydaje mi się to, że znosiła swój los heroicznie, dźwigała go cierpliwie, starała się postępować, jak umiała najlepiej, dopóki obłęd nie pokonał jej całkowicie. To heroizm w Imię Boże stanowi znamię świętych, Ramezaju, a nie magiczne sztuczki. Toteż sądzę, że nic się złego nie stanie, jeżeli w dzień Wszystkich Świętych włączysz Mary Dempster do litanii. Sam twierdzisz, iż wiele dobrego zaznałeś w życiu dzięki temu, że na nią spadł cios, przeznaczony może dla ciebie. Swoją drogą chłopcy mają twarde głowy, o czym z pewnością wiesz jako stary nauczyciel. U ciebie skończyłoby się prawdopodobnie na guzie. Nikt tego nie wie z całą pewnością. Ale twoje życie było rozświetlone blaskiem tej obłąkanej świętej, a niewielu ludzi może to powiedzieć o sobie.

Rozmawialiśmy potem trochę o wspólnych znajomych z Brukseli, gdy nagle ojciec Blazon spytał:

— A co z diabłem? Czyś go spotkał?

— Tak — odpowiedziałem. — W Meksyku. Ukazał mi się w postaci kobiety bardzo brzydkiej, ale niewątpliwie kobiety.

— Niewątpliwie?

— Nie można mieć ani cienia wątpliwości.

— Doprawdy, zdziwiasz mnie, Ramezay. Wybacz, ale muszę ci powiedzieć, że jesteś o wiele bardziej interesujący, niż można by sądzić z pozoru. Rzeczywiście diabeł zmienił płęć, aby kusić wielkiego świętego Antoniego, ale to zdumiewające, że zechciał to zrobić dla kanadyjskiego belfra! No cóż, nie należy być snobem w sprawach duchowych. Wnioskując z twojej niezachwianej pewności, domyślam się, że uległeś diabelskim pokusom.

— Diabeł okazał się bardzo dobrym kolegą. Przekonywał mnie, że mały kompromis nic by mi nie zaszkodził. A nawet twierdził, że bliska znajomość z nim wpłynie dobroczynnie na mój charakter.

— Miał chyba rację. Diabeł zna takie zakamarki naszej duszy, o jakich zapewne sam Chrytus nic nie wie. Jestem pewny, że Pan Nasz dowiedział się wielu pożytecznych rzeczy o sobie dzięki spotkaniu na puszczy z diabłem. Na ogół traktujemy diabła haniebnie, ale im gorzej odnosimy się do niego, tym głośniej on się z nas śmieje. Opowiedz mi coś więcej o swoim z nim pojedynku.

Opowiedziałem, a ojciec Blazon słuchał manifestując w drastycznych momentach wielką wstydlivość; zasłaniał usta dłońmi i chichotał za tym parawanem, wywracał oczy błyskając białkami i prychał śmiechem; gdy opisywałem scenę w garderobie teatralnej między Liesl a piękną Faustyną, zakrył twarz, ale zerkał na mnie z grzeszną ciekawością spomiędzy palców. Po mistrzowsku odegrał tę komedię hiszpańskiej klerykalnej pruderii. Ale gdy wyznałem, że ścisnąłem nos Liesl tak, iż kość chrupnęła, zrzucił z siebie kopniakiem kołdrę i ryczał ze śmiechu, aż zaniepokojona zakonnica wbiegła do pokoju; przegonił ją szerokim gestem ramienia i sykiem. — Och, Ramezay, nic dziwnego, że tak dobrze piszesz o mitach i legendach! To święty Dunstan w tysiąc lat po zgonie raz jeszcze skreślił diabłu nos w swoich szczypcach! Bravo! Bravo! Stawiłeś czoło diabłu jak równemu przeciwnikowi, nie wymigiwałeś się, nie przestraszyłeś i nie błagałeś o jego nędzne łaski. Oto wzór heroicznego życia! Jesteś zdolny zaprzyjaźnić się z diabłem bez obawy, że popadniesz w jego niewolę.

Trzeciego dnia pożegnałem się z ojcem Blazon. Postara-

łem się, aby dostarczano mu w miarę potrzeby czekoladek, a zakonnice w drodze wielkiego wyjątku zgodziły się przyjąć ode mnie sześć butelek dobrego wina i obiecały wydzielać je staruszkowi wedle swego uznania.

— Żegnaj, Ramezay! — wykrzyknął wesoło. — Prawdopodobnie więcej się nie zobaczymy. Wydajesz mi się już trochę nadwerężony.

— Nie znalazłem jeszcze Boga, który by mnie nauczył być starym — odparłem. — Ojciec Go znalazł?

— Pst! Nie tak głośno. Siostrzyczki nie powinny dowiedzieć się o stanie mojej duszy. Owszem, znalazłem i nie mógłbym marzyć o lepszym towarzyszu niż On. Bardzo spokojny, bardzo cichy, ale cudownie żywy. My działamy, On jest. Nie ma w nim ani źdźbła tego natręctwa w nawracaniu ludzi ani karierowiczostwa, jakie widzimy u Jego działek! — I zaniósł się cichym śmiechem.

Wkrótce potem rozstaliśmy się, a gdy w progu odwróciłem się, żeby go ostatni raz pożegnać gestem, zobaczyłem, że ojciec Blazen ze śmiechem ściska swój wielki pomidorowy nos szczypczykami od czekoladek.

— Bóg z tobą, święty Dunstanie! — zawołał.

Często o nim myślałem, rozkoszując się przyjemnościami Salzburga, a zwłaszcza po pierwszej wizycie na specjalnej wystawie zatytułowanej „Schöne Madonnen” w sali przykatedralnej. Nareszcie bowiem, gdy już straciłem nadzieję i zapomniałem o poszukiwaniach, odnalazłem tam Małą Madonnę, którą spotkałem przed laty, owej strasznej nocy w Passchendaele. Stała pomiędzy mnóstwem różnych wizerunków Matki Boskiej, zgromadzonych tutaj jako okazy sztuki rzeźbiarskiej w kamieniu i drzewie, pozbierane z kościołów, muzeów i prywatnych kolekcji z obszaru całej Europy. Poznałem ją nieomylnie, od przesłicznej korony, którą nosiła tak godnie, aż do stóp opartych o sierp księżycy. Pod księżycem było coś, czego tam, w rozbłysku rakiety, nie spostrzegłem: kula ziemską, wokół niej owiniętą wąż z jabłkiem w paszczy. Zgubiła berło, lecz zachowała Dzieciątko, pulchną, powściągliwą osóbkę, patrzącą na świat spod półprzymkniętych powiek. Ale twarz Madonny... Czy była to rzeczywiście twarz Mary Dempster? Nie, chociaż włosy miała bardzo podobne do włosów pani Dempster, o której moja matka mawiała, że twarz jej przypomina miseczkę mleka; Mary Dempster nigdy nie miała

tak pięknych rysów jak Mała Madonna, ale wyraz miłosierdzia i miłości, prześwieblony głębokim zrozumieniem, był ten sam.

Odwiedzałem ją codziennie przez cały tydzień pobytu w Salzburgu. Z katalogu dowiedziałem się, że figura należy do słynnej prywatnej kolekcji i uważana jest za dobry, chociaż późny okaz wizerunków symbolizujących Niepokalane Poczęcie. Nie zaszczycono jednak tej figury ilustracją w katalogu i gdy tydzień upłynął, pożegnałem ją, aby nigdy już więcej nie zobaczyć. Fotografowanie było na wystawie zabronione. Ale nie potrzebowałem fotografii. Obraz Małej Madonny nosiłem odtąd zawsze ze sobą.

6

Tajemnicza śmierć Boya Stauntona wzbudziła niesłychaną sensację, a ludzie, którzy przepadają za rozwiązywaniem zagadek kryminalnych — bo wiele osób było przekonanych, że musiało to być morderstwo — mówią o tym po dziś dzień. Pamięta Pan z pewnością, Panie Dyrektorze, okoliczności tego wydarzenia: o czwartej nad ranem w poniedziałek 4 listopada 1968 roku wyłowiono jego wspaniałego Cadillaca z basenu portowego Toronto, gdzie wpadł pędząc z taką prędkością, że zarył się w dno o jakieś dwadzieścia stóp od betonowego falochronu, z którego się stoczył. Trup znajdował się na fotelu kierowcy, wczepiony obu rękami tak mocno w kierownicę, że policja z trudem wyciągnęła go z wozu. Dach i okna były zamknięte, musiał więc upłynąć pewien czas pomiędzy skokiem z krawędzi mola a wypełnieniem się wnętrza samochodu wodą. Co najdziwniejsze w ustach Boya odkryto kamień, bryłkę pospolitego różowawego granitu wielkości małego kurzego jajka; kamyk nie mógłby się oczywiście dostać do jamy ustnej, gdyby go sam Boy lub ktoś inny tam nie włożył.

Gazety zapełniały całe szpalty tą historią, co wydaje się zupełnie zrozumiałe, skoro chodziło o pierwszorzędną miejscową sensację. Czy było to morderstwo? Ale któż by chciał zabić znanego filantropa, człowieka, który dzięki wybitnym talentom organizatorskim położył w czasie wojny tak niezaprzeczone zasługi dla ogółu? Boy po śmierci stał się bohaterem opiewanym przez prasę. A więc samo-

bójstwo? Z jakiego powodu miałby zdecydować się na odebranie sobie życia przez konsorcjum Alpha, mężczyzna o młodzieńczej powierzchowności i energii, jeden z najbogatszych ludzi w Kanadzie? Jego życie rodzinne mogłoby służyć za wzór; współpracował ściśle ze swoją żoną (Denyse Hornick, również wybitną działaczką, rzeczniczką reform społecznych i ekonomicznych, zмирzającą do poprawy losu kobiet) w wielu dobroczynnych i kulturalnych organizacjach. Gazety uznały też za właściwe ujawnić, że w najbliższych dniach Boy Staunton miał otrzymać nominację na gubernatora stanu Ontario. Czy Boy Staunton, który żywił tak wzniosłe przekonanie o obowiązku służby publicznej, mógł zabić się w tych okolicznościach?

Składali hołd jego pamięci liczni wybitni obywatele. Wzruszające słowa poświęcił mu Joel Surgeoner, którego misja Liny Ratunkowej miała swą siedzibę o parę kroków od miejsca tragedii, a tę dobroczynną placówkę zmarły również hojnie wspierał pieniędzmi. Pan, Panie Dyrektore, napisał piękny nekrolog stwierdzając, że Boy Staunton był szlachetnym przykładem hasła naszej szkoły, wpa-
jającej wychowankom tę prawdę, że trzeba wiele żądać od tych, których los obficie obdarzył.

Przy okazji gloryfikowano także owdowiałą małżonkę, rzadko jednak napomykając o pierwszym małżeństwie z Leolą „Crookshanks”, zmarłą w 1942 roku. Na liście żałobników Lorene wyprzedzała Dawida (wtedy już czterdziestoletniego adwokata i pijaka) oraz Karolinę (panią Beeston Bastable, matkę jedynej córki, również ochrzczonej imieniem Karolina).

Boy Staunton nie miał pogrzebu państwowego, mimo że Denyse zabiegała o to, pragnąc, aby trumnę okrywała flaga narodowa i aby eskortowała ją kompania honorowa. Nie udało się tego uzyskać. Jednakże wiele flag opuszczono do pół masztu i Denyse zdołała ściągnąć na pogrzeb licznych dostojników i przedstawicieli ludzi tak dostojnych, że nie mogli stawić się we własnej osobie. Wszyscy zgodnie przyznawali, że biskup Woodiwiss złożył wspaniały hołd Boyowi, którego znał od jego najmłodszych lat, szkoda tylko, że zacny biskup na starość tak niewyraźnie bełkocze.

Przyjęcie wydane po pogrzebie godne było najświetniejszych tradycji w tej dziedzinie, a nowy dom, który Boy na życzenie drugiej żony zbudował w najbardziej dystyn-

gowanej podmiejskiej dzielnicy, wypełnił się gośćmi do granic możliwości. Denyse doskonale panowała nad sobą i nad całą sytuacją. Prawie doskonale, bo mimo wszystko jedna rzecz jej się nie udała.

Po przywitaniu u wejścia grupy żałobników — jeśli można tak nazwać osoby, które ochoczo, natychmiast potem rzuciły się do bufetu na whisky — podeszła do mnie.

— Pan oczywiście napisze oficjalną biografię — powiedziała.

— Jaką oficjalną biografię? — spytałem zaskoczony i niezgrabny.

— Chyba jasne, o czym mówię — odparła i jej wzrok dobitnie dał mi do zrozumienia, że powinien bym oprzytomnieć i nie być takim skończonym głupcem.

— A więc jest taki projekt? — spytałem. Nie chciałem jej dokuczyć, po prostu byłem szczerze wstrząśnięty; miałem po temu istotne powody.

— Tak, jest taki projekt — powiedziała, a każde słowo kłuło jak sople lodu. — Pan znał Boya od dzieciństwa i rozporządza pan materiałem do pierwszych rozdziałów, zanim dojdziemy do okresu, o którym ja wiem wszystko i co do którego będę mogła udzielić panu wskazówek.

— W jakim sensie ta biografia ma być oficjalna? — spytałem znów, nie mogąc ochłonąć ze zdumienia. — To znaczy, skąd ten oficjalny charakter? Czy to czynniki rządowe chcą ją publikować?

— Czynniki rządowe jeszcze nie miały czasu, aby o tym pomyśleć — odparła. — Ale ja tego sobie życzę i załatwię wszystko w kołach rządowych. Od pana chciałabym tylko usłyszeć, czy pan ją napisze, czy nie. — Mówiła do mnie jak matka do krnąbrnego chłopca: „Zrobisz, co ci każe, czy nie?” Nie było to pytanie, lecz chłasknięcie batem.

— Muszę się namyślić — powiedziałem.

— Niech się pan namyśli. Otwarcie powiem, że zwracałam się najpierw do Erica Roopa, bo wolałabym pióro poety, ale Roop nie może się tej pracy podjąć, chociaż dziwi mnie to, zważywszy, ile różnych stypendiów i nagród zawdzięczał Boyowi. No, ale dla pana Boy zrobił jeszcze więcej. Będzie to dla pana interesująca odmiana po tych pańskich ulubionych świętych. — Odeszła w gniewie.

Oczywiście nie napisałem tej biografii. Atak serca, który mnie powalił w parę dni później, dostarczył znakomitego

pretekstu i mogłem wymówić się od zadania, którego nie chciałem na siebie brać. Czyż mógłbym napisać historię Boya tak, żeby zadowolić własne wymagania i jednocześnie uniknąć śmierci z rąk Denyse? Czy ja, historyk, któremu wpojono zasadę, że żadnych faktów nie wolno zatajać, któremu tradycja bollandystów nakazywała dostrzegać bez lęku zarówno cienie jak światła, mogłem pisać o życiu Boya przemilczając to wszystko, co opowiedziałem w tych moich wspomnieniach i co wiem o jego śmierci? A gdybym nawet wszystko to napisał, czy byłaby to cała prawda? Od samego Boya na godzinę przed śmiercią dowiedziałem się, jak różnie mogą widzieć prawdę ludzie najzupełniej rozumni.

Nie będzie Pan czytał tych wspomnień, Panie Dyrektore, wcześniej niż po mojej śmierci, i na pewno zachowa Pan ich treść dla siebie. Ostatecznie nie mógłby Pan żadnych oskarżeń przeciw komukolwiek udowodnić. A śmierć Boya nie wyda się naprawdę zaskakująca komuś, kto wie o jego życiu to, co teraz panu jest wiadomo.

A więc było tak:

7

Magnus Eisengrim przyjechał ze swoim sławnym teatrem złudzeń do Kanady dopiero w 1968 roku. Był teraz już tak sławny, że kiedyś „Time” zamieścił na okładce jego fotografię jako najwspanialszego magika w dziejach ludzkości. Autobiografia cieszyła się tutaj dużym powodzeniem, chociaż nikt nie domyślał się, że jej bohater (a także autor) są Kanadyjczykami. Eisengrim zjawił się w Toronto pod koniec października na dwutygodniowy pobyt.

Naturalnie często widywałem Eisengrima i jego współpracowników. Piękną Faustynę zastępowała teraz inna dziewczyna, nie mniej piękna i nazwana tym samym imieniem. Liesl wkroczyła w wiek średni i powierzchowność jej nabrała pewnej małej dystynkcji; przyjaźniliśmy się po dawnemu i każdą wolną chwilę starałem się spędzać z nią. Ze wszystkich ludzi, z jakimi zetknąłem się w życiu, jedynie z ojcem Blazon i z Liesl udawało mi się nawiązywać rozmowę dokładnie w tym miejscu, w którym ją przerwaliśmy czy to poprzedniego dnia, czy przed sześciu laty.

Za wstawiennictwem Liesl — a może słuszniej byłoby powiedzieć: na jej rozkaz — Eisengrim zgodził się spełnić moją prośbę i pewnego niedzielnego wieczora, mniej więcej w połowie swojego pobytu w Toronto, przyjechał do naszej szkoły, by wygłosić prelekcję o hipnozie dla uczniów z internatu; nauczyciele nie mają skrupułów żądając takich uprzejmości.

Oczywiście odniósł wielki sukces, bo chociaż niechętnie zgodził się na ten występ, należał do ludzi, którzy raz podjąwszy się jakiegoś zadania nigdy nie wykonują go byle jak. Ujął sobie chłopców traktując ich poważnie; na wstępie wyjaśnił, czym jest hipnoza i jakie są granice jej możliwości. Szczególnie podkreślał, że nie można nikogo zmusić, aby pod hipnozą zrobił coś sprzecznego z jego życzeniami, chociaż ludzie oczywiście miewają życzenia, do których nawet sami przed sobą nie chcą się przyznać. Pamiętam, że to twierdzenie zaniepokoiło kilku chłopców i że Eisengrim tłumaczył im swoją myśl w sposób bardzo klarowny, a ja słuchając go pomyślałem, że jest bardziej wykształcony, niż przypuszczałem. Odrzucił ze wzdrganą wyobrażenie o hipnotyzerach jako wszechmocnych demonach, umiejących każdego zmusić do wszystkiego, jak to mówiono o Svengalim, ale przytoczył kilka zabawnych anegdot o dziwnych i kłopotliwych cechach, jakie osobowość człowieka zdradza dopiero w stanie hipnozy.

Chłopcy naturalnie domagali się, żeby im zademonstrował hipnotyzerskie sztuczki, ale nie chciał złamać swojej zasady, która zabraniała mu hipnotyzować osoby niepełnoletnie bez podpisanej zgody rodziców. (Nie dodał, że dzieci i młodociani są dla hipnotyzerów niezmiernie trudnymi przedmiotami doświadczeń, ponieważ ich zdolność do koncentracji umysłu jest bardzo niestała.) Jednakże zahipnotyzował mnie i kazał mi spełniać różne niezwykle czynności ku wielkiej uciechu chłopców, lecz bez uszczerbku dla mojego nauczycielskiego autorytetu. Między innymi polecił mi zaimprovizować poemat, czego w normalnym stanie nigdy bym nie potrafił, i podobno wywiązałem się z tego wcale nieźle.

Prelekcja trwała około godziny, a gdy potem szliśmy korytarzem budynku szkolnego, z bocznych drzwi — z Pańskiego gabinetu, Panie Dyrektorze — wyszedł Boy

Staunton; przedstawiłem go Eisengrimowi, z czego Boy zdawał się bardzo zadowolony.

— Widziałem pański spektakl w zeszły czwartek — powiedział. — Były to urodziny mojej pasierbicy i w ten sposób je uczciliśmy. Pan jej nawet ofiarował pudełko cukierków.

— Pamiętam dokładnie — odparł Eisengrim. — Siedzieli państwo na miejscach C 21-25. Pańska pasierbica nosi mocne okulary, a jej śmiech ma bardzo charakterystyczne brzmienie.

— Tak. Biedna Lorene. Niestety dostała lekkiego ataku hysterii, gdy pan przepiłował jakiegoś człowieka na pół i musieliśmy zaraz wyjść. Czy wolno prosić pana o wyjątkową grzeczność? Niech mi pan powie, skąd pan i pańska Mosiężna Głowa zdobyli informacje, na których oparte były aluzje skierowane pod adresem Ruth Tilman? Wywołało to różne plotki w mieście.

— Nie, panie Staunton, tego nie mogę wyjawić. Ale może pan mi powie, skąd pan wie, co Mosiężna Głowa powiedziała pani Tilman, która zajmowała miejsce F 32 na piątkowym spektaklu, skoro pan ze swoim towarzystwem odwiedził nasz teatr w czwartek?

— Czy nie mógł mi tego ktoś powtórzyć?

— Mógł, ale w rzeczywistości było inaczej. Pan przyszedł do teatru powtórnie w piątek, bo poprzedniego dnia stracił pan część programu z powodu zbytnej wrażliwości pasierbicy. Muszę z tego wnioskować, że moje widowisko pana zainteresowało. To dla mnie wielki komplement. Proszę mi wierzyć, że cenię go sobie bardzo wysoko. Właśnie dlatego postanowiłem powstrzymać Mosiężną Głowę od wymienienia pańskiego nazwiska i oznajmienia publiczności, że w najbliższy poniedziałek zostanie ogłoszona pańska nominacja na stanowisko gubernatora. Pan z pewnością rozumie, że to było z mojej strony dość wielkie wyrzeczenie; takie proroctwo zrobiłoby mi wspaniałą reklamę, ale dla pana stworzyłoby kłopotliwą sytuację, więc wraz z Głową uradziliśmy, że oszczędzimy panu tego.

— Ależ niemożliwe, żeby pan coś o tym wiedział! List z zawiadomieniem otrzymałem zaledwie na dwie godziny przed pójściem do teatru. Nawet miałem ten list wówczas przy sobie.

— Tak, i ma go pan na piersi również w tej chwili w pra-

wej kieszeni marynarki. Proszę się nie denerwować, nie jestem złodziejem kieszonkowym. Po prostu gdy pan się nachyla choćby odrobinę ku przodowi, można dostrzec brzeżek długiej koperty z grubego kremowego papieru; tylko wysokie urzędy używają takich ostentacyjnych kopert, a jeżeli człowiek tak wytworny jak pan wypycha kieszeń marynarki pismem od wysokich władz... Rozumie pan? Wniosek nasunął się nieodparcie. Może to panu posłuży jako wstępna lekcja magii. Niech pan o tym rozmyśla przez następnych dwadzieścia lat, a wtedy zapewne zrozumie pan sekret Mosiężnej Głowy.

Przemówienie to speszyciło Boya, ale robiąc dobrą minę do złej gry prychnął młodzieńczym śmiechem w nadziei, że to mu pomoże znów zapanować nad tokiem rozmowy.

— Rzeczywiście — powiedział — właśnie dopiero co pokazywałem ten list dyrektorowi szkoły, bo będę musiał oczywiście zrezygnować z godności przewodniczącego rady szkolnej. W związku z tym chciałem także pogadać z tobą, Dunny.

— Chodźcie obaj do mojego pokoju — zaproponowałem i zaprosiłem Eisengrima do siebie na szklaneczkę whisky.

Znając Boya wiedziałem, że będzie teraz szczególnie czarujący; popełnił gafę domagając się od Eisengrima wyjawienia zawodowego sekretu; niezręczność wręcz nieprawdopodobna u tak wytrawnego stratega, ale świeża nominacja zapewne uderzyła mu do głowy i dał się ponieść dalej, niż wypadało. Miałem wrażenie, że już widzę na jego głowie gubernatorski rogaty kapelusz z pióropuszem.

Eisengrim dał mu dość ostrą odprawę, toteż musiał wzbudzić w nim wrogię uczucia, a Boy lubił maskować wrogość nadstawiając drugi policzek, bo nie jest to zawsze objaw chrześcijańskich uczuć, jak miałem okazję przekonać się niejednokrotnie w stosunkach z Boyem. Eisengrim zadał mu nowy cios bystrymi spostrzeżeniami na temat urzędowego listu. W ich świetle Boy wyglądał jak dziecko oszołomione nową zabawką i niezdolne z nią rozstać się choćby na chwilę. Boy szukał więc okazji, żeby się zrewanżować, to znaczy stać się znowu panem sytuacji.

Dla mnie było jasne, że między tymi dwoma ludźmi wytworzyła się od razu jedna z tych nagłych sympatii czy antypatii, w każdym razie niezwykle napięcie emocjonalne, które daje często początek miłości, gorącej przyjaźni

lub trwałej i zajadłej nienawiści, inaczej mówiąc jakiemuś uczuciu bardzo skrajnemu. Zaciekało mnie, co z tego wyniknie, a zaostrzyła mój apetyt myśl, że ja wiem, kim naprawdę jest Eisengrim, podczas gdy Boy nie mógł tego wiedzieć i, jak mi się wówczas zdawało, pewno nie dowie się nigdy.

Bardzo znamienne dla Boya, że spróbował pozyskać łaski nowego przyjaciela, okazując żartobliwą pogardę staremu. Gdy we trzech długim korytarzem na najwyższym piętrze doszliśmy do mojego pokoju — do mojego starego pokoju, którego nie zgodziłem się nigdy zamienić na wygodniejsze mieszkanie w nowych budynkach szkoły — Boy otworzył drzwi kopniakiem i pierwszy przekroczył próg, aby zapalić światło; rozejrzawszy się wkoło, powiedział:

— Zawsze ta sama szurza nora! Co zrobisz, Dunny, jeśli będziesz musiał przeprowadzić się stąd? Czy gdzie indziej znajdziesz miejsce na te swoje wszystkie rupiecie? Ile ty trzymasz tutaj książek. Założę się, że większości nie bierzesz do ręki nawet raz na rok.

Rzeczywiście grube tomy rozłożone były wszędzie po trosze i musiałem nawet zdjąć jeden z nich z fotela, aby zrobić miejsce dla Eisengrima, czułem się więc trochę upokorzony. Eisengrim jednak powiedział:

— Mnie się tutaj bardzo podoba. Rzadko bywam we własnym domu, tygodniami i miesiącami muszę mieszkać w hotelach. Najbliższą wiosną wyruszam na tournée światowe, to znaczy, że pięć lat spędzę w hotelach. W tym pokoju jest atmosfera spokoju i pracy umysłowej. Chętnie bym tutaj zamieszkał.

— Nie wydaje mi się, żeby nasz stary Dunny bardzo wysiłał umysł — odparł Boy. — Chciałbym, żeby moja praca ograniczała się do powtarzania co roku tych samych wykładów przez czterdzieści lat!

— Zapomina pan o jego licznych, znakomitych książkach — powiedział Eisengrim.

Boy zrozumiał, że nie osiągnie celu, bo oczywiście wszystkie te uwagi zmierzały do wciągnięcia w spisek interesującego obcego gościa, kosztem mojego poniżenia; prędko zmienił taktykę:

— Niechże pan mnie nie podejrzewa o brak szacunku dla tego uczonego człowieka. Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Pochodzimy z tego samego małego miasteczka. Można

by nawet powiedzieć, że wszystkie inteligentne głowy, jakimi Deptford mogłoby się poszczycić w przeszłości, te-
razniejszości, a z pewnością i w przyszłości, znalazły się
w tej chwili w tych oto czterech ścianach.

Po raz pierwszy od chwili spotkania z Boyem Eisen-
grim roześmiał się szczerze.

— Czy pozwoli pan, że przyłączę się do tego czcigodnego
grona? — spytał.

Boy ucieszył się, że zdołał go rozśmieszyć.

— Niestety, wstępnym warunkiem jest urodzenie się
w Deptford.

— Och, ten warunek dawno już spełniłem. Mam tylko
wątpliwości, czy moje osiągnięcia życiowe są wystarczające.

— Przeglądałem pańską autobiografię — Lorene prosiła,
żebym dla niej kupił tę książkę — i przeczytałem, jeśli
mnie pamięć nie myli, że urodził się pan gdzieś na dale-
kiej północy, w Szwecji.

— Tam przyszedł na świat Magnus Eisengrim, ale moje
wcześniejsze wcielenie narodziło się w Deptford. Jeśli auto-
biografia jest trochę ubarwiona, proszę mieć pretensje do
Ramsaya, bo to on ją napisał.

— Dunny! Nigdy mi o tym nie mówiłeś!

— Nie sądziłem, aby to mogło cię interesować — powie-
działem. Byłem zdumiony, że Eisengrim zdradził mu te
sekrety, ale widziałem, że on, podobnie jak Boy, gotów
jest rzucić najmocniejsze atuty na stół w tej grze o przewa-
gę nad przeciwnikiem.

— Nie przypominam sobie pana ani nikogo do pana po-
dobnego w Deptford. Jak brzmi pańskie prawdziwe naz-
wisko?

— Moje prawdziwe nazwisko to właśnie Magnus Eisen-
grim. Jestem Magnus Eisengrim i pod tym mianem zna
mnie świat. Ale zanim odkryłem, kim jestem, nazywałem
się Paul Dempster i doskonale pana pamiętam z lat dzie-
ciństwa. W myślach przezwałem pana „udzielnym księ-
ciem”.

— I przyjaźni się pan z Dunny'm od dawna?

— Od bardzo dawna. To on był moim pierwszym nauczy-
cielem magii. Od niego też dowiedziałem się dość wiele
o świętych, ale głównie zapamiętałem lekcje magii. Specja-
lizował się w żonglerce jajkami, zwykle z tego wynikała

jajecznicza; nie miałem innego mistrza, póki nie uciekłem do cyrku.

— Co pan mówi? Zawsze marzyłem, żeby to zrobić. Myślę, że o tym śnią wszyscy chłopcy.

— Szczęśliwi ci, dla których to marzenie się nie spełniło! Zresztą słowo cyrk jest zbyt pompatyczne, to była właściwie bardzo nędzna jarmarczna buda. Zafascynował mnie „czarodziej Willard”, żonglował znacznie zręczniejsz niż Ramsay. Znakomicie manipulował też kartami i był wytrawnym złodziejem kieszonkowym. Błagałem go, żeby mnie zabrał z sobą, i w swojej ignorancji — powinien bym może nazwać ją niewinnością, ale nie lubię tego słowa — wpadłem w szal radości, kiedy się zgodził. Wkrótce odkryłem, że Willard ma dwie słabości — do małych chłopców i do morfiny. Morfina już w nim zniszczyła rozsądek, bo w pełni władz umysłowych na pewno nie ważyłby się na takie ryzyko, jak uprowadzenie dziecka. Ale zanim naprawdę zrozumiałem, co będę musiał znosić wędrując z Willardem, już byłem jego niewolnikiem. Powiedział mi, że gdyby wydało się, co ze sobą robimy, ukarano by mnie niechybnie szubienicą, ale jemu każda sprawka ujdzie płazem, bo wszyscy sędziowie na świecie są jego dobrymi znajomymi. Tak więc strach przykuł mnie do Willarda. Byłem jego rzeczą i sługą, ale w zamian nauczył mnie magii. Zawsze za wtajemniczenie trzeba płacić cenę niewinności, ale mój przypadek był szczególnie jaskrawy. Co najdziwniejsze polubiłem Willarda, zwłaszcza że morfina w końcu odebrała mu zdolność do uprawiania żonglerki. Wtedy musiał poprzestać na roli dzikiego człowieka.

— A więc to on był „dzikusem z puszczy”? — wtrąciłem pytanie.

— Tak, ale to było znacznie później. Pierwszy etap jego upadku polegał na degradacji żonglera do roli dzikiego człowieka, a właściwie „krwiożercy”.

— Co to takiego? — zdziwił się Boy.

— Tak to nazywa się w jarmarcznych budach. Tej atrakcji nie reklamuje się otwarcie, ale wystarczy puścić cichcem wieść, że w namiocie jest krwiożerca, a publiczność znajdzie tam drogę; bierze się za wstęp opłatę, ale nie wydaje biletów. Inaczej zaraz by się wtrąciło Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami. Popisy krwiożercy polegają po prostu na zjadaniu surowego mięsa, a zwłaszcza

cza na chłeptaniu krwi. Najpierw konferansjer przerażająco tłumaczy psychologię i fizjologię krwiożercy, a potem daje mu się żywego kurczaka; on rycząc i wywracając oczyma przegryza kurczakowi szyję, aż odpadnie łepiek, wypija krew i rozbryzguje ją obficie dokoła. Taki krwiożerca nie ma lekkiego życia, łatwo też może połamać sobie zęby, ale cóż, jeśli nie pozostał mu żaden inny sposób zarobienia na morfinę, woli to niż męczarnie, jakie by cierpiał z braku narkotyku. Jednakże ten numer sporo kosztuje, na każde przedstawienie trzeba kupić żywego kurczaka, a nawet najbardziej łykowatego nie dostanie się za darmo. Toteż Willard, nim jeszcze do reszty stracił zdrowie i musiał wyrzec się roli krwiożercy, żarł robaki i węże, które ja dla niego łowiłem. Wiejskim parobkom bardzo się te sztuki podobały. Willard był stworem, którym nawet najobrzydliwszy brutal czuł się w prawie gardzić.

W końcu mieliśmy kłopoty z policją i uważałem, że lepiej wynieść się za granicę. Włóczyliśmy się po świecie dość długo, zanim spotkałem się z tobą, Ramsay, w Tyrolu, a wtedy Willard już ledwo zipał i w najlepszym razie mógł grać „dzikusa z puszczy”. Wątpię, czy w ogóle zdawał sobie sprawę, gdzie jest i co robi. Tak to, panie Staunton, wygląda życie chłopca, który uciekł do cyrku.

— Dlaczego pan nie porzucił Willarda, kiedy już był tylko krwiożercą?

— Mam odpowiedzieć szczerze? Otóż przez lojalność. Tak, przez lojalność dla Willarda, chociaż nie dla jego krwiożerczości ani dla jego gustu do małych chłopców. Myślę, że to była lojalność wobec okropnej ludzkiej nędzy. Wiele ludzi ma takie irracjonalne poczucie obowiązku i nie może go w sobie stłumić. Jak na przykład Ramsay w stosunku do mojej biednej matki. Była dla niego z pewnością ciężarem i kosztowała go sporo pieniędzy, ale jej nie opuścił. Myślę, że ją kochał. Może i ja pokochałbym ją, gdybym ją naprawdę znał. Ale ta kobieta, którą ja znałem, była tak inna niż matki wszystkich moich rówieśników, a ludzie tacy jak pan, panie Staunton, nazywali ją kurwą.

— Doprawdy nic takiego nie pamiętam — odpowiedział Boy. — Pan jest pewny tego, co mówi?

— Jak najpewniejszy. Nigdy nie mogłem zapomnieć, jaka była i jak ją w miasteczku przezywano. Ponieważ

proszę pana, stała się taka wskutek mojego przyjścia na świat. Ojciec uważał za swój obowiązek poinformować mnie o tym, żebym jej to starał się w miarę sił wynagrodzić. Moje narodziny spowodowały jej chorobę umysłową; to się czasem rzeczywiście zdarzało i pewnie dotychczas się zdarza. Byłem za mały, żeby udźwignąć winę, którą ojciec chciał na mnie złożyć; ojciec mocno wierzył w wychowawczą wartość wyrzutów sumienia. Nie mogłem tego znieść. Dziś już nie czuję się winny. Ale bardzo żywo pamiętam, co cierpiałem jako syn kobiety, z której wszyscy drwili i którą zasypywali obelgami uważając, że to doskonały temat do plugawych dowcipów. Wszyscy, włącznie z „udzielnym księciem”. Teraz z pewnością ma pan bardziej wytworny słownik. Gubernator, który by publicznie wykrzykiwał „kurwa”, nie przynosiłby chluby Koronie, prawda?

Boy Staunton miał dobrą zaprawę w znoszeniu oskarżeń rzuconych przez wrogów, toteż nawet drgnieniem twarzy nie zdradził, jak go zdziwiło to przemówienie Eisengrima. Postanowił jednak przejąć ofensywę we własne ręce.

— Przepraszam, zapomniałem, jakie nazwisko pan wymienił?

Eisengrim tylko się uśmiechał, więc odpowiedziałem za niego:

— Paul Dempster.

Teraz z kolei ja byłem zaskoczony, gdy Boy spytał:

— A któż to był ten Paul Dempster?

— Czy możliwe, żebyś nie pamiętał Dempsterów? Pastora Amasy Dempstera?

— Nie pamiętam. Nie pamiętam rzeczy, które nie są mi na nic potrzebne, a w Deptford nie byłem od czasu śmierci mojego ojca. To znaczy od dwudziestu sześciu lat.

— Nie przypominasz sobie pani Dempster?

— Nie. A dlaczego miałbym sobie przypominać?

Nie mogłem uwierzyć w szczerść tych zaprzeczeń, ale w ciągu dalszej rozmowy doszedłem do wniosku, że Boy przesiał starannie wspomnienia dzieciństwa i wymazał z nich całkowicie incydent z kulą śnieżną. Ale czy Paul także nie przesiał swoich wspomnień, tak że nie pozostało w nich nic prócz cierpień i okrucieństw? Ciekaw byłem, co też ja wymazałem z moich własnych wspomnień.

Piliśmy whisky siedząc swobodnie, jak potrafią mężczyźni nawet wśród silnych wstrząsów emocjonalnych. Boy jeszcze spróbował skierować rozmowę na dziedzinę, w której mógł górować.

— Co pana skłoniło do wyboru takiego właśnie scenicznego pseudonimu? Wiem, że magicy lubią przybierać niezwykłe nazwiska, ale pańskie brzmi doprawdy niepokojąco. Czy to nie szkodzi pańskiej popularności?

— Nie. I nie ja to nazwisko wybrałem. Wyręczył mnie mój zwierzchnik. — Spojrzał w tej chwili na mnie i domyśliłem się, że mówi o Liesl. — To imię pochodzi ze sławnych nordyckich bajek o zwierzętach i oznacza wilka. Nie tylko mi nie szkodzi, lecz przeciwnie, podoba się ludziom. Ludzie lubią patrzeć na kogoś z respektem podszitym lękiem. Przy tym mój magiczny teatr jest niesza-blonowy, proszę pana, wywołuje w ludziach jednocześnie podziw i lęk, dlatego właśnie odnosi sukcesy. Trochę podobnie jak święci Ramsaya, tylko że moje cuda mają ostry diabelski zapaszek — to także pomysł mojego zwierzchnika. Właśnie na tym polega pański błąd. Pan zawsze pragnął być kochany; nikt nie reaguje dokładnie tak, jak sobie życzymy, a ludzie odnoszą się nieufnie do działaczy politycznych, którzy zabiegają o ich miłość. Byłem od pana mądrzejszy. Wybrałem wilcze nazwisko. Pan chciał na zawsze pozostać młodzieńcem — Boyem. Czy dlatego że matka nazywała pana Picuś Bobo nawet wtedy, gdy był pan już dość duży, aby moją matkę nazywać kurwą?

— Skąd pan to wie, na miłość boską? Nikt z żyjących o tym nie wie.

— Owszem, dwóch ludzi: ja i Ramsay. To on mi powiedział przed wielu laty i pod pieczęcią tajemnicy.

— Nigdy nic podobnego nie zrobiłem! — wykrzyknąłem z oburzeniem. Ale jeszcze mój głos nie przebrzmiał w powietrzu, gdy już ogarnęły mnie wątpliwości.

— Powiedziałaś. Skąd bym inaczej wiedział? Chciałeś mnie czymś pocieszyć, gdy „książę udzielny” razem ze swoją bandą szydził z mojej matki. Wszyscy zapominamy wiele z tego, co w życiu zrobiliśmy, zwłaszcza jeśli chodzi o postęпки niezgodne z naszym zasadniczym charakterem. Ty uważasz siebie za niezawodnego powiernika cudzych sekretów. Nie byłoby ci wygodnie pamiętać o przypadku,

gdy zdradziłeś czyjąś tajemnicę, Dunstanie Ramsay... Ale odkąd przestałeś być Dunstablem?

— Pewna dziewczyna dała mi nowe imię, gdy w końcu oderwałem się od matki. Liesl twierdzi, że wskutek tego stałem się jednym z ludzi dwukrotnie narodzonych. Czy zauważyliście, że wszyscy trzej należymy do tej kategorii? Wszyscy trzej odrzuciliśmy swoje dzieciństwo i staliśmy się zupełnie innymi ludźmi, niż przewidywali nasi rodzice.

— Nie mogę wyobrazić sobie, aby twoi rodzice przewidzieli, że zostaniesz teoretykiem mitów i legend — rzekł Eisengrim. — To byli twardzi ludzie. Pamiętam ich bardzo dobrze. Twardzi byli, zwłaszcza twoja surowa matka.

— Mylisz się — odparłem. I opowiedziałem mu, jak moja matka trudziła się, obmyślała i kłeciła dla niego gniazdo, żeby utrzymać słabego noworodka przy życiu. — Mówiła, że masz bojowego ducha, i za to cię polubiła.

Z kolei Eisengrim był zbity z tropu.

— Pozwolisz, że wezmę cygaro? — spytał.

Nie palę cygar, ale pudełko stojące w drugim kącie pokoju mogło go łatwo wprowadzić w błąd, wyglądało jak metalowa puszka chroniąca cygara od wysychania, dość zresztą ozdobna. Gdy Eisengrim zdjął ją z półki i z nieco wyniosłą miną zdmuchnął pył z jej wieka — twarz jego nagle zmieniła wyraz.

Przyniósł puszkę i postawił na niskim stoliku, wokół którego skupiały się nasze fotele.

— Co to jest? — spytał.

— Napis ci to wyjaśni — odparłem.

Na srebrnej płytce umieszczonej na wieku szkatułki wygrawerowanych było kilka wierszy tekstu pięknie i wyraźnie, bo dobrałem starannie krój pisma:

MARY DEMPSTER

1888—1959

Tu jest zawarta cierpliwość i wiara świętych

Jakiś czas wszyscy trzej patrzyliśmy na ten napis. Pierwszy odezwał się Boy:

— Dlaczego trzymasz to w swoim pokoju?

— Przez pietyzm, poczucie nie odpokutowanej winy, brak energii. Zamierzałem złożyć te prochy w jakimś sto-

sownym dla nich miejscu, ale dotychczas takiego miejsca nie znalazłem.

— Przez poczucie winy? — spytał Eisengrim.

To był moment decydujący. Musiałem albo powiedzieć wszystko w tej właśnie chwili, albo już na zawsze przemilczeć prawdę. Dunstan Ramsay radził zachować sekret, ale „piąty” nie chciał go usłuchać.

— Tak, przez poczucie winy. Staunton i ja jesteśmy winni, że twojej matce rozum się pomieszał. — I opowiedziałem historię śnieżnej kuli.

— Fatalny przypadek — rzekł Boy — ale pozwól sobie powiedzieć, Dunny, że ten incydent w twojej wyobraźni przeobraził się w coś, czym nigdy nie był w rzeczywistości. Wy, nieżonaci mężczyźni, macie skłonność do zadreczania się urojeniami. Rzuciłem śnieżną kulę — a przynajmniej ty tak twierdzisz i dla uproszczenia dyskusji przyjmijmy, że tak było — a ty się przed nią uchyliłeś. Ta kula rzekomo przyspieszyła katastrofę, która zapewne i tak nastąpiłaby prędzej czy później. Różnica między nami polega na tym, że ty wciąż to zdarzenie rozpamiętywałeś, a ja o nim całkowicie zapomniałem. Obaj potem dokonaliśmy wielu ważniejszych rzeczy. Bardzo mi przykro, jeżeli obrażałem pańską matkę, panie Dempster, ale wszyscy wiemy, jacy są chłopcy w tym wieku. Brutalni, po prostu z głupoty. Ale wyrastają na mężczyzn.

— Nawet na ważne osobistości. Na panów, których Korona zaszczyca najwyższymi stanowiskami — powiedział Eisengrim śmiejąc się nieprzyjemnie.

— Tak. Jeśli pan spodziewa się, że to wyróżnienie zawstydza mnie, to pan się omylił.

— Mężczyźni zachowują coś niecoś z brutalnych chłopców — zauważyłem.

— Nie rozumiem cię?

„Piąty” uparł się zabrać znów głos.

— Może to odświeży ci pamięć? — spytałem podając Boyowi mój stary przycisk do papierów.

— Dlaczego? Ten zwykły kamyk? Od lat widuję go na tym biurku, zawsze leży na tych twoich szpargałach. Sto razy już go oglądałem. Nie przypomina mi nic prócz ciebie.

— To jest kamień, który oblepiłeś śniegiem, zanim rzuciłeś kulę w głowę pani Dempster — wyjaśniłem. — Prze-

chowywałem go, bo nie mogłem z nim się rozstać. Daję ci słowo, że nie zamierzałem nigdy powiedzieć ci, skąd mam ten kamyk. Ale, na miłość boską, czas, żebyś coś niecoś wiedział sam o sobie. Kamień ukryty w śnieżnej kuli charakteryzuje wiele twoich postępków w życiu, nie wolno ci o nim zapomnieć.

— Moje postęпки! Wspominając moje uczynki, Dunny, przypomnij sobie też, że dzięki mnie jesteś, jak na przedstawiciela swego zawodu, dość zamożny. Traktowałem cię jak brata. Pozwól sobie powiedzieć, że udzielałem ci informacji, za które niejeden człowiek byłby mi do śmierci wdzięczny. To był początek twojej fortunki, twojego zabezpieczenia na stare lata, o które się tak niepokoiłeś.

Nie sądzę, żebym okazywał rzeczywiście wiele niepokoju o swoje stare lata, ale może Boy miał rację.

— Dajmy lepiej spokój tej moralnej buchalterii! — odparłem. — Staram się po prostu zrekonstruować jako tako całość twojego życia. Czy zechcesz je całe przyjąć jako swoją własność, razem z tym, co w nim było dobre i co było złe? Kiedyś powiedziałem ci, że stworzyłeś sobie Boga na własne podobieństwo, a że taki Bóg nie mógł ci wystarczyć, zostałeś ateistą. Pora, żebyś spróbował dostrzec w sobie zwykłego człowieka. Wtedy może na twoim widnokręgu ukaże się coś większego od ciebie.

— Chcesz mnie zgnębić. Upokorzyć w obecności człowieka, z którym, jak się okazuje, byłeś od wielu lat w kon-szachtach, chociaż nigdy o tym ani słowem nie pisałeś — o nim czy o jego nieszczęsnej matce — swojemu najbliższemu przyjacielowi, protektorowi, który cię bronił przed twoim własnym niedołęstwem. Dobrze więc, niech Eisen-grim usłyszy wszystkie te niepiękne prawdy, które możemy dziś sobie wygarnąć. Nienawidziłeś mnie zawsze, ponieważ odebrałem ci Leolę. Tak, odebrałem ci ją! Nie dlatego, że straciłeś nogę i byłeś brzydki, ale dlatego, że mnie bardziej kochała niż ciebie.

Teraz zranił mnie do żywego i znów wziął we mnie górę dawny Dunstable Ramsay, który nie mógł oprzeć się pokusie mówienia okrutnych słów, jakie mu przychodziły do głowy.

— Obserwując świat zauważyłem, że na ogół każdy zdobywa taką kobietę, na jaką zasługuje, królu Kandaule-

sie! — odparłem. — A kto przed śniadaniem zjada konfitury, ten zwykle dostaje mdłości przed zaśnięciem.

— Panowie! — rzekł Eisengrim — wasza rozmowa głęboko mnie interesuje, ale niedziela jest jedynym dniem tygodnia, gdy mogę przed północą iść do łóżka. Muszę już więc was pożegnać.

Boy natychmiast uderzył w ton największej uprzejmości.

— Ja także wychodzę. Czy pozwoli pan odwiedzić się do hotelu?

Oczywiście chciał w samochodzie oczernić mnie przed Eisengrimem.

— Dziękuję, panie Staunton. Wobec tego, co opowiedział Ramsay, jest pan moim dłużnikiem, należy mi się od pana parę miesięcy raj, jeśli nie jakaś zapłata w tym życiu. Ale jeśli mnie pan teraz odwiedzie do hotelu, będziemy skwitowani.

Wziąłem ze stolika szkatułkę z prochami pani Dempster.

— Może chcesz wziąć to z sobą, Paul?

— Nie, dziękuję, wziąłem wszystko, czego mi potrzeba.

Odpowiedź wydała mi się trochę dziwna, lecz z nadto byłem podniecony całą tą sytuacją, aby zwrócić uwagę na słowa Eisengrima. Dopiero nazajutrz, gdy zawiadomiono mnie o śmierci Boya, stwierdziłem, że przycisk zniknął z mojego biurka.

8

Ze względu na tragiczne okoliczności śmierci, niezbędne w związku z tym policyjne czynności oraz zabiegi wdowy, próbującej uzyskać pogrzeb państwowy — Boy został pochowany dopiero w czwartek. W następną sobotę poszedłem do teatru na „Wieczór złudzeń” Eisengrima — bo tak teraz zatytułował swój program — a chociaż najwięcej czasu spędziłem za kulisami z Liesl, znalazłem się na widowni, aby zobaczyć występ „Mosiężnej Głowy brata Bacona”. A właściwie ukryłem się za firankami łoża pierwszego piętra, żeby z góry popatrzeć na piękną salę starego Teatru Królowej Aleksandry i na zebraną tam publiczność.

Wszystko szło gładko, gdy dziewczęta zbierały, a potem zwracały właścicielom różne używane przez nich przedmioty; obserwowałem na ich twarzach grę uczuć: zdumienie, zadowolenie — a co najbardziej zawsze ciekawe — żarliwą chęć doznania złudzeń zmieszana z odrobiną urazy, że ktoś ich zwodzi. Ale kiedy Głowa miała wygłosić swoje trzy wyrocznie, gdy Eisengrim już zapowiedział je publiczności, rozległ się krzyk:

— Kto zabił Boya Stauntona?

Szmer przebiegł przez salę, ktoś nawet syknął, ale zapanowała cisza, kiedy Głowa rozświetliła się od wewnątrz, rozchyliła usta i Liesl — nieco cudzoziemskim akcentem, głosem brzmiącym tak, że nie sposób było rozpoznać, czy należy do mężczyzny, czy do kobiety — przemówiła:

— Zabili go ci sami co zwykle spiskowcy: przede wszystkim on sam, poza tym kobieta, którą znał, kobieta, której nie znał, mężczyzna, który spełnił jego najskrytsze pragnienie, i nieunikniony „piąty”, który był strażnikiem jego sumienia i który przechował kamień.

O ile wiem, powstał wielki zgiełk. Denyse dowiedziawszy się o tym zdarzeniu w teatrze, zaprotestowała gwałtownie; oczywiście myślała, że to ona jest „kobietą, którą znał”.

Osobiście i za pośrednictwem wpływowych przyjaciół próbowała wywrzeć nacisk na władze policyjne, ale tymczasem Eisengrim już odleciał wraz z całym swoim „Wieczorem złudzeń” samolotem do Kopenhagi; zresztą policja odpowiedziała jednoznacznie, że nie może wdrażać śledztwa w sprawie tak nieuchwytnych przestępstw, choćby dla pewnych osób bardzo dotkliwych. Ja wszakże nic o tym wszystkim nie wiedziałem, bo podczas pamiętnego przedstawienia poraził mnie w łoży teatru atak serca i zostałem co prędzej odwieziony do szpitala, jak mi potem powiedziano, przez pewną cudzoziemkę.

Gdy stan mój poprawił się na tyle, że mogłem czytać listy, znalazłem między innymi pocztówkę — ku mojej zgrozie otwartą pocztówkę! — następującej treści:

Bardzo martwię się Twoją chorobą, to moja wina o tyle, o ile w takich przypadkach można mówić o czyjejkolwiek winie. Nie mogłam oprzeć się pokusie i proszę Cię, żebyś Ty także nie oparł się tej, którą Ci podsuwam: przyjeżdż

*do Szwajcarii, gdzie czeka na Ciebie bas i Mosiężna Głowa.
Przeżyjemy jeszcze trochę pięknych dni, zanim „piąty”
zmiecie nas wszystkich ze sceny!*

*Serdeczność od
L.V.*

I to już wszystko, Panie Dyrektorze, co miałem do opowiedzenia.

Sankt Galen, 1970

Spis treści

Pani Dempster	7
Moje drugie narodziny	73
Moja obłąkana święta .	120
Gyges i król Kandaules .	165
Liesl	210
Wieczór złudzeń .	251